

**Jennifer Blake**

**OGRÓD GRZECHU**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niczym banshee\* wypadła z oświetlonego domu, wołając przenikliwym, czystym sopranem swojego wielkiego czarnego wilczura, który gnał przed siebie z głuchym warczeniem. Niemal przefrunęła przez próg i była już w połowie schodków, gdy siatkowe drzwi zatrzasnęły się za nią.

Mknęła, nie bacząc na nic, jak wiedźma, jak dysząca zemstą walkiria, odziana jedynie w lekką nocną koszulę, która w padającym z domu świetle wydawała się zupełnie przezroczysta. W blasku księżyca jej długie, rozwiane włosy rzucały srebrzysto-złociste refleksy. Prawie nie dotykała stopami ziemi. Szybkonoga, szczupła, z piękną twarzą ściągniętą niepokojem, była najbardziej fascynującą kobietą, jaką Alec Stanton kiedykolwiek widział.

- Sticks! Spokój, piesku! - wołała. W biegu rozsuwała nisko wiszące gałęzie magnolii, nurkowała pod pędami spirei. Wzrok miała wbity w psa, który, groźnie warcząc, trzymał straż na omszonej ceglanej ścieżce.

Wilczur, nie spuszczać Aleka z oczu, jeszcze raz wściekle zawarczał. Stał ze zjezoną sierścią, odsłonił kły. Gdy jego pani podeszła bliżej, obronnym ruchem zablokował jej drogę.

- Piesku, co się stało? Co cię tak niepokoi?

Głos miała niespokojny, ale nie słyhać w nim było strachu. Zwolniła kroku i wtedy zobaczyła Aleka.

Zatrzymała się gwałtownie, a włosy opadły jej do przodu, okrywając ją jak peleryną utkaną z promieni księżyca. Znieruchomiała, z zaciśniętymi pięściami, rozszerzonymi oczyma i wyprostowanymi ramionami, wyglądała jak posąg z białego marmuru.

Alec nie widział już psa, zapomniał, w jakim celu tu przybył i dlaczego stoi wśród splątanych gałęzi głogów, winorośli i wybujałych krzaków porastających ogród przed domem w kształcie parowca, znanym jako Ivywild, czyli Dziki Bluszcz. Poruszając się jak we mgle, postąpił kilka kroków do przodu i wyłonił się z ciemności.

Wilczur poderwał się i skoczył Alekowi do gardła.

- Sticks, zostaw! Leżeć! - Krzyk kobiety zmieszał się z warczeniem psa, lecz było już za późno.

Gdy ważący czterdzieści kilogramów wilczur skoczył w kierunku intruza, Alec w odruchu wyćwiczonym na treningach zrobił unik, dzięki czemu zamortyzował uderzenie, i błyskawicznie zamknął wielki łeb Sticksa w stalowym uścisku rąk. Następnie wyszukał właściwe miejsca na szyi psa i wcisnął w nie kciuki, po czym opadł na kolana i zawirował od pędu nadanego przez rozjuszone zwierzę, aż wykonał pełny obrót.

W jednej sekundzie było po wszystkim. Gdy Alec wstał, sztywny i bezwładny pies leżał na ścieżce między nim a kobietą.

Z jej ust wyrwał się cichy krzyk rozpacz. Przypadła do Sticksa i położyła jego łeb na swoich kolanach. Trzymając go przy piersi, kołysała się w przód i w tył.

- Nic mu nie będzie - powiedział Alec z udawanym spokojem.

Nie odpowiedziała. Po chwili usłyszał, jak odetchnęła z ulgą, gdy pies poruszył się i zaskomlał.

Nagle podniosła na niego mokre od łez oczy.

- Mógł go pan zabić.

- Gdybym chciał go zabić, już by nie żył. Ja tylko uspokoiłem go na jakiś czas, dzięki czemu mam szansę z panią porozmawiać. - Oczywiście mógł ją oskarżyć o to, że jej uroczą psinką o mało co nie rozerwała mu gardła, ale uznał to za rzecz niewartą słów.

Kobieta wsunęła palce w sierść psa i przytuliła go jeszcze mocniej.

- Znajduje się pan na terenie prywatnej posiadłości. Proszę natychmiast stąd wyjść albo wezwę policję. Czy wyraziłam się wystarczająco jasno?

Nie tak to wszystko sobie zaplanował. Zamierzał zapukać do drzwi, przywitać się z właścicielką domu i uprzejmie wyjaśnić powód swej wizyty. Stało się jednak coś zupełnie nieoczekiwanego. Alec w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że coś takiego może mu się przytrafiać, a zwłaszcza z tą kobietą. Otóż gdy ujrzał ją, jak w cienkiej koszulce

przedzierała się przez mroki nocy, oniemiał z zachwyty, a w sercu poczuł dziwną tęsknotę.

Zamiast jednak napawać się nieoczekiwanymi doznaniem, musiał pozbawić jej psa przytomności. Nie był to najszcześniejszy sposób, by przełamać pierwsze lody.

- Przepraszam, jeżeli wyrządziłem krzywdę Sticksowi - powiedział.

- Oczywiście, że go pan skrzywdził. - Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nie powinien był mnie atakować.

- Postąpił słusznie. Bronił mnie, i to na moim terenie.

No cóż, miała rację.

- Nazywa się pani Laurel Bancroft, prawda? - spytał, chcąc jak najszybciej zamknąć niewygodny dla siebie temat.

---

\* Banshee - celtycki duch zapowiadający żalonym zawrozczeniem śmierć w domu (przyp. tłum.).

- A jeżeli tak, to co?  
- Ja... chciałem z panią porozmawiać. - Po to właśnie tu przyszedł, ale sprawy potoczyły się inaczej. i  
- Nie znajdziemy żadnego wspólnego tematu - mruknęła zaczepnie.  
- Moja babcia, która przyjaźni się z pani gosposią, Maisie Warfield, dowiedziała się od niej, że potrzebny jest ktoś, kto zająłby się tą dzunglą, w jaką po śmierci pani męża zamienił się ten ogród. - Maisie powiedziała o wiele więcej i Alec żałował, że nie słuchał jej uważniej. - Mam trochę doświadczenia w takiej pracy - dodał.

Przez dłuższą chwilę kobieta patrzyła na niego taksującym wzrokiem.

- Jeżeli naprawdę jest pan wnukiem pani Callie, to nie jest pan ogrodnikiem, tylko... - urwała.

- Inżynierem. Żeby jednak zarobić na studia, pracowałem jako pomocnik ogrodnika - powiedział z lekkim wyzwaniem w głosie.

- Nie stać mnie na zatrudnienie inżyniera. W pierwszym odruchu chciał wyznać, że gotów jest pracować dla niej za darmo, wykonywać wszelkie polecenia i być przy niej o każdej porze dnia i... nocy, zostało mu jednak na tyle rozsądku, że zdołał się opamiętać.

- Chcę się zatrudnić jako pracownik fizyczny i być wynagradzany jak zwykły ogrodnik.

- Dlaczego? - spytała nieufnie.

Wiedział, że jeśli teraz jej nie przekona, za chwilę będzie musiał odejść stąd na zawsze.

Sticks podniósł łeb, otrząsnął się i ułożył na brzuchu. Spojrzał na swojego pogromcę, a potem szybko odwrócił łeb, jakby zawstydzony porażką. Przyczołgał się do swojej pani i, cicho skomląc, na przeprosiny polizał jej rękę.

Alec, widząc tę czułą scenę, poczuł zazdrość.

- Z wielu powodów - odparł. - Najważniejszy jest ten, że potrzebuję pieniędzy.

- Bez trudu mógłby pan sobie znaleźć lepszą pracę.

- Chcę mieć swobodę. Szukam takiego miejsca, gdzie nie będę uwiązany.

Pogłaskała psa, by go pocieszyć, a potem podniosła się i z namysłem zapytała:

- Bo nie chce pan nosić garnituru? Czy też chodzi o pańskiego brata?

- O jedno i drugie.

A więc wiedziała o Gregorym. Powinien był się tego domyślić. Tak przecież zwykle bywa w małych miasteczkach.

Patrzył na nią, napawając się cudownym widokiem. Smukła i piękna, opromieniona srebrzystym światłem księżycy, zdawała się pochodzić z innego, nierealnego wręcz świata.

- Jeżeli spodziewa się pan po mnie współczucia... - zaczęła.

- Nie - powiedział stanowczo. - Nie chcę żadnego współczucia. - Spojrzał na nią. - Jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy.

Zesztywniała.

- Moja sytuacja nie powinna pana obchodzić. Znów na nią spojrzął, a potem o wiele łagodniej powiedział:

- Myślałem o moim bracie i o mnie, chociaż wydaje mi się, że byłoby słusznie panią też w to włączyć, i

Nie odpowiedziała, tylko utkwiała w nim wzrok. W księżycowej poświacie widział jej delikatną skórę, zarejestrował widoczne w wyrazie twarzy napięcie, zachwycił się ciemnym błękitem jej oczu, przepastnym i czystym jak głęбина mórz południowych, sugerującym, że ta kobieta wie o ludziach więcej, niż sama tego chce. A zwłaszcza o mężczyznach i ich najniższych instynktach.

Takich właśnie, jakie w tej chwili bez reszty nim zawładnęły.

Pomyślał, że przed chwilą musiała wyjść spod prysznica. Czuł mydło i czysty, kobiecy zapach.

Był to najpotężniejszy afrodyzjak, z jakim miał dotąd do czynienia. Czy starczy mu resztek woli, by powstrzymać gotującą się w nim namiętność? Czy za moment nie zrobi czegoś... niewłaściwego?

Zdawała się osobą wiotką i delikatną, ale po tym, w jaki sposób stawiała mu czoło, poznał, jak wielką wewnętrzną siłą dysponowała. Nie lękała się nocy, nie drżała przed obcym mężczyzną, który wyłonił się z ciemności. Zachowywała się naturalnie, była spokojna, może nawet trochę nieśmiała, ale po królewsku opanowana.

Jej uroda nie była doskonała. W kącikach oczu miała delikatne zmarszczki, a dolną wargę nie tak pełną jak górną. Mimo to była tak piękna, że Alec wprost nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Czy mógł jednak żywić choćby najmniejsze nadzieje? Taka kobieta nigdy nie zechce mieć nic wspólnego z wnukiem Callie Stanton i kalifornijskim hipisem. W jej mniemaniu zapewne zachowywał się jak dzieciak, który ma wprawdzie dużo mięśni, ale niewiele rozumu. Kiedy indziej taka sytuacja pewnie by go rozbawiła, teraz jednak wcale nie było mu do śmiechu.

Laurel lekko zadrżała, uderzona siłą spojrzenia Aleka Stanton. Miał oczy tak czarne, jakby rozszerzone

żrenice zabrały tęczęwszkiej barwę, pozostawiając nieprzeniknioną mroczną otchłań. Był wysoki i szeroki w ramionach, emanował niezłomną odwagą, siłą i pewnością siebie. Należał do ludzi, którzy niejako w naturalny, instynktowny sposób pokonywali wszelkie zagrożenia, a upiory, które

budziły się nocą, nie miały do nich dostępu. Lecz ona sama nie czuła się przy nim bezpieczna.

Był za duży, za silny, za szybki. Znał wschodnią sztukę walki, której nie potrafiła wprowadzić nazwać, ale to za jej pomocą pozabawił czucia biednego Sticksa. Poza tym, jak na jej gust, wyglądał zbyt egzotycznie z długimi czarnymi włosami związanymi rzemykiem w kucyk, czarnymi krzaczastymi brwiami i długimi rzęsami, z grubo ciosaną kwadratową twarzą i srebrzyście lśniącym kolczykiem w kształcie błyskawicy, wpiętym w lewe ucho.

Ubrany był całkowicie na czarno: boty, dżinsy, podkoszulek bez rękawów, który podkreślał muskularny tors i odślaniał wielobarwną plamę skomplikowanego tatuażu. Laurel mimo ciemności rozpoznała smoka otaczającego jego ramię i schodzącego na pierś.

Unikając patrzenia mu w oczy, spojrzała na tatuaż, a potem odwróciła głowę. Palce jej zdrząły od nagłego pragnienia, by dotknąć tych dziwnych rysunków, musnąć ciepłą, gładką skórę smoka-mężczyzny i poczuć moc mięśni, które poruszały się pod tatuażem. Gdyby jednak tak zrobiła, mogłaby ulec pokusie i położyć na bestii rozpostartą dłoń, a wtedy poczułaby bijące serce mężczyzny.

Szybko przywołała się do porządku. Chyba musiała postradać zmysły. Przecież ma czterdzieści jeden lat, a on pewnie nie ma nawet trzydziestu.

No cóż, za długo była sama. Tak bardzo przywykła do samotności, że wybiegła z domu, nie bacząc na to, iż ma na sobie jedynie cienką nocną koszulę. A, co gorsza, teraz oddaje się dzikim fantazjom tylko dla tego, że jest sam na sam z pociągającym mężczyzną. Chyba rzeczywiście zaczyna tracić rozum.

Jednak czarowny urok ciepłej wiosennej nocy mącił w niej rozważę i podstępnie popychał Laurel ku dziwnemu przybyszowi. Stali pod drzewem magnolii, w powietrzu rozchodził się zapach kwiatów. Wokół rozbrzmiewał cichy chór nocnych owadów, jak nie kończące się echo uczuć, które w niej zbierały.

Sticks, który do tej pory leżał na ścieżce, z trudem podniósł się, podszedł do Laurel i przywarł do jej kolan. Otrząsnęła się, jakby wróciła z dalekiej krainy. Ogromne napięcie nieco zelżało.

- Proszę posłuchać - powiedziała stanowczo, lecz nieco zbyt ochryple. - Zamierzam nająć kogoś, kto tylko zetnie kilka drzew i wykarcaże zbędne krzaki, ewentualnie skopie parę grządek pod róże...

Alec wpadł jej w słowo.

- Mogę zrobić dwa razy tyle i zajmie mi to o połowę mniej czasu.

- Nie wątpię, ale chodzi o to...

- Chodzi o to, że pani się mnie boi. No cóż, w zacofanym, prowincjonalnym Hillsboro w stanie Luizjana uważa się, że mężczyzna powinien wyglądać inaczej. Facet należący do pani sfery powinien strzyc włosy na jeża, ubierać się z pedantyczną starannością, myśleć tylko o wędkowaniu, polowaniu i picciu piwa oraz absolutnie nie mieć pojęcia o tym, czego naprawdę potrzebują kobiety i co je interesuje. Oczywiście wiem, że tu nie pasuję. - Jego głos zmiękł. - Podobnie jak pani.

Zacisnęła usta i odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Naprawdę?

Uśmiech Aleka trwał zaledwie sekundę, lecz jego moc była porażająca. Czarny anioł! przemknęło jej przez myśl, gdy odczuła przenikliwą słodycz, bezgraniczne zrozumienie i aprobatę dla jej niezależności, emanującą z twarzy niezwykle gościa. Być może litował się nad nią, ale przede wszystkim podziwiał jej odwagę i bezkompromisowość. Sondował głębię jej samotności, ofiarowywał pociechę, obiecywał ukojenie.

Gdy uśmiech zniknął, Laurel z trudem zwalczyła poczucie żalu. I straty.

- To nie... Proszę mi wierzyć, nie jestem aż tak zaściankowa - powiedziała szybko - ale akurat teraz wolałabym uniknąć następnych kłopotów.

- Pani potrzebuje pomocy, a ja pieniędzy. To chyba normalne - powiedział spokojnie, jakby wyjaśniał, a nie prosił.

Impulsywnie wyciągnęła przed siebie rękę.

- To nie takie proste!

- Moim zdaniem całkiem proste. Mój brat umiera na raka. Wiedziała pani o tym? Wziąłem bezpłatny urlop z pracy w Los Angeles i przyjechałem z nim odwiedzić babcię Callie. A teraz brat chce tu zostać. Dobre domowe jedzenie i spokojny tryb życia mogą mu albo pomóc, albo i nie, ale warto spróbować. Jednak nie zamierzam pozostawać na utrzymaniu babci. To prawda, że mógłbym znaleźć sobie stałą i lepiej płatną pracę, ale musiałbym wychodzić z domu na cały dzień, a to mi nie odpowiada. Do pani miałbym blisko i nie byłbym za bardzo uwiązany.

Pracuję szybko i dobrze, nie ma też we mnie fałszywej i głupiej dumy, potrafię więc słuchać poleceń.

Odróżniam różę od rzepy, umiem murować, kłaść rury kanalizacyjne, w ogóle znam się na wszystkich tego typu robotach. Czego więcej może pani chcieć?

Tylko tego, by w nieskończoność słuchać jego głębokiego, spokojnego głosu. A to był wystarczający powód, by zachować ostrożność.

- Zaplanowałam pewną drobną inwestycję - powiedziała. - Po oczyszczeniu ogrodu z zarośli chciałabym zbudować małą fontannę pośrodku klombów z różami. Nie jest to jednak warte ani pana czasu, ani umiejętności.

Na jego usta znów powrócił uśmiech, który wabił Laurel wbrew jej woli.

- I tak nie mam jak ich teraz wykorzystać, a już zupełnie okażą się zbędne, jeśli nie da mi pani pracy.

- Nie wydaje mi się...

- Coś pani zaproponuję - powiedział, podchodząc bliżej. - Pierwszy dzień przepracuję za darmo i wtedy pani zdecyduje, czy się nadaje, czy też nie. Jeżeli nie, sprawa na tym się skończy, lecz jeśli tak, zaczniesz mi pani płacić od następnego dnia.

- Nie mogę na to pozwolić - zaprotestowała.

- Uczciwa umowa to wszystko, o co proszę. Przyjdę o ósmej. Zgoda?

Chyba naprawdę zwariowała, bo układ zaczynał jej się wydawać niemal rozsądny. A tak naprawdę, co to za różnica, czy zatrudni jego, czy starego Pendera, czy też młodego Randy'ego Notta, który wykonywał drobne prace u jej teściowej? Przecież ten mężczyzna będzie tylko najemnym pracownikiem, po prostu parą zręcznych rąk. Potrwa to dwa, trzy dni, najwyżej tydzień, i Stanton odejdzie. Podjęła decyzję.

- Powiedzmy o siódmej, żeby mógł pan zrobić jak najwięcej, zanim zaczniesz się upała.

- Pani jest tu szefową.

Skinął głową i odszedł, rozpluwając się w ciemnościach. Po chwili Laurel usłyszała niski warkot zapalanego motoru, potem ryk silnika, aż wreszcie wszystko umilkło i powróciła nocna cisza.

Mimo że na dworze było ciepło, przeszył ją dreszcz. Objęła się mocno rękami. Sticks spojrzął na nią i zaskomlał, wyczuwając jej niepokój.

- Co o tym myślisz, piesku? - spytała, zdobywając się zaledwie na cichy szept. - Czy popełniłam błąd?

Wilczur, patrząc w kierunku, w którym odszedł Alec Stanton, bez przekonania pomachał ogonem.

Laurel westchnęła i zamknęła oczy.

- Ja też tak myślę.

Następnego ranka nowo najęty robotnik przyszedł punktualnie. Laurel musiała mu przyznać przynajmniej tyle. Akurat zdążyła włożyć stare dżinsy i wyblakły żółty podkoszulek, gdy usłyszała na podjeździe warkot motocykla.

Maisie Warfield, jej gosposi, jeszcze nie było. Zawsze przed przyjściem wyprawiała do pracy swojego „staruszka”, jak nazywała męża, który zbliżał się już do wieku emerytalnego. Laurel wolała nie czekać, aż Alec Stanton podejdzie do drzwi i odezwie się staroświecki dzwonek. Chwyliła pantofle i w samych skarpetkach pobiegła do wejścia. Przynajmniej nie musiała się martwić o Sticksa, który spędził noc na tylnej werandzie i wciąż był tam zamknięty.

Na podjeździe stał jasnoczerwony harley davidson, wyglądający na tle późnowiktoriańskiego domu jak biedronka na rąbku staroświeckiej koronkowej sukni. Jednak Aleka nie zobaczyła. Nie było go też w zarośniętym ogrodzie. Idąc za odgłosami trzasków, rwania i rozłupywania, dotarła na skraj ogrodu. Alec już pracował, to znaczy oczyszczał ogrodzenie z zielonej płataniny dzikiego wina i pnączy.

Słyszając jej kroki, podniósł głowę i skłonił się.

- Trzeba by wymienić co najmniej kilkanaście sztachet, a potem pomalować całe ogrodzenie, bo inaczej wszystko pójdzie w rozsypkę. W tym klimacie drewno...

- Wiem - odparła krótko.

- Mógłbym...

- Sama się tym zajmę - przerwała mu. - Pana zatrudniłam jako ogrodnika.

Zerwał długie pnącze wina i rzucił je na ziemię. Korzenie zamierzał wykopać później. Zdjął rękawice i wepchnął je za pasek dżinsów. Przebiegł krytycznym spojrzeniem po domu, jego otoczonych balustradami werandach, zaokrąglonych z każdego końca jak pokład parowca, zwieńczeniach cienkich kolumn, wyglądających jak pajęczyny pokryte lodem, i stożkowej wieżycy na dachu.

- To wielki, stary dom - powiedział. - Nie można pozwolić, by zniszczał.

- Nie zamierzam do tego dopuścić - odparła cierpko. - A teraz, jeżeli pan...

- Babcia mówiła mi, że to rodzinna rezydencja pani męża. Jak doszło do tego, że ten dom należy do pani?

- Nikt inny go nie chciał.

Tak rzeczywiście było. Dom był zaniedbany już wtedy, gdy Laurel pierwszy raz go zobaczyła. Jej

teściowa, Sadie Bancroft, wyprowadziła się stąd w latach sześćdziesiątych, niedługo po tym, jak opuścił ją mąż, a szwagierka Laurel, Zelda, nie chciała tu mieszkać. Miała dość tej starej rudery już w czasach, gdy była dzieckiem i nie mogła się nadziwić, dlaczego Laurel po ślubie z Howardem tak zależała na odkupieniu domu od rodziny. Nawet Howard w ciągu piętnastu lat ich małżeństwa często narzekał na trudności z utrzymaniem budynku w jakim takim stanie i mówił, że chciałby go sprzedać i kupić mały, elegancki domek w stylu farmerskim. Ale zawsze kończyło się na gadaniu.

- Jest wielki, szczególnie dla jednej osoby.

- Lubię duże domy - powiedziała Laurel i nagle poczuła, jak bez żadnej przyczyny na jej twarzy wypływa rumieniec. A może jednak był jakiś powód? Dlaczego bowiem Alec Stanton lekko się uśmiechnął?

- Od czego mam zacząć?

- Słucham?

Przechylił głowę.

- Miała mi pani powiedzieć, od czego mam zacząć swoją robotę.

- Ach, tak. Oczywiście. - Odwróciła się na pięcie i poprowadziła go do frontowego ogrodu.

Z początku chciała pracować razem z nim, żeby na bieżąco pokazywać mu, co chce zachować, a co usunąć, jednak szybko się zorientowała, że wcale nie jest to potrzebne. Znał się na roślinach, widać dobrze wykorzystał ten czas, kiedy pracował jako pomocnik ogrodnika. Poza tym był świetnie zorganizowany. Zanim zabrał się do pracy, przygotował sobie narzędzia, które znalazł w szopie za wolno stojącym garażem, naoliwił je i naostrzył.

- Warto byłoby kupić nowy sekator - zauważył, przesuwając zgrubiałą opuszką kciuka po ostrzu. - Ułatwiłaby sobie pani pracę.

Miał rację.

- Powiem Maisie, żeby wstąpiła do sklepu ogrodniczego, gdy będzie następnym razem w mieście.

- Potrzebna też jest benzyna do kosiarki.

- To też Maisie może kupić. Przyglądał jej się przez chwilę niezgłębionymi, czarnymi jak obsydian oczami.

- Zauważyłem, że jedna opona w pani samochodzie jest bez powietrza, a pozostałe są tak zużyte, że zupełnie nie nadają się do jazdy.

- Nie jeżdżę zbyt wiele - powiedziała, unikając jego spojrzenia.

- Babcia mówiła, że pani w ogóle nie wychodzi z domu. Twierdzi, że pani tylko czyta i w szopie za garażem robi gliniane garnki. Dlaczego?

- Bez powodu. Po prostu lubię własne towarzystwo. - Rzuciła mu zimne spojrzenie, po czym odwróciła się.

- Gdyby pan czegoś potrzebował, będę w domu.

Instynktownie uciekała w odosobnienie, po prostu uważała to za najlepszy sposób samoobrony, nic więcej. A tego człowieka nie powinno interesować, czy siedzi w domu, czy wychodzi, czy pracuje przy kole garncarskim, czy też leci na miotle na Księżyc. I nie życzyła sobie, by ktoś ją obserwował, udzielał nieproszonych rad, wtykał nos w jej życie. Zapłaci mu za dzisiejszy dzień i odeśle. Dawała sobie radę, zanim Alec Stanton się tu pojawił, i będzie tak samo, gdy odejdzie.

Jednak wraz z upływem dnia przekonywała się coraz bardziej, że Alec naprawdę umie pracować. Gdy przy starym ogrodzeniu wyciął dziesiątki sosen-samosiejek i krzaków sasafrasu, okazało się, że plot otaczający frontową część ogrodu pilnie wymaga reperacji i pomalowania. Oczyszczył stojący w kącie różany domek Russella, wyciął róże jerychońskie i pnącza. Odślonił pergolę i ławkę z drewna cyprysowego, do tej pory schowane w rozrośniętym dzikim winie. Wszystkie wyrwane rośliny układał na stosie, który w końcu podpalił. Ogień tlił się powoli, a dym unióśł się tak wysoko, że zasłonił południowe słońce.

Laurel usiłowała nie obserwować Aleka, jednak mimo najlepszych intencji okazało się, że każda czynność, którą wykonywała, nieodmiennie wiodła ją prosto do frontowych okien.

Koło dziesiątej Alec zdjął koszulę. Warstewka potu lśniła na jego opalonych plecach, a pył i suche liście opadały na zawężone mięśnie ramion. Był rozgrzany, spocony, brudny i wspaniały. A ona nienawidziła go za to, że nie mogła oderwać od niego oczu.

Ostatnią rzeczą, jaką pragnęła widzieć w mężczyznach, była uroda. Co więcej, przywykła, że w jej najbliższym otoczeniu nic nie przypominało o istnieniu mężczyzn, i było jej z tym dobrze. Od śmierci męża nawet nie myślała o miłości czy seksie. Powrót do tego wszystkiego w niczym jej nie pomoże, dlatego w żadnym wypadku nie pozwoli, by tak się stało.

- Na lunch jest pieczony kurczak na zimno i sałatka - usłyszała głos Maisie. - Chcesz, żebym to wam podała na werandzie?

Laurel odwróciła się. Na jej twarzy wykwit! rumieniec wina. Maisie Warfield, okrągłutka i siwowłosa, stała w drzwiach dzielących pokój stołowy i salon. Wytarła ręce w fartuch i patrzyła na Laurel przenikliwie, ale i z uśmiechem rozbawienia. Miała bystre niebieskie oczy, w których kącikach od częstego śmiechu

utworzyły się zmarszczki, oraz rumianą, opaloną twarz.

- Nie. Raczej nie - powiedziała Laurel. - Możesz... możesz zanieść mu kanapkę i zimny napój.

Uśmiech Maisie znikł. Silnymi rękami wsparła się pod pulchne biodra.

- Dlaczego? Masz coś przeciw Alekowi?

- Oczywiście, że nie. Po prostu wolę być sama. - Ignorując surowe spojrzenie gospoisi, odwróciła się do okna.

- On nie gryzie.

Usta Laurel wykrzywił ponury uśmiech.

- Skąd wiesz?

- Słucham?

Jeszcze raz się odwróciła, i spojrzała w oczy gospoisi.

- Wiem, że Alec nie gryzie, lecz mimo to nie będę z nim jadła. Ani robiła nic innego.

- Wolisz zamknąć się w domu, byle tylko nie dotrzymywać mu towarzystwa.

- Właśnie.

Gospoisa wzruszyła ramionami.

- Nawet nie wiesz, co tracisz. Laurel nie odpowiedziała. Za bardzo się bała, że Maisie może mieć rację.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Alec pracował jak opętany. Ciął, wrywał rośliny i kopał, nie pozwalając sobie nawet na chwilę odpoczynku. Słońce paliło niemilosiernie, pot ściekał z niego strumieniami, lecz on tylko obwiązał czoło bandaną i pracował dalej. Ponieważ koszula zaczęła kleić mu się do ciała i utrudniać ruchy, zerwał ją z siebie. Piekły go głębokie skaleczenia na ramionach, powstałe w trakcie walki z długimi na kilkanaście metrów pędami dzikiej róży.

Nie zwracał na to uwagi. Dobrze było rozruszać mięśnie i poczuć ich sprężystą moc, dzięki czemu błyskawicznie wykonywał najcięższe zadania. Cieszyło go ciepło słońca na plecach, z przyjemnością wdychał zapach ściętych gałęzi, poruszonej ziemi i dymu. Z radością patrzył, jak znika płatanina starych pędów i bylin. Dawało mu to poczucie spełnienia.

Musiał się wykazać, udowodnić, że nadaje się do tej pracy, ale było w tym coś jeszcze. Chciał pokazać Laurel Bancroft, że potrafi sprostać jej wymaganiom co najmniej tak samo dobrze, jak jakiś pętał z sąsiedztwa.

Gdy zobaczył, w co się rano ubrała, pomyślał, że będzie pracować razem z nim. Niestety, ku jego rozczarowaniu, wróciła do domu i zatrzaskała za sobą drzwi. Od tego czasu tylko co jakiś czas dostrzegał jej sylwetkę.

Sztukę ukrywania się opanowała do perfekcji. Według babci Callie od śmierci męża Laurel prawie nie wychodziła z domu i ludzie utrzymywali, że stała się trochę dziwna. Niezupełnie wariatka, lecz również nie do końca zwykła pani domu, której czas upływa głównie na zakupach, oglądaniu telewizyjnych seriali i uczęszczaniu do klubu tenisowego.

Praca nie wymagała od Aleka specjalnej koncentracji umysłu, rozmyślał więc o różnych rzeczach. Mógł z łatwością wyobrazić sobie Laurel Bancroft jako księżniczkę, na którą ktoś rzucił czar. Jej delikatna, krucha postać zdawała się to sugerować. Została zamknięta i uśpiona w starym domu przypominającym zamek, a życie toczyło się obok niej. On sam mógłby być księciem, który, przedzierając się przez ciemność i kolce, wreszcie do niej dotrze i uwolni od złych czarów.

Jezu, chyba zaczyna mu się mieszać w głowie!

Co z niego za księżę lub błędny rycerz! Nie ma zbroi, zamiast mieczem macha sekatorem, a do doskonałości też mu daleko. I w żadnym wypadku nie jest cnotliwy.

Z boku domu zatrzęszczały siatkowe drzwi. Maisie wyszła na werandę i przechyliła się przez poręcz.

- Chłopcze, czas na lunch! - zawołała. - Podam ci kanapki tu, na werandzie. Chcesz wodę czy herbatę?

Alec wyprostował się, wytarł przedramieniem pot z oczu i czoła, a potem spiorunował ją wzrokiem.

- Chłopcze?

Posłała mu serdeczny uśmiech i Alec poczuł w sercu miłe ciepło.

- Nie podoba ci się? Wołałbyś, żebym nazwała cię głupcem, bo w tym słońcu pracujesz z gołą głową? Wypijesz wodę czy herbatę?

- Wodę. - Powinien był wiedzieć, że nie zdoła onieśmielić kobiety, która, jak twierdzi, w swoim czasie zmieniała mu pieluszki. - Gdzie jest pani Bancroft?

Gospoisa spojrzała gdzieś w bok.

- Nie będzie jadła lunchu. Jeżeli chcesz się umyć, za kuchnią jest łazienka.

No cóż, Laurel Bancroft po prostu go unikała. Nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć, bo jest to znak, że ją zaniepokoił, czy też martwić, bo mogło to oznaczać, że go nie cierpi. Tak czy owak będzie musiał coś z tym zrobić.

Przynajmniej gospoia go nie lekceważyła. Przyniosła na werandę swojego kurczaka oraz sałatkę i usiadła przy zacienionym stole. Alec najpierw zaczął dobrodusznie podkpiwać z jej diety odchudzającej, dowodząc, że gdy Maisie straci swoje rozkoszne zaokrąglenia, jej mąż będzie bardzo rozczarowany i może zainteresować się innymi pulchnymi pięknościami, jednak po chwili poruszył temat, który naprawdę go intrygował.

- Powiedz mi coś o pani tego domu. Rzeczywiście jest pustelnicą, czy tylko zadziera nosa? - Odchylił się w krześle. Ścierając kciukiem rosę ze szklanki z mrożoną wodą, usiłował wyglądać na znudzonego i nieco zdegustowanego.

Maisie spojrzała na niego z ukosa.

- Po prostu nie przepada za ludźmi.

- Dlaczego?

- Jej mąż nie żyje. Wiesz o tym?

Alec tylko skinął głową i rozmasował prawe ramię, w którym zaczął go łąpać kurcz. Po chwili milczenia Maisie dodała:

- A czy również wiesz, że to ona go zabiła? Ze zdumienia usiadł wyprostowany.

- Gadasz bzdury... To znaczy... Nie wierzę w to!

- To prawda. Klnę się na Boga - odparła Maisie. - Nie twierdzą, że chciała go zabić, po prostu stanął za samochodem w chwili, gdy tyłem wyjeżdżała z garażu. Jednak niektórzy ludzie, na przykład jej teściowa Sadie Bancroft, utrzymują, że zrobiła to celowo.

- Do diabła! Chyba nikt inny w to nie uwierzył? Przecież wystarczy na nią popatrzeć. Jak mogłaby kogoś zabić?

- Są ludzie, którzy uwierzą we wszystko. Poza tym w tamtym czasie między Laurel i Howardem były jakieś nieporozumienia, no i dochodzi jeszcze wysokie ubezpieczenie na życie.

- Ale niczego jej nie udowodnili?

- Nie było nawet oficjalnego śledztwa, a Sadie Bancroft twierdzi, że stało się tak dlatego, ponieważ szeryf Tanning kiedyś spotykał się z Laurel. Trudno powiedzieć, jak było naprawdę, w każdym razie sprawa została umorzona.

- Ale nie plotki?

- Nie, ich nie da się uciszyć.

- Dlatego teraz ona się ukrywa, choć, jeśli nie zabiła męża umyślnie, nie ma ku temu powodu.

Maisie wyraźnie unikała wzroku Aleka. Zastanawiał się, dlaczego.

- Myślisz, że mi powie?

- Może. - Gospoia wstała i zaczęła zbierać naczynia. - To będzie zależało od tego, w jaki sposób ją zapytasz oraz wyjaśnisz swoje zainteresowanie tą sprawą. - Odeszła z naczyniami, pozostawiając go samego.

Alec siedział jeszcze kilka minut. Pił wodę, w której lód już się rozpuścił, i przyglądał się ogrodowi. Oceniał efekty swej dotychczasowej pracy i planował dalsze roboty. Teren był tak zarośnięty, że trudno było się zorientować, jak tu dawniej wyglądało. Kiedyś ogrodzenie broniło dostępu krowom, które w dawnych czasach chodziły swobodnie po łąkach. Furtka prowadziła na podjazd wiodący do frontowych drzwi, który potem ostro zakręcał aż do wolno stojącego garażu. Ceglany chodnik szedł od furtki do schodów, a od niego w obie strony odchodziły dróżki, które okręcały dom i wiodły na tyły posesji.

Przyglądając się ogrodowi, Alec doszedł do wniosku, że rośliny sadzono tu na chybił trafił. Jedyńm wyjątkiem była wielka kamelia, która rozrosła się w drzewo, i kapsztadzki jaśmin rosnący w rogach płotu, a także róże pnące się wzdłuż całego ogrodzenia, ponad pergolami i furtkami. Gdy przedtem obchodził teren, wszędzie widział narcyzy, irysy i lukrecję. Niegdyś ziemia na grządkach między nimi na pewno była starannie pielona i zagrabiana we wzory, ale później, chyba w latach czterdziestych lub pięćdziesiątych, w miejscach wolnych od kwiatów posiano po prostu trawę. Do tej pory pozostały tam placki gęstej darni, lecz i tak na całym obszarze dominowały zielska i kolczaste krzewy, a także drzewa-samosiejki, których starczyłoby na spory las.

A on musi się teraz z tym uporać. Wypił wodę, włożył przeпоcone rękawice i wrócił do pracy.

Maisie wyszła koło czwartej. Pomachała mu na pożegnanie ręką i odjechała swoją starą landarą. Alec w tym czasie usiłował oczyścić z wysokich głógów miejsce, w którym znalazł mnóstwo bulw. Gdy upłynęło już sporo czasu, uznał, że Laurel nie będzie mogła posadzać go, iż czekał tylko na wyjście gospoisi, by wedrzeć się do domu. Włożył koszulę, podszedł do drzwi i zdecydowanym ruchem przekręcił wyłącznik staroświeckiego mosiężnego dzwonka.

Ostry, dysonansowy dźwięk wypełnił cały dom. Gdzieś na tyłach znający swoje obowiązki wilczur natychmiast zaczął szczekać. Alec już wcześniej dostrzegł Sticksa zamkniętego na werandzie, ale tylko popatrzyli na siebie przez siatkowe drzwi. Teraz, opierając się o futrynę, zastanawiał się, kogo Laurel chroni: jego przed psem czy psa przed nim.

Laurel nie miała ochoty otwierać drzwi. Nagle poczuła się zagrożona we własnym i dotąd tak bezpiecznym domu. Żałowała, że wspomniała Maisie o swoim zamiarze doprowadzenia ogrodu do porządku. Gdyby tego nie zrobiła, Alec Stanton nigdy by się tu nie pojawił. Przecież mogła zostawić wszystko tak, jak to trwało od niemal pięciu już lat,

czyli żyć w wygodnej samotności, nie utrzymując praktycznie żadnego kontaktu z zewnętrznym światem. Jedynymi ludźmi, z którymi się widywała przez ten cały okres, były jej dorosłe dzieci, gosposia i człowiek, który przywoził furgonetką sprawunki zamówione w sklepach wysyłkowych.

Katalogi stały się dla niej głównym łącznikiem ze światem i właśnie katalog przepięknych teksańskich róż natchnął ją myślą, by znów zająć się ogrodem. Nie przewidziała jednak, do czego to może doprowadzić.

Przepelniona dziwną mieszaniną lęku i irytacji, po trzecim dzwonku gwałtownie otworzyła drzwi.

- Słucham? - W jej ostrym głosie nie było najmniejszej zachęty, by natręt wszedł do środka.

- Madame, przykro mi, że panią niepokoję - powiedział oparty o futrynę drzwi Alec - ale muszę panią spytać o kilka rzeczy.

Doskonale wiedziała, że wcale mu nie jest przykro, nie rozumiała natomiast, dlaczego zjawił się dopiero teraz, gdy gosposia już wyszła. Najchętniej zatrasnęłaby mu drzwi przed nosem, obawiała się jednak, że mógłby jej na to nie pozwolić.

- O co chodzi? - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Chciałbym, żeby mi pani pokazała, gdzie ma być ta fontanna. Powinienem też wiedzieć, jak mam rozmieścić grządki róż, o których pani wspominała. Poza tym nie jestem do końca pewny, co mam zostawić, a co wyciąć.

Ze zmarszczonym czołem Laurel spojrzała na ogród.

- Przecież nie doszedł pan jeszcze do tego etapu.

Nadal jeszcze wrywa pan niepotrzebne rośliny i oczyszcza miejsca pod róże.

Uśmiechnął się leniwie, a ona poczuła się już całkiem nieswojo.

- Zawsze lepiej mieć jakiś plan. Czy mogłaby pani wyjść na chwilę i na miejscu pokazać mi, co mam robić?

Jak mogła odmówić tak uprzejmej prośbie? Poza tym spodobało jej się, że po raz pierwszy od lat widzi całą drogę aż do furtki, ponieważ Alec oczyścił chodnik i pobocze z zielska i krzewów. Póki wszystko było zarośnięte i płatanina krzaków przesłaniała widok, miała wrażenie, że do furtki jest bardzo daleko. Teraz okazało się, że to tylko kilka metrów.

Zanim zdążyła pomyśleć, już przekroczyła próg i szła ceglana ścieżką. Alec przez cały czas mówił, pokazywał więdzące liście żonkili, pytał, czy chce zostawić żółty jaśmin, który torował sobie drogę poprzez wielką spireę obok bocznej furtki, i o dziesiątki innych rzeczy.

Odpowiadała, ale była boleśnie świadoma, że znajduje się na dworze, pali ją popołudniowe słońce, a przy tym stała się nagle zależna od woli innego człowieka, który na dodatek jest obcym mężczyzną. Odczuwała niejasny lęk, pomieszany z narastającym podnieceniem. Niemal widziała ogród taki, jak go sobie wyobrażała, wyłaniający się z chaosu, do którego powstania sama dopuściła. W ciągu jednego dnia Alec zdołał przywrócić mu pierwotną formę, tak że mogła teraz przypomnieć sobie, jak było tu niegdyś, oraz zdecydować, jak ma być w przyszłości.

Róże. Marzyła o różach. Nie o tych wypranych z wszelkiej naturalności, spreparowanych przez profesjonalnych hodowców w niemal doskonale odmiany, lecz o odwiecznych, starych różach Burbonów, różach chińskich, herbacianych, galijskich. Pogardzane i zapomniane, mimo to przetrwały na cmentarzach i przy ruinach opuszczonych domów, zdziczałe i omijane ze wzgardą, a jednak najpiękniejsze. Wczesną wiosną, a nawet w palącym upale lata i jesieni, rozwijały pąki w cudowne, delikatne kwiaty i nasycaly powietrze słodkim zapachem, jakby tchnieniem swojej duszy.

Stojąc pośrodku frontowego ogrodu, Laurel powiedziała:

- Chciałabym mieć fontannę tutaj. Powinna ją otaczać ścieżka, która będzie się rozwidlać w obie strony i prowadzić aż do schodów. Dobrze byłoby obsadzić ją bukszpanem, tak jak we francuskich ogrodach, a także różnymi bylinami, na przykład goździkami z Bath, niebieską szalwią i stokrotkami Shasta. Poza tym tylko róże, mnóstwo róż.

Spojrzała na Aleka, przestraszona, że uzna ją za osobę egzaltowaną. Patrzył na nią z namysłem w czarnych oczach i z lekkim uśmiechem. Przez długą chwilę milczał, potem, jakby nagle się ocknął, szybko skinął

głową.

- Mogę to zrobić.

- I myśli pan, że tak będzie dobrze?

- Moim zdaniem to doskonały pomysł. Wydawało się, że jest szczerzy, ale Laurel nie była w stanie mu uwierzyć.

- Mówi pan tak tylko dlatego, że taka praca trwałaby całe tygodnie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Absolutnie nie. Po prostu czuję ulgę. Bałem się, że zamierzała pani posadzić łatwe do utrzymania jałowce, czyściutki i podsypane ściółką.

Skrzywiła się.

- To byłoby za bardzo w stylu Wschodniego Wybrzeża.

- Właśnie - przyznał.

Przez króciutką chwilę poczuła się w jego obecności tak dobrze, jakby był bliską jej osobą. Choć w rzeczywistości nic ich nie łączyło, zdawało się jej, że nadają na tej samej fali.

Może to znak, że jednak mogą się dogadać? Oczywiście tylko wtedy, jeżeli ich kontakty nie wykrócą poza zwykłe stosunki pracodawczyni-pracownik. Zależało jej na tym ogromnie, bowiem posiadanie prawdziwego ogrodu było dla niej sprawą niezwyklej wagi. Dzikie chaszcze powodowały, że coraz niechętniej opuszczała swój dom, co groziło krańcową izolacją od zewnętrznego, świata. Jedyne wymarzony ogród mógł ją przed tym uratować.

- Chciałbym pani coś pokazać - powiedział Alec, przerywając tok jej myśli. Odwrócił się i poprowadził ją na tyły domu, gdzie dawniej była wolno stojąca kuchnia. Przeniesiono ją do domu dopiero tuż przed drugą wojną światową. Widząc, dokąd ją prowadzi, Laurel zwolniła kroku, a potem zatrzymała się.

Odsunął wyrwane wcześniej gałęzie i zielska, i odsłonił ceglana cembrowinę, przykrytą wielką betonową pokrywą, którą uniósł nieco do góry, a następnie zsunął na bok.

- Nie! - krzyknęła Laurel, cofając się szybko.

Alec wyprostował się i wsparł pięściami pod biodra.

- Wie pani, co to jest?

- Oczywiście, że wiem. To cysterna - odparła z rozdrażnieniem. - Ale mój mąż nigdy... To znaczy zawsze mówił, że jest bardzo niebezpieczna. Nikomu nie pozwalał się do niej zbliżyć.

Alec zmarszczył czoło.

- To po prostu dziura w ziemi, otoczona ceglana cembrowina. Nic więcej.

- Howard zawsze się bał, że ktoś, a zwłaszcza któreś z dzieci, może tu wpaść.

- To dlaczego jej nie zasypał? No cóż, nie zrobił tego, a teraz, gdyby tylko pani wyraziła zgodę, można by tu zrobić ozdobną sadzawkę. Trzeba by ją uszczelnić, dać trochę zaprawy między cegły. To nie wymagałoby wielkiej pracy.

- Byłaby bardzo głęboka - zaprotestowała.

- Baseny też są głębokie - powiedział, wzruszając ramionami - a przecież ludzie budują je przy swoich domach. Poza tym tutaj nie ma dzieci, które mogłyby wpaść do wody.

Laurel potrząsnęła głową, próbując opanować dreszcz.

- Wolę nie mieć sadzawki.

- Jak pani sobie życzy. Miałem po prostu taki pomysł.

Był wyraźnie rozczarowany. Entuzjazm zniknął z jego twarzy, a ruchy stały się sztywne, gdy przesunął na miejsce ciężką betonową pokrywą.

- Widział pan strumień? - spytała niespodziewanie.

- Ten, który dociera do drogi i płynie dalej?

Skinęła głową i poprowadziła go do rzeczki, która płynęła za Ivywild. Woda lśniła między wysokimi bukami, wawrzynami i kępami paproci. Nagle uświadomiła sobie, co właściwie robi. Wyszła za ogrodzenie! Z każdym krokiem oddala się od swojego bezpiecznego azylu. Kiedy ostatnio zdarzyło się, że wyszła poza ogród ot tak, bez namysłu?

Przeszył ją dreszcz. Poczula się naga, jakby opuściła ochronny kokon. Zaczęła w niej narastać panika, ale zwalczyła ją całą siłą woli. Zmusiła się do spokojnego oddychania.

Nic jej się nie stanie. Z całą pewnością wszystko będzie dobrze. Szerokie ramiona i silne ciało Aleka, który szedł obok niej, gwarantowały bezpieczeństwo. Ten mężczyzna jak ściana oddzielał ją od każdego potencjalnego zagrożenia. Czula to już w nocy, a teraz owo wrażenie jeszcze się pogłębiło.

Oczywiście tak naprawdę nic tu Laurel nie groziło. Niebezpieczeństwo tkwiło tylko w jej głowie, a ona musi wreszcie zwalczyć ten strach. Wiedziała o tym i była zdecydowana powtarzać to sobie tak długo, aż w końcu sama uwierzy w swoje słowa. Zresztą nie będzie długo przebywać poza domem, tylko pokaże

Alekowi Stantonowi strumyk i natychmiast wróci.

Gdy podążała przodem, schodząc po zboczu porośniętym krzakami i drzewami, w niezwykle sposób odczuwała życzliwą i pełną bezpiecznego ciepła obecność Aleka, który z naturalnym indiańskim wdziękiem poruszał się cicho jak leśny duch. W mrocznym cieniu drzew wydawało jej się, że jego spalona słońcem skóra ma miedziany odcień.

Nadal brakowało im naturalnej swobody, ale nie było już tego napięcia co przedtem. Laurel nie pamiętała, kiedy ostatnio tak intensywnie odczuwała bliskość jakiegokolwiek człowieka. Co dziwniejsze, był nim mężczyzna, a przecież od tak dawna, poza nastoletnim synem, nie tolerowała wokół siebie przedstawicieli tej płci.

Alekowi spodobał się strumień. Stał po kolana w rosnących na brzegu paprociach, ściągnięte w wilgotny kucyk włosy opadały mu na plecy, a poruszane wietrzykiem liście drzew rzucały na przemian szare cienie i złote światło na jego brązową skórę. Z uśmiechem odwrócił się do Laurel, a jej serce z wrażenia niemal przestało bić.

- To stwarza wielkie możliwości - powiedział z namysłem swoim głębokim głosem.

- Wiem - odparła i znów zabrakło jej tchu. Nagle owe możliwości wywołały w niej większy lęk niż to wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich pięciu długich lat.

Przechylił głowę na ramię. Czerń jego oczu przywodziła na myśl roztopioną słodką czekoladę.

- Czy to znaczy, że mam pracę?

W ciągu jednego dnia zrobił tak wiele, podoba więc na pewno temu, by oczyścić Ivywild z całego zielska i urządzić dla niej ogród różany. Gdyby nie zdobyła się na to, by wyjść na dwór i ocenić postęp robót, gdyby nie spostrzegła, jak wiele można się spodziewać po Aleku, być może jej decyzja byłaby inna. Jednak teraz mogła odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

- Tak... Myślę, że tak.

Jego twarz rozjaśniła się nagłą radością.

- Dobrze - powiedział miękko. - A nawet wspaniale.

Laurel wcale nie była o tym do końca przekonana. Jej pewność jeszcze bardziej zmaląa, gdy nadeszła noc i Alec z rykiem silnika odjechał na swoim harleyu. Przyzwyczyła się do tego, że jest sama, a jednak teraz po raz pierwszy od wielu lat czuła się naprawdę samotna. Wieczór był ciepły, ale ona drżała. Otoczyła się ramionami i rozmyślała, jak by to mogło być, gdyby w tej chwili obejmował ją jakiś mężczyzna... Od tak dawna już tego nie doznała.

Howard nie był zbyt wrażliwy na emocjonalne niuanse. Gdy w potrzebie czułości instynktownie przytulała się do niego, traktował to jako jednoznaczny zachętę i szybko dochodziło do zbliżenia. Można więc powiedzieć, że w jej małżeństwie pożycie seksualne nie stanowiło żadnego problemu. Nie było oczywiście jakichś szczególnych wzlotów, ale również i upadków, ot, systematyczne, rutynowe zaspokajanie potrzeb. Rozmawiali ze sobą najczęściej o sprawach praktycznych, narzucanych przez codzienne życie, o konieczności wezwania hydraulika, postępach dzieci w szkole, o tym, co przygotować na kolację. Czasami wychodzili do restauracji albo do znajomych, a potem wracali do domu w milczeniu. Zdarzało się, że Howard brał ją za rękę, jednak nie potrafił nikogo obdarzyć serdeczną pieśczęcią, nie był zdolny do przeżycia owych ulotnych chwil, w których niby nic się nie dzieje, a w istocie ludzkie dusze łączą się w tajemnym uścisku i poznają wzajemnie.

Laurel otrząsnęła się. Jak można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie doznało? To po prostu głupota, żalodne marzenia zgorzkniałej kobiety.

Była samotna i na tym polegał jej kłopot. Czekala ją pusta, nudna i ponura noc. W telewizji nie emitowano niczego ciekawego, a wszystkie posiadane książki już dawno przeczytała. Nie była śpiąca, nawet nie była zmęczona.

Wciąż obsesyjnie myślała o Aleku Stantonie. W jaki sposób na nią patrzył, jak się uśmiechał, jak wymawiał poszczególne słowa. Wspominała każdy jego gest, każde drgnienie twarzy. No i te jego oczy, głęboko osadzone pod gęstymi brwiami, oraz wysoko wysklepione kości policzkowe, które nadawały mu drapieżny wygląd starożytnego wojownika. Był silny, zręczny i sprężysty. Gdy pracował, co chwila napinały się jego potężne mięśnie, a wtedy wytatuowany smok ożywał i nabierał mocy.

Co się z nią dzieje? Czyżby do reszty zgłupiała? Fantazjuje o wynajętym robotniku, w dodatku młodszym od niej co najmniej o dziesięć lat... Zapatrzyła się w tego faceta, jakby była naiwną panienką, która dopiero co przyjechała do college'u i niczego jeszcze nie dowiedziała się o sobie i życiu. Jak mogła w tak niemądry sposób poddać się głupiemu, zupełnie niestosownemu, wręcz skandalicznemu zauroczeniu? To po prostu śmieszne, że takie figle może płać nam umysł. Alec i ona w miłosnym uścisku? Żenujące i niesmaczne.

Ona jest starzejącą się i zdziwaczałą kobietą, skazaną na samotną wegetację, a on młodym, wspaniałym mężczyzną, potężnym czarnym orłem, który tylko na chwilę wylądował w jej ogrodzie. Wolno jej go

podziwiać, ale marzyć o nim? Fantazjować?

Powinna spojrzeć na to wszystko z dystansu i zobaczyć cały komizm sytuacji. Niestety, nie potrafiła tego uczynić.

Pragnie się kochać, znaleźć się w krainie szalonej miłości. No cóż, poznała atrakcyjnego faceta i wyposzczony organizm upomniał się o swoje prawa. Nie ma się czemu dziwić. Tyle lat żyła jak pustelnica. I niech tak zostanie. Bo niby jakie ma szansę, by urzeczywistnić swoje marzenie?

Alec Stanton szukał pracy i znalazł ją, a po wykonanej robocie, nie oglądając się za siebie, po prostu odejdzie. I wszystko będzie jak dawniej, tyle tylko, że jako pamiątka po przeżytym w wyobraźni romansie pozostanie jej ogród różany.

I tym musi się zadowolić.

Popełniła błąd, wychodząc na dwór. Zlekceważyła pierwsze sygnały o pojawiającym się zagrożeniu i teraz za to płaci cierpieniem, bólem niespełnienia. Musi się bronić, póki jeszcze potrafi, bo inaczej oszaleje. Narzuci sobie twardą dyscyplinę, zdusi w zarodku pożar, który zaczynają ogarniać. Dopóki Alec nie skończy pracy w ogrodzie, ona już nie opuści domu. Dzięki temu nie pozwoli się zranić.

Jednak instynkt podpowiadał jej, że niezależnie od tego, co zrobi, i tak przegra. Nie zdoła się obronić przed fatalnym przeznaczeniem i czeka ją ból.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Laurel Bancroft obserwowała go przez okno. Alec już kilka razy przyłapał ją na tym.

Nie podobało mu się to i złościło, bo czuł się przez nią jak przestępca, od którego należy trzymać się jak najdalej. Albo, co gorsza, uważała, że nie był na tyle dobry, by zasługiwać na jej towarzystwo? Do diabła, wie dobrze, ile jest wart i ma przecież swoją godność! Cicho zaklął. Zachowywała się tak już od trzech dni. Miał tego dość!

Nie obchodziło go, że jest wdową, ani to, że zabiła męża i ma uzasadnione powody, aby kryć się przed ludźmi. Nie obchodziło go nawet to, że nie widywała nikogo prócz Maisie. Chciał, żeby wyszła z domu. Chciał, żeby z nim rozmawiała.

Jednak złość, jaka w nim narastała, gdy wyrwał, kopał i wyrąbywał zielsko, była dziwna. Już od wielu lat nie przejmował się tym, co ludzie o nim myślą i jak się wobec niego zachowują. Laurel Bancroft otworzyła jednak stare rany. Przez nią znów stał się wrażliwy jak nastolatek, a to tylko zaostrzało pretensje, jakie miał wobec niej.

Nie wiedział, dlaczego właśnie ona wywołuje w nim takie uczucia. Nie chodziło o to, że jest atrakcyjną kobietą, bo takich w Kalifornii żyją tysiące, a on już się nimi nasycił. Ani też o to, że, jak zgodnie z prawdą mawiał jego brat, miał słabość do kobiet, które popadły w kłopoty, bo swoje na tym polu też już przeżył i nie szukał nowych przygód.

Czym się więc kierował w swoich emocjach w stosunku do tej dziwnej, tajemniczej kobiety?

Znów ją zobaczył, tym razem w oknie przy końcu domu. Stała trochę z tyłu, ledwo uchyliła zasłonę, ale nauczył się już rozpoznawać jej cień.

Miał naprawdę tego dość.

Rzucił łopatę, zdjął rękawice i wpakował je do tylnej kieszeni. Nie pozwoli się dłużej szpiegować. Albo Laurel wyjdzie do niego, albo on wejdzie do jej domu.

Gdy zapukał, drzwi otworzyła Maisie. Widząc jego ponurą minę, uniosła pytająco siwe brwi.

- Coś się stało? - spytała, wycierając ręce o fartuch.

Alec skinął głową.

- Muszę porozmawiać z panią Bancroft.

- Jest zajęta - poinformowała go gospośnią, tarasując sobą wejście. - Czego potrzebujesz?

- Odpowiedzi. Możesz ją zawołać?

Maisie przyjrzała mu się. W jej wyblakłych oczach zapaliła się iskierka zrozumienia dla ludzkich słabości. W końcu skinęła głową.

- Zaczekaj tu.

Patrząc, jak gospośnią odchodzi, Alec wsparł się pod boki. Zaczekaj tu, powiedziała. Zaczekaj jak grzeczny chłopiec. Albo jak najęty robotnik. Zaciśnął usta.

Po kilku sekundach usłyszał szmer głosów, potem nastąpiła cisza, zakłócana jedynie szuraniem butów Maisie.

- Powiedziała, że mam cię spytać, czego chcesz - odezwała się, nie podchodząc bliżej.

- Chcę z nią porozmawiać - odparł cicho, pełnym napięcia głosem.

- Ale ona nie chce rozmawiać z tobą, więc daj sobie spokój.

- A jeśli nie, to co zrobisz? Powstrzymasz mnie? A może poskarżysz się na mnie babci Callie?
- Alec ruszył w głąb długiego korytarza.
- Doprowadzisz do tego, że pani Bancroft cię zwolni - ostrzegła Maisie, ale ustąpiła z drogi.
- No i dobrze. Niech mnie zwolni.
- Myślałam, że zależy ci na tej pracy.
- Gdzie ona jest? - Alec szedł naprzód, więc Maisie odwróciła się i poczłapała za nim.
- W swoim pokoju - odparła bez tchu. - Nie możesz tam wejść.
- Sądzę, że jednak mogę - oświadczył, podchodząc do drzwi, na które Maisie zerknęła nerwowo.
- Pamiętaj, że robisz to na własną odpowiedzialność - powiedziała tonem, w którym brzmiało zarówno ostrzeżenie, jak i niechętna aproba dla jego postępowania.

Nie zastanawiał się nad tym dłużej niż sekundę, a potem zdecydowanym ruchem przekręcił gałkę drzwi sypialni.

Wdowa Bancroft siedziała na szeszlony, pod plecami miała stos poduszek, nogi podwinęła pod siebie, w rękę trzymała książkę. Gdy stanął na progu, jej oczy się rozszerzyły, a na twarz wypłynął leciutki rumieniec. Kompletnie zaskoczona, rozchyliła usta.

Sypialnia jest taka sama jak pani domu, pomyślał Alec. Kolory kremowe, błękit i koralowy róż, solidne wiktoriańskie meble i delikatne, zmysłowe materiały obić i zasłon. To był azyl Laurel, a on go naruszył. Co więcej, pojawił się zniemacka, zanim mogła wzniesić obronne mury. Była boso i prawie na pewno bez stanika pod zbyt obszerną, spraną koszulką. Oprócz niej miała na sobie tylko białe szorty. Włosy, przerzucone przez lewe ramię, opadały na pierś złocistą falą, na twarzy nie miała nawet śladu makijażu, by przyciemnić jasną cerę i podkreślić miękkie koralowe usta. Była najbardziej nęcącą istotą, jaką zdarzyło mu się widzieć.

W mgnieniu oka odzyskała pewność siebie. Odłożyła książkę i wstała. Gdy się odezwała, w jej głosie brzmiała irytacja.

- O co chodzi? Ma pan jakieś trudności?
- Coś w tym rodzaju. Chcę się dowiedzieć, dlaczego pani się mnie boi. - Chciał zacząć tę rozmowę inaczej, ale niech i tak będzie.

- Nie boję się - zaprzeczyła natychmiast.
- Nie szuka mnie pani. A może ma pani jakieś inne powody, by się tu chować?

Patrzyła na niego sekundę za długo.

- Kto mówi, że się chowam? To, że nie odczuwam potrzeby nadzorowania pana na każdym kroku...
- Świadomie pozwala pani, bym robił wszystko według własnego gustu. Kiedy skończę, nie będzie to ogród Laurel Bancroft, lecz Aleka Stantona. Wzruszyła ramionami.

- Do czasu. Kiedy pan odejdzie, nadam mu mój charakter i wtedy będzie należał już tylko do mnie.
- Nie ma takiej potrzeby, bo przecież mogę go urządzić tak, by od razu odpowiadał pani życzeniom. Nie musi pani nawet ruszać palcem, chyba tylko po to, by wskazać mi, czego pani naprawdę chce. Co mam usunąć, a co zostawić, co przyciąć, a co ma rosnąć w sposób naturalny. Wyrwałem już kolczaste krzewy, dzikie wino i to wszystko, co zdecydowanie tu nie pasowało, ale teraz trzeba podjąć jakieś decyzje.

- Więc niech pan je podejmuje - wycodziła Laurel przez zaciśnięte zęby. - Zresztą i tak zna się pan na tym lepiej ode mnie.

- Nie wiem, co pani lubi i czego naprawdę chce.
- Powiedział to zupełnie zwyczajnie, lecz w myślach, wbrew jego woli, słowa te nabrały zupełnie innego znaczenia. Gdy to do niego dotarło, poczerwieniał.

- Niech pan robi to wszystko, co sam uzna za stosowne.
- Natychmiast musiał skarcić się w duchu. Przecież ona mówiła tylko o kwiatach i krzakach.
- A jeżeli wszystko wyrwę i zostawię gołą ziemię...

- Nie może pan!
- Mogę - warknął. - Tak byłoby najłatwiej.
- Przecież tam są kamelie, które rosną tu od osiemdziesięciu lat, i jedno wielkie drzewo oliwne...
- Zamilkła, spojrzęła na niego zmrużonymi oczami.
- Ale pan o tym wie.
- Wiem, co rośnie w ogrodzie - przyznał. - Nie wiem tylko, na czym pani zależy.
- Mogę panu powiedzieć...
- Proszę mi pokazać. - Bez zbędnych ceregieli ostro wszedł jej w słowo.

Jej twarz nabrała srogiego wyrazu.

- Nie wydaję mi się...
- Chyba że nie chodzi tu o mnie - powiedział miękko. - Jeżeli pani się mnie nie boi, to znaczy, że po prostu nie lubi pani przebywać z ludźmi.

W jej niebieskich oczach zobaczył zaskoczenie i konsternację.

- Tak nie jest.

- Więc o co chodzi?

- O nic.

- Nie wierzę. Jej rzęsy zdrzęzły.

- W każdym razie na pewno nie chodzi o pana. Nie rozumiem, czemu pan się tak tym przejmuje.

- Proszę to nazwać uporem. Lubię wiedzieć, na czym stoję.

- Teraz pan stoi w miejscu, w którym nie ma pan prawa przebywać. W mojej sypialni. - Rzuciła mu pełne irytacji spojrzenie i odwróciła się tyłem.

- Proszę mi to uczciwie wyjaśnić i zaraz sobie pójdę - zażądał.

Zacisnęła usta, skrzyżowała ręce na piersi i westchnęła.

- Powtarzam, nie chodzi mi o pana. Czy to jasne? Jeżeli już koniecznie musi pan wiedzieć, chodzi o mnie. Nie umiem utrzymywać przyjaznych stosunków z ludźmi.

- Mój Boże, przecież to tylko kontakty pomiędzy szefową a pracownikiem, nic więcej. Po prostu niech pani ze mną rozmawia. Nie jestem skomplikowany, nie gryzę, ale nienawidzę, gdy się mnie ignoruje.

- Nie ignoruję pana!

- Może więc jeszcze się pani do mnie nie przyzwyczaiła?

- Nie, wcale nie o to chodzi! Nie wiem, co powiedzieć.

Uśmiechnął się i pewnym krokiem podszedł do drzwi, które przytrzymał gestem zapraszającym do wyjścia.

- A więc nie ma pani żadnej wymówki, bo ja mogę mówić za nas oboje, a pani towarzystwo mi nie przeszkadza.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie, w którym jednak kryła się też rezygnacja. No cóż, udało mu się! Poczuli się bezbronna, nie umiała bowiem w bezwzględny sposób odpowiadać na najsilniejszą choćby prowokację. Brakowało jej ostrych, zabójczych słów, nie umiała gwałtownie odepchnąć czy zranić. Czyżby na to liczył? Chyba tak, pomyślała. Potrafiła się tylko ukryć, zniknąć, ale teraz nie było to możliwe. Czyżby i to sobie wykalkulował?

Tak było w istocie, przewidział to wszystko i dlatego zachowywał się z taką pewnością siebie. Mówiło to wiele o nim jako o człowieku, ale jeszcze więcej o tych wszystkich idiotach, którzy wierzyli, że ta kobieta mogła popełnić morderstwo. Przyglądał się jej, gdy wkładała sandały, a potem szła przed nim mrocznym korytarzem.

Tak, zwyciężył. Znowu udało mu się wyciągnąć Laurel Bancroft z jej domu. Tylko co dalej?

To było dobre pytanie, które zresztą nurtowało go przez cały następny tydzień. Alec miał poważne obawy, czy nie zgrzeszył arogancją, zakładając, że lepiej od swej pracodawczyni wie, co dla niej jest dobre, nie zamierzał jednak się wycofywać z podjętych działań. Rozumiał bowiem jedno: może osiągnąć sukces tylko wtedy, jeśli będzie postępować stanowczo, a nawet wyzywająco.

Przynajmniej zmusił Laurel, by codziennie rano wychodziła do ogrodu. Kosztowało go to mnóstwo zabiegów i energii, nie wspominając już o setkach głupich pytań, na które bez trudu sam mógł sobie odpowiedzieć. Wreszcie wczoraj, a był to już szósty dzień eksperymentu, zatrzymał ją na dworze wystarczająco długo, by jej prosty nosk zaróżowił się od słońca, a ręce mocno się zabrudziły. Dlatego dziś rano wyszła z domu zaopatrzona w rękawice, a na głowie miała słomkowy kapelusz.

Praca z nią była zarówno bardzo przyjemna, jak i ogromnie kłopotliwa. Laurel chciała ocalić wszystkie rośliny, których nazwy знаła, co zmieniłoby ogród w tandetną płataninę zieleni. Pędziła też na ratunek żółwiom, żabom, jaszczurkom, a nawet węzom, gdy znalazły się niebezpiecznie blisko jego siekiery lub łopaty. Dziś rano przez całą godzinę uganiała się po ścieżkach za młodym królikiem, aż wreszcie udało jej się wypędzić go poza ogrodzenie.

Cierpliwość Aleka była jednak wynagradzana, mógł bowiem do woli przyglądać się Laurel, rozmawiać z nią, czuć jej zapach. Wydawała swoje polecenia zawsze w formie uprzejmej prośby, a czasami, gdy najmniej się tego spodziewał, nagradzała uśmiechem jego żart albo komentarz.

Było w niej coś takiego, co powodowało, że Alec, gdyby zaszła taka potrzeba, oddałby za nią życie, natomiast teraz starał się uczynić wszystko, by zrezygnować z dobrowolnej izolacji od świata i zaczęła normalnie żyć. Nie do końca rozumiał, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało. Może chciał odwrócić myśli od własnych kłopotów?

Jedli lunch na werandzie. Domowe hamburgery Maisie stawały mu w gardle, chociaż były bardzo smaczne. Zapierało mu dech, gdy spoglądał na siedzącą obok niego Laurel. Była rozgrzana i zmęczona, jej podkoszulek przemókł od potu i przylegał do ciała, długi warkocz rozluźnił się, a do rzęs przyczepił się jakiś malutki paproch. Alec pomyślał, że nigdy w życiu nie widział niczego cudowniejszego.

- Nie ruszaj się - powiedział. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka, kciukiem łagodnie zamknął jej powiekę i dwoma palcami zdjął z rzęs okruszek.

Gdy cofnął rękę, najpierw zamrużyła powiekami, a potem uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

To jedno słowo wystarczyło, by poczuł w sobie niesamowitą wprost energię. Był gotów do najniezwyklejszych bohaterских czynów lub też do najbardziej szalonego seksu z tą kobietą... za co natychmiast wyleciałby z roboty, zanim zdążyłby cokolwiek na serio zacząć.

Patrzyła na niego z niemym pytaniem w oczach.

Zdmuchnął okruszek z palców, wziął do ręki szklanke z wodą i wypił spory łyk.

- Mało jadasz - powiedziała Laurel z delikatną naganą. - A przynajmniej za mało jak na tak ciężko pracującego człowieka.

- Tyle mi wystarczy - odparł krótko. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, była jej macierzyńska troska.

Zmarszczyła lekko czoło.

- Byłam tylko ciekawa, czy ograniczasz jedzenie z jakiegoś konkretnego powodu. Może stosujesz którąś z tych kalifornijskich zdrowotnych diet?

- Coś w tym rodzaju - przyznał. - Pewien stary Chińczyk, z którym pracowałem, uważał, że przejadanie się jest niezdrowe. Tłuste szczury umierają młodo, mawiał. Wprawdzie wyśmiewał amerykańskie diety, ale sam jadał jakieś okropne potrawy z ryżu i jarzyn. Gdy ostatnio się z nim widziałem, miał już osiemdziesiąt sześć lat, ale wcale nie było tego po nim widać.

- Pracowałeś z nim w ogrodzie?

- Pan Wu wprawdzie był ogrodnikiem, ale przekazał mi nie tylko wiedzę o roślinach.

Laurel pobłażliwie się uśmiechnęła.

- Mądrości czcigodnych przodków?

- Oglądałaś za dużo tych starych filmów z Charlie Chanem - wytknął jej z uśmiechem. - Pan Wu był ekspertem w medytacji zeń i sztukach walki, ale nigdy nie słyszałem, by cytował Konfucjusza.

- Sztuki walki? Tego też cię uczył?

Alec wzruszył ramionami.

- Traktował to jako gimnastykę. Pan Wu był w tym doskonały.

- Wydawałoby się, że praca w ogrodzie sama w sobie może być uznawana za ćwiczenie ruchowe. - Lauren powiedziała to oschłym tonem, rozcierając sobie kark.

- Ja też tak myślałem. - Uśmiechnął się, a jego wzrok powędrował na miękkie wzniesienie jej piersi, które napięły się, gdy kręciła głową i poruszała ramionami, by rozluźnić mięśnie. - Ale pan Wu potrafił wpływać na poglądy innych ludzi.

- Przypuszczam, że tęsknisz za Kalifornią. Tutaj jest zupełnie inaczej.

- Tęskniłem - odparł, patrząc na nią - ale przestałem.

Wyraźnie unikała jego spojrzenia. Usiadła wygodniej i na opuszcze palca podniosła z talerza ziarenko sezamu.

- Ale chyba zamierzasz tam wrócić?

Tak było jeszcze do niedawna, lecz teraz nie był tego już taki pewny. Gdy Laurel kładła sobie ziarenko sezamu na języku, wydawało mu się, że cały płonie.

- Na razie tu zostanę.

- Bo twój brat jest zbyt chory, by podróżować? Czy też nie zamierza stąd wyjeżdżać?

Nie spytała go, czego sam by chciał, co sugerowało, że być może rozumiała intencje, jakimi się kierował. A tego się nie spodziewał. Najpewniej jednak przypadkowo w taki właśnie sposób skonstruowała swoją wypowiedź...

- Gregory jest szczęśliwszy, od kiedy tu przybył. I nie wydaje mi się, by... kiedyś stąd wyjechał.

- Więc musi tu być coś, co mu się podoba.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak, ale nie to miałem na myśli.

- Och. - Opuściła głowę. - Chyba nie mówisz...

Skinął powoli głową i odwrócił się, by popatrzeć na sójkę, która właśnie usiadła na sztachecie płotu.

- On ma przed sobą niewiele życia - stwierdził cicho,

W ciszy, która nagle zapadła, wołanie sójki wydało się bardzo głośne. Po chwili Laurel spytała miękko:

- Wie o tym?

Alec tylko skinął głową, bo bał się, że głos mu się załamię.

- Ile ma lat?

- W październiku skończy trzydzieści pięć. Jest o cztery lata starszy ode mnie. - Powiedział prawdę o

swoim wieku, mimo że mogło mu to zaszkodzić. Jej wahanie przed zadaniem pytania dowodziło, jak bardzo zależało jej na tej informacji.

- Czy on... pogodził się z tym?

- Nie - powiedział Alec twardo. - Nie sędzę. - W rzeczywistości Gregory bardzo rozpaczał, kto jednak mógłby mieć mu to za złe?

- Ma szczęście, że jesteś przy nim.

Nie spodziewał się po Laurel takich słów.

- On jest innego zdania. - Roześmiał się.

- Twoja babcia mówiła Maisie, że siedzisz przy nim całe noce.

- Ktoś musi dopilnować, żeby wziął lekarstwa. Babcia zajmuje się nim przez cały dzień i potrzebuje odpoczynku. - Był zdumiony, że Laurel rozmawiała o nim z Maisie.

Pod jego spojrzeniem lekko się zaczerwieniła.

- Pierwszego dnia zobaczyłam, że po lunchu usnąłeś. Maisie wyjaśniła mi, że z powodu nocnych dyżurów przy bracie jesteś zmęczony. Potem już nie sypiałeś, więc chciałam ci powiedzieć, że nie mam nic przeciwko temu, jeżeli... odczuwasz taką potrzebę.

To, czego w tej chwili potrzebował, nie miało nic wspólnego z wypoczynkiem.

- Dziękuję, że o tym pomyślałaś - powiedział ostrożnie - ale teraz ucinam sobie drzemkę wieczorem, gdy babcia szykuje kolację. To mi wystarczy.

- Jak uważasz. - Laurel wzruszyła ramionami.

- Sugerujesz, że brakuje mi należytej formy do pracy w ogrodzie? - spytał, usiłując zmienić temat i wprowadzić lżejszy nastrój.

Alec dla ochłody nie zapiął koszuli i gdy spojrzała na jego nagi tors, niepewnie się uśmiechnęła.

- Z całą pewnością nie.

Zacisnął usta, bo był to jedyny sposób, by powstrzymać się od okazania zadowolenia. Nie dopraszał się o komplementy, ale też nie był na nie nieczuły.

Odstawił na bok talerz i odchylił się w krześle. Błądząc wzrokiem po domu i ogrodzie, zauważył odpadającą farbę na ścianie werandy. Natychmiast, jak liny ratunkowej, chwycił się tego tematu.

- Kiedy ostatnio malowano ten dom?

- Sześć lat temu, może nawet siedem. Wiem, że trzeba by się do tego zabrać, ale...

- Pamiętasz, mówiłem ci, że szkoda by było, gdyby tak wspaniała i stara rezydencja popadła w ruinę.

- Wiem - przyznała ze smutkiem - ale to taki kłopot.

- Mówiłem też, że potrafię sam wszystkim się zająć. Kiedy skończę pracę w ogrodzie, mogę zabrać się do malowania domu.

- Wtedy zostałbyś tu chyba już na zawsze. Właśnie o to mi chodzi, pomyślał, ale powiedział co innego:

- Niezupełnie. Zdumiewające, jak szybko idzie robota, jeżeli ma się kilka puszek farby i pistolet.

- Mówisz o malowaniu natryskowym?

- Już od dawna tak się to robi - zauważył, unosząc brwi.

- Wiem, ale Howard zawsze malował pędzlem.

- Twój mąż?

Skinęła głową, nie patrząc na niego. Odłożyła na talerz resztę hamburgera, jakby nagle straciła apetyt. Nicco też pobladła, co Aleka nie zdziwiło, pamiętał bowiem, co Maisie mu opowiadała.

- To nie twoja wina, że umarł - powiedział cicho. - Nie pozwalaj, by tamten wypadek kładł się cieniem na twoim życiu.

- Nic o tym nie wiesz. - W jej oczach odmalował się nagły gniew.

- Tylko tyle, co mi powiedziano, ale nawet ja mam dość rozsądku, by rozumieć, że kobieta, która tak pieczołowicie ochrania żaby i żółwie, nigdy celowo nie zraniłaby człowieka. - No i powiedział to, jasno i otwarcie. Spodziewał się, że Laurel natychmiast go stąd wyrzuci.

Ona jednak spojrzała w bok i ciężko westchnęła.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

- Mówisz, że przejechałaś go naumyślnie?

- Może i tak. - Między jej brwiami zarysowała się bruzda.

- Jasne! Umiesz tylko bez przerwy się oskarżać! - Spodziewał się ostrej odpowiedzi, chciał, by gwałtownie zaczęła się bronić, ale nie doczekał się tego.

- Może zobaczyłam, że Howard podchodzi, zanim wyjechałam tyłem z garażu. Może mogłam nacisnąć na hamulec... ale nie zrobiłam tego.

Była śmiertelnie poważna. Niesamowite, lecz ona naprawdę wierzyła, że mogła zamordować swojego męża.

- A byłaś pewna, że Howard jest na tyle rozsądny, by nie pakować się pod jadący samochód? Do diabła, każdy by tak pomyślał.

- Nie, nie każdy.

- Zapomnij o tym i urządz sobie jakoś życie.

- Łatwo ci mówić, ale nie mogę... - Zamilkła, wzięła głęboki oddech i przesunęła rękami po twarzy, jakby chciała usunąć wspomnienie koszmaru. - Nieważne. Nie mogę pojąć, jak doszło do takiej rozmowy. Ja... Przecież mówiliśmy o malowaniu domu. Jeżeli naprawdę chcesz się z tym męczyć, kup na mój rachunek wszystko, co trzeba.

- Może pojechalibyśmy razem i sama dobrałabyś kolory farb? - zaproponował spokojnym tonem, ale na odpowiedź czekał w wielkim napięciu.

- Och, nie wydaje mi się to konieczne. Po prostu kup białą farbę.

- I zieloną do okiennic? - spytał z głębokim rozczarowaniem w głosie.

- Co w tym złego? Zawsze tak się tu maluje domy.

- Ale to takie mało oryginalne.

- A ty pewnie byś chciał pokryć mój dom jakimiś fantastycznymi wzorami, jakie można zobaczyć w San Francisco!

Była taka zła, że wreszcie wydała mu się pełna życia. Miała też rację, jeśli chodzi o jego gust.

- Ludzie z epoki wiktoriańskiej lubili żywe kolory - bronił się.

- Ale nie tutaj. Po wojnie secesyjnej używano tylko najtańszej, białej farby, i tak zrodziła się tradycja, której hołdowały następne pokolenia. Ja też się tym zadowolę.

- Niech mnie Bóg broni, bym występował przeciwko tradycji. Wolisz matową biel czy błyszczącą?

- Matową.

- Po co ja w ogóle cię o to pytałem?

Laurel przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu, a potem wstała.

- Skoro już to ustaliliśmy, chyba trzeba wracać do pracy.

Nie miał nic przeciwko temu.

Popołudnie minęło szybko, przynajmniej dla Laurel. Dopiero co słońce stało wysoko, a gdy następnym razem spojrzała w górę, rzuciła już na ziemię niebieskie cienie. Zmagala się z pędami jerychońskiej róży, które wiły się między gipsówką i spireą. Właśnie doszła do wniosku, że nie pozbędzie się ich, jeżeli nie przytnie wszystkiego aż do ziemi, gdy nagle usłyszała za sobą jakiś szmer. Trzymając w rękach sekator, gwałtownie się odwróciła.

Alec odskoczył na bok i chwycił ją za rękę. W następnej chwili sekator upadł na ścieżkę, a Laurel poczuła drętwotę w nadgarstkach. Zaczęła je rozcierać.

Szybko podszedł do niej, zdjął jej rękawice i uważnie przyjrzał się jej dłoniom, w obawie, że mógł je uszkodzić. Na szczęście nie stało się nic złego.

- Nie chciałem zadać ci bólu. To był odruch - powiedział cicho.

- Wiem. - Próbowała opanować dreszcz wywołany dotykiem jego opalonych rąk. - Nie zraniłeś mnie, tylko zaskoczyłeś.

Rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Ty mnie też zaskoczyłaś. Nie wiedziałem, że jesteś uzbrojona i niebezpieczna.

Mogła coś odpowiedzieć albo przejść nad tym wydarzeniem do porządku dziennego. Wybrała to drugie rozwiązanie.

- Chciałeś czegoś?

Zacisnął rękę na jej ramionach, a potem gwałtownie ją puścił.

- Tak. Chciałem cię spytać, czy pokażesz mi górny bieg strumienia. Muszę zobaczyć, jak jest drenowany północny teren zalewowy.

- Po co ci to? - Gdy spostrzegła, że Alec nadal pociera jej nadgarstek, w którym zresztą wracało już uczucie, szybko go odepchnęła.

Jego czarne oczy pałały, a uśmiech był trochę wymuszony.

- Można by skierować wodę ze strumienia do twojej fontanny.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się. - Przecież na ogół stosuje się pompy o zamkniętym obiegu.

- Trzeba wciąż uzupełniać w nich wodę, a i tak po jakimś czasie fontanna przestaje działać. - Zmusił się do uśmiechu. - Pamiętaj, że roboty hydrauliczne to moja pasja, a skoro już zatrudniłaś inżyniera, wcale nie musisz zadowalać się najprostszym rozwiązaniem.

- Naprawdę zamierzasz włączyć się po tym gąszczu, żeby wyśledzić bieg strumienia? Tam jest pełno węży.

- Wydaje mi się, że to ty nie chcesz tam ze mną iść. Nie szkodzi. Pokażesz mi tylko drogę, a ja rozejrzę się,

jadąc motocyklem.

- Jeżeli chodzi ci o to, żebym zawiozła cię samochodem...

Gwałtownie potrząsnął głową.

- Mówię, że pojedziesz ze mną.

- Na pewno nie! - Ogarnęła ją dziwna mieszanina uczuć: zdumienia, niepewności i złości. Nie wiedziała, które z nich przeważało.

- Dlaczego? Boisz się, że motocykl się wywróci?

- Nie, ale...

- Tylko bez żadnych „ale”. Albo mi ufasz, albo nie. O co ci właściwie chodzi?

- Ty niczego nie rozumiesz - powiedziała z rozpaczą w głosie. Nie ugiął się.

- Więc mi wytłumacz.

- Nie lubię motocykli. - Mówiąc to, patrzyła gdzieś ponad jego ramieniem.

- Nie musisz ich lubić. Po prostu wsiądziesz na motor i pojedziesz ze mną. Jej rysy stwardniały.

- To śmieszne. Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Nigdzie nie pojedę i koniec.

- Tchórz - powiedział miękko. Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie masz prawa mówić takich rzeczy. Nie wiesz, jak ja tu żyję. Po prostu nie wiesz!

- Skąd możesz być tego taka pewna? Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która ma kłopoty. - Machnął ręką z desperacją. - Wiem jednak jedno, a mianowicie to, że masz jakąś fobię. Jeżeli nie wyjdiesz z Ivywild, skończy się na tym, że w końcu zamkniesz się na dobre i już nigdy nie zdołasz opuścić tego miejsca. Rozumiesz? Nigdy!

Zagryzła wargi i ledwie słyszalnym głosem spytała:

- Czy to by było takie złe?

- Popelniałabyś przestępstwo wobec samej siebie - odparł bez wahania. - Masz przed sobą jeszcze długie lata. Chcesz pozwolić, by życie toczyło się obok ciebie? Pozwolić, by strach dyktował ci, co możesz robić, a czego nie?

To była nowa myśl. Nie była pewna, czy w ogóle ma przed sobą jeszcze jakieś prawdziwe życie, a jeśli nawet je miała, to czy starczy jej odwagi, by zdecydować się na nie. Zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia.

- Słuchaj... - zaczęła.

- Nie, to ty posłuchaj - przerwał jej, zaciskając pięści. - Wybierzemy się na zwyczajną przejażdżkę na motorze, nic więcej. Jedyne, co musisz robić, to mocno się trzymać. Nie będę jechał szybko i na pewno się nie wywrócimy, a poza tym sama będziesz decydowała o wyborze trasy. Czego jeszcze chcesz?

- Żeby zostawiono mnie w spokoju - odpowiedziała słodko.

- Nie licz na to - mruknął z ponurym uśmiechem. - Jeżeli chcesz mieć tę fontannę, pojedziesz ze mną.

Laurel patrzyła na niego, zastanawiając się, czy za jego słowami kryła się groźba. Czy naprawdę ostrzegwał ją, że nie zaprojektuje fontanny, jeżeli ona z nim nie pojedzie?

- No dobrze, niech będzie - powiedziała i schyliła się po rękawice, które przedtem Alec rzucił na ziemię. - Kiedy chcesz jechać?

- Może teraz? - zaproponował szybko. Najwyraźniej uważał, że jeśli da jej czas do namysłu, Laurel zmieni zdanie. Tak pewnie by się stało, chociaż nawet przed samą sobą nie chciała się do tego przyznać.

- Zaczekaj chwilkę. Muszę zawiadomić Maisie.

- Już jej powiedziałem - odparł i był na tyle bezczelny, że się uśmiechnął. Odwrócił się i poszedł do harleya, który stał na podjeździe.

Laurel patrzyła za nim i obserwowała jego spokojne, pewne ruchy. Emanowała z nich siła, pewność siebie i niezłomna wola. Zrozumiała, że Alec dobrze się czuje w swojej skórze. Nie był wewnętrznie rozdarty, miał do siebie zaufanie. I był całkowicie pewny, że Laurel z nim pojedzie.

Był najbardziej próżnym, zarozumiałym i wszystkowiedzącym facetem, jakiego kiedykolwiek poznała. Niech nie liczy, że pójdzie za nim jak jakaś nieśmiała indiańska dziewczyna, rozgorączkowana i przejęta tym, że wspaniały mężczyzna zapragnął jej towarzystwa.

Odwrócił się, a na twarzy miał ciepły, niemal pieszczotliwy uśmiech.

- Idziesz? - Wyciągnął do niej rękę. Poszła. Nie wiedziała dlaczego, ale podporządkowała się jego woli. No cóż, w każdym razie było to lepsze, niż być wyzywaną od tchórzy...

Szybko, by Laurel w ostatniej chwili się nie wykręciła, zaprowadził ją do motocykla. Przerzucił nogę ponad maszyną, a potem stanął w rozkroku i pomógł Laurel wdrapać się na siodełko. Gdy sadowiła się za nim, sięgnął po jej rękę i położył je sobie w pasie, jakby coś jej sugerował, ale gdy tylko je puścił, natychmiast cofnęła dłoń i chwyciła się za siodełko. Musiał spuścić głowę, by ukryć rozczarowanie.

- Jest większy, niż mi się wydawało - powiedziała trochę niepewnie.  
- Nigdy jeszcze tego nie robiłaś? - spytał. Uśmiechnął się pod nosem, bo dla niego to pytanie było dwuznaczne.

- Nigdy.

- A więc to pierwszy raz. Jesteś gotowa?

- Po prostu jedź i przestań gadać - mruknęła przez zęby.

Rzucił jej przez ramię szybkie spojrzenie, żeby sprawdzić, czy zrozumiała, o czym przed chwilą myślał. Jednak nie, bo na jej twarzy malowało się napięcie. Przekręcił kluczyk, chwilę rozgrzewał silnik, a potem wrzucił bieg.

Laurel trzymała się siedzenia, ale wiedziała, że podczas jazdy nie gwarantowało to bezpieczeństwa. Niechętnie objęła więc Aleka w pasie i splótła palce. Czuł jej piersi na swoich plecach, rozkoszne, ciepłe, miękkie. Jej policzek wpasował się między jego łopatki. Doskonale, pomyślał, i delikatnie uśmiechnął się do siebie. Po prostu doskonale.

Troszkę zwolnił, domyślał się bowiem, że zbyt ostra jazda może nie spodobać się Laurel. Poza tym dzięki temu przejażdżka będzie trwała dłużej. Po chwili odwrócił głowę i krzyknął:

- Jadę za szybko?

- Nie, tak jest dobrze - odpowiedziała, przekrzykując silnik, ale jej głos nie brzmiał zbyt pewnie.

By jej nie przestraszyć, jechał z nadzwyczajną ostrożnością, czyli zupełnie niezgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami. Pokonywał wąskie dróżki, skręcał w zwirowane ścieżki, które Laurel wskazywała bez cienia niechęci czy wahania. Nie popisywał się, jechał godnie i wolno. Zatrzymywał się tylko po to, by przyjrzeć się krętej rzeczce, zanotować w pamięci przepusty i mostki oraz ustalić, jaką trasą dociera do Ivywild.

Był to całkiem spory strumień, zasilany wieloma źródłami, dzięki czemu jego woda była świeża i czysta. Wpadało do niego również kilka suchych dopływów, które wczesną wiosną, podczas topnienia śniegów, musiały zamieniać się w rwące potoki. Spływały też do niego wody z niskich wzgórz, które ciągnęły się wokół. Strumień przegradzało kilka tam, dzięki którym powstały niewielkie stawy, ale to nie spowalniało rzecznoego nurtu.

Alec szybko się przekonał, że strumień nadawał się do jego celów. Zasilanie nim fontanny nie spowoduje wysuszenia pól i łąk należących do farmerów ani nie wzburzy obrońców środowiska. Zresztą w Luizjanie jest nadmiar wody i gdyby tylko wynaleziono sposób, by przepompowywać ją na zachód, stan bardzo by się wzbogacił.

- Już zobaczyłem wszystko, co chciałem - powiedział, gdy przejeżdżali koło rdzewiejącego przepustu. - Co robimy teraz?

- Wracamy - oznajmiła Laurel stanowczo. Skinął głową.

- Dobrze, ale najpierw chciałbym zobaczyć, dokąd prowadzi ta droga.

Za jego plecami rozległ się protest, ale zagłuszył go ryk silnika.

Była to droga gruntowa, meandrująca wśród lasów. Wszędzie, gdzie teren nieco się wznosił, rosły stare, wysokie drzewa. Jeszcze na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku znajdowały się tu farmy, a na wzgórzach ciągnęły się pola i pastwiska. W każdym razie tak mówiła babcia Callie, która pamiętała nazwiska mieszkających tu rodzin, wiedziała też, kto poddał się i wyjechał do miasta, by znaleźć pracę w fabryce, kto wyruszył do Teksasu, a kto po ataku na Pearl Harbor poszedł na wojnę i nigdy już nie wrócił. Dziwnie było myśleć o tych wszystkich ludziach, którzy tu żyli i pracowali, mieli dzieci i tu umierali. Teraz pozostały po nich tylko drzewa, które kiedyś dawały im cień.

- Zawracaj! - krzyknęła mu Laurel do ucha. - Musimy wracać!

Skinął głową, ale jechał dalej. Łagodnie pokonywał zakręty, wjeżdżał w plamy cienia pod wielkimi drzewami i znów wypadał na słońce. Był wolny, szczęśliwy i cieszył się życiem. Mógłby tak jechać bez końca. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio coś sprawiło mu większą radość niż ta motocyklowa przejażdżka z Laurel Bancroft przytuloną do jego pleców. Wiatr od czasu do czasu zarzucał na niego pasmo jej długich włosów, które owijało się wokół jego ramienia jak miękka jedwabna lina.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła Laurel, szarpiąc nim tak mocno rękami splecionymi w jego tali, że aż cały motocykl się zatrząsał. - Ta droga dochodzi do głównej szosy. Za bardzo zbliżamy się do miasta!

Miała rację. Gdy minął kolejny zakręt, zobaczył przed sobą skrzyżowanie. Akurat paliło się czerwone światło. Mógł natychmiast ostro nadepnąć na hamulec lub też zatrzymać się łagodniej, ale wówczas znalazłby się tuż przy szosie, po której z wizgiem pędziły samochody. Jadąc z wystraszoną pasażerką, musiał wybrać drugi wariant i zahamował łagodnie.

Laurel cała się trzęsała. Gdy stawał pod światłami, czuł, jak bardzo drżała. Była naprawdę przerażona, pewnie dlatego, że opuściła dom. Nie było to racjonalne doznanie, które można kontrolować siłą woli, bo

wtedy zdołałaby się opanować, by nie okazać Alekowi, jak bardzo się boi. Zrozumiał, że popełnił błąd, i przeklął za to siebie w duchu. Powinien był zastanowić się, co naprawdę dzieje się z Laurel i jak może objawiać się jej fobia.

- Co wybierasz? - spytał przez ramię. - Szybką jazdę do domu główną szosą, czy wolniejszą, tą samą drogą, którą tu przyjechaliśmy?

Samochody przed nimi jechały w obu kierunkach. Kierowcy odwracali głowy i przyglądali im się. Laurel wtuliła twarz w plecy Aleka.

- Tak jak przyjechaliśmy - powiedziała nerwowo. - Proszę, jedź już.

- Dobrze. - Wykonał szeroki nawrót i ruszył.

Gdy stanęli przed domem, Laurel czuła się już dobrze, a przynajmniej przestała się trząść. Mimo to nie odezwała się ani jednym słowem, tylko zeskoczyła z siodelka i pobiegła przez ogród, wpadła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Alec uderzył pięścią w kierownicę motocykla i cicho zaklął. Zachował się jak ostatni idiota. Jak mógł niczego nie zauważyć? Dlaczego jechał dalej, gdy Laurel prosiła go, by wracali? Wszystko rozwijało się tak dobrze, a on musiał to zepsuć.

Nie rozumiał jej. Nawet wtedy, gdy oskarżał ją, że cierpi na jakąś fobię, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest ona głęboka. Bez większego trudu wyciągnął Laurel z domu i, upojony tym sukcesem, był przekonany, że reszta pójdzie równie łatwo. Zachował się jak głupiec.

A przecież zauważył, że okolony płotem frontowy ogród tak naprawdę był przedłużeniem domu. Laurel mogła wytrzymać tylko tam, tylko na tym terenie czuła się bezpieczna. Przynajmniej na to wyglądało.

Zważywszy na to, prawdziwym cudem było, że zgodziła się pojechać z nim na motocyklową przejażdżkę. Ufała mu bardziej, niż sobie to uświadamiał, wierzyła, że zaopiekuje się nią i nie będzie brutalnie wywlekał jej z bezpiecznej kryjówki.

A on ją zawiódł.

Po dzisiejszym dniu będzie miał szczęście, jeżeli jeszcze kiedyś uda mu się nakłonić ją do wyjścia z domu. Jeżeli w ogóle utrzyma się w tej pracy i będzie miał okazję, by do czegokolwiek namawiać Laurel...

Dobry Boże, tego by nie zniósł. Był już tak blisko celu. A teraz musi zaczynać wszystko od nowa.

Ale zrobi to. Musi. Jego serce i umysł nie pozostawiały mu wyboru.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Laurel stała z ręką na klamce drzwi wejściowych i patrzyła przez szybkę. Ścieżką szła matka jej męża. Tęga, o figurze przypominającej gruszkę, brzydko siwiejąca, o włosach, których kolor można by najtrafniej określić jako brudnomysi. Jej obszerna suknia przypominała nylonowy namiot, na szerokich stopach miała za małe buty i torebkę ze sztucznej skóry aligatora w ręku. Obrzucała ogród gniewnymi spojrzeniami. Jej blade bezkształtne usta były zaciśnięte w wąską linię, a pocięte żyłkami policzki poczerwieniały.

Serce Laurel waliło jak młotem. Niemal się dusiła. Była zaskoczona swoją gwałtowną reakcją, bo przecież spodziewała się tej wizyty. Dziwne było tylko to, że teściowa zjawiła się dopiero po odejściu Maisie i Aleka, a przecież unikanie audytorium nie było w stylu Sadie Bancroft.

Nagle zza domu wybiegł Sticks. Szczekał i warczał tak, jakby napotkał śmiertelnego wroga. Tak zresztą było, bo już jako szczeniak znienawidził tę kobietę, gdy brutalnie go kopnęła, kiedy dobierał się do jej nowych butów. Oczywiście nie było obawy, że ją zaatakuje, ale teściowa uważała inaczej. Zawsze w takich okazjach z piskiem rzucała się do ucieczki, podobnie postąpiła również teraz, i pies, zgodnie ze swoją naturą, pognął za nią.

Laurel otworzyła drzwi i zawołała Sticksa, a potem zaczęła, aż teściowa dojdzie pełnym godności krokiem do schodków. Wilczur przybiegł za nią. Laurel kazała mu zostać na dworze, ale podrapała go między uszami, by pokazać, że nie jest na niego zła.

- Wstrętny zwierzak! - parsknęła Sadie Bancroft, gdy już znalazła się w bezpiecznym dla niej korytarzu. - Nie rozumiem, dlaczego się go nie pozbędziesz.

Laurel pominęła tę sugestię milczeniem. Zamknęła drzwi i spytała na tyle uprzejmie, na ile było ją stać:

- Jak się czujesz, Sadie? Dawno mnie nie odwiedzałaś.

- Rzeczywiście, zbyt długo mnie tu nie było, sądząc po tym, jak się sprawy mają. Na Boga, co ty robisz z ogrodem?

- Trochę przerzedzam zarośla. Sama musisz przyznać, że ogród jest bardzo zaniedbany.

- To jeszcze nie jest powód, by wszystko wycinać! - rozżłościła się teściowa. - I nie mów mi, że sama to robisz. Dobrze wiem, że tak nie jest.

A więc wiedziała o Aleku, no i oczywiście nie mogła się powstrzymać przed sugestią, że Laurel jest

leniwa. Od lat powtarzała to jednak tak często, że jej słowa już nie raniły. Sadie zawsze miała za złe synowej, że nie zwolniła Maisie, gdy tylko dzieci wyrosły z pieluszek. Sadie nigdy nie zatrudniała gosposi i drażniło ją, że Laurel ktoś pomagał w domowych pracach. Oczywiście pomijała milczeniem fakt, że natychmiast po tym, jak małżonek ją opuścił i wyjechał w nieznaną, wyprowadziła się z Ivywild, wielkiego i trudnego do utrzymania domu.

Rezydencja przez całe lata była niezamieszkała, aż do czasu, gdy Laurel poślubiła Howarda. Sadie Bancroft była zachwycona, że synowa chce zamieszkać w tej starej ruderze, chociaż oczywiście uważała, iż jako była właścicielka ma prawo wściubiać we wszystko nos. Co jakiś czas przychodziła, przeprowadzała inspekcję i skrupulatnie, choć bez odrobiny taktu, wytykała każde zaniedbanie. Tak więc nawet za życia Howarda nigdy nie była mile widzianym gościem w domu synowej.

- Nie wyobrażaj sobie, że coś ze mnie wyciągniesz - mruknęła Laurel pod nosem.

- Co powiedziałaś? - spytała teściowa, odwracając się na pięcie.

- Pytałam, czy się czegoś napijesz. Kawy, soku, a może mrożonej herbaty?

- Dobrze wiesz, że po południu nie piję kawy. Wątpię, żebyś miała wodę perrier.

- Chyba nie - odparła sucho Laurel.

- Trudno - mruknęła Sadie, ruszając do salonu. Usiadła na krześle z prostym oparciem, skrzyżowała tłuste nogi, położyła torebkę na kolanach i zacisnęła na niej ręce, jakby obawiała się, że ktoś ją jej wydrze.

- Nie mogę zostać długo - oznajmiła, gdy Laurel krzątała się wokół niej. - Przyszłam tylko dlatego, bo czułam, że jest moim obowiązkiem porozmawiać

z tobą na temat tego młodego człowieka, który pracuje w twoim ogrodzie.

- Chodzi ci o Aleka Stantona?

- Oczywiście. Chyba nie kręci się tu wielu młodych mężczyzn?

- Nie - odparła Laurel krótko.

Zwykle w takich sytuacjach tłumaczyła się Sadie ze swojego postępowania, jednak dziś nie chciała jej niczego ułatwiać. Usiadła na kanapie i spokojnie czekała, jak teściowa zamierza rozegrać tę sprawę.

- Musi odejść.

No, tak. Krótko i zwięźle.

- Przypuszczam, że masz jakieś powody, by tego żądać.

- Nawet kilka - wyjaśniła Sadie ponurym tonem - ale najważniejszy jest ten, że narażasz swoją reputację, gdy ktoś taki jak on swobodnie kręci się po posiadłości.

- Nie wiem, co rozumiesz pod określeniem „swobodne kręcenie się” - powiedziała Laurel spokojnie.

- On tu po prostu pracuje, a tak naprawdę wykonuje całą tę ciężką robotę.

- Przychodzi i wychodzi, kiedy tylko chce, a przy tym jeździ obrzydliwym motocyklem, jak jakiś Anioł Piekieł\*. Jest jeszcze jeden powód. On jest obcy, nie należy do naszej sfery.

- To znaczy? - Laurel skrzyżowała ręce na piersi i pochyliła się do przodu.

- Jeszcze pytasz? Przecież to jasne jak słońce. Po prostu spójrz na niego, na te długie włosy, kolczyki i wszystko inne.

- Nosi jeden kolczyk. Jak wielu mężczyzn. Teściowa zbyła ten argument machnięciem ręki.

- Jeżeli jeszcze ci to nie wystarczy, to pomyśl o tym obrzydliwym tatuażu, którym się pyszni.

- Tak, a na dodatek Alec Stanton pochodzi z Kalifornii - podsunęła Laurel słodziutko.

- Właśnie! Na pewno ma głowę napchaną jakimiś dziwnymi ideami. Polityka, religia...

- Seks - podpowiedziała uprzejmie Laurel. Wiedziała, że jej teściowej to słowo zawsze z trudnością przechodziło przez gardło.

Sadie głośno wciągnęła powietrze.

- Mówił o tym? Co wy właściwie oboje tu wyprawiacie? Na pewno nic dobrego, skoro ty jesteś wdową, a on... Nie wiem nawet, kim on jest!

Laurel od dawna już nie czuła takiego gniewu. Po prostu rozszadzała ją złość.

- Przystojnym mężczyzną - mruknęła przez zaciśnięte usta.

Pomarszczona twarz teściowej wykrzywiła się z obrzydzeniem.

- Musi mieć jakiś cel! Wiedziałam!

- Nie bądź śmieszna - powiedziała Laurel ostro.

- Nic się tu nie dzieje. Po prostu porządkuję frontowy ogród i sadzę róże, a Alec pomaga mi, bo to ciężka praca. Poza tym odmaluje dom, ale...

- No widzisz? - wykrzyknęła Sadie z triumfem.

- On cię chce uwieść. Będzie znajdował coraz więcej rzeczy do zrobienia, aż wreszcie zostanie tu na stałe. Ten człowiek to łowca posagów.

---

\* Anioły Piekła (ang. *Hell's Angel*) - bandy awanturniczych i ekstrawagancko ubranych motocyklistów (przyp. red.).

- Och, daj spokój. To śmieszne!

- Nie widzisz tego? Jesteś tak naiwna, że naprawdę nie domyślasz się, o co mu naprawdę chodzi?

- Jak widać, nie. A skąd ty możesz coś o nim wiedzieć, skoro nawet go nie znasz?

Sadie Bancroft, sapiąc przez bulwiasty nos, zaczęła miętosić torebkę tłustymi palcami.

- Mogę tylko stwierdzić, że już cię oczarował. To okropne. I wpakuje się do twojego łóżka, jeżeli już tego nie zrobił. Potem zacznie cię prosić o pieniądze. Zabierze ci każdy grosz, jaki masz.

- Och, na miłość boską! - warknęła Laurel. Na jej policzki wypełził rumieniec obrazy.

- Tak będzie! Nie widzisz, że to żigolak? Zasadza się na starsze, samotne kobiety. Może nie jesteś jeszcze taka stara jak inne, które miał przed tobą, ale mieszkasz tu sama, nie masz przyjaciół, więc stanowisz łatwą zdobycz. Będzie się do ciebie uśmiechał i prawił komplementy, a potem zacznie cię pieprzyć, aż wyciśnie z ciebie wszystko! Chyba że wcześniej go odprawisz.

Laurel nie była specjalnie zdziwiona, że teściowa użyła takiego słowa. Do ulubionych zajęć Sadie Bancroft należała lektura brukowej prasy. Poza tym namiętnie słuchała telewizyjnych kaznodziejów oraz uczestniczyła w listownych kampaniach prowadzonych przez skrajnych konserwatystów. Mimo że wstydziła się mówić o zwykłym seksie, uwielbiała wszystko, co nieprzyzwoite i odbiegające od normy, z rozkoszą szperała w cudzych tajemnicach i chętnie wierzyła w każdą najgorszą rzecz, jaką słyszała o bliźnich.

- W tym, co powiedziałaś, nie ma ani słowa prawdy - odparła Laurel drżącym z gniewu głosem. - Po prostu próbujesz nie dopuścić, żeby tu, w Ivywild, zaszły jakiegokolwiek zmiany, a już w żadnym wypadku nie chcesz, abym zmieniła się ja. Zrobisz wszystko, żeby nie mogła choćby spojrzeć na jakiegoś mężczyznę.

- Laurel!

- Mówię prawdę. Twoim zdaniem powinnam się tu zagrzebać na zawsze tylko dlatego, że Howard nie żyje.

- Och! - Sadie, przyciskając rękę do piersi, opadła na oparcie krzesła. - Jak możesz tak mówić?

- Kiedy tak właśnie jest. Myślisz, że nie wiem, co czujesz? Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, że pragniesz zamknąć mnie w domu i w ten sposób ukarać za to, że spowodowałam śmierć Howarda? Zawsze to wiedziałam!

- Wpadasz w histerię, mówisz rzeczy, których nie myślisz...

Czyżby? Gdyby jednak nawet tak było, Laurel czuła wielką ulgę, wygarniając wreszcie teściowej całą prawdę.

- Mówię to, co powinnam powiedzieć już dawno temu. Sądzisz, że naumyślnie zabiłam Howarda, i od lat opowiadasz to ludziom. Uważasz, że powinnam była znaleźć się za kratkami i przebywać tam do końca życia. Ivywild jest dla ciebie substytutem więzienia i nie obchodzi cię, jak wielką wyrządzasz mi krzywdę.

Sadie Bancroft powoli wstają i zmierzyła Laurel okrutnym spojrzeniem.

- No więc dobrze... Skoro sama poruszyłaś tę sprawę... Wiem, że zamordowałaś mojego Howarda. Nigdy nie byłaś dla niego odpowiednią żoną, nigdy, od samego początku. Wydawało ci się, że jesteś lepsza od mojego syna, mądrzejsza, bardziej bystra, i sprawiłaś, że on też w to uwierzył. A tak naprawdę zawsze byłaś leniwa, myślami przebywałaś gdzieś daleko, uważałaś się za artystkę, czytałaś albo zamykałaś się w szopie i bawiłaś się w to obrzydliwe garncarstwo. Co więcej, nie byłaś dobrą matką dla swoich dzieci. Z przerażeniem myślę, co powiedzą Marcia i Evan, gdy usłyszą o wszystkim.

- A ty już dopilnujesz, żeby się dowiedzieli. - Na myśl o tym, jakie nowiny jej syn i córka usłyszą z ust babci, Laurel poczuła w piersi ostry ból.

- Mają do tego prawo - powiedziała Sadie przez zaciśnięte zęby. - Wiedz też o tym, że nigdy nie byłaś mądrzejsza od mojego Howarda, a swojej głupoty dowodzisz teraz, skoro nie potrafisz rozpoznać, jakim naprawdę człowiekiem jest ten cały Alec.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nie znasz go, nic o nim nie wiesz.

- Każdy tępak by się na nim poznał. Wystarczy posłuchać, co jego brat rozpowiada po całym mieście.

Brat Aleka? Laurel przeraziła się na samą myśl o tym, co może teraz usłyszeć, ale nie dała tego poznać teściowej.

- A cóż on takiego opowiada?

- Zelda natknęła się na Gregory'ego Stantona w drogerii. Opowiedział jej, jak Alec żył ze starszą kobietą w San Francisco. Wydaje się, że zaczął jako jej ogrodnik, ale zanim z nią zerwał, osiągnął bardzo dużo. Ta idiotka nawet za niego wyszła, a gdy umarła, okazało się, że zostawiła mu cały swój majątek.

- Nie! - szepnęła Laurel, lecz w tym proteście brakowało przekonania. Siostra Howarda, Zeldy, zawsze pierwsza dowiadywała się o wszystkim.

- Tak! Spytaj go, jeśli mi nie wierzysz. Po prostu go spytaj!

Na twarzy Sadie malował się triumf, wprost napawała się swoim zwycięstwem. Laurel odwróciła wzrok. Jakieś ziarno prawdy musiało w tym być, bo przecież te informacje pochodziły od brata Aleka, od umierającego człowieka.

Po wyjściu teściowej Laurel snuła się po domu, zbyt wzburzona, żeby zjeść kolację albo usiąść i czymś się zająć. Nie chciała wierzyć w to, co usłyszała o Aleku, a jednak było to w straszliwy sposób prawdopodobne. W jakim innym celu pojawiałby się tu znikąd? Jaki inny powód mógłby mieć, żeby harować jak niewolnik? Ludzie nie dają niczego za darmo - tak brzmiała jedna z maksym Howarda, która jakże często, niestety, okazywała się smutną prawdą.

Laurel pomyślała o troskliwości Aleka, o zachwycie, jaki widziała w jego oczach. Wszystko to było fałszywe. Dlaczego miałby żywić takie uczucia do kobiety w jej wieku? Nie było żadnego powodu, poza jednym: miał w tym jakiś swój ukryty i najpewniej nieuczciwy cel.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi Laurel nerwowo przemierzała pokój. Prawie uwierzyła Alekowi, prawie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Teraz czuła się jak głupia, sentymentalna idiotka.

Ale to już koniec. Było, minęło. Zapłaci za to, co zrobił do tej pory, i każe mu odejść.

Nie, to za mało. W ten sposób nie wyrówna wszystkich rachunków. Zrewanżuje mu się za ból, jaki czuła z powodu jego zdrady, za to, że rozbudził w niej uczucia, których nie pragnęła doznawać ani teraz, ani już nigdy.

Oczywiście nie zakochała się w nim, ani nawet jej nie zauroczył. Przecież ledwie go знаła.

Potrafił jednak przebić się do niej, nadkruszyć mur, za którym się ukrywała. Dla niego wychyliła się ze swojego azylu i była bliska tego, by zaryzykować dużo więcej.

Przepelniła ją złość. Czuła, jak budząca się w niej wściekłość krąży po żyłach jak trucizna. Kiedy ostatnio coś wzbudziło w niej tak potężne uczucia? Niemal zapomniała, jak to jest. Tak, czuje się głęboko urażona, jest bliska furii, chce jej się płakać i gryźć.

I nagle, ku swemu największemu zdumieniu, odkryła, że te doznania, w jakiś przewrotny sposób, sprawiają jej ogromną przyjemność. Bo dzięki nim znów czuła, że naprawdę istnieje!

Masz w sobie tyle życia, powiedział jej kiedyś Alec. Niestety, były to słowa żigolaka, który specjalizował się w uwodzeniu starszych kobiet...

Żigolak? Czy to naprawdę możliwe?

Musiało tak być. Gregory nie mógł kłamać. Laurel nie widziała innej możliwości.

Zerwała z głowy elastyczną opaskę i przeczesowała palcami ciężkie pasma włosów, jakby to miało pomóc jej ochłonać ze złości. Nie, nie wyrzuci Aleka Stantona. To by nie wystarczyło. I nie uleczyłoby jej ran.

Będzie o wiele lepiej, jeżeli pozwoli, by nadal pracował jak katorżnik, wykonał wszystko, czego potrzebuje Ivywild, a potem nie da mu nic w zamian oprócz jego ciężko zarobionych pieniędzy. Niech traci czas, mając nadzieję, że znalazł kolejną usychającą z niespełnionego pożądanego starszą kobietę, która tylko marzy o tym, by wpaść mu w ramiona. A gdy skończy pracę, ona uprzejmie się uśmiechnie i odeśle go do diabła.

Wpaść w jego ramiona? Boże, co za pomysł! Czy właśnie tego od niej oczekiwał? Może mogłaby go nieco podpuścić, tylko troszeczkę, tylko tyle, żeby...

Nie! Jak może być taka głupia!

Jednak wtedy Alec łudziłby się nadzieją, że i tym razem wygrał, a gdy potem ona odprawi go, jak zwyczajnego najemnego robotnika, poczuje się tak samo wykorzystany i wściekły jak ona teraz.

Mogłaby tak zrobić? Odważyłaby się?

Chyba nie, ale ten pomysł był naprawdę pociągający, może nawet aż za bardzo...

Przechodząc przez pokój stołowy, kątem oka ujrzała swoje odbicie w wysokim oknie. Na dworze już zapadł zmrok, a ona tego nawet nie zauważyła. Ciemność na zewnątrz przemieniła okno w lustro, w którym, z włosami falującymi wokół twarzy, wyglądała jak zjawą. Może w końcu dobrze się stało, że teściowa przyszła w chwili, gdy nie było tu Aleka. Gdyby teraz zobaczył Laurel, pomyślałby, że oszalała.

Tak, i pewnie miałby rację. Podeszła do okna, położyła ręce na szybie i spojrzała w swoje lśniące niezdrowym blaskiem oczy. Potem opuściła powieki i pochyliła głowę tak, że czołem dotknęła zimnego szkła.

Nie chciała znów tego przeżywać, pograżać się w rozpacz, nie chciała odczuwać dojmującego bólu i bezradnie miotać się, oddana na pastwę wyrzutów sumienia. Już przez to przeszła i zdołała uwolnić się z sieci, osiągnęła płynący z odrętwienia spokój.

Oczywiście, zanim Howard umarł, też nie czuła zbyt wiele. Wyszła za męża zaraz po maturze, by wydostać się z więzienia, jakim był jej rodzinny dom, w którym matka alkoholiczka wciąż piła i nieustannie krzyczała na ojca i na nią. Ironia losu sprawiła, że rodzice zginęli w wypadku samochodowym siedem tygodni po jej ślubie.

Howard... Myślała o nim z ciężkim sercem. Kochał ją z cichym, upartym, zawziętym oddaniem, a ona była mu wdzięczna. Została z nim, bo darzyła go serdecznymi uczuciami, ale także mu współczuła. Czasami rozmyślała o wielkich namiętnościach, o wiecznej miłości, o której czytała w książkach, uważała jednak, że sama nie jest zdolna do takich porывów serca.

Gdyby zamknęła oczy, natychmiast wróciłoby wspomnienie ostatniej kłótni z mężem. Nie chodziło o nic wielkiego, chociaż w tamtej chwili wydawało jej się to ważne. Howard chciał kupić synowi pikapa tylko dlatego, że on sam, gdy skończył piętnaście lat, dostał od ojca taki właśnie samochód. Nie widział nic złego w tym, że Evan będzie jeździł po bocznych drogach do chwili, aż dostanie prawo jazdy, jednak Laurel wiedziała, że jej syn tym się nie zadowoli. Był niedojrzały, zepsuty przez babkę, która zawsze dawała mu wszystko, czego zażądał. Gdyby teraz dostał samochód, nie minąłby tydzień, a już gnałby po głównej szosie i w końcu albo sam by zginął, albo spowodowałby czyjąś śmierć.

Lecz to Howard umarł. Laurel go zabiła, a potem wycofała się w pełną poczucia winy samotność. Dobrze jednak wiedziała, że nie odsunęła się od życia dlatego, że tak bardzo zależało jej na mężu, lecz dlatego, że nie zależało jej wystarczająco.

Była taka zmęczona. Z oczu popłynęły jej gorące, palące łzy. Nie próbowała ich powstrzymać.

- Co się tu, do diabła, dzieje?

Alec zatrzasnął pokrywkę puszki z farbą i rzucił ją na ziemię, zadając sobie już po raz tysięczny to samo pytanie.

Miał nadzieję, że po pechowej przejażdżce motocyklem zacznie od nowa budować swoje kontakty z Laurel, stosując wszelkie możliwe strategie, by znów wyciągnąć ją na zewnątrz. Nie było jednak takiej potrzeby. Gdy przyszedł, szefowa przywitała go z różnym uśmiechem, wręczyła listę co najmniej setki rzeczy do zrobienia i znikła na tyłach domu. Od czasu do czasu się pojawiała, pokazywała, co zrobił źle, wydawała kolejne polecenia i znów zniknęła.

Nie zjadła z nim lunchu na werandzie, ale przyszła sprawdzić, jak posuwa się robota, zupełnie jakby nie potrafił pracować bez stałego i baczego nadzoru. Była uprzejma, ale stanowcza, jak prawdziwa pani domu, jednak cała sympatia i troska, jakie okazywała mu wcześniej, gdzieś się ulotniły. Dawała polecenia i oczekiwała, że je wykona. I ani razu na niego nie spojrzała.

Alec jeszcze nigdy w życiu nie pracował tak ciężko, ale chyba i tak nie potrafiłby zadowolić swojej pracodawczyni, nawet gdyby jeszcze bardziej się starał, co zresztą nie było już możliwe. Miał tego serdecznie dość.

Dobrze chociaż, że prawie skończył już malować dom. Gdy tylko upora się z tą robotą, wyczyści pistolet natryskowy i zdejmie papiery, którymi zasłonił okna, a potem porozmawia sobie z panią Bancroft.

Znalazł Laurel w dużej szopie stojącej na tyłach domu, obok garażu. Zbudowano ją z tych samych materiałów co rezydencję, chyba równocześnie z nią, na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, w czasach gdy najpewniej ówczesny właściciel Ivywild kupił sobie pierwszego fordą Model T\*. Szopa miała trzy małe okienka i podłogę z nieheblowanych desek sosnowych.

Przy frontowej ścianie stała ława z narzędziami stolarskimi, które musiały należeć do zmarłego męża Laurel. Tylną ścianę obudowano do sufitu półkami. Znajdowało się na nich mnóstwo toreb i pudeł z zapasami. Jeden kąt szopy zajmował wielki czarny piec do wypalania ceramiki.

Laurel pochylała się nad stojącym pośrodku pomieszczenia kołem garncarskim, ręce miała zanurzone w lśniącej, śliskiej glinie. Gdy na progu pojawił się Alec, Sticks, leżący u jej nóg, podniósł potężny łeb i głucho zawarczał. Alec zatrzymał się i oparł o framugę.

Laurel spojrzała na niego. Zawsze przywoływała psa, gdy Alec był w pobliżu, a Sticks nauczył się go tolerować, ilekroć jego pani łagodnie tłumaczyła mu, że nie powinien denerwować się obecnością tego mężczyzny. Jednak tym razem Laurel nie odezwała się.

Sticks wstał. Ze zjeżoną sierścią wydawał się dwa razy większy. Podszedł bliżej, kark miał sztywny i warczał jak włączona piła elektryczna.

Alec miał się na baczności. Oczywiście nie bał się psa, nie chciał jednak na oczach Laurel powtórnie pozbawiać go przytomności. Z drugiej strony nie zamierzał stać się bezbronną ofiarą wilczura po to tylko, by uszanować wrażliwość jego pani.

Sticks podchodził coraz bliżej. Obnażył kły, ale warczał już ciszej. Stał kilka kroków od niego i przysiadł, szykując się do skoku. Alec się nie poruszył.

Pies warknął jeszcze raz, potem spojrzał w bok, zaskomlał i położył się.

Alec przykucnął i wyciągnął rękę, by Sticks mógł ją obwąchać.

- Dobry piesek - mruknął. Zanurzył palce w gęstej sierści, potarł ją, a potem zaczął głaskać. - Dobry pies.

Glina, którą miesiła Laurel, nagle opadła na dno miski. Jeszcze raz obiema rękami rozprowadziła na kole gęstą maź i wygładzała ją z o wiele większą siłą, niż było trzeba.

- Chciałeś czegoś? - spytała cienkim głosem. Mógł dać wiele odpowiedzi na to pytanie, ale nie ufał sobie,

---

\* Model T - legendarny samochód zaprojektowany przez Henry'ego Forda (przyp. red.).

że zdoła zachować się poprawnie. Wybrał więc obojętny temat.

- Nie wiedziałem, że zajmujesz się garncarstwem.
- Jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiesz.
- Ale się uczę. - I to była prawda. - Co robisz?
- Garnek.

Niewiele się z tego dowiedział. Patrzył na nią przez długą chwilę. Twarz miała bardzo wyrazistą, a to, co na niej zobaczył, bez wątpienia było czystą pogardą.

- No więc dobrze - powiedział głosem pełnym napięcia. Podniósł się i oparł rękę o drzwi. - Czy dowiem się, co złego zrobiłem?

- Nic, o czym bym wiedziała. A ty masz jakiś pomysł? - spytała Laurel, posyłając mu spokojne spojrzenie niebieskich oczu.

- Przepraszam, że nie zwróciłem, gdy mnie o to prosiłaś. Wtedy nie rozumiałem, ale teraz już wszystko rozumiem.

Jej uśmiech był zimny.

- Nic się nie stało. Już o tym zapomniałam.

Przeprosił, ale nie osiągnął żadnego skutku.

- Nie zamierzałem cię zdenerwować ani zmuszać, byś zrobiła coś, na co nie miałaś ochoty.

- Alec, nie możesz mnie do niczego zmusić. Robię to, co uważam za stosowne.

Powinien się cieszyć, że zwróciła się do niego po imieniu. Tyle tylko, że poczuł się jak wynajęty robotnik. I chyba nie był dla niej nikim więcej.

- Jeżeli wszystko jest w porządku, dlaczego przestałaś pracować razem ze mną? - spytał ponuro.

- Mam inne sprawy do załatwienia.

Nie miał prawa się skarżyć i to go napawało goryczą. Chciał robić to, co dla niej najlepsze, skoro jednak Laurel taki układ nie odpowiadał, musi się z tym pogodzić.

- Skończyłem malować dom. Jeżeli nie masz innych poleceń, zajmę się budową fontanny.

- Wydaje mi się, że ta wielka sosna koło płotu zanadto ocienia różę. Mógłbyś ją ściąć. To znaczy, jeżeli uda ci się to zrobić tak, by nie upadła na dom - powiedziała, nie patrząc na niego.

Spodziewała się, że Alec odmówi, lecz nie dał jej tej satysfakcji.

- To żaden problem. Najpierw będę musiał obciąć gałęzie, potem wejść na wierzchołek, więc będę potrzebował sprzętu do wspinaczki.

- Gdzieś tu musi być pas i raki mojego męża.

- Pracował w lesie?

Jej ręce, zanurzone w glinie, którą do tej pory modelowała szybkimi, ostrymi ruchami, zastygły.

- Był monterem telefonicznym, i to dobrym. Pomyślał z rezygnacją, że nie powinien był o to pytać, i z wdziękiem słonia zmienił temat.

- Dlaczego sam nie ściął tej sosny, skoro miał odpowiedni sprzęt?

- Lubił ją. - Rzuciła mu niechętnie spojrzenie.

- Poproś Maisie o piłę. Jej mąż na pewno ją ma.

Jeśli Alec dobrze pamiętał, mąż Maisie był mechanikiem i posiadał wszelkiego rodzaju narzędzia.

- Sprawdzę to, a na razie mogę zacząć gromadzić materiały do budowy fontanny. Już otworzyłem ci spory rachunek w sklepie żelaznym, ale będę jeszcze potrzebował plastikowych rur, łączników i innych rzeczy. Powinienem też wypożyczyć koparkę albo nająć kogoś do wykopania rowów. Znow rozpląszczyła glinę.

- Pytasz, czy mam pieniądze? Jej ton zdenerwował Aleka.

- Pytam, czy upoważniasz mnie do ich wydawania - wyjaśnił, starannie kontrolując głos.

- Tak, jeżeli będziesz mi przedstawiał rachunki. Poza tym nie musisz się przejmować stanem moich finansów.

- Możesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi? - zachnął się. Na dźwięk jej pełnego zjadliwości tonu brwi zbiegły mu się w jedną linię. Spojrzała na niego badawczo.

- Czyżbym powiedziała coś, co cię dotknęło? A więc wiedziała...

Nie rozumiał, w jaki sposób mogło do tego dojść, ale ktoś usłużny musiał ją o wszystkim poinformować. Jezu! Miał nadzieję, że zostawił to już za sobą! Ta sprawa ciągnęła się za nim jak stara guma do żucia. Trudno. Już nieraz był w opałach i zawsze dawał sobie radę, więc i teraz jakoś się z tym upora.

- Chcę cię zapewnić - powiedział spokojnie, odrywając rękę od framugi - że nie interesują mnie twoje pieniądze, tylko ty.

Dopiero następnego ranka Alec znalazł okazję, by porozmawiać z Maisie. Laurel właśnie poleciła mu zerwać poplamione farbą liście krzaków wokół domu i poszła do siebie. Zupełnie jakby sam nie wiedział, że

trzeba to zrobić. Nie powiedziała ani słowa o jego malarskiej robocie. Wcale nie oczekiwał komplementów i denerwowało go to, że mimo wszystko w głębi duszy nadal pragnął jej pochwał, ale mogła przynajmniej wyrazić jakąś opinię. Jeszcze chwila, a powie jej, by znalazła sobie kogoś innego do ścinania sosny.

- Co się z nią dzieje? - spytał sfrustrowany, gdy Maisie przyniosła mu szklankę wody. - W ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Jest w takim nastroju, że chyba nie powiedziałyby mi nawet, która jest godzina.

W pocziwych, mądrych oczach Maisie pojawił się wyraz głębokiego namysłu.

- Czasami ma napady takiej chandry, a już zwłaszcza po wizycie teściowej albo Zeldy. To jej szwagierka.

- Te kobiety działają jej na nerwy?

- I to jak! Poza tym zawsze się jej czepiają. To najbardziej uprzykrzone osoby, jakie w życiu znalazłam. Nic im się nigdy nie podoba, nigdy nie powiedzą o nikim dobrego słowa.

Alec obracał w ręku szklankę z wodą.

- Myślisz, że coś jej o mnie powiedziały?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło. Zelda Bancroft nigdy nie była osobą miłą, a przy tym bardzo lubi intrygi i złośliwe plotki, natomiast kochana teściowa czuje wielką urazę do Laurel.

- Chodzi o to, w jaki sposób umarł Howard?

Maisie skinęła głową.

- Zrobiła, co mogła, żeby aresztowano Laurel, dzwoniła, do kogo tylko się dało, pociągnęła za wszystkie możliwe sznurki, nic jednak nie osiągnęła, głównie z powodu szeryfa. Tanning zawsze czuł do Laurel słabość. Twierdził, że taka osoba nie zabiłaby nawet pchły, która urządziłaby sobie na niej ucztę.

- Jednak Laurel wierzy, że jest winna jego śmierci. Wiesz o tym?

- Tak, choć bardzo mnie dziwi, że tobie o tym powiedziała. O dzieciach nic ci nie mówiła, prawda?

- Niewiele.

- To właśnie jest jedna z tych rzeczy, o których rzadko nawet napomyka. Chyba za bardzo ją to boli. Marcia i Evan uważają, że zabiła ich ojca, a ten pomysł wbiła im do głowy jej własna teściowa. - Gospościa zamilkła, przez chwilę nad czymś się zastanawiając. - Mogą tak myśleć również dlatego, że widzieli, jak Laurel się wtedy zachowywała. Nigdy nie powiedziała, że nie zamierzała przejechać Howarda. I nigdy nie wyjaśniła dokładnie, jak do tego doszło.

- Okropne.

- Masz rację - przyznała Maisie i westchnęła głęboko. - Dziwne, ale Laurel nie mogła się zdecydować na opuszczenie męża, póki żył, i nie potrafi zostawić go teraz, gdy umarł.

- Myślisz, że chciała odejść? - Alec sam wiedział, że czeka na odpowiedź Maisie ze zbyt wielką niecierpliwością.

- Niejedna kobieta by to zrobiła. Howard był człowiekiem melancholijnym i miał swoje humory. Rozumiesz, był typem wiecznie udręczonego faceta, a przy tym nieustannie bał się, że Laurel go opuści. Dlatego wtedy za nią pobiegł.

- Ona ci to powiedziała?

- Boże, chłopcze, nie musiała! Byłam tu.

Alec rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Widziałas, co się stało?

- Widziałam, jak za nią biegł, widziałam też wyraz jego twarzy. Resztę tylko słyszałam. - Maisie pokiwała siwą głową. - Klócili się. Chodziło im o Evana i o to, co Howard chciał mu kupić. No cóż, nie zgadzali się również w wielu innych sprawach, jak to zawsze bywa między mężem a żoną. Na przykład bez przerwy klócili się o to, co Laurel wolno, a czego nie wolno robić w ogrodzie. Howard stanął za samochodem i krzyczał jak szalony, że pozwoli jej na wszystko, tylko niech go nie opuszcza. To było żalosne.

Alec siedział w milczeniu i starał się wyobrazić sobie, jak by się czuł, gdyby miał stracić Laurel. Oczywiście najpierw musiałby sobie wyobrazić, że ta kobieta należy do niego.

Zarówno jedno, jak i drugie okazało się jednak zbyt trudne.

Ciężko westchnął i dał sobie spokój.

- Laurel chce, żebym ściął tę wielką sosnę - powiedział, zmieniając temat. - Sądzi, że twój mąż powinien mieć piłę elektryczną.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Któregoś dnia babcia Callie zaproponowała, żeby Alec zabrał Gregory'ego do Ivywild. Powinien wyjść z domu, powiedziała, zając myśli czymś innym, a nie tylko objawami i postępem swojej choroby. Jednak Alec uznał, że to pewnie babcia pragnie na chwilę wyjść z domu, a nie chce zostawiać Gregory'ego samego.

Zachowała się bardzo szlachetnie, pozwalając, by u niej zamieszkali, ale przecież miała własne życie oraz

przyjaciół, których zaniedbała, zajmując się chorym wnukiem. Zresztą Alec i tak starał się robić wszystko, co tylko mógł, by nie stali się dla niej ciężarem ponad siły. Przecież nie mogli oczekiwać, że poświęci im cały swój czas.

Gregory w zasadzie nie był obłożnie chory. Kręcił się po domu, ale brakowało mu energii. Sam się ubierał i rozbierał, sam też zażywał lekarstwa, jeżeli mu je przygotowano. Jednak trzeba było pilnować, żeby nie brał za dużych dawek oraz by jadał regularnie, a także wychodził na świeże powietrze i słońce, co podnosiło go na duchu. Był to więc jeszcze jeden powód, aby zabrać go ze sobą do pracy.

Wydawało się, że Gregory z przyjemnością wyszedł z domu. Spacerował wolnym krokiem po ogrodzie Laurel, od czasu do czasu zatrzymywał się, by powąchać jakiś kwiatek albo dotknąć liścia. Nawet próbował trochę pomóc bratu. Wziął motykę i zaczął porządkować trawnik.

Alec przez chwilę go obserwował, a gdy się upewnił, że brat czuje się dobrze, wrócił do kopania rowu, którym miała popłynąć woda do fontanny. Ogród okazał się zbyt gęsto zarośnięty, by mógł się posłużyć wypożyczoną koparką, bowiem zniszczeniu mogłyby ulec rośliny, które Laurel chciała zachować. Będzie mógł jej użyć dopiero wtedy, gdy rów trzeba będzie kopać za ogrodzeniem.

Machał zajadłe łopata, gdy nagle usłyszał trzask drzwi i wołanie Laurel. Spojrzawszy w tamtą stronę, zobaczył, że Gregory siania się na nogach. Alec cisnął łopatę i skoczył w jego stronę. Chwytał brata w ostatniej chwili.

- Przyrowadź go tu! - zawołała Laurel ze schodków. - Niech usiądzie w cieniu, na werandzie.

Alec był jej bardzo wdzięczny za tę propozycję. Jak mógł pozwolić, by Gregory tak się męczył! Kłopot polegał na tym, że Gregory'ego denerwował wszelki nadzór nad jego osobą. Zżymał się wtedy i wołał, że nie jest dzieckiem. Był dumny i drażliwy, co bardzo utrudniało właściwą opiekę nad nim.

Chwila słabości trwała tylko kilka sekund. Gregory, złościąc się i przeklinając, odepchnął Aleka. Upierał się, że sam dojdzie do wiklinowej huśtawki, która wisiała przy końcu werandy. Laurel rozumiała, że ciężko chory mężczyzna nie chce, by obserwowała, jak Alec pomaga mu iść, więc na chwilę skryła się w domu. Wróciła dopiero wtedy, gdy Gregory już wygodnie siedział. Przyniosła mu szklanek wody z lodem.

Przez chwilę Alec czuł nieprzytomną zazdrość.

Wobec niego Laurel nigdy nie zachowywała się tak troskliwie. No tak, ale z kolei on nigdy nie zemdlął niemal u jej stóp.

Patrząc, jak Gregory pije wodę, i przyglądając się jego pobladłej twarzy porośniętej niechlujną brodą, Alec podjął nagłą decyzję.

- Powiniennem był wiedzieć, że to będzie dla ciebie za męczące. Odpocznij chwilę, a potem odwiozę cię do domu.

- Nie martw się o mnie, braciszku - odparł Gregory z irytacją. - Jest mi tu bardzo dobrze. Wracaj do swoich obowiązków.

- Moim obowiązkiem jest martwić się o ciebie. Właśnie po to tu jestem. - Alec mówił to cierpliwym, lecz bardzo stanowczym tonem. - Powrót do domu zajmie nam tylko pięć minut.

- Już mówiłem, że nic mi nie jest. Po prostu posiedzę sobie tutaj i popatrzę, jak ćwiczysz mięśnie. Może też spotka mnie to szczęście, że ta miła pani dotrzyma mi towarzystwa.

Alec bał się, że Laurel rzeczywiście mogłaby zostać z Gregorym, i to był najważniejszy powód, dla którego tak uparcie namawiał go do powrotu do domu.

- Pani Bancroft jest zajęta - powiedział, nie patrząc na Laurel. - No, chodź.

- Nie jestem aż tak zajęta - oznajmiła Laurel spokojnie, - Z przyjemnością chwilę tu posiedzę.

- Nie musisz - mruknął Alec ponuro i wreszcie pozwolił sobie spojrzeć na jej uroczą twarz, lśniąca w słońcu włosy, długą spódniczkę z lawendowej bawełny i lekką bluzkę bez rękawów.

- Wiem - odparła z uśmiechem, ale nie popatrzyła mu w oczy.

Gregory przyglądał się im uważnie, coraz bardziej świadomy prądów, które między nimi istniały.

- Widzisz? - stwierdził z satysfakcją i pomachał ręką w kierunku ogrodu. - Idź sobie. Nie jesteś nam potrzebny.

Alec tylko zacisnął zęby. Domyślał się, o czym tych dwoje będzie ze sobą rozmawiać, ale nic nie mógł na to poradzić. Odwrócił się na pięcie i wyszedł na palące słońce.

Laurel, patrząc za nim, widziała, jak bardzo jest wzburzony. Oczywiście martwił się o brata i nie mogła mu tego mieć za złe. Był też wściekły na nią, bo wystąpiła przeciwko niemu. Jak to Maisie by powiedziała, sam chętnie wskoczyłby w buty brata. No cóż, ale Laurel bardzo zależało na rozmowie z Gregorym.

Przysunęła sobie bujany fotel bliżej huśtawki.

- W ostatnich dniach było tak gorąco i panowała taka wilgoć - powiedziała lekkim tonem - że zmogłoby to każdego, kto nie jest przyzwyczajony do naszej pogody. Naprawdę nie rozumiem, jak Alec to wytrzymuje

przez cały dzień.

Gregory złośliwie spojrział na brata.

- Jest silny jak słoń i wytrzyma wszystko.

- Przez większość czasu nawet nie nosi koszuli.

Zerknął na nią obojętnie.

- Słońce nie dokucza mu tak samo, jak tobie czy mnie. Ma w sobie indiańską krew.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wasz ojciec był Indianinem?

- Mój nie. Mówię o ojcu Aleka. - Uśmiechnął się pod nosem, jakby oczekiwał jakiejś reakcji, która jednak nie nastąpiła. - Wydaje mi się, że był mieszańcem, ale kto to może wiedzieć? Nie mieszkał z nami na tyle długo, byśmy go dobrze poznali.

- Rozumiem - powiedziała Laurel. Zrozumiała, że Gregory usiłuje ją zaszokować, jednak nie zamierzała do tego dopuścić. Ze spokojną twarzą spojrzała na niego, a potem na Aleka. Początkowo sądziła, że Gregory jest szczuplejszy i bledszy z powodu choroby, ale teraz doszła do wniosku, że nie było to prawdą. Nie uwierzyła mu też, że Alec jest niewrażliwy na słońce.

Gregory również jej się przyglądał, a w jego oczach widać było błyski rozbawienia.

- Nie jesteśmy do siebie zbyt podobni, prawda? Mój ojciec to typowy WASP\*. Był komiwojażerem ze Wschodniego Wybrzeża. Zabrał naszą kochaną mamę daleko od tego wszystkiego. - Szerokim gestem ręki objął zarówno Hillsboro, lasy otaczające dom, jak i całą Luizjanę. - Z kolei ojcem naszej młodszej siostry, Mity, jest Azjata. Mama, będąc typowym produktem lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, uparła się, że udowodni swój brak przesądów rasowych. Mawiała też, że chciała mieć stadko niezwykłych dzieci. Wierzyła w Matkę Ziemię oraz w samotne macierzyństwo i nie obchodziło jej, czy po splodzeniu potomstwa ojciec ma zamiar zostać z nią, czy też ruszyć w świat.

- Musiała być niezwykłą kobietą. Gregory uśmiechnął się.

- Na swój sposób. Umarła, wydając na świat latynoskie dziecko. Przynajmniej wydawało nam się, że takie będzie, ale tylko ona wiedziała to na pewno. W każdym razie coś poszło źle i zmarli oboje. Wydaje mi się, że była już trochę za stara na dzieci, bo przecież ja już miałem osiemnaście lat.

- Przykro mi - powiedziała Laurel, niezupełnie pewna, czy współczuje mu z powodu straty matki, czy też przeprasza go za to, że dążąc do rozmowy o Aleku, zmusiła Gregory'ego, by opowiadał o tak osobistych sprawach.

Spojrzał w bok.

- To już chyba nie ma znaczenia. Umarła tak dawno temu.

Laurel pomyślała, że zawsze było to dla niego ważne i nadal pewnie jest. Dla Aleka również. Nie mogła jednak powiedzieć tego głośno.

- Byłeś bardzo młody, kiedy musiałeś wziąć na siebie wielką odpowiedzialność - zauważyła.

- Ja i odpowiedzialność? - Roześmiał się szorstkim, chropowatym śmiechem. - Wybrałaś nie tego faceta.

- Wygląda na to, że nie było żadnego innego dorosłego mężczyzny, który mógłby zająć się rodziną.

- Rzeczywiście. Był tylko Alec. Laurel oparła głowę o plecy fotela. Kołysząc się, rozmyślała o tym, co przed chwilą usłyszała.

- Przecież on miał wtedy trzynaście, najwyżej czternaście lat.

- Coś koło tego, ale nasz mały mężczyzna zawsze był wysoki i silny jak na swój wiek.

- Nie rozumiem, co usiłujesz mi powiedzieć. - Laurel przestała się kołysać.

- Bo nie możesz tego zrozumieć - odparł z nutką złości w głosie. Rozejrzał się po posiadłości. - Wyobrażam sobie, że zawsze byłaś przyzwrotną osobą. Założyłbym się, że nigdy w życiu nie byłaś głodna, tak naprawdę głodna. Zawsze dokładnie wiedziałaś, kim jesteś, skąd pochodzisz i gdzie jest twoje miejsce na ziemi. Nie dręczyły cię żadne wątpliwości, nie musiałaś oddawać się szalonym domysłom, nie przyglądałaś się sobie w denku butelki albo w białym proszku, którego nazwy nawet nie potrafiłabyś wymówić...

Zamilkł, ale Laurel w końcu rozumiała. Gregory już jako osiemnastoletni chłopak używał narkotyków, tak więc Alec musiał zająć się i sobą, i swoją małą siostrzyczką.

- Nie pomogła wam żadna instytucja rządowa? - spytała.

- Och, oczywiście, że mogłaby pomóc. Wtedy umieszczono by Aleka i Mitę w różnych rodzinach zastępczych, ale on się na to nie zgodził. Oszukał ich, gdy przyszli. Może i jest bękartem, ale mądrym bękartem. No i miał starą panią Chadwick.

Laurel zadrzała. Współczucie dla Aleka, a teraz dla całej jego rodziny sprawiło, że prawie zapomniała, dlaczego w ogóle podjęła tę rozmowę.

- Kim była ta pani? - spytała, czując, jak cała sztywnieje.

---

\* WASP (ang. *A White Anglo-Saxon Protestant*) - osoba rasy białej, pochodzenia anglosaskiego, religii protestanckiej, z reguły wyznająca poglądy konserwatywne (przyp. red.).

- Właścicielką domku, do którego Alec przeprowadził nas ze slumsów. - Gregory skrzywił się. - Miała wielką posiadłość: basen, pole golfowe, korty tenisowe, wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, łącznie z szoferem i chińskim ogrodnikiem.

- Panem Wu - domyśliła się Laurel.

- A więc Alec mówił ci o nim. Nie dziwię się. Ten stary był jego bożyszczem. Zanim się przeprowadziliśmy, mieszkał blisko nas, na granicy Chinatown. Wolał to niż służbowy domek w posiadłości, gdzie pracował. Wydaje mi się, że podziwiał Aleka za jego spryt i obrotność. W każdym razie pan Wu płacił mu jakieś drobne sumy za pomoc w ogrodzie starszej pani. Alec jeździł tam, gdy tylko mógł się wyrwać po lekcjach.

Laurel, obserwując sztywne ruchy Aleka, który kopał rów, pomyślała, że na pewno wie, o czym teraz rozmawiają, nawet jeżeli nie słyszy słów. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Gdy się pochylał i prostował, słońce przesunęło się po jego włosach, czarnych i lśniących jak skrzydło kruka. Indiańska lśniąca czerń. Wszystko się zgadzało.

Kiedy spostrzegła, że Gregory patrzy na nią ze złośliwym uśmieszkiem, szybko zebrała rozproszone myśli.

- Czy pan Wu był spokrewniony z Mitą? - spytała, jakby właśnie o tym przed chwilą rozmyślała.

- Chodzi ci o to, czy był jej ojcem? Boże, nie! Był bardzo stary, miał białą brodę aż do tyłu. - Gregory opuścił rękę w okolicę pasa. - Jednak tak ją lubił, że zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest córką jego najstarszego syna. W każdym razie po śmierci mamy Alec zebrał się na odwagę i spytał panią Chadwick, czy moglibyśmy zamieszkać w domku ogrodnika na tyłach posiadłości, skoro pan Wu z niego nie korzysta.

- Przeprowadziliście się, żeby uniknąć zainteresowania ze strony opieki społecznej - stwierdziła Laurel, sama sobie wyjaśniając tamtą sytuację.

Gregory skinął głową.

- Alec uważał, że nikt nie będzie nas tam niepokoić, i miał rację. Powiedział pani Chadwick, że nasza mama jest chora i leży w szpitalu. Wierzyła mu przez trzy miesiące, albo trochę dłużej, ale to wystarczyło.

Laurel nawet nie próbowała kryć ciekawości.

- Wystarczyło na co?

- Żeby ją sobie okręcił wokół palca. Nasz Alec jest miły w obejściu. A może tego nie zauważyłaś? - Spojrzał na Laurel domyślnie, a na jego szczupłej twarzy znów pojawił się złośliwy uśmieszek.

- I mówisz, że miał wtedy trzynaście lat?

- Tak.

- A ta kobieta?

- Wtedy wydawała nam się stara - powiedział z uśmiechem - chociaż nie sądzę, by miała więcej, niż... hm... ty teraz.

Pani Chadwick była starsza od Aleka o prawie trzydzieści lat i mogła być jego matką. Coś podobnego! Chyba nie z nią Alec się ożenił?! A może jednak tak?

- Już znasz tę historię, prawda? - domyślił się Gregory. - Dziwne. Aleka tak to żenuje, że nie lubi o tym mówić.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale ciebie to nie żenuje?

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale, jak wiesz, ja nie mam ani obycia, ani nie odczuwam wstydu. Pani Chadwick nigdy nie miała dla mnie wiele czasu, nawet wtedy, gdy tam przebywałem, co zresztą nie zdarzało się często. Natomiast Mitę traktowała jak laleczkę, stroiła ją, pokazywała się z nią na mieście. Jednak jej ulubieńcem był Alec.

- Mówisz to tak, jakbyś widział w tym coś złego. - Laurel nie zdobyła się, by jasno wyrazić to, co naprawdę myślała.

- No właśnie, bo to na swój sposób było złe. Mój braciszek nie jest lepszy ode mnie, też popełnia błędy. I, tak jak ja, płaci za nie. Z odsetkami.

Laurel usłyszała gorycz w jego głosie, jednak za bardzo chciała poznać historię życia Aleka, by poświęcić uczuciom Gregory'ego coś więcej niż przelotną myśl.

- Na czym polegał jego błąd? - spytała.

- Powiedział „tak”, gdy pani Chadwick poprosiła, by się z nią ożenił.

A więc to była prawda! I to gorsza, niż myślała. Alec ożenił się z kobietą, która mogłaby być jego matką. O mój Boże!

Do tej pory tak naprawdę w to nie wierzyła, ale teraz już musiała. Liczyła na to, że podczas rozmowy z Gregorym Stantonem okaże się, iż teściowa skłamała lub przynajmniej mocno ubarwiła i nasyciła obrzydliwymi szczegółami w gruncie rzeczy niewinną historię.

Niestety, to teściowa miała rację, a nie ona.

- Wydaje mi się - stwierdziła spokojnie - że wszyscy popełniamy jakieś błędy.

- Tak, ale niektórzy popełniają ich więcej niż inni - zauważył Gregory z posepnym westchnieniem. Laurel chciała być absolutnie uczciwa.

- Wygląda jednak na to, że Alec niewiele skorzystał na tym dziwnym małżeństwie - powiedziała bardzo ostrożnie.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Dzięki pieniądзом pani Chadwick został inżynierem, natomiast Mita skończyła studia medyczne i teraz jest pediatrą. Zaś ja... No cóż, ja od lat nie muszę się martwić o to, co zjem ani gdzie się prześpię, lecz tylko o to, by mieć pieniądze na zaspokojenie innych potrzeb.

- Utrzymał cię - powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Tak - przyznał, nie patrząc na nią. - Alec mnie utrzymywał.

To wiele tłumaczyło, chociaż, oczywiście, nie była to jej sprawa.

- Chyba nie było to jednak dla niego zbyt wielkie obciążenie. Dzięki małżeństwu zdobył wykształcenie, a więc i możliwość dobrej pracy, no i odziedziczył po żonie całkiem spory, jak myślę, majątek - dodała natychmiast.

Gregory wzruszył ramionami.

- Gdy starsza pani umarła, spadkobiercy narobili trochę kłopotów, mimo to Alec nadal się nami zajmował. Teraz... - Gregory zamilkł.

Teraz Alec też się nim opiekuje, dopowiedziała w duchu Laurel, bo Gregory powoli umiera.

- Masz do niego o to żal - stwierdziła w nagłym zrozumieniu. - Byłoby ci łatwiej, gdyby wszystko wydal na siebie, nie możesz też znieść tego, że przyjechał tutaj tylko z twojego powodu.

- Nie potrzebuję wcale jego opieki - zachnął się Gregory. - W ogóle go nie potrzebuję.

Och, mylisz się, pomyślała Laurel, a twoja gorycz jest tym większa, im bardziej zdajesz sobie z tego sprawę. Czy Alec rozumie, co naprawdę czujesz? Tak, na pewno, bo nawet nie starasz się tego ukrywać. Mimo to został z tobą i pomaga ci, jak tylko może, byś żył jak najdłużej. Hojnie dzieli się z tobą swoją siłą, której jest w nim tak wiele.

Nie chciała tak myśleć, nie chciała czuć sympatii ani podziwu dla Aleka, bo przez to będzie jej trudniej zrealizować swój plan.

Lecz i tak nic jej nie powstrzyma. Nie jest łatwowierną kobietą, marzącą tylko o tym, by wpaść w silne męskie ramiona, nie nabierze się na rutynowe gierki doświadczonego uwodziciela. Dobrze wiedziała, do czego by to doprowadziło. Musiała się bronić, bo... bo pragnęła na nim polegać, ufać mu, czerpać z jego siły i przeżywać z nim cudowne chwile. Tęskniła za kimś, kto ogrzałby jej zmarznąętą duszę, marzyła, by nasycić się tą namiętą radością życia, jaka płonęła w Aleku.

Nie było to jednak możliwe, a z każdym dniem było jej trudniej. Nie wiedziała, jak długo uda jej się zachować pełen rezerwy dystans. Tak krótko pracowali razem w ogrodzie, a już za nim tęskniła, pragnęła przebywać z nim cały czas. Musiała kontrolować każdy swój gest i słowo, skąpo dozowała sobie chwile, które spędzali razem. Wiedziała, że łatwo mogłaby uzależnić się od jego witalnej siły, którą wręcz chłonęła z niego. Niestety, musiała zachowywać się jak małostkowa i kostyczna pracodawczyni. Z przykrością i wstydem wyszukiwała wciąż nowe roboty dla Aleka, lecz tylko w ten sposób mogła się od niego odgrodzić.

Wreszcie Gregory przerwał ciszę, która trwała już od dłuższego czasu.

- Jestem taki... zmęczony. Chyba powinienem wracać do domu - oznajmił ponuro. - Powiedz Alekowi...

- Masz na myśli dom twojej babci, a nie Kalifornię? - spytała Laurel. Nie chciała jeszcze wzywać Aleka, bo przecież dopiero co odesłała go do pracy.

- Miesiące spędzone w domu babci Callie były najpiękniejszymi chwilami mojego dzieciństwa - odparł Gregory obojętnie. - Mama miała zwyczaj wracać do Luizjany, gdy jej się nie wiodło, a na ogół zdarzało się to wtedy, gdy miała kolejne dziecko. Kiedyś zostawiła nas u babci na całe długie lato. Najlepiej byłoby, gdyby już więcej się nie pokazała.

- Chyba naprawdę tak nie myślisz?

- A niby dlaczego? - spytał i uśmiechnął się gorzko. - Gdyby po nas nie wróciła, pewnie stałbym się zwykłym bucem z Południa, rozjeżdżałbym się pikapem, a na tylnym siedzeniu miałbym puszki z piwem zamiast prochów i teraz nie byłbym schorowanym ćpunem. A Alec... - Wciągnął głęboko powietrze do płuc.

- Proszę, zawołaj go.

Chciał, żeby to ona przywołała Aleka. Dlaczego? Może dlatego, że wtedy Alec pomyślałby, iż Laurel robi to z własnej woli. Nie zorientowałby się, że Gregory już dłużej nie ma siły tu siedzieć i rozpaczliwie potrzebuje jego pomocy. Albo też Gregory chciał poniżyć Aleka, przyglądając się, jak wykonuje jej polecenia... To smutne, pomyślała. Czyżby jedynym celem, dla jakiego żył ten facet, było dokuczanie swojemu zdrowemu bratu?

Laurel wstała, podeszła do poręczy i czystym, jasnym głosem zawołała Aleka.

Gdy ją usłyszał, spojrział w górę znad rowu, który kopał. Jego czarne oczy lśniły jak obsydian opromieniony światłem słońca. Uniósł pytająco brwi.

- Wydaje mi się, że twój brat byłby ci wdzięczny, gdybyś mógł go już odwiedzić do domu.

Patrzył jej w oczy przez długie sekundy, a potem powoli skinął głową. Mogło to oznaczać jedynie, że przyjął jej słowa do wiadomości, ale ona przez chwilę poczuła się tak, jakby przebywała z tym mężczyzną w prawdziwej wspólnocie. My oboje, pomyślała, dobrze się nawzajem rozumiemy. Może nawet aż za dobrze.

Do jej uszu dobiegło dosadne przekleństwo Gregory'ego, ale zupełnie się nie przejęła jego humorami.

Jakiś czas po tym, jak Alec wrócił po odwiezieniu brata, usłyszała odległy grzmot. Podniosła głowę znad katalogu. Właśnie czytała o Monsieur Tillier, staroświeckiej odmianie czerwonych róż, którą chciałaby zamówić do swojego ogrodu. Następny grzmot był dużo głośniejszy. Przez koronkową firankę przebił się blask błyskawicy. Doliczyła tylko do pięciu i znów rozległ się grzmot. Burza była blisko.

Czy Alec ciągle jeszcze pracuje w ogrodzie? Może powinien przeczeekać burzę na werandzie? Albo schować się w garażu?

Gdyby wiatr zanadto się wzmógł, powinna go zaprosić do środka, ponieważ weranda dobrze chroniła przed niewielkim deszczem, lecz nie przed ulewą. Garaż oczywiście był szczelny i absolutnie bezpieczny. Gdyby tylko Alec miał dość rozumu, by tam pobiec...

Z drugiej strony, skoro wychował się w Kalifornii, może nie zdawać sobie sprawy z siły luizjańskich późnowiosennych burz. Może nie wiedzieć, jak szybko wiatr przechodzi niemal w huragan. Nerwowo stukając długopisem w katalog, Laurel zastanawiała się, czy ma do niego pójść.

Na miłość boską, przecież Alec jest dorosłym mężczyzną i potrafi o siebie zadbać! Nie potrzebuje, by go niańczyła. A może jednak tak?

Czyż nie tego właśnie pragną młodzi mężczyźni, gdy szukają towarzystwa starszej kobiety? Czysty freudyzm, pomyślała. Alec stracił matkę jeszcze w dzieciństwie i musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za rodzeństwo, chociaż sam jeszcze powinien być otoczony serdeczną opieką rodziców.

Tak... A może to ona czuła do niego słabość, bo stanowił dla niej namiastkę syna i córki, których odebrała jej teściowa... lub może wpadła w jakąś inną psychologiczną pułapkę? To również miało sens.

Słyszała, jak pierwsze krople szeleszczą w liściach magnolii rosnącej pod jej oknem. Podjęła decyzję, odgarnęła z twarzy włosy i pobiegła do drzwi.

Aleka nie było we frontowym ogrodzie. Laurel zatrzymała się tu na chwilę. Rozkoszowała się chłodną wilgocią, słuchała bicia kropli deszczu o dach i głęboko wdychała zapach mokrej ziemi. Wiatr igrał z jej włosami, okręcał spódniczkę wokół nóg. Nagle usłyszała z oddali szum ulewy. Nadchodziła zza lasów i kierowała się na dom. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła ciężką kurtynę deszczu.

Zbiegła ze schodków, pochylając głowę, bo wpadła pod prysznic kropel skapujących z dachu, i poszła krętymi ścieżkami do bocznego ogrodu. Przy furtce zatrzymała się i zajrzała do garażu.

Aleka tam nie było.

Zawróciła na ścieżkę, którą tu przyszła, ruszyła na drugą stronę domu. Deszcz się wzmagał, więc pobiegła.

Wtedy go zobaczyła i zatrzymała się jak wryta.

Siedział na pokrywie cysterny ze skrzyżowanymi nogami, ręce położył na kolanach, co rozpoznała jako pozycję lotosu. Palce lekko zgiął, miał zamknięte oczy, twarz nieruchomą i uniesioną w niebo.

Deszcz walił w niego z całą siłą, moczył mu włosy, tłukł po ramionach, a potem spływał strumyczkami po gołej piersi i na płaski brzuch. Lśniącą kurtyną przykrywał jego umięśniony tors, obmywał go w tak naturalny sposób, jakby Alec był drzewem lub posągami, a nie żywym człowiekiem. Teraz zrobiło się zimno, wiał ostry wiatr, ale wydawało się, że Alec nie odczuwa chłodu. Jego nagie ciało błyszczało, złocistobrązowe i gładkie, bez gęsiej skórki.

Spokój. Radość. Namietna radość. Właśnie takie uczucia emanowały z niego i docierały aż do niej, jakby chciał ją do siebie przyciągnąć. Podeszła o krok bliżej.

Nagle Alec otworzył oczy. Emocje, jakie wysyłał, spotęgowały się tysiącrotnie, były wstrząsająco intensywne. Ale najbardziej ze wszystkiego przerażała Laurel nieodparte pragnienie, by mu odpowiedzieć całą sobą, głęboka potrzeba, by przyłączyć się do niego w tej deszczowej kąpieli, znaleźć się wewnątrz kręgu jego ciepła i spokoju. Jego płonącej pasji życia.

Stojąc tak, prawie zapomniała o oddychaniu. Wreszcie westchnęła głębiej i wraz z powietrzem, które napływało do płuc, wrócił jej rozum. Okręciła się na pięcie, a mokra spódniczka zawirowała wokół jej łydek, pryskając kroplami wody. Pochyliła głowę, by ochronić twarz przed deszczem, i pobiegła do bezpiecznego azylu, jakim był dla niej jej dom.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Laurel przyglądała się misie, którą wyjęła z pieca. Była duża, największa, jaką mogła ulepić na swoim kole, ale płytka jak chrzcielnica. Wypalała ją dwa razy: najpierw samą glinę, potem wewnątrz pokryła pofalowanymi cieniami przezrystej glazury w niebiesko-zielonych kolorach i wypaliła jeszcze raz. Była dumna z wyniku. Uzyskała jedną z najlepszych rzeczy, jakie zrobiła od czasu, gdy po śmierci Howarda na serio zajęła się garncarstwem.

Howardowi nie podobał się ten „cały bałagan przy garnkach”, jak to nazywał. Wydawał się zazdrosny o czas, który jego żona spędzała przy tym zajęciu, chociaż Laurel starała się chodzić do szopy tylko wtedy, gdy mąż był w pracy. Narzekał też, że glina wysuszała jej ręce, przez co stawały się szorstkie, a poza tym musiała krótko obcinać paznokcie. To były jednak tylko preteksty, bo tak naprawdę chodziło o to, że jej artystyczne ciągoty wprawiały go w zakłopotanie. Nie na takie rozrywki zwykły przeznaczają swój wolny czas kobiety z Hillsboro. Nie miał nic przeciwko pracy w ogrodzie, jeżeli tylko przynosiła praktyczne efekty, czyli własne warzywa i owoce, nie protestowałby też przeciwko haftowaniu czy szydełkowaniu albo nawet malowaniu. Za nic jednak nie mógł zrozumieć, co takiego nadzwyczajnego Laurel widziała w glinianych garnkach?

A ona nie potrafiła mu tego w sposób zadowalający wytłumaczyć. Po prostu lubiła kształtować przedmioty z gładkiej, miłej w dotyku gliny, radowało ją patrzeć, jak powstają pod jej rękami, kochała moment otwierania pieca, gdy widziała, jak kolory i wzory, które nakładała, używając tlenków metali, zmieniły się pod wpływem ognia. Tworząc garnki, czuła się silna, twórcza i wewnętrznie uporządkowana.

Szopa była także jej azylem, chociaż i tej potrzeby chronienia się w niej Laurel nie potrafiłaby wytłumaczyć. Howard potraktowałby to jako afektowaną pozę, chociaż sam był jednym z najbardziej zamkniętych w sobie ludzi, jakich знаła. W czasie trwania ich małżeństwa wychodził z domu właściwie tylko do pracy, nie pragnął żadnych rozrywek, nie szukał towarzystwa innych ludzi. Był zatwardziałym domatorem. Laurel czasami nawet miała wrażenie, że Ivywild jest dla niego swoistym sanktuarium. A teraz ona traktowała je tak samo.

W tym tygodniu chodziła do szopy głównie po to, by trzymać się z dala od Aleka. Z okien czasami udawało jej się zobaczyć, jak kopie rów albo kładzie rury. Idąc do szopy i wracając do domu, obserwowała postępy prac przy fontannie. W ten sposób uczestniczyła w tym, co Alec robił, a jednocześnie pozostawała w ukryciu.

Poza tym znów, po dłuższej przerwie, wróciła do garncarstwa. Z lekkim uśmiechem na ustach przebiegała palcami po wnętrzu misy, jeszcze cieplej od ognia, i rozkoszowała się gładkością glazury. Z początku chciała posadzić w misie sukulentę i postawić ją przy tylnych drzwiach domu, ale doszła do wniosku, że szkoda byłoby zakrywać ziemią tak wspaniałe kolory. Zostawiła misę na stole, by ostygła. Później na pewno ustali, jak inaczej ją wykorzystać. Zawsze tak się działo.

Wróciła do lawy i spojrzała na prawie metrowej wysokości owalną bryłę gliny, którą sobie wcześniej przygotowała. Obok leżała kartka z katalogu sztuki z reprodukcją płyty zainspirowanej przez *Bocca della Verita* czyli Usta Prawdy. Oryginał znajdował się w rzymskim kościele Santa Maria in Cosmedin. Była to podobna do gargulca twarz mężczyzny. Miał włosy i brodę utworzone ze stylizowanych liści, z jego otwartych ust zwisał język. Stara legenda mówiła, że jeśli ktoś włoży do nich rękę i wypowie kłamstwo, usta mężczyzny zatrzasną się. Ilustracja przywołała również na myśl Zielonego Człowieka z europejskich mitów. Wyrzeźbiona twarz wyrażała najbardziej lubieżne treści święta Bekane, obchodzonego w wigilię pierwszego maja, kiedy to starożytni poganie oddawali cześć płodności przyrody.

Ta twarz od dawna bardzo intrygowała Laurel. Starła się przeniknąć prawdziwe myśli artysty, jakie nawiedzały go podczas tworzenia tego dzieła, a także fascynował ją pomysł, że mogłaby ów niezwykle wizerunek wyrzeźbić w glinie. Zrobiłaby sobie własnego Zielonego Człowieka, zamiast zamawiać go w firmie wysyłkowej.

Położyła ręce na glinie i zaczęła uciskać ją, miesić i kształtować. Nie skopiuje obrazka z katalogu, wykorzysta go tylko jako wskazówkę dotyczącą rozmiarów i proporcji. Z radością patrzyła na twarz, która powstawała pod jej silnymi kciukami. Oplukała ręce w wodzie, a potem zabrała się do modelowania nosa i czoła. Sięgnęła po pilnik i dłuto, i zaczęła rzeźbić łuki oraz zagłębienia.

Straciła poczucie czasu. Cieniowała rysy mężczyzny, dodawała zmarszczki, tworzyła kontrasty. Zapomniała o psie leżącym u jej nóg, nie czuła, jak z głodu burczy jej w brzuchu. Od wielu lat, może nawet nigdy w swym życiu, oprócz okresu, gdy dzieci były małe, nie czuła się tak szczęśliwa.

Wreszcie Maisie przyniosła jej coś do zjedzenia. Okropnie zrzędziła, ponieważ jej pracodawczyni nie przyszła na lunch. Laurel podziękowała jej, myśląc o czymś innym i nie odrywając oczu od płyty, zjadła kawałek sera i ugryzła jabłko. Po chwili odłożyła je na ławę, by poprawić jakiś drobiazg. Gdy podniosła oczy, Maisie już nie było, a na jabłku kłębiły się mrówki.

Minęło jeszcze trochę czasu i w drzwiach ktoś stanął. Sticks spojrzał w tamtą stronę, ale tylko wałnął

ogonem w ziemię i z powrotem położył łeb na łapach. To musiał być Alec.

Nie odkładając dłuta, spjrzała na niego przez ramię. Wchodził do środka. Gdy ją zobaczył i zorientował się, co robi, na jego ustach pojawił się szczery uśmiech. Radość, jaką okazał, przypomniała jej tamto popołudnie, gdy rozpętała się burza, a ona poczuła się tak niezręcznie.

Szybko powróciła wzrokiem do bryły gliny. Całe jej ciało przebiegł dreszcz. Palce same zacisnęły się na dłucie.

Zielony Człowiek, którego twarz tak pracowicie kształtowała w miękkiej, podatnej glinie, był łudząco podobny do Aleka. Szerokie czoło, grube brwi i wysokie kości policzkowe, włosy opadające w luźnych lokach, by zmieszać się z pędami winorośli i liśćmi. Jego radość życia i płonące, choć spokojne spojrzenie odbiły się w glinie tak, jak je widziała Laurel, gdy patrzyła na niego przez kurtynę deszczu. Ale było tu również coś, co zauważyła w nim owej pierwszej nocy, gdy nagle wyłonił się przed nią z płataniny krzewów. Jakaś utajona groźba i gorący uśmiezek satyra na lekko rozchylonych ustach, niema obietnica wyszukanych, choć zakazanych rozkoszy.

Laurel odłożyła dłuto, wypłukała ręce i sięgnęła po ręcznik. Z wymuszoną obojętnością wytarła ręce i dopiero wtedy odwróciła się do Aleka.

- Skończyłeś pracę? - spytała swobodnym tonem. - Nie zauważyłam, że już jest tak późno.

Pochylił głowę.

- Jeśli możesz się na chwilę oderwać od swojej roboty, chciałbym ci coś pokazać.

- Tak, oczywiście. - Ucieszyła się, że sam podsunął jej pretekst, by jak najszybciej mogli wyjść z szopy i oddalić się od rzeźby. Poczowała ulgę i dlatego jej słowa zabrzmiały serdeczniej niż w ciągu wielu ostatnich dni.

Jednak zamiast skierować się do drzwi, Alec wszedł głębiej do szopy.

- Co to jest?

Zesztywniała na chwilę, potem zobaczyła, że Alec pokazuje na misę, którą wcześniej wyjęła z pieca. Podeszła do ławy, by zasłonić sobą Zielonego Człowieka. Wzięła naczynie do ręki i podała mu.

- Naprawdę sama to zrobiłaś? - spytał ze zdumieniem, obracając misę do światła.

- Tak - odparła sztywno.

- Fantastyczna - mruknął.

Poczowała się głęboko wdzięczna za tę pochwałę.

- Po prostu eksperymentowałam z kolorami.

- Przywodzi na myśl dno morza - powiedział. - Pokarbowany piach i słońce przedzierające się przez wodę.

Właśnie tak to wyglądało. Teraz to zobaczyła. Ale najbardziej zdziwiło ją, że Alec wypowiadał te słowa pewnie, bez żadnego skrępowania. Jednak nie zamierzała okazywać wdzięczności.

- To przypadek, ale podoba mi się ten wzór.

- Czasami przez przypadek można osiągnąć najlepsze rezultaty.

- Interesujesz się garncarstwem? - Zdawała sobie sprawę, że zdumienie w jej głosie brzmiało inaczej niż jego opinia o jej pracy.

- Zrobiłem kilka rzeczy - powiedział, wzruszając ramionami. - Przeważnie dużych, takich jak urny, misy, kolumny...

- Pewnie pan Wu cię tego nauczył.

- Owszem. - Kącik ust Aleka uniósł się w krzywym uśmiešku. - Lubił pergole, donice i tym podobne rzeczy. Nazywał je szkieletem ogrodu. Niestety to, co znajdował w sklepach, albo rzadko mu się podobało, albo ceny były niebotyczne. Szkoda, że nie słyszałaś, co o tym mówił, przeważnie zresztą po chińsku. Kilka rzeczy sprowadził z Europy i Azji, ale większość zrobił sam.

- Zdumiewający człowiek.

- Tak - przyznał Alec i na moment, jakby w obronnym geście, przymknął oczy. Po chwili znów się odezwał: - Mam pomysł, co zrobić z twoją misą.

- Co takiego?

- Pokażę ci, gdy już ją ustawię. Jeżeli ci się nie spodoba, wystarczy, że mi to powiesz.

Laurel spojrzała na niego, ale nic nie wyczytała z jego twarzy.

- Mam tylko nadzieję, że nie zamierzasz robić w niej otworu?

- W żadnym wypadku!

Stanowczość w jego głosie uspokoiła ją. Do tej pory wykazywał się znakomitym wyczuciem, poza tym była ciekawa jego planu.

- Dobrze - zgodziła się, a potem ostro dodała: - Mówiłeś, że chcesz mi coś pokazać.

Na dźwięk jej tonu wyraz jego twarzy zmienił się.

- Tak, proszę pani - odparł, przeciągając głoski jak mieszkaniec Południa. - Tędy, proszę. - Zabawnie

parodiując lokaja, wskazał jej drzwi.

Idąc przed nim, stwierdziła, że te żarty w jakiś dziwny sposób podobają się jej. Jednak rozumiała także, że od żartów do poufałości jest tylko jeden krok i że może to być o ten jeden krok za dużo.

Usłyszała ją, zanim jeszcze ją dostrzegła. Spojrzała pytająco na Aleka, a on wyrazem oczu potwierdził jej domysły. Przyspieszyła kroku, niemal pobiegła do bocznej furtki. Okrążyła owalny koniec domu i stanęła jak wryta.

Miała swoją fontannę! Tryskająca ze zgrabnej podstawy woda lśniła w ostrym świetle późnego popołudnia. Wzbijała się w górę, a potem łukiem opadała z płynnym wdziękiem, tańczyła w promieniach słońca i mieniła się tęczowo, zanim spadła znów do kwadratowego baseniku. Nappełniała powietrze słodkimi, naturalnymi dźwiękami. Jasna, czysta, płynąca bez końca, uwięziona, a mimo to wolna dusza strumyka. Właśnie tego Laurel chciała, ale dostała o wiele więcej, niż się spodziewała. Poczła się szczęśliwa. Uśmiechnęła się i stała wpatrzona w to cudo, a uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Alec stanął obok niej i patrzył, jak blask radości wypływa na jej twarz. W jednej chwili zapomniał o ciężkiej harówce, bo oto otrzymał swoją nagrodę. Nawet jeżeli Laurel nie okaże wdzięczności ani jednym słowem, na zawsze zapamięta tę chwilę. Przekonał się, że warto było się trudzić.

Potem odwróciła się do niego. Jej uśmiech był tak radosny, twarz tak jasna i spokojna, że serce zadrzało mu w piersi. Nie powodowała nim żadna świadoma decyzja, żaden racjonalny powód. Był to czysty instynkt. Z otwartymi ramionami postąpił krok ku niej.

Padła w jego ramiona - będzie pamiętał tę chwilę do ostatniej sekundy swojego życia - i przytuliła się do niego. Wstrzymując oddech, dopasował jej szczupłe, miękkie ciało do swojej potężnej sylwetki, a wgłębienia i wyniosłości ułożyły się tak, jakby zostali dla siebie stworzeni. Zamknął oczy, wdychając jej zapach, smakując poczucie spełnienia. Potem wziął powolny, głęboki oddech, bo słodka, zmysłowa kombinacja zapachu róż, jaśminu i ciepłego kobiecego ciała uderzyła mu do głowy, aż zawirował cały świat.

Czuł się pijany szczęściem... i rozpaczliwie pragnął czegoś więcej.

A przed sekundą myślał, że jej uśmiech jest wystarczającą nagrodą.

Cierpliwości! Nie wolno mu jej ponaglać. Powinien ją uwolnić, szybko cofnąć się o krok, gdy tylko będzie mógł się poruszyć. Musi ukryć łomot krwi w żyłach. Powiedzieć coś, cokolwiek, by zmniejszyć napięcie, które powstało między nimi w chwili, gdy Laurel uświadomiła sobie, co on zrobił i jak ona na to zareagowała.

Boże, jak jej pragnął! Pragnął mieć ją w swoich ramionach i widzieć uśmiech na jej twarzy, ufny i pełen zachęty.

Czy oczekuje zbyt wiele?

Zaprotestowała cichym, ale gwałtownym okrzykiem i czar, jaki na niego rzuciła, gdzieś przepadł. Szczególna chwila minęła. Z obojętną twarzą odsunął ją od siebie. Uniósł brwi, uśmiechnął się.

- Masz dla mnie jeszcze jakieś wodne roboty? - spytał.

Błękit jej oczu ściemniał aż do koloru indygo. Miękki drellich, z którego była uszyta jej robocza bluza, podnosił się i opadał w rytmie walącego serca. Alec pomyślał, że Laurel zaraz się rozplacze. A może była nie tylko głęboko rozżalona tym, co się stało, ale również wściekła? Trudno mu było to stwierdzić z całą pewnością.

W głębokiej ciszy popołudnia rozległo się jej ciche westchnienie.

- Nie, ta fontanna mi wystarczy - powiedziała ochryple. - Jest cudowna. Dokładnie taka, jaką wyczarowałam w wyobraźni, chociaż nie rozumiem, w jaki sposób się tego domyśliłeś.

Zastanowił się, co tak naprawdę Laurel o nim wiedziała. Gregory w specyficzny dla siebie sposób ujawnił przed nią bolesne fakty z jego życia, natychmiast z radością informując go o tym. Jak mógł wyjaśnić jej swoją przeszłość, skoro o nic nie pytała?

Zastanowiło go jednak to, że Laurel, choć mogła potępić go za perfidne wykorzystanie jej impulsywnie okazanej radości i wdzięczności, o nic go nie obwiniała. Była na to zbyt uczciwa... albo też Alec przykładął do tego incydentu zbyt wielką wagę.

Po prostu cieszyła się z pięknej fontanny i to wszystko.

No cóż, była typową przedstawicielką swojej klasy, i on to akceptował. Jednak była też kimś więcej, kobietą piękną i opanowaną, która kryła w sobie zupełnie wyjątkowe wartości. Nie była dla niego przeznaczona. Nigdy nie będzie do niego należała.

Pełen gorzycy, musiał się z tym pogodzić.

Sztywno skinął głową.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział spokojnie, chociaż czuł w sobie pustkę.

- Jestem zachwycona - odparła miękko. Zaczął się wycofywać, bo bał się, że może zrobić lub powiedzieć coś przerażająco głupiego. Czuł się zdruzgotany.

- Do zobaczenia rano - powiedział.
- W poniedziałek - uściśliła takim głosem, jakby jej myśli wędrowały gdzieś daleko.
- Tak, prawda, w poniedziałek.

Odwrócił się, długimi, szybkimi krokami przemierzył ścieżkę i zniknął jej z oczu. Pędził tak szybko, jakby przed czymś uciekał.

Następnego dnia rano Laurel zaczęła wypalać płytę z Zielonym Człowiekiem. Wieczorem zgasiła ogień i na noc zostawiła rzeźbę w piecu, aby wystygła. W pierwszej chwili zamierzała ją zniszczyć, wymazać swoje szaleństwo, z powrotem zgnieść glinę w niekształtną bryłę. Ale nie mogła się na to zdobyć. Może to przesąd, ale czułaby się wtedy tak, jakby zniszczyła samego Aleka.

Płyta wypaliła się bardzo dobrze. Laurel ucieszyła się, bo nie spodziewała się takiego wyniku. Od dawna nie pracowała przy glinie, a poza tym brakowało jej doświadczenia, nie było jednak ani pęknięć, ani wykruszonych krawędzi. Uważnie przyglądając się płycie następnego dnia, zobaczyła kilka miejsc, które nie wyszły najlepiej, ale i tak była zadowolona.

Gładząc palcami wydatny podbródek wizerunku, doszła do wniosku, że większość garncarzy i rzeźbiarzy uznałaby, że wykonała dobrą robotę. I wtedy naszła ją pokusa, by tak samo dotykać twarzy Aleka. Odworowała ostre wklęsnięcia jego policzków, które pojawiały się, gdy się uśmiechał, i układające się w wachlarz zmarszczki w kącikach oczu. Tak, i ten zmysłowy łuk jego ust... nie tylko wiernie oddany, lecz niemal rzeczywisty, jakby mógł ożyć i gorącym pocałunkiem ogrzać jej usta, jeżeli ona...

Oderwała rękę od płaskorzeźby i zacisnęła ją w pięść. Po chwili zmusiła się, by sięgnąć po duże płaskie pudło, które ze sobą przyniosła. Umieściła w nim płytę, zaniósła w kął szopy i ustawiła na najwyższej półce, wpychając najgłębiej, jak udało się jej sięgnąć, tak by pudło znikło jej z oczu. Potem wyszła z szopy i zamknęła za sobą drzwi.

Nie mogła jednak tak samo postąpić ze wspomnieniem tego, co wydarzyło się w piątek. Bała się zamknąć oczy, bo wówczas natychmiast na powrót znajdowała się w ramionach Aleka, mąciły się jej zmysły, czuła jego wspaniałe, silne ciało. Było to tak, jakby stała w środku błyskawicy, złapana w płomień rozgrzanego do białości oślepiającego żaru, spalana jakąś niezwykłą mocą. Była zupełnie bezradna wobec nagłego przyptyku pożądania, pożaru, który ogarniał ją całą. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z niezwykłą potęgą, przez tyle lat przecież zupełnie ją ignorowała, zapomniiała, że istnieje... jeżeli w ogóle kiedyś zetknęła się z nią.

A tego właśnie nie była pewna. Nawet zaraz po ślubie, gdy dopiero poznawała dziwną i, tajemną krainę seksu, nie czuła tak wielkiego rozgorączkowania, a jej myśli i pragnienia nie były tak chaotyczne i niesprecyzowane. Wtedy wszystko ułożyło się normalnie i banalnie, by przez lata toczyć się swoim ustalonym rytmem, a teraz?

Jeżeli sam uścisk miał taką moc, czym byłby pocałunek? I jak mogłaby przeżyć porażającą potęgę prawdziwej...

Dość! Nie będzie o tym myślała! Zapomni, że dotykała Aleka Stantona. I będzie się modliła, by on też zapomniał.

Późnym popołudniem odwiedziły ją dzieci, Marcia i Evan. Uszczęśliwiony Sticks pobiegł im na spotkanie, z radości skakał na nich i szaleńczo machał ogonem. Dostali go na Gwiazdkę, gdy Marcia miała dziesięć lat, a Evan osiem, razem więc dorastali. Jednak to Laurel dawała mu jeść, czesała go, brała na długie spacerunki do lasu, tak że w końcu został jej psem.

Spotkali się na schodkach przed drzwiami. Przywitała się z nimi gorąco. Dzieci bardziej przypominały ojca niż ją, miały takie same piaskowe włosy i piwne oczy, które Howard odziedziczył po Sadie. Evan miał krępa budowę ojca, ale Marcia odziedziczyła figurę po matce. Jest za szczupła, za blada i za delikatna, pomyślała Laurel, ale cóż, skoro wdała się w nią, nie mogło być inaczej.

Marcia nie wyglądała na zadowoloną z życia. Laurel chętnie by ją spytała, co się stało, ale wiedziała, że i tak nie uzyska szczerzej odpowiedzi.

Gdy prowadziła ich do kuchni, miejsca, w którym zawsze rodzina się spotykała, odpoczywała i rozmawiała, odniosła wrażenie, że ich powitanie było jeszcze bardziej niezręczne niż zwykle. Próbowała sobie wmówić, że nie ma racji. W końcu nie widzieli się od trzech tygodni.

Oboje byli bardzo zajęci - Evan ćwiczeniami na uczelni i kontaktami z przyjaciółmi z bractwa studenckiego, Marcia pracą w kancelarii prawniczej, domem i mężem. Laurel dzwoniła do nich, gdy miała nadzieję, że ich zastanie, co nie zdarzało się często. Nic więc dziwnego, że nie czuli się ze sobą swobodnie. No cóż, po śmierci Howarda znikła gdzieś wszelka bliskość między nimi.

Starła się usprawiedliwiać swoje dzieci, a przede wszystkim nie oskarżać ani za nic nie winić. Robiła tak celowo, z pełną świadomością.

Usiedli przy stole. Marcia odezwała się pierwsza i sytuacja od razu stała się jasna.

- Babcia miała rację - powiedziała zjadliwym tonem. - Wyrzucasz wszystko, co tylko rośnie.

- Po prostu porządkuję zdziczały ogród, co powinnam zrobić już dawno. - Laurel mówiła cichym, napiętym głosem, bo miała bolesną świadomość, że Marcia i Evan przyszli tu tylko dlatego, ponieważ babka im opowiedziała, co zauważyła w jej domu podczas swojej wizyty.

- Musiałaś mieć tę fontannę?

Przez dłuższą chwilę Laurel oskarżycielsko patrzyła im w oczy. Evan odwrócił wzrok, ale Marcia odpowiedziała jej równie ostrym, choć zarazem badawczym spojrzeniem.

- Nie, ale chciałam - wyjaśniła spokojnie.

- Na miłość boską, po co ci...

- Nazwij to kaprysem - odpowiedziała zwięźle. Córka się czepiała, szukała dziury w całym, i to już zaczynało działać Laurel na nerwy.

- Ja bym to nazwała wyrzucaniem pieniędzy w błoto - oznajmiła Marcia z zaciętą miną. - Skąd bierzesz fundusze na farbę do pomalowania domu, cegły i rury, już nie mówiąc o pensji dla pracownika?

Laurel lekko przymknęła oczy.

- Skarbie, co cię bardziej niepokoi? Moje wydatki czy mężczyzna, który wykonuje pracę?

- Babcia mówiła, że zachowujesz się nierozsądnie, ale ja jej nie wierzyłam! - Na policzkach Marcii pojawiły się czerwone plamy. Wyglądała niemal na chorą.

- A dlaczego miałabym być rozsądna? Nie mogę wprost uwierzyć, że masz do mnie takie dziwne pretensje. Postanowiłam doprowadzić do porządku ogród, który został skandalicznie zapuszczony. Czy masz mi również za złe, że kazałam odmalować dom, zanim zbutwieje do reszty?

Evan odchrząknął i rzucił siostrze spojrzenie, nakazując w ten sposób, by zamilkła.

- Mamo, nikt nie ma nic przeciwko robieniu porządków i odrobinie farby.

Ten rozsądny i tak bardzo protekcyjny ton, łudzaco podobny do głosu Howarda, którego używał, gdy wydawało mu się, że ona się na niego gniewa, rozjątrzył Laurel. Dlatego postanowiła, że niczego nie będzie ułatwiać dzieciom podczas tej absurdalnej rozmowy, którą same rozpoczęły.

- Więc o co wam właściwie chodzi? Evan skulił ramiona i oparł łokcie na stole.

- Babcia trochę zdenerwowała się tą sprawą - powiedział, nie patrząc matce w oczy. - Wiesz, jest jej przykro, gdy widzi, że coś się tu zmienia. Mówi też, że jeżeli stać cię na te wszystkie roboty, powinno cię być również stać na opłacanie moich studiów.

- Tak, oczywiście - odparła szybko Laurel. - Przecież wiesz, że z chęcią bym to robiła, gdyby ona się nie uparła, że sama będzie płacić.

- Wiem, ale nie chodzi o chesne, tylko o opłaty za akademik i o kieszonkowe. Zanim to wszystko się stało, obiecała kupić mi nową mazdę. Ale teraz... - Wzruszył ramionami.

A więc babka szantażowała Evana. Jeżeli nie zmusi Laurel do podporządkowania się jej woli, odbierze mu szczodre kieszonkowe i nie kupi obiecanego samochodu. Laurel z przykrością widziała, że jej syn poddał się tej presji.

Nie, nie może tak myśleć. Od śmierci ojca Evan był rozdarty między nią a Sadie, Marcia zresztą też. W dniu pogrzebu teściowa zabrała dzieci do siebie. Powiedziała, że robi to dla dobra Laurel, bo synowa potrzebuje czasu i spokoju, by dojść do siebie. Laurel była wtedy zbyt wzburzona i otepiała, by się spierać. Ledwo zdołała wytrzymać pogrzeb. Mimo to chciała mieć dzieci przy sobie i tulić je w ramionach, aby zmniejszyć ból i oddalić koszmar, jakiego doznały. Jednak oderwano je od niej i zobaczyła się z nimi dopiero po kilku tygodniach. A wtedy już patrzyły na nią oskarżające i nigdy później nie nawiązały się między nimi serdeczne stosunki. Przestała poznawać dzieci, które urodziła i kochała.

- Mam trochę pieniędzy po rodzicach - powiedziała Laurel - a przez ostatnie lata niewiele wydawałam na utrzymanie. Pieniądze z ubezpieczenia, które dostałam po... po śmierci waszego ojca, nadal leżą nienaruszone w banku. Jeżeli wasza babka tak sobie życzy, mogę wziąć twoje wydatki na siebie. Mogę ci nawet kupić ten samochód. Ale powiedz mi jedno. Naprawdę myślisz, że babka ukarze cię za moje postępowanie, z którym się nie zgadza?

- Nie wiem - burknął Evan.

- Ja też nie - przyznała Laurel - ale raczej w to wątpię.

- Mamo, jest jeszcze coś, o czym musimy z tobą porozmawiać - odezwała się Marcia. - To, że ten chłopak Stantonów ciągle się tu kręci, okrywa nas wszystkich wstydem.

Podniosły styl Marcii był doprawdy zabawny, ale Laurel powstrzymała się od śmiechu.

- Ten chłopak Stantonów, jak go nazywasz, jest sporo starszy od ciebie.

- Ale od ciebie jest młodszy, i to o wiele lat!

- No to co? Poza tym nie można powiedzieć, że on się tu po prostu kręci. Pracuje u mnie, i to bardzo ciężko. Zapewne sama byś to zauważyła, gdybyś choć na chwilę dała sobie spokój z tymi głupimi podejrzeniami i rozejrzała się wokół siebie.

- No tak, rozumiem, że dobrze jest mieć go tutaj. I założyłabym się, że dogadza ci w różny sposób.

- Marcia!

- Słucham, mamó? Czyżbyś sama nie widziała, jak to wygląda? Czy ty w ogóle wiesz, co mówią ludzie? Ja czuję się okropnie zażenowana, a Jimmy jest wprost zdruzgotany. Codziennie wieczorem pada na kolana i modli się, żebyś zaprzestała tego obrzydliwego romansu i błagała Boga o łaskę. W środę nawet poszedł do kościoła i prosił członków kongregacji, aby razem z nim błagali Boga, by zesłał na ciebie opamiętanie i wybaczył ci twoje...

- Co takiego?! - krzyknęła Laurel jednocześnie zaszokowana i wściekła.

Marcia zamrugała powiekami.

- A czego się spodziewałaś? Wyobrażałaś sobie, że po prostu zignorujemy to, co się tu dzieje? Że możesz robić, co tylko chcesz, a nikt nie powie ani słowa?

- Myślałam - powiedziała Laurel dobitnie - że moje dzieci mają dla mnie choć odrobinę szacunku. I że przynajmniej pytają, czy sypiam z tym mężczyzną, zanim zaczną publicznie się modlić, bym przestała grzeszyć.

- To Jimmy się modli, nie ja - broniła się Marcia. - Wiesz, jaki on jest.

Niestety, Laurel wiedziała. Mąż jej córki, wychowany w rodzinie należącej do jednego z najbardziej konserwatywnych Kościołów, uważał się za człowieka głęboko religijnego. Nie aprobował teściowej, bo przestała chodzić na nabożeństwa. Wprawdzie Laurel uważała go za niebezpiecznego fanatyka, nikt jednak nie pytał jej o zdanie, gdy Marcia dwa lata temu wychodziła za niego.

- Sądzę, że Jimmy o niczym by nie wiedział, gdybyś sama mu nie powiedziała - stwierdziła. - I nie miałby żadnego powodu twierdzić, że Alec robi tu coś więcej poza pracą w ogrodzie i przy domu, gdybyś mu tego nie zasugerowała. Ty albo ktoś inny.

Marcia roześmiała się.

- A więc jednak robi tu coś więcej!

- Tego nie powiedziałam.

- Ale tak jest, prawda? Równie dobrze możesz się przyznać.

Laurel patrzyła na córkę. Bolało ją serce, że doszło do tak przykrej i żenującej sceny, nie wiedziała jednak, jak mogłaby jej uniknąć.

- Jeżeli musisz pytać, to znaczy, że nie zasługujesz na odpowiedź - odparła spokojnym głosem.

- Znalazłaś sobie wygodną wymówkę! Bo przecież ty nigdy nie kłamiesz. No, mamó? Ty nie uznajesz kłamstwa, prawda?

- Marcio, przestań. - To Evan się odezwał, przerywając sarkastyczne uwagi siostry. Nie spojrział jednak matce w oczy.

Laurel rozumiała, o co chodzi Marcii. Córka sugerowała, że matka skłamała, mówiąc o tym, co się wydarzyło w dniu śmierci Howarda. Laurel wiedziała, że dzieci tak właśnie myślą, ale nigdy jeszcze nie było to aż tak oczywiste.

Skrzyżowała ręce na piersi w obronnym geście i uniosła głowę. Przesuwając spojrzenie od Evana do Marcii, powiedziała:

- Jest mi wszystko jedno, co wam się podoba, a co nie. Musicie jednak pamiętać, że jestem wdową i nikomu z niczego nie muszę się opowiadać, a to, co robię, to nie wasza sprawa.

Marcia już otworzyła usta, ale Evan gestem nakazał jej milczenie.

- Mamó, uwierz, że się o ciebie troszczymy - powiedział, patrząc na nią z czułością. - Naprawdę chodzi nam o twoje dobro, dlatego nie możesz się spodziewać, że będziemy siedzieć z założonymi rękami, gdy zagrożone jest twoje bezpieczeństwo.

- Moje bezpieczeństwo? - powtórzyła Laurel głosem bez wyrazu.

- Wiemy, kim jest ten facet i czego tu szuka. Poza tym sprawdziłem jego przeszłość i uważam, że absolutnie nie wygląda na kogoś, z kim powinnaś utrzymywać kontakty. Nie mówiąc już o całej reszcie.

- Jakiej reszcie? - spytała Laurel z niesmakiem, urażona tonem i sensem wypowiedzi syna.

- Mamó, nie chciałem, by to zabrzmiało tak brutalnie, ale spójrz prawdziwie w oczy. Mężczyźni tacy jak Stanton polują na starsze, samotne kobiety.

Nie wiedziała, czy powinna się obrazić, czy też roześmiać.

- Synku, doprawdy nie stoję jeszcze nad grobem. I wydaje mi się, że mam dość rozsądku, by się zorientować, kiedy ktoś chce mnie wykorzystać. Uwierz mi, gdy mówię, że Alec Stanton nigdy słowem ani czynem nie próbował wyłudzić ode mnie pieniędzy. Nie zrobił też niczego, co kazałoby mi sądzić, że

mógłby tego popробować.

- Oczywiście, że nie. Jest na to za sprytny.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zaczeka, aż się pobierzecie - wyjaśnił Evan. Laurel wzniosła ręce w górę.

- Już mnie za niego wydałeś? No, dobrze! Przynajmniej Jimmy będzie szczęśliwy. Będzie mógł przestać zanudzać Boga opowieściami, że żyję w grzechu.

- Może być też inaczej - kontynuował Evan z ponurą determinacją. - Ten cały Stanton zaczeka, aż umrzesz...

Irytacja Laurel przeszła z zimną złością.

- No tak! A na dodatek jeszcze oczerniasz człowieka, który nie zrobił wam nic złego i którego w ogóle nie znasz.

- Mamo - powiedział Evan. - Posłuchaj...

- Dość już usłyszałam. Poza tym jakim prawem przychodzicie tu i wściubiacie nos...

- Wściubiamy nos? - Marcia parsknęła śmiechem. - No więc możesz być pewna, że więcej tu nie przyjdziemy. Evan, zabieramy się stąd.

- Marcio, zamknij się! - krzyknął Evan, nie patrząc na siostrę. - Mamo, pierwsza żona Aleka Stantona była, tak samo jak ty, starszą kobietą, i umarła w Kalifornii.

- Wiem o tym. Powiem ci także, że była o wiele starsza, prawie...

- A czy wiesz, że Stanton został aresztowany za zamordowanie żony?

Laurel poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Nagle zrobiło jej się potwornie zimno. Przeszył ją dreszcz, pozostawiając gęsią skórę.

- Nie - szepnęła.

- Tak myślałem - stwierdził Evan z wielkim zadowoleniem.

- Nie - powtórzyła Laurel, ale nie była to odpowiedź na jego bezczelny i pełen pychy komentarz. Po prostu nie przyjmowała tych słów do wiadomości. Nie chciała słyszeć o tym, że Alec jest mordercą.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W końcu Alec nie przyszedł w poniedziałek rano do pracy. Gregory poczuł się w nocy źle i trzeba było go odwieźć do szpitala, gdzie pozostał na obserwacji. Gdy babcia Callie wróciła do domu, by odpocząć, Alec poprosił ją, żeby zadzwoniła do Laurel i wytłumaczyła jego nieobecność, a potem poszedł do brata i spędził z nim resztę dnia.

Podstawowa diagnoza nie budziła wątpliwości, ale przyczyna nocnego zasłabnięcia też nie stanowiła niespodzianki. Niedożywienie i zbyt wielka ilość lekarstw, brzmiał werdykt. Lekarze zmienili sposób dawkowania leków przeciwbólowych i odesłali pacjenta do domu.

We wtorek, gdy Alec przyjechał do Ivywild, panował tu jak zwykle spokój, choć wydawało mu się, że w przygniatącej ciszy było jednak coś dziwnego.

Na dworze też wszystko wydawało się zwyczajne. Samochód Maisie stał w garażu na swoim miejscu obok starego, dziesięcioletniego buicka Laurel, a zapach cebuli i czosnku świadczył o tym, że gospościa przygotowuje jakiś smakołyk na lunch. Alec zauważył Laurel w szopie, gdzie zajmowała się swoimi garnkami. Fontanna działała, woda wznosiła się w górę i opadała z odgłosem przypominającym pluskanie deszczu o dach.

A jednak miło by mu było, gdyby ktoś go powitał. Chętnie usłyszałby na przykład: „Cześć, jak się masz?”. Albo: „Jak się czuje twój brat? A ty? Brakowało nam ciebie”.

Przynajmniej Sticks mógłby wybiec i zaszczekać. Alec chciał, by jego przybycie zostało zauważone przez kogokolwiek i w jakikolwiek sposób.

Sticks! To jego brakowało. Wielki wilczur nie pojawił się na werandzie, by ostrzec swoją panią, że ktoś wjeżdża na podjazd, nie przybiegł też, by Alec wytargał mu sierść i podrapał za uszami, jak to ostatnio było w zwyczaju. Pewnie jest z Laurel, pilnuje jej, jak na porządnego psa przystało. A może z jakiegoś powodu jego pani znów go zamknęła. Oczywiście stary Sticks może też polować na króliki albo wybrać się z wizytą do jakiejś miłej suczki.

Wszystkie myśli o psie pierzchły, gdy Alec zauważył, że Laurel, której w tej chwili nigdzie nie mógł wypatrzeć, pod jego nieobecność zaczęła podwiązywać pnącą różę, piękną różową Zéphérine Drouhin, przy altance za boczną furtką, którą naprawił w zeszłym tygodniu. Podniósł plastikową zieloną taśmę i zabrał się do roboty, by ją wyręczyć.

Róża była wilgotna od porannej rosy, ale taśma sucha. Alec zmarszczył brwi, bo zrozumiał, że taśma nie leżała tu przez całą noc. Czy Laurel coś przeszkodziło, na przykład przyjscie Maisie albo telefon?

Czy też po prostu usłyszała warkot jego motocykla i uciekła do szopy, bo nie mogła spojrzeć mu w twarz po tym, co zaszło w piątek po południu?

Nie, na pewno nie. Z całą pewnością w ogóle nie myślała ani o nim, ani o ich uścisku. To, że przez cały weekend jego wyobrażenia po prostu szalała, nie oznaczało jeszcze, że dla niej tamten incydent miał jakiegokolwiek znaczenie. Naprawdę nie było powodu, by Laurel zadawała sobie trud celowego unikania swojego pracownika.

Podwiązał różę i poszedł do wielkiej sosny, którą Laurel chciała ściąć. Przyjrzał się rozłożystem gałęziom, rysującym się na tle nieba. Jeszcze nie zainteresował się sprzętem do wspinaczki, nie wiedział, gdzie leży, nie przypomniał też Maisie o przyniesieniu piły. Jednak różę, które Laurel zamówiła, też jeszcze nie zostały dostarczone, więc nie musi się spieszyć.

Poszedł do garażu. Obejrzał zniszczony samochód Laurel z wierzchu, potem podniósł maskę. Nie było tak źle, jak mu się wydawało. Porządne czyszczenie i smarowanie, kilka nowych pasków i innych części, a potem mycie i woskowanie mogą zdziałać cuda. Nie minęła minuta, a już zagłębił się po łokcie w wysuszonych na wiór gumach, oleju i brudnych filtrach. Ciekawe, co powie szefowa, gdy odkryje, czym on się dziś zajmuje.

Doprowadzi samochód do porządku, a potem zmusi Laurel, by usiadła za kierownicą. Najpewniej nigdy nie będzie należała do niego, ale nie mógł patrzeć, jak się zamyka w czterech ścianach. Prawda, że jest to wspaniały stary dom i Laurel go kocha, ale do życia potrzeba czegoś więcej niż tylko wysokich murów. Ogród też nie wystarczy. Alec sprawi, by się o tym przekonała, niezależnie od tego, ile czasu mu to zajmie. Za wszelką cenę wyciągnie ją z Ivywild.

Właśnie walczył z oklapniętą oponą, gdy usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Zastygł nieruchomo i nasłuchiwał.

Dźwięk powtórzył się: był to niski, rozpaczliwy skowyt. Alec rzucił narzędzia i wybiegł z garażu. Przeszukał wzrokiem podwórze i nadal nasłuchiwał.

Cisza. Był jednak prawie pewien, że słyszał psa Laurel.

- Sticks! - zawołał głośno, a potem zagwizdał. W odpowiedzi pies zaskomlał. Dźwięk dochodził z wysokiej trawy przed lasem rosnącym na tyłach domu wzdłuż strumienia. Alec ruszył biegiem.

Sticks próbował się czolgać, drapiąc pazurami ziemię, a na widok Aleka poruszył słabo ogonem. W jego czarnych oczach malował się ból. Nie mógł unieść głowy. Wokół niego unosił się fetor, na pysku miał pianę. Alec od razu zrozumiał, co mu jest.

- Piesku, co ci się stało? - spytał miękko, klękając obok. - Kto ci to zrobił?

Sticks cicho zaskomlał i wystawił język. Chciało mu się pić. Alec już brał go na rękę, żeby zanieść do strumienia, ale wtedy wyczuł bezwładny kark i zobaczył, że oczy psa robią się szkliste.

- Och, Sticks - szepnęła ze smutkiem. Pogłaskała go po łbie. - Co na to powie twoja pani? I co zrobi bez ciebie?

Właśnie wtedy usłyszał krzyk Laurel. Odwrócił się szybko i zobaczył, że biegnie do nich. Jego pierwszą myślą było, że trzeba ją zatrzymać, by nie zobaczyła martwego przyjaciela, ale było za późno. Błada jak płótno, szeroko otwartymi oczami patrzyła na swojego psa.

Podbiegła i opadła na kolana. Alec trochę się odsunął, by jej nie przeszkadzać. Laurel drżącymi rękami zaczęła głaskać Sticksa. Też widziała jego szkliste spojrzenie, słyszała bzyczenie zlatujących się much. Z wielkiej bezradności i żalu nie mogła wymówić słowa.

Sticks zdołał polizać jej palce i po chwili już nie żył.

Laurel odwróciła się do Aleka. Jej twarz wykrzywił grymas cierpienia i złości jednocześnie.

- Dlaczego mu to zrobiłeś? - spytała. - Na Boga, dlaczego zabiłeś mojego psa?

Na długą chwilę Alec zastygł w bezruchu, jakby zmienił się w kamień. Potem zerwał się z ziemi.

Laurel poczuła, że oddech zamiera jej w płucach, gdy Alec w całej swej okazałości stanął nad nią. Twarz miał ponurą, usta zaciśnięte. Jego ciało zeszytywniało od trzymanej na wodzy wściekłości, twarde mięśnie napięły się.

- Twój pies został otruty - powiedział ze spokojem. - To się stało kilka godzin temu. Mnie tu wtedy nie było. - Nakazując sobie żelazne opanowanie, odwrócił się i odszedł.

Otruty? Spojrzała na Sticksa, nagle niepewna swoich domysłów. Tak. Och, Boże, tak! Dopiero teraz zauważyła pianę na pysku, pośmiertny grymas odsłaniający zaciśnięte zęby, poczuła okropny smród. Laurel wychowała się na wsi i dobrze wiedziała, co to oznacza, ale, niestety, oślepiła ją podejrzliwość. Mój Boże, jak mogła tak się zachować! Poczuła się słabo. Krótkie słowa, które Alec wypowiedział w swojej obronie, podziały na nią jak cios pięścią.

- Alec!

Nie zatrzymał się, nie obejrzał, nie dał żadnego znaku, że ją usłyszał.

- Alec, zaczekaj! Słyszałam, jak go wołałeś. A gdy wyjrzałam z szopy, nachylałeś się nad nim. Myślałam...

Nie wzruszył się jej gorączkowymi wyjaśnieniami, nawet nie zwolnił kroku.

Zresztą, po co miałby jej słuchać? Przecież już go osądziła i uznała, że jest winny. Bez dowodów, bez chwili namysłu. A osądziła go tak szybko tylko dlatego, że kiedyś obezwładnił Sticksa.

Oczywiście nie tylko dlatego. Na jej opinie złożyły się również te okropne rzeczy, które o nim usłyszała.

Żigolak.

Poluje na starsze kobiety.

Aresztowany za morderstwo.

Takich słów nie zapomina się łatwo. Jeżeli mógł zamordować swoją żonę, to dlaczego nie miałby zabić psa?

A jeżeli oni wszyscy się mylili: i teściowa, i Evan, a nawet Gregory Stanton? Ta myśl ją prześladowała. Ona sama też zaocznie została osądzona i uznana za winną, a sprawy to plotki rozsiewane przez krewnych. Czy tak samo nie osądzono Aleka? A jeżeli tak, jeżeli jest niewinny, to wyrządziła mu wielką krzywdę.

Wiedziała, jak czuje się ktoś, kogo fałszywie oskarżono. Znała ból i bezsilną złość, opadającą brzemieniem na ramiona. Znała gorzki smak upokorzenia, gdy nikt ci nie wierzy, dogłębnie poznała uczucia, jakich się doznaje, gdy musisz zniknąć ze świata i skryć się w czterech ścianach, bo tylko w ten sposób możesz się bronić przed oskarżeniami i przed ludźmi, którzy patrzą na ciebie i osądzają.

Zerwała się na równe nogi i pobięła za Alekiem. Dogoniła go, chwyciła za ramię i obróciła przodem do siebie.

- Alec, przepraszam - powiedziała, szukając spojrzenia jego oczu czarnych jak gorzka czekolada. - Nie chciałam tego powiedzieć. Proszę, ja... - Głos jej się załamał, rozszlochała się. Nagle zaczęła oplakiwać Aleka, siebie, Sticksa...

Na jego twarzy nie było już złości, tylko współczucie.

- Proszę, przestań płakać - szepnął. Wyciągnął rękę i otarł jej łzy palcami.

- Nie mogę - powiedziała, wycierając twarz wierzchem dłoni. - To wszystko jest takie... okropne.

- Wiem. - Głęboko westchnął, a potem, nie patrząc na Laurel, wyprostował ramiona. - Wracaj do domu. Ja pójdę po łopatę.

- Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobił. Nie sam. Sticks był mój i ja muszę się nim zająć do końca. Chciałabym... Wiedziałam, że nie wrócił po tym, jak w środku nocy wypuściłam go na dwór, ale to się już nieraz zdarzało.

- Wypuściłaś go? Dlaczego?

- Wydawało mi się, że coś usłyszał. Szczekał i próbował się prześliznąć pod siatkowymi drzwiami.

- Nie powinnaś była... - Nagle zamilkł.

- Wiem! - krzyknęła, bezwiednie przeczesując włosy palcami. - Powinnam była zatrzymać go w domu, przy sobie, ale skąd miałam wiedzieć, co się stanie?

- Chciałem powiedzieć, że w ogóle nie powinnaś była otwierać drzwi. A jeżeli osoba, która wdarła się do ogrodu, tylko czekała, aż Sticks znajdzie się poza domem?

Popatrzyła na niego.

- Nie pomyślałam o tym.

- Więc pomyśl o tym teraz - powiedział szorstko.

- Ale Sticks nie żyje.

- No właśnie - stwierdził ponuro. - Sticks nie żyje. - Spojrzał w bok. - Pójdiesz po koc, czy ja mam to zrobić?

Zawinęli psa w koc i pochowali go pod wielkim starym dębem niedaleko strumienia. Była to malutka polanka porośnięta różami jerychońskimi, owiewana świeżym wiatrem, który poruszał zielone gałęzie nad ich głowami. Alec wkopał w głowach grobu postawiony na sztorc płaski kamień, a Laurel, chociaż nie była zbyt pobożna, zmówiła krótką modlitwę. Potem wrócili do domu.

Gdy szli razem w ten ciepły, spokojny, wiosenny dzień, Alec nie mówił wiele. Nie pozwolił, by zobaczyła najbardziej przykre momenty pochówku, a teraz, idąc obok niego, Laurel czuła jego sympatię i płynącą z głębi serca potrzebę pocieszenia jej. Podnosiło ją to na duchu.

Uporczywie wracała do niej jedna myśl - jak potoczyłoby się jej życie, gdyby Alec był tutaj tuż po śmierci Howarda. Czy umiałaby zaufać jego współczującej i pełnej zrozumienia obecności oraz sile, gdy wszyscy inni się od niej odsunęli? Sama przyznawała, że był to dziwny temat do rozmyślań, bo przecież chodziło o człowieka, który mógł okazać się mordercą.

Och, na pewno nim nie był. Przecież gdyby skazano go za zamordowanie żony, do dziś siedziałby w więzieniu. Chyba że dostał śmiesznie mały wyrok, z czego sływał system prawny Kalifornii. W takim wypadku na pewno musiały być jakieś okoliczności łagodzące. Innego wyjaśnienia Laurel nie znajdowała.

No cóż, próbowała nadać całej sprawie racjonalny wymiar. Nawet jeżeli to, co wszyscy mówili, było

prawdą, i tak mogła czuć się bezpieczna, oczywiście pod warunkiem, że nie podda się czarowi tego mężczyzny. Tylko przed tym powinna się bronić.

Musiałaby także zrezygnować z prawie gotowego planu, by najpierw podpuścić Aleka i uwieść go, a potem brutalnie odtrącić i pozostawić na lodzie. Z jednej strony stanowiłoby to zbyt wielkie zagrożenie dla jej spokoju ducha, natomiast z drugiej wcale nie miała gwarancji, że plan musi się powieść. Tak naprawdę, poza plotkami nic nie wskazywało na to, że Alec w kontaktach z nią kieruje się jakimiś ukrytymi i podłymi zamiarami, a byłoby po prostu śmieszne przyjmować na wiarę słowa Sadie Bancroft, kobiety złośliwej i niezyczliwej ludziom, która ponadto wiele razy myliła się w swoich osądach. Alec zasługiwał na szansę. To była jedyna rzecz, którą mogła zrobić, by okazać mu, że jest wdzięczna za jego pomoc. A przede wszystkim musi wyplenić z siebie podejrzenia, że Alec celowo sprowokował tę sytuację, by zdobyć jej życzliwość.

Gdy doszli do bocznej furtki, stanęła twarzą do niego. Spojrzał na nią z niepokojem. Jest ostrożny, pomyślała. Zastanawiała się, o czym myśli, patrząc na nią w takim skupieniu.

- Zostaniesz? - spytała niespodziewanie nawet dla siebie samej.

Alec spojrzął na nią z głębokim namysłem.

- A dlaczego miałbym odchodzić?

Serce Laurel zaczęło bić w szaleńczym rytmie. Była naprawdę przerażona. Chyba jest niespełna rozumu, skoro powiedziała coś takiego. Lecz wcale nie czuła się szalona, tylko narastał w niej upór i bunt. Przeżywała głęboką empatię, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie doznała, współczucie dla innej istoty ludzkiej, z której wszyscy chcieli uczynić wyrzutka. Tak właśnie przed laty postąpiono z nią samą.

- Ponieważ niesłusznie cię oskarżyłam - wyjaśniła, gdy już mogła wydobyć z siebie głos.

- Miałaś powody - odpowiedział, spoglądając w przestrzeń.

- Powinłam była spytać, co się stało, i wysłuchać, co masz mi do powiedzenia.

- Zrobisz to następnym razem? - spytał z napięciem w głosie.

- Tak, oczywiście. - To było kłamstwo, a ona nigdy nie kłamała. Zdarzały się jednak takie sytuacje, w których wyjawianie prawdy mogło okazać się zbyt niebezpieczne.

- Zostanę tu tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebowała - powiedział cicho.

Tego właśnie chciała. Niektóre rzeczy są warte niewielkiego ryzyka.

Laurel rozstała się z Alekiem przy furtce i poszła do domu. Wydawało jej się, że przedtem był czymś zajęty. Sądząc po zatuszczonych smarem rękach, chyba naprawiał kosiarkę.

Maisie była w kuchni. Laurel słyszała grające cicho radio i plusk wody w zlewie. Była zdenerwowana i niespokojna, więc poszła pogadać z gosposią.

Maisie spojrziała na nią przenikliwie.

- Skończyliście już?

Laurel ze smutkiem skinęła głową.

- Dobrze się czujesz?

Laurel wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Czuję się tak, jakbym straciła kogoś z rodziny.

- Wcale się nie dziwię. W ostatnich latach miałaś tylko jego.

Laurel nie odpowiedziała. Podeszła do kredensu, wyjęła filiżankę, nalała sobie kawy z dzbanka, a potem usiadła przy stole.

- Powinnaś spytać Aleka, czy też ma ochotę się napić.

- Nie zauważyłaś, że on nie pija kawy? - Laurel skrzywiła się. - Czasami sama chciałabym pozbyć się tego nawyku.

Maisie wytarła ręce w ścierkę do naczyń i zamieszła zupę, która bulgotała w garnku.

- Jeżeli to najgorszy nałóg, jakiemu ulegasz, na pewno ci nie zaszkodzi.

- Mogłabyś usiąść i dotrzymać mi towarzystwa? - poprosiła Laurel.

- Jeśli tego chcesz - zgodziła się Maisie pośpiesznie.

Laurel przyglądała się swojej gosposi, która poszła nalać sobie kawy. Czuła coraz większe zdenerwowanie, gdy Maisie w końcu usiadła naprzeciwko niej.

- Coś cię dręczy, prawda? Coś, o czym powinnam wiedzieć - powiedziała.

- Masz teraz tyle spraw na głowie - oznajmiła Maisie - więc jest mi przykro, że muszę jeszcze dodawać ci zmartwień.

- Chodzi o Aleka? - spytała Laurel w napięciu.

- Raczej o to, co gadają o tobie i o nim, a także o Gregorym. Krąży o was tyle plotek. Ciekawe, kto je rozpuszcza.

Laurel przetarła oczy. Zaczynała ją boleć głowa.

- Będzie lepiej, jeżeli wszystko mi opowiesz.

- Zauważyłaś, że ostatnio przejeżdża tędy więcej ludzi?

- Naprawdę? Och, pewnie myślisz o tych dwóch czy trzech samochodach, które dojechały do bramy i zawróciły.

- Było ich o wiele więcej. Są też tacy, którzy tylko zwalniają, żeby rzucić okiem na twój ogród. To po prostu łowcy sensacji. Chcą zobaczyć, czy motocykl Aleka stoi przed domem, chociaż nie rozumiem, co mogą z tego wynioskować. - Maisie pokiwała głową, nie patrząc Laurel w oczy. - Poza tym słyszałam, że ten idiota, twój zięć, uznał za stosowne poprosić Boga, by położył kres nierzędowi, jaki tu się odbywa...

- Wiem o tym - przerwała jej Laurel.

- To dobrze. Wobec tego możesz sobie chyba wyobrazić, że to najbardziej podniecająca rzecz, jaka zdarzyła się w jego kościele od czasu, gdy główny solista został przyłapany na chórze z żoną dziekana. Teraz te stare kwoki aż wyskakują z majtek, żeby się czegoś o was dowiedzieć.

Słyszac obrazowy język Maisie, Laurel uśmiechnęła się, a chyba właśnie o to gosposi chodziło.

- Mam nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach - powiedziała.

- Wątpię - stwierdziła ponuro Maisie.

- Dlaczego?

- Ktoś naprawdę bardzo się stara. Wczoraj, gdy byłam w sklepie, dwie osoby pytały mnie, czy widziałam kopię listu, który krąży po okolicy.

Laurel milczała przez długą chwilę.

- Co to za list? - spytała w końcu.

- Napisało go zatrute pióro i mam nadzieję, że szeryf coś z tym zrobi. Autor podaje nazwiska i wywala kawę na ławę, a przynajmniej tak mu się wydaje. Ale to jeszcze nie wszystko...

- Tak? - Laurel z każdą chwilą coraz bardziej bolała głowa, a w skroniach jej pulsowało.

- W tym liście napisano, że Gregory ma AIDS i że przyjechał tu, aby umrzeć.

Laurel zakłęła pod nosem. Obrzydliwe! Jak można coś takiego wypisywać? Chyba zwariowali. Nie ma innego wytłumaczenia. A może jednak jest?

- Czy można to jakoś ukryć przed Alekiem?

- Raczej nie. Poza tym uważam, że powinien wiedzieć, z czym przyjdzie mu się zmierzyć.

- Oczywiście. Ale wiesz, to jest takie... - Zamilkła, bo brakowało jej słów, by wyrazić przepełniający ją żal i wstręt.

- Obrażliwe? - podpowiedziała Maisie. - Jasne, że tak. Inaczej po co by to robili?

- Chciałam powiedzieć, że już samo gadanie jest wystarczająco złe, ale przelewanie tego na papier jest jeszcze gorsze. A mieszanie w to Gregory'ego to dodawanie obelg do krzywdy. Gregory jest taki chory. Jak się poczuje, gdy o wszystkim się dowie? I jeszcze do tego otruto Sticksa. - Laurel wsunęła palce we włosy, szarpnęła jedwabiste pasmo. - Maisie, co tu się dzieje? Nie rozumiem tego.

Gosposia potrząsnęła głową.

- Ja też nie. - Zamyśliła się na chwilę. - Jak sądzisz, kto mógł napisać taki podły anonim?

Laurel wiedziała, że to retoryczne pytanie. Gdy napotkała badawcze spojrzenie niebieskich oczu gosposi, była pewna, że obie myślą o tej samej osobie.

- Ona jest przekonana, że między mną a Alekiem coś jest - powiedziała Laurel z namysłem. Maisie skinęła głową.

- Tak, a poza tym nie lubi, gdy się jej sprzeciwiasz.

- To prawda. Zresztą ona zawsze korzystała z poczty, gdy chciała zaognić jakąś sprawę. Howard mówił, że ciągle wysyłała do gazet skargi, pisała petycje o odwołanie przekupnych polityków, prowadziła kampanie przeciw wszelkim objawom działalności szatana...

- No cóż, stara to prawda, że nawróceni grzesznicy są największymi świętoszkami - mruknęła Maisie przez zaciśnięte usta.

- Co takiego? - zdumiała się Laurel.

- A jak inaczej byś ją nazwała? - Wyglądało na to, że gosposia dobrze wiedziała, o czym mówiła.

- Czy naprawdę mówimy o mojej teściowej? - wykrzyknęła.

- Nie wiem, jak ty, ale ja na pewno mówię o niej.

- Przecież ona zawsze tak gardziła każdym, kto zboczył z wąskiej i prostej ścieżki. Zawsze wyrażała się o takich osobach w taki sposób, jakby były najniższą i najbardziej godną potępienia formą życia.

- To tylko kamuflaż - parsknęła Maisie. - Mogłabym ci opowiedzieć o niej takie rzeczy, że włosy by ci stanęły na głowie.

Laurel nie lubiła plotek. Żyła w odosobnieniu i tak bardzo ceniła swoją prywatność, że nie cierpiała mieszać się do życia innych. Jednak prawdą było również to, że życie innych niezbyt ją interesowało. Książki, własne myśli i zajęcia zawsze były dla niej o wiele ważniejsze. Teraz jednak sytuacja uległa

zmianie. Wbrew swojej woli została, wciągnięta w sprawy innych ludzi.

- Na przykład? - spytała spokojnie.

- No więc... - Maisie przyglądała siwe loki i obciągnęła fartuch marszczący się na okrągłym brzuchu. - Kiedy teraz na mnie patrzysz, możesz w to nie uwierzyć, ale dawniej, w latach pięćdziesiątych, lubiłam się bawić. No wiesz, wojna niedawno się skończyła i wszystkie dziewczyny miały bzika na punkcie chłopaków w mundurach. Jeździliśmy całą paczką do Leesville i tam spotykałyśmy się z żołnierzami z Fort Polk, a potem szliśmy razem do jakiejś knajpy. Och, jak myśmy tańczyli! Szkoda, że nas nie widziałas! To był prawdziwy taniec, a nie te dzisiejsze wygibasy.

Uśmiechając się do obrazu, jaki odmalowała Maisie, Laurel spytała:

- Czy Sadie też należała do waszej paczki?

- Nie. Była już wtedy zamężna i miała dwoje małych dzieci, ale okropnie kłócili się z mężem. Po prostu żyli ze sobą jak pies z kotem. Ludzie mówili, że on jest pijakiem, chociaż się z tym kryje, a ona miała wybuchowy temperament. On lubił kobiety, a Sadie była bardzo zazdrosna. Pamiętam, jak kiedyś wezwano do nich policję. Podobno znów się pokłócili z powodu jego picia. Twój teść w trakcie sprzeczki padł na łóżko i zasnął, a ona rozgrzała na patelni olej, który miał być użyty do frytek na kolację, i wlała mu go do ucha.

- Och - szepnęła Laurel, wzdrygając się.

- Tak, nie patyczkowała się, ale nie to było najgorsze. Otóż czasami jej mąż chodził do pracy na nocną zmianę, a wtedy widywano ją w knajpach w pobliżu Leesville. Zabawiała się z żołnierzami. Nie wiem, czy puszczała się za darmo, czy też na boku zarabiała dodatkowe pieniądze, ale na pewno nie siedziała w domu, zajmując się Zeldą i Howardem, którzy wtedy byli jeszcze mali.

Laurel położyła łokcie na stole, oparła brodę na rękach i wpatrywała się w Maisie. Po chwili powiedziała:

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę.

- Wiem, ale tak to bywa. Ludzie nie zawsze są tacy, na jakich wyglądają. W każdym razie nie minęło wiele czasu, a mąż ją opuścił. Zwyczajnie, któregoś nocy wyszedł i już nie wrócił. Ktoś mówił, że raz napisał, z okazji urodzin Howarda, ale potem już nigdy nie dał znaku życia. Po jakimś czasie Sadie się ustatkowała, kupiła dom w mieście i wyprowadziła się stąd, popadła w dewocję i teraz jest taka, jaką ją znasz.

Laurel ze zdumienia tylko potrząsnęła głową. Po chwili coś jej przyszło do głowy i zmarszczyła czoło.

- Co takiego? - spytała Maisie. Laurel zdjęła łokcie ze stołu i wypiła łyk kawy, która już zdążyła ostygnąć.

- Myślę - powiedziała, krzywiąc się z obrzydzeniem - że kobieta, która potrafi wlać gorący olej mężowi do ucha, może być zdolna również do wielu innych rzeczy.

- Mnie też to przyszło go głowy - stwierdziła Maisie.

- Nawet do zabicia psa? - spytała Laurel z wahaniem.

- Nigdy go nie lubiła.

To była prawda - Sadie panicznie bała się Sticksa. Laurel nie mogła sobie wyobrazić, by odważyła się podejść do psa i podać mu zatrute jedzenie. Oczywiście mogła podrzucić truciznę w miejscu, gdzie Laurel zwykła zamykać Sticksa.

Przebiegł ją dreszcz. Potrząsnęła głową, by odegnać ten obraz. To była jeszcze jedna rzecz, o której nie chciała myśleć.

- I co ja mam teraz zrobić? - spytała w napięciu.

- Chyba powinnaś zacząć od zdobycia tych listów.

- Wątpię, by ktoś zechciał mi je dać.

- Nie - przyznała Maisie. - Ale może mnie pokażą, a wtedy je skseruję.

- I co dalej? - spytała Laurel. - Jeżeli okaże się, że ich autorką jest Sadie, to co mam z tym zrobić? Kazać ją aresztować za niewłaściwe korzystanie z poczty? Albo podać ją do sądu za potwarz?

- Gdyby się dowiedziała, że została zdemaskowana, natychmiast by przystopowała. Tego jestem pewna.

Laurel pomasaowała sobie skronie. Głowa bolała ją coraz bardziej.

- Więc porozmawiam z nią. Może to ją powstrzyma.

- Zawsze warto spróbować - zgodziła się Maisie. Dopiła kawę, wstała od stołu i poszła do zlewu, żeby umyć filiżankę.

- Przywiozłam piłę, o którą prosił Alec. Powiedz mu, żeby ją sobie zabrał z bagażnika mojego samochodu, zanim pojedzie do domu.

- Dobrze, dziękuję.

- I mogłabyś wreszcie coś zażyć na ten ból głowy - dodała Maisie surowo.

- Tak, zaraz coś wezmę - obiecała Laurel, wiedząc, że pod szorstkimi słowami Maisie kryła się prawdziwa troska. Jednak minęło sporo czasu, zanim zmusiła się do wstania.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Laurel nie mogła na to patrzeć.

Alec wdrapał się prawie na sam wierzchołek wielkiej sosny. Wisiał co najmniej piętnaście metrów nad ziemią, przytrzymywany tylko klamrami przyczepionymi do butów i szerokim pasem obejmującym jego talię i pień drzewa. Z pełnym zaufaniem do sprzętu wyciągnął ręce na całą długość i wirującym ostrzem piły łańcuchowej manewrował przy grubej gałęzi. Napręzał mięśnie pleców tak mocno, że koszula naciągnęła mu się na ramionach. Emanował siłą i odwagą, zdawał się nie zważać na ryzyko. Natomiast Laurel, patrząc na jego wyczyny, wprost umierała ze strachu.

Z samego rana obudził ją rozdzierający uszy warkot piły. Gdy wyszła na dwór zobaczyć, co się dzieje, Alec zdążył już odciąć jedną gałąź. Właśnie z trzaskiem opadała na ziemię, a on zabierał się do piłowania następnej.

Poprzedniego wieczoru powiedział, że musi najpierw odciąć konary, a potem odpiłowywać pień od góry, kawałek po kawałku, bo gdyby ścinał drzewo od razu na dole, mogłoby spaść na dom, garaż, ogrodzenie albo ogród. Tak więc Laurel wiedziała, że będzie się wspinał na sam wierzchołek ogromnej sosny. Tyle że nie zdawała sobie sprawy, co to w rzeczywistości oznacza.

Teraz Laurel marzyła tylko o tym, by ściągnąć go na dół, lecz jej głos zagłuszany był przez warkot piły. Zresztą wcale nie była pewna, czy Alec spełniłby jej prośbę, gdyby nawet ją usłyszał.

Na ziemię znów posypała się brązowa kora i żółty pył. W powietrzu rozszedł się żywiczny zapach sosnowych soków. Obcięta gałąź zatrzeszczała i dźwięk piły się zmienił. Alec odsunął wirujące ostrze, gałąź zaczęła spadać ze świstem i po chwili grzmotnęła o ziemię. Laurel stała dość daleko, ale i tak poczuła drżenie gruntu.

Wyobraziła sobie, co by to było, gdyby Alec spadł albo też ześliznął się i uderzył w coś piłą, tym potężnym tnącym łańcuchem, który w jednej chwili mógł wdrzeć się w żywe ciało.

Po prostu nie mogła na to patrzeć. Odwróciła się na pięcie i poszła z powrotem do domu.

Ta ucieczka trwała najwyżej pięć minut, bo tam też nie mogła wytrzymać. Wyciągnęła z szafy czarne dzinsy oraz mocno wycięty podkoszulek w kremowo-czarne paski i ubrała się. Było bardzo wcześnie. Do przyjścia Maisie pozostała jeszcze godzina. Laurel udała się do szopy.

Wczoraj wieczorem, po wyjściu gospośi i Aleka, zaczęła rzeźbić kolejną płytę z Zielonym Człowiekiem. Wymagająca skupienia praca była dużo lepszym zajęciem niż snucie się bez celu po domu.

Pracowała do późna. Chciała tak się zmęczyć, by potem szybko zasnąć, zamiast leżeć w łóżku z szeroko otwartymi oczami, myśleć o Sticksie, nasłuchiwać każdego odgłosu i skrzypienia w ciemnościach. To dzięki psu czuła się bezpieczna w tym starym, trzeszczącym domu. Niestety, Sticksa już nie było.

Nowa płyta była o wiele bliższa duchowi *Bocca della Verita*, twarzy mężczyzny z szeroko otwartymi ustami, jednak Laurel złagodziła dzikość oryginału, nasycając swoją rzeźbę aurą spokoju. Mężczyzna na jej płycie uważał, że prawda i tak zostanie wypowiedziana, nie ma więc potrzeby grozić strasznymi konsekwencjami za kłamstwo.

Dziś nie zostało już wiele do zrobienia. Zresztą i tak nie mogła się skoncentrować na pracy, bo wciąż wsłuchiwała się w długie chwile ciszy przerywane warkotem piły i ciężkim łomotem opadających gałęzi. Włączyła piec i przygotowała go do wypalania płyty.

Nagle spostrzegła, że brakuje misy z wnętrzem pofalowanym jak dno morza. Pewnie Alec ją zabrał i gdzieś postawił, nic o tym nie mówiąc Laurel. Ciekawe, co z nią zrobił. Wyszła z szopy i udała się na poszukiwanie.

Niemal jej nie rozpoznała, gdy ją wreszcie znalazła. Alec wykorzystał ją w ten sposób, że powstał maleńki stawek, a raczej wodne zwierciadło.

Alec ustawił misę na omszałym, lekko wydrążonym pieńku dawno ściętego drzewa, opierającym się o żelazną pergolę, porośniętą ogromną wistarią i paprociami. Napełnił misę wodą po brzegi, i teraz, gdy patrzyło się pod pewnym kątem, w wodzie odbijały się pokrzywione, sękaty gałęzie wistarii, podczas gdy z innego miejsca widać było tylko odbicie czystego, błękitnego sklepienia niebieskiego. Misa stała pewnie w wydrążeniu pieńka, migocąca powierzchnia wody była idealnie nieruchoma. Może chwilami pofaluje ją lekki wietrzyk, w wodzie odbije się cień płynącego po niebie obłoku, ale teraz emanowała nieskończonym spokojem. Nawet drażniący warkot piły i ostry zapach żywicy nie mogły zniweczyć tego wrażenia.

To było takie zwyczajne - misa napełniona wodą. A przecież miejsce, w którym została ustawiona i zamysł, z jakim to zrobiono, przemienił ją w dzieło sztuki. Laurel powoli odwróciła się, wypatrując wierzchołka sosny, który ledwo widziała nad dachem domu.

Alec piłował teraz pień, wspierając się jedną nogą o kikut odciętej gałęzi. Mięśnie naprężyły mu się jak liny, gdy wychylił się z pasa bezpieczeństwa i odsunął najdalej jak mógł od pnia, by wbić piłę w klin, który

już wyzłobił. Jego ramiona drżały od wibracji piły. Kawałki drewna odskakiwały od ostrza, uderzały po torsie, okrywały pyłem włosy, ześlizgiwały się po piersi i nogawkach dżinsów, a potem opadały w dół jak konfetti.

Laurel usłyszała ostry, drący odgłos. Wierzchołek sosny zakołysał się. Alec odsunął piłę, wyłączył ją i odchylił się na bok, by ścięty kawał drzewa nie trafił w niego. Naprężył przez to maksymalnie pas, który musiał teraz utrzymać cały jego ciężar.

Wierzchołek jeszcze raz się zakołysał, uderzył w pień i zaczął opadać. Sosna zatrzęsła się i zahuściła, kołysząc Alekiem w przód i w tył jak jeźdźcem, który na rodeo dosiada dzikiego byka.

Nagle gruby pas puścił, koniec pofrunął do góry. Na tle niebieskiego nieba wyglądał jak wijący się brązowy wąż. Piła, przymocowana do pasa, jeszcze przez chwilę kołysała się w powietrzu, a potem gwałtownie poleciała w dół.

Laurel gorejącymi oczami patrzyła, jak Alec obraca się w powietrzu, napinając mięśnie. Chwycił się kikuta gałęzi. Trzymając go kurczowo jedną ręką, drugą wyrzucił w przód, żeby złapać pień. Jednocześnie próbował wbić mocniej klamry butów w drzewo.

Niestety klamry się obsunęły i Alec puścił pień. Zaczął spadać nogami w dół. Zniknął za dachem domu, leciał tuż za opadającym wierzchołkiem sosny.

Laurel wydała cienki, drżący pisk, który zagłuszył trzask drzewa uderzającego w ziemię, i pędem ruszyła przed siebie.

Z przerażenia przed oczami zrobiło jej się czerwono. Przebiegła między garażem i ścianą domu, wyrzucając z umysłu okropne wizje Aleka leżącego ze złamanym kręgosłupem lub nadzianego na sztachtę płotu.

Potem go zobaczyła. Leżał na warstwie ciemnozielonych gałęzi sosny, poraniony, z otartą skórą i na pół zagrzebany w trocinach, kawałkach drewna i korze. Miał bezwładne ciało, ręce szeroko rozrzucone, oczy zamknięte, a gęste rzęsy nieruchome.

Z łkaniem opadła przy nim na kolana. Co robić? Dzwonić do szpitala? Po karetkę? Czy też byłoby szybciej, gdyby zaciągnęła go do jego motocykla i spróbowała... Nie, nie dałaby rady. I nie powinna go ruszać. A więc karetka. Jak najszybciej trzeba wezwać karetkę!

Gdy te myśli przemykały jej przez głowę, wyciągnęła rękę i drżącymi palcami zaczęła zgarniać pył i korę z jego powiek, nosa, wgłębien policzków. Przesunęła wzrokiem po rękach i nogach. Na pierwszy rzut oka nie zauważyła złamań. Stos ściętych gałęzi złagodził upadek, ale pod nim była jedna rozwidlająca się, która mogła mu złamać kark, gdyby spadł prosto na nią.

Drżącymi, niepewnymi palcami szybko rozpięła mu zakrwawioną koszulę i rozchyliła jej poły. Przycisnęła rękę do poranionej piersi, potem przesunęła ją aż do serca.

Biło! Dzięki Bogu, biło.

Pierś Aleka drżała, wibrowała pod jej ręką dziwnie podejrzanie, jakby od śmiechu.

Odezwał się głosem niepewnym, niezupełnie wyraźnym, ale zaprawionym wesołością.

- Jeżeli postanowisz ratować mnie metodą usta-usta, na pewno wytrzymam twój ciężar.

Czując łyż pod powiekami, zamknęła oczy, ale zaraz znów je otworzyła. Zaciskając rękę w pięść, uderzyła go w pierś tak mocno, że rozległ się huk.

- Ty cholerny idioto! - krzyknęła. - Powinieneś iść do piekła za to, że tak mnie przeraziłeś!

- Hej, ja też się bałem! - Chwycił ją za nadgarstek, bo już szykowała się do następnego ciosu.

- Obchodź się delikatnie z moimi skaleczeniami i siniakami, dobrze? Nic na to nie poradzę, że przeżyłem wstrząs, gdy po obudzeniu zobaczyłem nad sobą anioła.

Laurel zastygła w bezruchu, tylko jej wzrok przesunął się po całym jego ciele.

- Na pewno nic ci się nie stało?

Spojrzał na nią z udawanym przestrawieniem.

- A jeżeli nie, to znów mnie uderzysz?

- Z całą rozkoszą!

- No więc powiem ci, że mam zwichnięte kolano i wykręcone ramię, a z tyłu głowy nabitem sobie guza wielkości piłki do koszykówki. Potrzebuję mocnego drinka i odrobinę CMT\*, niekoniecznie w tej kolejności. Ale jeżeli nie jesteś w stanie dostarczyć mi żadnej z tych rzeczy, czy mogłabyś przynajmniej udzielić mi pierwszej pomocy?

- Chyba tak, jeżeli naprawę tego potrzebujesz - odparła szorstko.

- To dobrze. - Skrzywił się, gdy próbował podnieść się i oprzeć na łokciu, a potem zmienił chwyt na jej nadgarstku na chwyt strażacki. - Możesz zacząć od tego, że pomożesz mi wstać.

To będzie bolało. Alec nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, bo gdy się podnosił, czuł każdą

---

\* CMT - w oryginale użyto skrótu TLC: *tender loving care* - czuła miłosna troska (przyp. tłum.).

kość. Nie pamiętał, kiedy ostatnio doznał takiego wstrząsu, ale chyba było to po pierwszej ulicznej bójce. Bil się wtedy z trzema chłopakami wyższymi od niego, starszymi o cztery lata i dziesięć razy bardziej podstępny. A dziś ta wielka sosna prawie im dorównała.

Mało brakowało, żeby zginął. Zdołał tylko raz rzucić okiem, żeby wybrać miejsce do lądowania.

Gdy spadł na ziemię, na kilka minut stracił przytomność. Ale, do diabła, pomyślał odurzony szczęściem, gdy Laurel podeszła i objęła go w pasie szczupłą ręką, warto było.

- Co się właściwie stało? - spytała, gdy sprawdzał kolana, zanim wsparł na nich cały swój ciężar.

- Pęknięty pas. - Tylko tyle mógł wysyczeć przez zaciśnięte zęby. Ramię było w porządku, ale kolana będą potrzebowały kilku dni odpoczynku.

Laurel popatrzyła na niego ze złością.

- Myślałam, że go sprawdziłeś.

- Sprawdziłem, wczoraj, i wszystko było w porządku. - Jednak nie zrobił tego dziś rano, przed wspinaczką. Ale po co miałby to robić jeszcze raz?

Szli powoli do domu, Laurel przez jakiś czas milczała. Wreszcie, gdy znaleźli się przy schodkach prowadzących do frontowych drzwi, powiedziała z irytacją:

- Nie powinnam była cię prosić, żebyś ścinał to przekłete drzewo.

- To nie twoja wina - odparł. Mimo że z trudem i niemal bez tchu wspinał się po stopniach, ucieszyła go jej troska. - To ja powinienem bardziej uważać.

- Owszem, powinieneś - przyznała zgryźliwie. Uśmiechnął się. Nie mógł się od tego powstrzymać. Przejrzał ją. Odzywała się do niego cierpko, ale tylko udawała złość, żeby nie okazywać, jak bardzo przejęła się wypadkiem.

Ręka Laurel dotykała jego gołej skóry pod rozpiętą koszulą, a jej piersi muskały jego żebra. Co więcej, usłyszał w jej głosie panikę, gdy klęczała przy nim pod sosną, widział jej mokre rzęsy. Tak, była samą słodczyką, taką kobietą, jakie najbardziej lubił.

No i popatrzcie tylko! W końcu został zaproszony do jej domu. Co prawda, by osiągnąć ten cel, omal się nie zabił.

Zaprowadziła go do łazienki i posadziła na muszli klozetowej. Łazienka była ogromna, taka, jakie budowano w dawnych czasach, kwadratowa, z matowymi szybami w oknach, wanną na lwich łapach, umywalką na nóżce, grzejnikiem i bujanym fotelem, koło którego stał wiklinowy stojak na gazety, oraz z etażerką zastawioną paprociami. Alec rozejrzał się, a potem usiadł nieruchomo, obserwując Laurel. Nalała wody do miski i wyjęła kilka rzeczy z szafki wiszącej na ścianie. Zmoczyła ręcznik, natarła go mydłem i odwróciła się do rannego.

- Już dawno nikt mnie nie mył. Ostatnio zdarzyło się to, gdy byłem niemowlęciem - powiedział, zachwycony jej drżeniem.

- To potrwa dłużej, jeżeli nie będziesz siedział spokojnie - poinformowała go.

- Tak jest, proszę pani.

- Nie rób tego - mruknęła przez zaciśnięte usta.

- Czego, proszę pani? - Spojrzał na nią, przybierając minę niewiniątka.

- Nie zachowuj się tak służalczo. Dobrze wiem, że wcale taki nie jesteś.

- Dobrze, proszę pani. Nie będę.

Zacisnęła usta jeszcze mocniej, ale nie dała się sprowokować. Bardzo możliwe, że ona też go przejrziała.

Ujęła go pod brodę, uniosła mu głowę i zaczęła myć wilgotnym ręcznikiem twarz, uważając, by nie urazić go w tych miejscach, gdzie policzki miały randkę z pniem sosny. Tak łatwo mógłbym się do tego przyzwyczaić, pomyślał, delikatnie wypuszczając powietrze z płuc.

Laurel stała o wiele za daleko od niego. Zdrętwieją jej ręce, jeżeli będzie musiała sięgać przez jego długie uda. Rozwarł kolana i objął ją w wąskiej talii, by przyciągnąć ją bliżej. Prawie tego nie zauważyła, tak była skoncentrowana na swojej pracy. Wobec tego nadal ją trzymał.

Pod cienką bawełnianą bluzką była taka miękka, a jednocześnie jędrna. Pachniała jaśminowym mydłem i słońcem, a także ostrym zapachem gliny, w której rzeźbiła. Jego palce zacisnęły się na chwilę, ale zaraz z wielkim wysiłkiem je rozluźnił. Musi skierować uwagę na coś innego. Najwyższy czas.

- Doskonale sobie radzisz z pierwszą pomocą

- powiedział ochryple. - Ile jest w tym CMT?

- Ani odrobiny. Czy mógłbyś posiedzieć przez chwilę spokojnie, żebyśmy wreszcie mogła ci umyć twarz?

- Tak, proszę pani.

- Mówiłam ci, żebyś nie zwracał się tak do mnie.

- Spojrzała na niego z irytacją.

- Dlaczego? Czujesz się przez to jak moja matka lub piastunka?

- Nie - mruknęła.

- To dobrze. Bo przecież nie możesz być aż taka stara.

- Nie? - warknęła. - Jestem od ciebie starsza co najmniej o dziesięć lat.

- Naprawdę? No tak, ale przecież, jak to się mówi, nieważne są lata, lecz kilometry, które przebyło się w życiu, tak więc mam nad tobą ogromną przewagę. - Sam słyszał zadowolenie w swoim głosie, gdy tak od ręki wymyślił i rozwinął tę szczególną teorię. - Poza tym wyglądasz jak dziecko, jakby czas zapomniał o tobie, odkąd się tu zamknęłaś. Wydaje mi się więc, że to czyni nas równolatkami.

Laurel spojrzała na niego z zaskoczeniem w niebieskich jak morze oczach.

- To dziwaczny punkt widzenia.

- Ale mój własny - oznajmił, wytrzymując jej spojrzenie. - Myślę o tym już od jakiegoś czasu.

Nie odpowiedziała, tylko wróciła do swojego zajęcia, chociaż od dekoltu bluzki aż na policzki wpełzł jej intrygujący, jaskrawy rumieniec. Wydawała się zawstydzona swoją reakcją. Nie była umalowana. Skórę miała świeżą, czystą i tak delikatną, że Alec widział pod nią żyłki na skroniach na długiej, wdzięcznie wygiętej szyi. Jej upajająca woń uderzała mu do głowy jak przedniej jakości burbon. Mając ją przy sobie, zupełnie zapomniałby o alkoholu.

I on zaczynał już pachnieć jak ona, jaśminem, zamiast jak do tej pory jedynie sosnową żywicą i potem, bo myła go swoim mydłem. Bardzo mu się to podobało. Zresztą wszystko mu się tu podoba aż za bardzo, pomyślał, gdy pochyliła się nad nim, by ściągnąć z niego koszulę, a potem zaczęła zdejmować z jego torsu kawałki drewna i żwir oraz zmywać z piersi krew. Jeżeli się nie opanuje, a Laurel spojrzy w dół, natychmiast się zorientuje, jak bardzo mu się to podobało.

Jej ręce zastygły przy jego prawej łopatce. Czuł, jak obrysowuje palcem tatuaż, chociaż był zbyt zajęty przyglądaniem się jej twarzy, by zastanawiać się, co ona właściwie robi.

- Twój smok prawie stracił ogon - powiedziała cicho.

- Odrośnię. - A przynajmniej miał taką nadzieję. Pamiętał, że spadając, otarł się ramieniem o drzewo.

- Czy był jakiś powód? - spytała. - To znaczy, dlaczego wybrałeś właśnie smoka?

- Z wielu powodów, ale głównie ze względu na szczęście - wyjaśnił. - Smok jest dla ludzi Wschodu symbolem odrodzenia, nowego życia i szczęścia. Smok zawsze może narodzić się na nowo i dzięki temu symbolizuje odwieczną nadzieję.

- I co jeszcze?

- Mistrzowie wschodnich walk mówią, że smok walczy cierpliwie i mądrze, zupełnie inaczej niż na przykład tygrys, który wykorzystuje jedynie swoją siłę. W dawnych czasach smoki były również uważane za strażników świętych miejsc, a zwłaszcza skarbów. Strzegły ich, a gdy trzeba było, broniły nawet kosztem własnego życia.

- Czy to boleło? To znaczy, gdy ci robiono tatuaż? - Alec wyczuł, że jest pochłonięta problemem, zmartwiona tym, że mógł cierpieć, ale jednocześnie również po prostu ciekawa.

Wzruszył ramionami.

- Trochę.

- Więc dlaczego to zrobiłeś?

- Bo niektóre rzeczy są ważniejsze niż ból.

W jej spojrzeniu było tak dużo zrozumienia, że poczuł się trochę nieswojo. Wyplukała ręcznik, a potem znów pochyliła się nad swoim pacjentem, by obejrzeć krwawe szramy na jego brzuchu. Chwycił ją w pasie obiema rękami, by troszkę ją od siebie odsunąć.

- Poczekaj, aż wstanę - powiedział. - Będzie ci wygodniej.

Cofnęła się i wskazała umywalkę.

- Najlepiej będzie, jeżeli tu podejdiesz.

Podszedł. Zrobi wszystko, czego ona sobie życzy albo co będzie konieczne, byle tylko przedłużyć ten moment, kiedy się nim zajmuje.

Oparł się o zimną porcelaną umywalki. Zauważył jednak, że jego pierś jest trochę za wysoko, by Laurel mogła wygodnie do niej sięgać. Ugiął więc kolana i obsunął się o kilka centymetrów.

- Lepiej? - spytał.

- Chyba tak - odparła, chociaż patrzyła w dół, żeby Alec nie mógł zobaczyć wyrazu jej oczu. Jednak na jej policzkach nadal kwitł rumieniec.

Zacząła mu obmywać pierś. Delikatne muśnięcia wilgotnego ręcznika wyprawiały nieprawdopodobne rzeczy z jego emocjami. Serce waliło mu tak, że czuł je aż w uszach, i był niemal nieprzytomny, jak w chwili, gdy spadł z drzewa. Z całej siły walczył o zachowanie kontroli nad sobą.

Laurel rzuciła mu krótkie spojrzenie. Gdy wróciła do swojego zajęcia, przygryzła górną wargę. Pragnienie dotknięcia jej drobnych ząbków było tak silne, że wszystko się w nim skręcało.

Gdy Laurel znów na niego spojrzała, potrząsnął głową z krzywym uśmiechem.

- Nic na to nie poradzę, proszę pani - powiedział, próbując naśladować Bogarta z „Afrykańskiej królowej”. Odłożyła ręcznik, wzięła butelkę spirytusu i tampon z gazy. Szczodrze polała gazę i przyłożyła mu ją do piersi.

- Och! - krzyknął, bo tak był zajęty obserwowaniem jej zaciśniętych, a mimo to słodko wyglądających ust, że zaskoczyło go pieczenie.

- Dobrze ci to robi - mruknęła, dezynfekując bez litości skaleczenia.

- Tak myślisz? A może po prostu chcesz, żebym ochłoniął?

Spojrzała na niego cierpko.

- Staram się uchronić cię przed infekcją.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, ale wydaje mi się... och! - jęknął, gdy alkohol znów podrażnił jakąś wyjątkowo głęboką szramę.

- Nie zachowuj się jak dziecko! - mruknęła z wyzwaniem w oczach.

- Dobrze - odparł, kładąc ręce na jej ramionach. - Chcesz, żebym zachowywał się jak duży chłopczyk? Lub jak prawdziwy mężczyzna?

Ujrzał w jej oczach panikę, pewnie spowodowaną tym, co dostrzegła w jego wzroku.

- Nie, ja nie...

Było już jednak za późno. Przyciągnął ją do siebie, wsunął palce w długie włosy i pochylił głowę, by dotknąć ustami jej warg.

Boże, jakie to było cudowne! Mieszanka smaku jabłek, wiosennego dnia i słodkiej kobiety. Jej usta ofiarowały wszystko, o czym marzył, były gorące i miękkie. A on był głupcem. Lecz nawet głupcom od czasu do czasu należy się odrobina szczęścia.

Laurel chciała czuć się obrażona, okazać chłód i stanowczość, dobrze jednak wiedziała, że sama go sprowokowała, może nawet świadomie do tego dążyła. Choć więc gryzły ją wyrzuty sumienia, przez całe ciało płynęły fale gorąca. Rozpostarła ręce na gładkiej jak aksamit skórze Aleka. Był taki silny, wydawał się taki potężny wśród jej kobiecych drobiazgów: różowych ręczników, flakonów z solami kąpielowymi i perfumowanych mydełek. Czyż mogła oprzeć się tej potężnej magii, temu władczemu, rozkazującemu, a jednocześnie łagodnemu uściskowi? I swojej własnej, wszechogarniającej potrzebie?

Jego pocałunek był gorący jak ogień smoka. Spopielił wszystkie jej wątpliwości i rozpałił od dawna tłamszone pożądanie. Szepnęła coś cicho i wtuliła się w niego, wchłaniając w siebie cudowną gładkość jego ust, poddając się czułemu, delikatnemu muśnięciu języka.

Gdy przygarnął ją do siebie, zamykając w twardych ramionach, wplotła palce w jego włosy i zdjęła wiązający je rzemyk. Chwyciła pasmo czarnego jedwabiu, które zachowało ciepło jego ciała, i przycisnęła się jeszcze mocniej, wtuliła się w kołyskę jego ud, pragnąc odczuwać twardą siłę na sobie. Ciepło Aleka było dla niej balsamem, jego moc przyzywała ją z nieokielznaną siłą.

Delikatnie objął jej wargi swoimi ustami. Rozpalał w niej słodki, magiczny ogień łagodnymi, ostrożnymi, płynnymi muśnięciami, aż serce Laurel zaczęło bić w tym samym rytmie, w jakim przy jej piersiach biło jego serce. Lekkomyślnie zapragnęła jeszcze więcej. Oddychali tym samym powietrzem, mieszała zapach i ciepło swoich ciał. Był jej dopełnieniem, jej partnerem w doznaniach i potrzebach, utraconym bliźniakiem jej duszy, drugą połową jej własnej istoty.

Tak, a ona była głupią, samotną wdową, która nie tylko bez walki uległa czarowi Aleka Stantona, lecz również nie potrafiła w porę poznać się na nim, by się przed nim ustrzec.

Z cichym jękiem rozpaczy położyła mu ręce na ramionach i oderwała się od niego. Drżąc, szeroko otwartymi oczami spojrzała w twarz Aleka, szukając oznak triumfu w aksamitnej czerni jego oczu. Albo przynajmniej zadowolenia, że przywiódł ją tam, gdzie zamierzał.

Lecz nic takiego nie zobaczyła. Nic prócz cierpliwości, jaką dzielnie zbierał w sobie, i żalu.

Ku jej zmartwieniu, on pierwszy się opanował.

- Och, pani Bancroft - powiedział z radosnym uśmiechem i powoli pokiwał głową. - Słyszałem wiele opowieści o pocałunkach, sam całowałem tyle razy, ale do tej pory nie miałem pojęcia, czym one są naprawdę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Więc jak ci się układa z piękną wdówką?

Zapadł już zmrok. Siedzieli z Gregorym na frontowej werandzie domu babci Callie. Alec spojrzał w stronę, skąd dobiegał głos, ale zobaczył tylko zarys ciała brata. Gdyby kto inny zadał mu takie pytanie, zignorowałby je zupełnie, jednak Gregory'ego nie chciał zbywać milczeniem. Postarał się jednak, by jego

odpowiedź była możliwie lakoniczna.

- Nic takiego się nie dzieje.

- Nie wierzę! Straciłeś swój urok?

Alec ani nie potrzebował, ani nie chciał, by mu przypomniano, co się stało w łazience Ivywild. Tu, na werandzie, w gęstniejącym zmroku, gdzie powietrze przenikał zapach smażonej w kuchni wieprzowiny, a z lasu rozlegało się wołanie lelka, szukał odprężenia i spokoju. Głos tego głupiego ptaka brzmiał tak samo ponuro, jak ponuro czuł się Alec. Pewnie lelek, podobnie jak on, nie miał nadziei, że znajdzie sobie partnerkę.

- Może - odparł w końcu posępnym tonem.

- Nie przejmuj się tak bardzo. Ta wdówka musiałaby być bardzo odważną kobietą, gdyby po tym, co usłyszała o tobie i twoich grzechach, związała się z tobą.

- A ty już dopilnowałeś, żeby o wszystkim się dowiedziała, prawda? - powiedział Alec cicho.

- Robię dla ciebie, co mogę.

- Tak, jasne.

- Słuchaj, kobiety uwielbiają wyrzutków społeczeństwa. Nikt ci jeszcze tego nie powiedział? - W głosie Gregory'ego brzmiała jawna drwina.

Alec spojrział w jego stronę.

- Tak, ale kiedy ktoś im powie, że facet, który wokół nich się kręci, robi to tylko dla pieniędzy, to natychmiast tracą cały swój romantyczny zapach.

Gregory ponuro się roześmiał.

- Więc musisz bardziej się postarać. Tak zresztą będzie o wiele ciekawiej.

- Nie zależy mi, żeby było ciekawiej. - Alec z trudem powstrzymał wybuch gniewu.

- Oj, oj, jacy to my jesteśmy wrażliwi! Co się stało? Dała ci kosza? Odrzuciła twoje samcze zaloty? Energicznie pokazała ci, gdzie jest twoje miejsce? To dlatego masz teraz te wszystkie skaleczenia?

- To wcale nie jest śmieszne.

- Może i nie - przyznał Gregory z westchnieniem. - Zapomnij, o czym mówiłem, dobrze?

Alec odchylił się na oparcie staroświeckiego metalowego leżaka. Czuł, jak w jego mocno zaciśniętą na poręcz rękę wbijają się warstwy farby. Kładł je podczas każdego letniego pobytu u babci, a liczenie warstw farby i jej. rozmaitych kolorów mogłoby mu uświadomić, jak stare są te meble na werandzie, bo malowanie ich, by zwalczać rdzę powodowaną przez wilgotny klimat, było corocznym zajęciem.

Mrok gęstniał z każdą chwilą. Gdy Gregory znów się odezwał, Alec już prawie go nie widział.

- Więc co się stało?

Opowiedział mu wszystko, wiedząc, że dzięki temu brat choć na chwilę oderwie myśli od swojej choroby. Rozpaczliwie łaknął dźwięku ludzkiego głosu, by wiedzieć, że nie jest sam. Właśnie dlatego przyjechali do babci. Gregory nie mógł znieść ciszy w swoim kalifornijskim mieszkaniu.

- Dobry Boże! - wykrzyknął, gdy Alec skończył opowiadać. - Mogłeś się zabić, próbując zaimponować tej kobiecie.

Wydawało się, że w głosie brata usłyszał nutę troski, ale z Gregorym nigdy tak naprawdę niczego nie można było być pewnym. Alec w sumie niewiele o nim wiedział. Nigdy nie byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Gregory odszedł, gdy on z Mitą przeprowadzili się do domku ogrodnika w posiadłości Chadwicków, i od tego czasu prawie się z nim nie kontaktował. Aż do chwili gdy dopadła go choroba.

- Kiedy wszystko jest jak trzeba, taka wspinaczka nie jest zbyt niebezpieczna - powiedział.

- Więc co się stało?

- Ktoś przeciął pas - powiedział spokojnie.

- Wdowa? - spytał Gregory zgryźliwie.

- Przestań gadać głupoty! - Tym razem Alec nie krył swojej złości.

- Więc, twoim zdaniem, ktoś chce usunąć cię ze swojej drogi?

- Na to wygląda.

- To dlaczego sobie stamtąd nie pójdziesz? Powiedz tej kobiecie, żeby poszukała jakiegoś innego faceta do pracy.

- Zrobiłbym to - odparł Alec, przeciągając słowa - ale wtedy ona rzeczywiście mogłaby poszukać sobie kogoś innego.

Gregory roześmiał się głośno.

- Wspaniale! Tylko kogo mogłaby znaleźć?

- Nie wiem. Może ciebie?

- Chciałbym... - Gregory milczał przez długą chwilę. - Daj spokój - powiedział w końcu. - Dobrze wiesz, że nawet by na mnie nie spojrzała.

- Wcale nie wiem - mruknął Alec, nadal zły.

- I właśnie dlatego opowiedziałeś jej ze szczegółami o mojej nieciekawej przeszłości, prawda? Chciałeś, żeby się tobą zainteresowała, pragnąłeś, żeby jakaś kobieta widziała cię takim, jaki kiedyś byłeś.

- Boże, Alec! - Ból w głosie Gregory'ego był prawdziwy. Za bardzo prawdziwy.

Alec wciągnął haust powietrza i powoli je wypuścił. Potarł skraj policzka, gdzie na skaleczeniu zaczął się już tworzyć strup.

- Proszę, ty też zapomnij, że to powiedziałem, dobrze?

- Przecież masz rację - przyznał Gregory. - Czasami chyba rzeczywiście tak postępuję. Bo myślę, że jeżeli dla mnie kończy się światło, to niech wszyscy inni też żyją w ciemnościach. Zazdroszczę ci, bo ty nadal jesteś zdrowy, silny, zawsze w porządku, niezależnie od tego, co się dzieje. Tak więc opowiedziałem wdowie o dawnych czasach. Sprawilem ci tym kłopot?

- Wcale nie. - Alec wstał z łóżka i podszedł do drzwi. - Nie stało się nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

- Tak właśnie myślałem - mruknął Gregory, patrząc na brata.

Gdy Alec wszedł do kuchni, babcia Callie zagniała w niebieskiej glinianej misie ciasto na kukurydziany chleb. Słyszając jego kroki, odwróciła się. Była niziutką kobietą, dziarską jak karłowata kokoszka. Krótko obcięte, nieco posiwiałe ciemne włosy otaczały jej twarz jak delikatne piórka. Spojrzała na Aleka, jej błyszczące inteligencją oczy przytrzymały na długą chwilę jego wzrok, a potem wróciła do przerwanej pracy.

- Znów się spieraliście z Gregorym? - spytała.

- Tak - odparł z ponurą rezygnacją. - Czasami nie wiem, co go dopada.

- Walczy najlepiej, jak potrafi, złościąc się na ludzi i na swoją chorobę - wyjaśniła babcia. - Niektórzy ludzie właśnie tak sobie z tym radzą.

Miała rację. Alec wiedział o tym, ale to niczego nie ułatwiało.

- Pomóc ci? - spytał, celowo zmieniając temat.

- Mam wszystko pod kontrolą. To znaczy kolację - odparła babcia. Rozgrzała olej na ciężkiej żelaznej patelni, przełożyła na nią ciasto i wstawiła ją do pieca. - Po prostu usiądź i porozmawiaj ze mną. Słyszałam, jak opowiadałeś Gregory'emu, że spadłeś z drzewa.

- Oczywiście. - W głosie Aleka brzmiała żartobliwa rezygnacja. Zamiast usiąść, jak go babcia prosiła, podszedł do szafki, wyjął talerze i szklanki i zaczął nakrywać do stołu. Stojąc tyłem do babci, spytał:

- Może ty domyślasz się, kto chce mnie usunąć z życia Laurel i dlaczego?

Babcia umyła w zlewie misę po cieście i dopiero wtedy się odezwała.

- Chyba nie, ale dziś wieczorem rozmawiałam z Maisie.

Alec rzucił jej szybkie spojrzenie, zaalarmowany dziwnym tonem głosu staruszki.

- I co?

Opowiedziała mu o anonimowym liście i modłach w kościele, do którego chodził zięć Laurel. Gdy zaczął przeklinać pod nosem, dodała:

- Maisie tego nie powiedziała, ale ja też słyszałam w salonie piękności, jak kilka kobiet przypominało sobie okoliczności śmierci męża Laurel. Sugerowały, że mogło tam się zdarzyć coś więcej niż tylko to, co było widać na pierwszy rzut oka.

- Wyrok wydany na podstawie plotek - stwierdził z pogardą Alec.

- To amerykański zwyczaj - parsknęła babcia. Alec zabrał się do nakrywania do stołu, starając się nie patrzeć babci w oczy. Rozstawił trzy talerze, potem uważnie porządkował widelce.

- Twoim zdaniem powinienem się wycofać i zostawić Laurel w spokoju?

Babcia cmoknęła cicho, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie wiem, ale czuję, że coś się szykuje.

W jej ustach te słowa wydawały się takie dziwne, że aż się do niej uśmiechnął.

- Na przykład: co?

- Sam wiesz, mądralo - odparła ze zgryźliwą czułością. - W każdym razie trudno powiedzieć, czy ty stanowisz problem, czy też jego rozwiązanie, ale nie wydaje mi się, byś mógł stamtąd odejść, zanim się czegoś dowiesz.

- Masz rację, to nie byłoby w moim stylu - powiedział, potrząsając głową. - Chyba jednak coś po tobie odziedziczyłem. - Tak było w istocie, bowiem babcia nigdy nie uciekała przed kłopotami i nigdy się nie poddawała, gdy chodziło o jej córkę albo wnuki. Niezależnie od tego, jak daleko od niej mieszkali, zawsze mogli na nią liczyć.

Podeszła do Aleka, objęła go w pasie i uściśnęła.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała. - Zawsze byłam z ciebie dumna.

- Dziękuję, babciu. - Był jej wdzięczny za aprobatę. Położył ręce na dłoniach staruszki, zaciśniętych na klamrze od pasa. Jej uścisk go grzał, chociaż urazał niezagojone skaleczenia.

- Zastanawiam się... - zamilkła.

- Nad czym? - Coś w tonie jej głosu sprawiło, że poczuł nagły niepokój.

- Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? Dlaczego tak naprawdę trzymasz się domu Bancroftów? Z powodu pracy, dla pieniędzy czy dla tej kobiety? A może jest to powtórka dawnych wydarzeń?

Zesztywniał.

- Myślisz, że chcę coś udowodnić?

- Wydaje mi się, że zapadłeś na ciężką chorobę, i aby się z niej wyleczyć, tym razem dla odmiany chcesz postąpić właściwie.

- Może i tak - przyznał Alec, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Albo chodzi o wszystko naraz.

- Bądź jednak ostrożny, dobrze? Ja... nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

- Będę uważał - obiecał Alec.

- Postaraj się - rozkazała, a potem odchrząknęła. Odsunęła się od wnuka, chwyciła jego długi kucyk zwisający między łopatkami i mocno za niego pociągnęła. - Może po kolacji bym cię ostrzygła?

Nie po raz pierwszy to proponowała i na pewno nie ostatni. Spojrzał na nią przez ramię.

- W żadnym wypadku.

- Nie mów mi. Sama zgadnę. Dziewczyny to lubią.

- Niektóre - przyznał, odczuwając dreszcz rozkoszy na wspomnienie palców Laurel przesuwających się między długimi pasmami jego włosów i jej paznokci, drapiących go delikatnie po głowie.

- Byłbyś takim samym przystojnym diabłem, nawet gdybyś miał włosy o piętnaście centymetrów krótsze - powiedziała babka przymilnie.

Uśmiechnął się zrozumiale.

- To znaczy, że twoim zdaniem jestem przystojny?

- Zadufany w sobie osioł - parsknęła.

- Ale i tak mnie kochasz, prawda?

Westchnęła.

- Wszyscy cię kochamy.

- Niezupełnie wszyscy. - Roześmiał się.

- Nie przejmuj się - powiedziała babcia i pocieszająco pogłaskała go po plecach, a potem wróciła do kuchenki, sprawdzić, jak piecze się chleb, który powoli zaczął napełniać kuchnię cudownym zapachem. - To tylko kwestia czasu.

Alec popatrzył na babkę, zastanawiając się, czy tak łatwo go przejrzeć. A może jednak w plotkach o tym, że on i wdowa Bancroft są sobą na serio zainteresowani, tkwi ziarno prawdy?

No cóż, jeżeli on sam mógł tak pomyśleć, to aż trudno sobie wyobrazić, co o nich myślą żądni sensacji mieszkańcy Hillsboro. A co gorsza, w co już byli w stanie uwierzyć? Chyba lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Gdy Alec przyjechał następnego rana do Ivywild, pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, był odgłos walenia młotkiem, dochodzący z tyłu domu. Zostawił motocykl w zwykłym miejscu i poszedł za tym dźwiękiem.

Okrążył dom i zobaczył Laurel, która z równie wielką energią, jak z mizernym efektem usiłowała wbić gwóźdź w sztachetę. Lecz nie to go zatrzymało w miejscu. Stał, bo na jej widok wprost go zamurowało.

Miała na sobie turkusowe szorty z dzianiny, dobraną kolorem koszulkę, a na nogach sandały z pasków, tak lekkie, że równie dobrze mogłaby być boso. I nie nałożyła stanika. Zaplecione w warkocz włosy przerzuciła na plecy. Sięgały jej prawie do pasa. Spociała się z wysiłku, koszulka przykleiła się do ciała, przy każdym ruchu odznaczały się pełne, jędrne piersi. Wyglądała najwyżej na szesnaście lat i tak uroczo, że mógłby ją schrupać. Alec zrozumiał, że to właśnie jej łaknął przez całe swoje życie.

W końcu zdołał się ruszyć. Podchodził do niej, z każdym krokiem był coraz bliżej, aż wreszcie stanął za nią.

- Ja to zrobię - powiedział, sięgając po młotek. Krzyknęła i gwałtownie obróciła się na pięcie. Alec zdążył chwycić młotek, zanim go nim zdzieliła, ale naprawdę niewiele brakowało, by odniósł następne ciężkie obrażenia. Na przyszłość, dla własnego dobra, będzie musiał być ostrożniejszy.

Laurel uspokoiła się i westchnęła z ulgą. Zaraz jednak znów się wyprostowała, a jej oczy zabłyśły błękitnym ogniem.

- Co ty sobie w ogóle myślisz, że tak się do mnie podkradasz? - spytała z gniewem.

- Być może chodzi o to, że chcę cię wyręczyć? - zasugerował. Słowa były obojętne, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu ani gorącego spojrzenia.

Przez długą chwilę oboje wspominali pocałunki z tamtego dnia. Wspomnienie to było w ich napiętym milczeniu, w mrowieniu jego palców i ust, i rozchyleniu jej warg. W końcu Alec oderwał od niej wzrok. Laurel też popatrzyła gdzieś w bok. Chyba postanowiła, tak samo jak on, że lepiej nie poruszać tego tematu. Może jeżeli nie posuną się dalej, z czasem wszystko samo się rozmyje.

Jednak gdy odrywał od niej spojrzenie, jego wzrok przesunął się po jej bluzce. Fatalnie. Ledwo zdołał utrzymać przy sobie ręce, widząc, co głęboki oddech wyprawia z miękkimi wypukłościami pod leciutkim materiałem. Włożył jedną rękę do tylnej kieszeni spodni, a drugą z całej siły zacisnął na trzonku młotka.

- Spodziewałam się ciebie dopiero za godzinę - stwierdziła oskarżycielskim tonem. - Dlaczego przyszedłeś tak wcześniej?

Alec oczywiście chciał ją zaskoczyć. Wyobrażał sobie, że o świcie wyjdzie do ogrodu popracować, a potem, w porze jego przyjazdu, wycofa się do domu. Jednak zdradzanie swych podstępnych knowań nie było w tej chwili najlepszym pomysłem. Zamiast tego powiedział:

- Wczoraj nie przepracowałem całej dniówki.

Zmarszczyła brwi i zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów.

- Jesteś pewny, że w ogóle możesz pracować?

- Tak, z reguły szybko wracam do zdrowia.

- Nie musisz dziś nic robić. Praca może poczekać, aż będziesz gotowy.

- Już jestem gotowy - odparł, rozbawiony dwuznacznością wypowiedzianych słów. - Jestem dobry... to znaczy, czuję się dobrze, całkiem dobrze.

Znów popatrzył w bok, zażenowany jej badawczym spojrzeniem. Zauważył pudło, które stało obok na ziemi. Wydawało mu się, że jest w nim jakaś rzeźba.

- Co to jest? - spytał.

Wyjaśniła mu, chociaż wydawało się, że jest zakłopotana, a nawet ostrożna, jakby spodziewała się po nim jakiegoś złośliwego komentarza.

- Ach, Usta Prawdy. - Uklęknął, by obejrzeć płytę. - Widziałem Zielonego Człowieka inspirowanego postacią Bachusa, ale takiego jak ten jeszcze nigdy. Ten twój pasuje do ciebie. Jest łagodniejszy, nie taki dziki. - Ze strachu, że mógł powiedzieć za dużo, wskazał głową gwóźdź, który usiłowała wbić. - Tu chcesz tę płaskorzeźbę powiesić?

Skinęła głową, a wtedy kilkoma mocnymi uderzeniami młotka wbił gwóźdź na odpowiednią głębokość.

- Co za popis! - zakpiła.

Uśmiechnął się do niej, wiedząc doskonale, że miała rację. Jeżeli dłużej będzie przebywał z nią i z babcią, nim się obejrzy, całkiem zatraci swoje ego.

Podniósł ciężką płytę i zawiesił ją na gwoździu zgodnie ze wskazówkami, które Laurel podawała mu z pewnej odległości. Potem odstąpił kilka kroków, by podziwiać dzieło. Poza tym, że było nowe i czyste, wyglądało tak, jakby od dawna właśnie tu było jego miejsce. I to naprowadziło go na pewien pomysł.

- Wiesz, czego jeszcze potrzebujesz? - spytał w zamyśleniu.

- Nie, ale ty mi na pewno powiesz - mruknęła cierpko.

- Chodzi o kolumny - wyjaśnił, nie zwracając uwagi na jej sarkazm.

- Kolumny? - powtórzyła zdumiona.

- No wiesz, takie wysokie słupy. Greckie, rzymskie, a może Majów? - Gdy na jej twarzy odmalowało się zrozumienie, kontynuował: - To wspaniałe podpory dla wiszących roślin. Mógłbym tu również zainstalować fontannę z zamkniętym obiegiem wody. Zanim zdążysz się spostrzec, już pokryje się mchem. Dodaj do dwóch kolumn nadproże, i już masz bramę, wejście do takiego ogrodu, jaki tylko ci się zamarzy. Może włoski albo hiszpański?

- Albo angielski, jeżeli zrobisz to tak, by wyglądało jak Stonehenge\*.

- No właśnie - powiedział, zachwycony, że tak łatwo przyjęła jego pomysł.

- A skąd wzięlibyśmy kolumny? Ucieszył się, słysząc to „my”.

- Możemy zrobić je sami z betonu, a wyższe wzmocnić stalowymi prętami. Im dłużej będą stały, tym bardziej beton stwardnieje, aż w końcu stanie się twardy jak skała. Jeżeli zrobimy to razem, koszt nie będzie wysoki.

Przez długą chwilę patrzyła na niego, jakby wiedziała, co mu chodzi po głowie, albo przynajmniej podejrzewała. Zastanawiał się, czy z psychologicznego punktu widzenia postępuje właściwie, zmuszając ją do odchodzenia coraz dalej od domu. Na razie nie wyglądało jednak na to, by wyrządzał jej tym krzywdę.

- Wiesz, gdzie kupić formy? - spytała w końcu. Skinęła głową, skrywając uśmiech.

- Tak. Zostaw to mnie.

---

\* Stonehenge - słynna kamienna konstrukcja na Równinie Salisburskiej w Anglii, wzniesiona ok. 1800-1400 p.n.e. (przyp. red.).

Nie wróciła do domu. Włożyła robocze rękawice i pomogła mu zbierać na stos, a potem palić gałęzie ściętej wczoraj sosny, a także śmiecie i zielsko z ogrodu. Nie był pewien, czy robiła to ze współczucia, bo wiedziała, jak obolały jest po wypadku, czy też powodem było poczucie winy. Oczywiście nie miał nic przeciwko jej pomocy. Był szczęśliwy, że dotrzymuje mu towarzystwa, nawet jeżeli stanowiło to dla niego wyrafinowaną torturę.

Gdy patrzył, jak zbierała naręcza chwastów, aż mu się zakręciło w głowie. Za każdym razem, kiedy się pochylała, nogawki jej szortów unosiły się, doprowadzając go do szaleństwa.

Pomyślał, że dobrze byłoby wejść na sosnę, która nie została jeszcze do końca ścięta, i nie tylko skończyć tę robotę, ale również umknąć przed pokusą. Jednak nie był pewny, czy jego kolano to wytrzyma, nawet jeżeli on sam wytrzymałby w tym postanowieniu. Porzucił zatem ów pomysł i zebrał siły, by spojrzeć w innym kierunku, a nie tam, gdzie znajdowała się jego pomocnica.

Zresztą wraz z przyjazdem Maisie pokusa sama się oddaliła. Laurel poszła z gosposią do domu, by omówić menu na lunch, i już nie wróciła. Napełniło to Aleka goryczą, bo przecież wydawało mu się, że poczynił już pewne postępy, teraz jednak odniósł wrażenie, że Laurel tylko czekała na jakiś pretekst, by od niego uciec.

Skończył układać ostatnie kawałki sosny na stosie do podpalenia. Potem, ponieważ mógł bez trudu pilnować ognia, będąc w garażu, wrócił do roboty przy samochodzie, którą przerwał przed tygodniem. Jutro przyniesie opony. Jego finanse tyle jeszcze wytrzymają.

Było już po lunchu, gdy zauważył ślady butów. Odcisnęły się w miękkiej ziemi pod oknami sypialni Laurel, tam, gdzie wykopał samosiejkę sasafras.

Wyglądało to jak ślady pozostawione przez kogoś, y kto biegł. Alec odcisnął obok podeszwę swojego roboczego buta, żeby upewnić się, że to nie on je zostawił. Miał rację. Odciski były odrobinę mniejsze niż jego ślady, a bieżnik zupełnie inny. Nie mogła ich też pozostawić Laurel, bo były na to za duże, ani Maisie, która nosiła ortopedyczne obuwie na gładkich podeszwach, takie, jakich często używają pielęgniarki i kelnerki.

A więc ktoś obcy podglądał Laurel. Czy powinien zachować tę wiadomość dla siebie, czy powiedzieć jej? Alec nie chciał jej przerażać, ale nie miał wyboru.

Gdy zapukał, otworzyła mu drzwi, unosząc pytająco brwi.

- Masz chwilę czasu, żeby coś zobaczyć? - spytał natychmiast i już ruszył do ogrodu.

- O co ci znów chodzi? - warknęła, ujmując się pod boki.

- Po prostu chodź i zobacz.

- Sam się tym zajmij, mam co innego do roboty. - Usiłowała zamknąć drzwi.

Przytrzymał je ręką. Może słusznie była podejrzliwa, a może nie, ale on nie był w nastroju do zabaw.

- To nie jest żaden żart ani sztuczka, żeby wyciągnąć cię z domu. Jest coś, co muszę ci pokazać. Możesz pójść z własnej woli, albo cię zaniosę. Wybieraj.

Laurel często odnosiła wrażenie, jakby Alec Stanton miał dwie różne osobowości i mógł je dowolnie zmieniać. Czasami był uśmiechniętym chłopakiem ze złośliwymi iskierkami w oczach, a czasami był twardy jak drapieżnik i wydawało się, że ma już co najmniej tysiąc lat. I każde z tych wcieleń niepokoiło ją o wiele bardziej, niż chciałaby przyznać.

- Nigdzie nie pójde, póki mi nie powiesz, co tak bardzo ważnego się stało, że nie potrafisz zachować się uprzejmie... Hej!

Aż straciła oddech, gdy podniósł ją tak lekko, jakby w ogóle nic nie ważyła. Obrócił się i ruszył długimi krokami po schodach, a potem naokoło domu. Na sekundę się zatrzymał, gdy zabolalo go uszkodzone podczas upadku z sosny kolano. Ból nie był jednak bardzo dokuczliwy. Nocny odpoczynek najwyraźniej zrobił swoje. Laurel trzymała się go jedną ręką za szyję, a drugą ścisnęła jego koszulę. I cały czas walczyła o odzyskanie kontroli nad szaleńczo bijącym sercem i powolnym wsączaniem się do żył czegoś, co powinno być przerażeniem, ale zdecydowanie nim nie było.

Popełniła błąd. Teraz już jasno sobie z tego zdawała sprawę. Lecz nie doda do tego kolejnego błędu i nie będzie się wyrywała. Godność! Tego właśnie teraz najbardziej potrzebowała. Godności i opanowania, by poradzić sobie z tym zarozumiałym facetem, któremu się wydawało, że ma nad nią władzę.

- Zwalniam cię - powiedziała cicho, z ustami oddalonymi o centymetry od jego ucha.

Zachwiał się, chociaż nie wiedziała, czy z powodu jej słów, czy ciepłego oddechu, który poczuł na skórze. Mimo to odpowiedział bez chwili namysłu:

- Nie możesz mnie zwolnić, bo to ja odchodzę.

- Doskonale.

- Tak, doskonale. Tylko gdy następnym razem kogoś zatrudnisz, przynajmniej nie próbuj się przed nim chować.

- Nie chowałam się przed tobą!

- A więc może się myłę. Tylko w jakim innym celu wciąż zamykasz się w domu?

- Jeżeli nie chcę się z kimś widywać, nie oznacza to jeszcze, że się ukrywam.

- Och, doprawdy? A ja myślałem, że się boisz.

- Nie bądź śmieszny!

- Boisz się, że ktoś na ciebie spojrzy. Z przerażeniem zastanawiasz się, co ludzie powiedzą. A przecież jedynym powodem, dla którego wciąż gadają i plotkują, jest to, że ich własne, nędzne życie jest zbyt nudne, by było warte choć jednego słowa.

- Co ty o tym możesz wiedzieć!

- Wydaje ci się, że niczego jeszcze nie przeżyłem? - parsknął Alec. - No cóż, jeżeli jednak nie chodzi o innych ludzi, to znaczy, że boisz się mnie.

- Co za głupstwa! Jesteś jedyną osobą, oprócz Maisie, przy której nie czuję się...

- Jak? - spytał, gdy zamilkła. - Jakbyś nie miała prawa żyć, bo twój mąż umarł? Jakbyś powinna zamknąć się na zawsze w więzieniu niczym kryminalistka, bo nie zasługujesz na życie na wolności?

- To nieprawda - odparła szorstko.

- A mnie się wydaje, że tak. Kto jednak do tego doprowadził, kto tak cię skrzywdził, jeżeli nie Maisie i nie ja? Twoja teściowa? Nie powinna mieć nad tobą żadnej władzy. Twoje dzieci? Dlaczego miałabyś się nimi przejmować, skoro mają dla ciebie tak mało czasu?

Laurel drżała, jakby słowa, które Alec wypowiadał, raniły ją prosto w serce.

- Lubię moją prywatność - powiedziała, unosząc głowę. - I lubię mój dom. Mam tu wszystko, czego chcę i potrzebuję. Po co miałabym stąd wychodzić?

- Tu czujesz się bezpiecznie - stwierdził.

- No właśnie! - krzyknęła triumfująco.

- A nie powinnaś czuć się za bezpiecznie - powiedział, zatrzymując się na pod jej oknami i stawiając ją na ziemi. - Nie ma takiego miejsca, do którego ktoś nie potrafiłby się wdrzeć.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, o czym Alec mówi. Wtedy pokazał jej ślady butów.

Patrząc na wgłębienie w miękkiej ziemi, spazmatycznie wciągnęła powietrze. Zmroził ją strach. Zadrżała.

- Podglądacz? - spytała, wypuszczając powietrze z płuc.

- Może. Albo też - dodał miękko - po prostu ktoś, kto jest ciekawy, co robisz, gdy się zamykasz w domu. Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło?

- Nigdy. Sticks by na to nie pozwolił.

- Ale jego już nie ma - powiedział znacząco.

- Myślisz, że ktoś go otrul po to, by móc...

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Kto? - spytała w rozpacz. - Kto mógłby zrobić coś takiego?

- Każdy - odparł zdecydowanym tonem. - Jesteś piękną kobietą, mieszkasz sama, z dala od wszystkich. Dziwne, że już wcześniej nikt się tu nie włóczył.

Laurel zacisnęła pięści, odwróciła się na pięcie i krzyknęła:

- Dlaczego to wszystko dzieje się właśnie teraz?! Śmierć Sticksa, te okropne plotki, a na dodatek ktoś się czai przy domu i mnie szpieguje... Co ja takiego zrobiłam?

Alec chwycił ją za ramię i szarpnął tak, by stanęła do niego twarzą.

- Nic nie zrobiłaś - powiedział szorstko. - Przestań myśleć, że to twoja wina!

- Więc czyja? - spytała ostro, próbując bez skutku uwolnić ramię.

- Może moja, a może niczyja. Kto to może wiedzieć? Ale na pewno nie twoja.

- Skąd wiesz? Nie masz najmniejszego pojęcia, jaka jestem, ani co zrobiłam albo czego nie zrobiłam. I nie wiesz, do czego jestem zdolna, gdy mam do tego słuszny powód.

Pokiwał głową, lekki uśmiech uniósł mu kąciki ust.

- Och, znam cię - powiedział cicho. - I założyłbym się o wszystko, że nigdy celowo nie zrobiłabyś nikomu krzywdy. Ale w jednym masz rację: nie znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, do czego w skrajnych sytuacjach jesteś zdolna, ale obiecuję ci, że pewnego dnia to też będę wiedział.

Jego słowa były dla niej balsamem. Chciała mu wierzyć, potrzebowała tego bardziej, niż do tej pory wydawało jej się to możliwe.

Lecz nie śmiała. Zbyt wiele świadczyło przeciw temu, co przed chwilą powiedział, nawet jeśli instynktownie wierzyła, że mówił szczerze. A ta świadomość wzbudziła w niej gniew.

- Nie przeceniaj swojego szczęścia - powiedziała z naciskiem.

Jego uśmiech stał się szerszy, ale i bardziej sardoniczny. Puścił jej ramię i wziął się pod boki zaciśniętymi pięściami.

- Co mi jeszcze możesz zrobić? - spytał szyderczo. - Przecież już mnie zwolniłaś.

- Mogę wezwać policję. - Sama nie wiedziała, dlaczego mu tym zagroziła. Wiedziała tylko, że musi się przed nim strzec.

- Więc biegnij do telefonu, niech po mnie przyjeżdżają - powiedział, a w głębinach jego oczu rozbłyły iskiarki. - To dla mnie żadna nowość.

Nie to miała na myśli. A może jednak? O czym on mówił? Czyżby tamte pogłoski były prawdziwe? Czyżby Alec rzeczywiście siedział w więzieniu za zamordowanie swojej, tak dużo starszej, żony?

- Jeżeli wezwiesz policję - kontynuował po króciutkiej przerwie - najpewniej będziesz miała do czynienia ze swoim przyjacielem, szeryfem Tanningiem. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Nie chciała spotykać się z Danem Tanningiem ani zresztą z nikim innym, ale skąd Alec o tym wiedział?

- Po prostu idź sobie - szepnęła. - Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

- Mógłbym to zrobić, gdybym uważał, że w ten sposób ci pomogę - powiedział. - Nie sądzę jednak, aby tak było. Musisz się z tym pogodzić, że jesteś na mnie skazana.

- To ty tak myślisz - warknęła. - Mam jednak

nadzieję, że nie będziesz tu pracował, jeżeli ci nie zapłacę?

Cicho się roześmiał.

- Och, Laurel, nie chodzi mi o pracę i ty przecież o tym wiesz, prawda?

- Nie, nie wiem. - To była najlepsza odpowiedź, na jaką w odruchu samoobrony mogła się zdobyć.

- Chyba jednak wiesz - powiedział spokojnie. - I wiesz, że nie zdołasz uciec ode mnie. Teraz to już nie jest możliwe.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy Alec przyszedł następnego dnia rano, Laurel sadziła róże. Brązowa furgonetka dostawcza przywiozła je poprzedniego popołudnia. Było ich dwanaście. Laurel od razu dobrze je podlała i bezlitośnie oberwała pąki i nowe pędy, by krzaki były silne. Dziś rano wyszła, żeby je posadzić. Chciała uporać się z robotą, zanim słońce zacznie zbyt mocno palić.

Wyprostowała się i patrzyła, jak Alec zeskakuje z motocykla i idzie prosto do niej swobodnym, sprężystym krokiem. Jego skaleczenia i zadrapania zaczynały się już goić, przestał także kuleć. Wyglądał tak świetnie i był tak pewny siebie, że ogarnęła ją rozpacz.

W pierwszej chwili chciała mu przypomnieć, że wyrzuciła go z pracy, kazać mu odejść i nigdy nie wracać. Nie pragnęła tego, ale tak byłoby najlepiej. Tylko po co miałyby się wysilać? Przecież wczoraj nie przyjął do wiadomości swojego zwolnienia.

Gdy sięgnął po łopatę, którą trzymała w ręku, mocno ją przytrzymała. Alec spojrzał na nią ponuro i przenikliwie, i zacisnął dłoń na trzonku. Laurel poczuła, jak serce jej przyspiesza. Niespodziewanie puściła łopatę, pozwoliła mu ją wziąć. W jego czarnych oczach odmalował się triumf, łaskawie jednak nie wyraził swej radości słowami.

Razem zasadzili i podlali róże. Pracowali jak zgrany zespół, mówili niewiele, wzajemnie rozumiejąc najdrobniejsze choćby gesty, jakby od lat pracowali ramię w ramię. Było to zadziwiająco satysfakcjonujące, nawet mimo żaru słońca i lejącego się potu. Potem poszli na werandę, na kawę i rogaliki. To znaczy ona piła kawę, a on ziołową herbatkę.

Patrzyli na świat, który wyglądał tak, jakby stopiło go słońce, i niewiele rozmawiali. Tak było najlepiej. On raz ziewnął, głęboko, z całej duszy, zakrywając usta ręką. Jej natychmiast też zachciało się spać.

Alec roześmiał się, ale zaraz rozbawienie znikło z jego twarzy.

- Tak się bałaś, że nie mogłaś spać? - spytał spokojnie.

- Byłam trochę zdenerwowana - przyznała. Zawahał się, jakby chciał coś zaproponować, jednak po chwili bez słowa odwrócił głowę.

- A dlaczego ty jesteś śpiący? - spytała Laurel.

- Za dużo myśli chodzi mi po głowie - odparł. Zamierzała spytać, co chciał przez to powiedzieć, gdy jednak ujrzała ponury i stanowczy grymas na jego twarzy, zrezygnowała. Najlepsza była wspólna praca. Razem ją planowali i wykonywali, a to pozwalało na utrzymywanie poprawnych stosunków, przynajmniej pozornie. Jednak było też między nimi coś więcej, coś nie do końca sprecyzowanego. Oboje o tym wiedzieli, nawet jeżeli udawali, że nic takiego się nie dzieje. Problem polegał na tym, że trudno było o tym nie myśleć, gdy odpoczywali, gdy mogli przez chwilę posiedzieć beczynnym i popatrzeć sobie w oczy.

Po jakimś czasie wstali i wrócili do pracy.

Tego ranka ustalili się rutynowy rozkład zajęć na kilka następnych dni. Zmieniał się tylko rodzaj zajęcia oraz miejsce, gdzie jadali zaimprovizowane posiłki. Dziwne, ile zdołali zrobić: krzaki zostały wycięte,

byliny przesadzone, nawóz rozrzucony, wszystko było podlane na czas, a resztę dnia zajmowało im grabienie i palenie chwastów.

Alec skończył ścinać sosnę, pociął pień na trzydziestocentymetrowe kawałki, a potem zaniósł je na skraj lasu i ułożył w kwadrat, przygotowując miejsce na kompost. Następnego ranka starą furgonetką babci przywiózł materiał do form, w których zamierzał odlewać beton na kolumny. Razem z Laurel przez trzy dni pracowali nad włoską bramą i zestawem kolumn najrozmaitszych rozmiarów.

Pod koniec tygodnia ogród przed domem zaczął nabierać ostatecznego kształtu. Grządki róż na froncie, wokół fontanny, zostały uzupełnione sadzonkami goździków, niebieskiej szalwi i stokrotek, a wszystko to otoczyli niskim żywopłotem z bukszpanu. Dla równowagi w rogach płotu posadzili jeszcze wielkie kamelie i inne krzewy. Zwisające nisko gałęzie magnolii zostały przycięte, by uwypuklić doskonale proporcje drzewa, a stare róże przy altankach przydawały całemu ogrodowi nastroju niezrównanej, uroczej harmonii.

Po prawej stronie domu urządzili specjalny zakątek.

Na pokrywie starej cysterny ustawili zbiór mis wykonanych przez Laurel, a w nich zasadzili wiszące europejskie geranium. Po drugiej stronie, przy płocie, zbudowali pergolę, która osłaniała pasującą do niej ławkę, a trochę dalej, między krzewami, zrobili prostokątny stawek, do którego kaskadami spływała woda z wysokiej kolumny.

Nowa włoska brama zaznaczała wejście do rzymskiego ogrodu po prawej stronie na tyłach, gdzie wzdłuż chodnika zasiali pachnące oregano, bazylię i tymianek. Zabrukowany środek był z dwóch stron obramowany kolumnami, na których postawili misy z bluszczem i ziołami, a obok posadzili wysmukłą jukę. Przy wolnym boku umieścili płaską kamienną płytę i przenieśli tam Usta Prawdy, które stanowiły główny punkt ogrodu.

Po drugiej stronie domu, na ścianie wolno stojącego garażu, zawiesili wielką płytę z wyrzeźbionym przez Laurel Bachusem lub Zielonym Człowiekiem. Alec zrobił z tej lubieżnie patrzącej twarzy fontannę, chociaż z jej ust wyciekała woda, a nie, jak w oryginale, wino. Woda spływała strumieniem do sadzawki porośniętej wodnymi roślinami. Z jednej strony Alec zasadził również dzikie wino, które z czasem miało obramować płaskorzeźbę.

Przy tylnych drzwiach domu również powstały oczka wodne, uzupełnione morską misą Laurel. Alec nazwał to ogrodem zeń. Jedna głębsza sadzawka została umieszczona tak, by łąpać starannie dozowaną, spadającą kroplami wodę z fontanny o zamkniętym obiegu. Plusk spadających kropli przypominał odgłos wolno bijącego serca.

Z każdym dniem ogród nabierał urody. Woda przyciągała ptaki, żaby i ważki. Ropuchy, kameleony i fraszki przemyczały wśród zieleni. Motyle wywijają w powietrzu wdzięczne pętle, pszczoły buczały sennie, spijając nektar kwiatów. Laurel przyglądała się temu i uśmiechała. Jej dusza odpoczywała i rozkoszowała się tym miejscem, które Alec stworzył, pracując w pocie czoła. Nasycił ogród swoim trudem - i wielką miłością, którą skrywał w swym sercu. Spokój trwał jednak krótko, i to Alec go zakłócił. Któregoś dnia po południu urządzili sobie piknik we włoskim ogrodzie. Rozłożyli koc na kamieniach w cieniu wysokiego cedru. Laurel już zjadła i siedziała z uniesionymi kolanami, przyglądając się, jak Alec wypija resztki piwa z puszki. Od patrzenia na gładką skórę jego opalonej szyi, na sposób, w jaki poruszała się przy połykaniu, doznawała dziwnych uczuć. Była tak skupiona, że prawie nie zauważyła, gdy zgniótł w rękę pustą puszkę i, nie patrząc na nią, spytał:

- Czy mogłabyś wyprowadzić samochód z garażu?

W pierwszym odruchu zamierzała natychmiast odmówić, ale opanowała się.

- Po co? - spytała. Popatrzył na nią badawczo

- Oczyszczyłem już z krzaków miejsca koło płotu na tyle, że teraz chciałbym skosić trawę i zielsko. Na tyłach garażu masz kosiarkę, ale nie mogę się do niej dostać, póki nie wyprowadzisz samochodu.

Prośba była całkiem zrozumiała. Jednak Laurel tak bardzo zaniedbała Ivywild również z tego powodu, że nie mogła się zdobyć na to, by wsiąść do samochodu, tak więc nie mogła również używać kosiarki.

- Wątpię, by silnik zapalił - powiedziała z ostrożną nonszalancją.

- Samochodu, czy kosiarki?

- I tego, i tego - odparła w napięciu.

- Kosiarką będę musiał dopiero się zająć, natomiast samochód ruszy, bo już przy nim pracowałem. Wymieniłem świece, kable i akumulator. Zapaliłem też dla próby silnik, ale nie chciałem wyprowadzać samochodu bez twojej wiedzy.

Z obojętną miną czekał na odpowiedź.

- Nie miałeś prawa!

Wzruszył ramionami.

- To była jedna z tych rzeczy, które musiały być zrobione.

- Nie prosiłam cię o to.

- Ale też nie zakazałaś. Laurel, daj spokój, to nic takiego. Po prostu wyprowadź samochód z garażu.

- Wiesz, że... - zaczęła mówić, ale, natychmiast zamilkła.

- Tak, wiem - odparł. - Wiem też, że nie uwolnisz się od strachu, jeśli ciągle będziesz się poddawać. Już tyle osiągnęłaś: wyszłaś z domu, każdego dnia pozostawałaś na dworze coraz dłużej i pracowałaś ze mną. Teraz przyszedła pora na kolejny krok.

- Och, proszę - szepnęła w rozpacz. - Nie stosuj wobec mnie swoich sztuczek zeń. Nie jestem idiotką ani małym dzieckiem, które możesz zanudzać tak długo, aż zrobi to, czego chcesz, bo tobie się wydaje, że wszystko wiesz najlepiej. Nie chcę prowadzić samochodu. Chyba nie można tego powiedzieć już bardziej dobitnie.

- Mówisz mi bardzo wyraźnie coś innego, a mianowicie, że jesteś przerażona. Zaciśnęła ręce na kolanach.

- No to co? Każdy się czegoś boi. Nawet ty. Oczy Aleka ściemniały.

- A czego to ja, według ciebie, niby się boję?

- Niepowodzenia i słabości - powiedziała bez namysłu. - Tego, że zawiedziesz kogoś, a zwłaszcza tych, którzy od ciebie zależą, albo na kim tobie zależy. Pracujesz tak ciężko, bo myślisz, że w ten sposób wszystko naprawisz, i odrzucasz gorzką prawdę, że nie wszystko można naprawić.

- A ty nie stosuj wobec mnie jakiejś egzystencjalnej filozofii - mruknął, odwzajemniając jej zarzut. - Ja przynajmniej próbuję.

Ledwo mogła wytrzymać jego wzrok. Pragnąc wejść na pewniejszy grunt, powiedziała:

- To i tak nie ma znaczenia, bo opony są dziurawe.

- Już nie.

- Dałeś nowe opony do mojego samochodu? - spytała z gniewem.

- A jeżeli tak, to co?

- Jakim prawem sądzisz, że zwrócę ci pieniądze za coś, czego wcale nie zamierzałam kupować?

- Nie musisz mi ich zwracać.

- Nie możesz sobie pozwolić... - zaczęła, ale zaraz zamilkła, ostrzeżona nagłym grymasem twarzy Aleka. - Możesz je odstawić tam, skąd je wzięłaś.

- Nie - powiedział, a jego głos zabrzmiał stanowczo i posępnie.

- Wobec tego poszukam kluczyków. Sam możesz wyprowadzić samochód, bo ja do niego nie wsiądę. Przez chwilę jej się przyglądał.

- Kiedy tamtego dnia wzięłam cię na ręce i niosłam, musiało ci to sprawiać wielką przyjemność.

- Jesteś ode mnie silniejszy, więc może uda ci się mnie wsadzić do samochodu - powiedziała z wyzwaniem

- ale nie zmusisz mnie do prowadzenia go.

- Chcesz się założyć?

Zobaczyła, że lekko się uśmiechnął.

- Och, oczywiście - powiedziała z gorzką ironią. - Potrafisz tylko grozić i wydaje ci się, że w ten sposób wszystko załatwisz. Co to w ogóle za postawa?!

- Moja.

Laurel drżała. Sama nie wiedziała, czy ze strachu przed tym, czego od niej Alec żądał, czy ze złości, że spróbuje ją do tego zmusić. Zaciśkała ręce na kolanach tak mocno, że palce jej pobielały, ale nie potrafiła ich rozluźnić.

- Nie mogę - powiedziała przez zaciśnięte usta.

- Możesz.

- Nie! Mówię ci, że nie mogę!

- Więc mi to udowodnij. Udowodnij, jakim jestem łajdakiem, pokaż, jak bardzo cię krzywdzę, zmuszając, byś zapaliła silnik i wyjechała z garażu. Czy to aż takie trudne?

- Nie chcę, żebyś to widział! - Oczy paliły ją od łez. Zamrugowała powiekami, rozpaczliwie próbując je powstrzymać.

- Dlaczego? Czemu się tego obawiasz? Przecież nic cię nie obchodzi, co ja myślę.

- Obchodzi. Zależy mi. - Te słowa zupełnie nieoczekiwanie wyrwały się z samej głębi jej istoty.

- Więc zrób to dla mnie - powiedział błagalnie. - Bo ja cię o to proszę.

Jak mogła? Dobry Boże, jak? Lecz jeśli sama nie spróbuje, Alec weźmie ją w ramiona i posadzi na fotelu kierowcy. Tego też nie chciała, nie potrzebowała. Nie, nie pozwoli na to. Lecz on jej nie popuści, nie podda się, póki ona nie zrobi z siebie idiotki. Więc niech jak najprędzej ma to za sobą. Im szybciej, tym lepiej.

Z trudem podniosła się na nogi i poszła do tylnych drzwi domu. Kluczyki wisiały na wiktoriańskim mosiężnym wieszaku przy drzwiach, tam, gdzie zostawiła je pięć lat temu. Sięgnęła po nie i mimo że dzień był gorący, dotykając ich metalowej powierzchni, poczuła nieprzyjemne zimno.

Maisie odwróciła się od zlewu, przy którym zmywała naczynia.

- Co się stało? - spytała zatroskana. - Dlaczego tak na siebie krzyceście z Alekiem?

- Nic takiego - odparła Laurel. Nie chciała o tym ani rozmawiać, ani nawet myśleć. Właśnie, o niczym nie myśleć, nie zastanawiać się, a może jakoś sobie poradzi. Tak musi zrobić. Skupi się tylko na zadaniu, i wtedy pokaże temu zarozumiałemu facetowi, na co naprawdę ją stać. Gwałtownie odwróciła się od Maisie i szarpnięciem otworzyła drzwi.

Pokaże mu! Tak, pokaże. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Właśnie tak wybiegła z domu tamtego dnia, w którym umarł Howard. Zatrzasnęła za sobą drzwi i pomaszerowała betonową ścieżką do garażu, wzdłuż bocznej ściany, przez otwartą furtkę, zbyt zraniona i zła, by myśleć logicznie albo zwracać uwagę na to, dokąd idzie i co robi.

Howard powiedział, że ona za ciężko pracuje w ogrodzie, że zaniedbuje dom i dzieci, pielęgnując krzaki róż, które zresztą i tak są za drogie. Jeżeli jednak było go stać na samochód dla Evana, było go też stać na kilka róż. I kupi je jeszcze dziś. Howard albo się z tym pogodzi, albo niech idzie do diabła!

W garażu jak zwykle pachniało nawozem, olejem i zastarzałym kurzem. Gwałtownie otworzyła drzwiczki samochodu i usiadła za kierownicą. Teraz trzeba włożyć kluczyk do stacyjki, przekręcić i posłuchać silnika. Sięgnąć do tyłu po pas i zapiąć go.

Rób to automatycznie. Spokojnie. Spójrz we wsteczne lusterko. Nikogo. Wrzuć bieg i wciśnij pedał gazu. Nie rozmyślaj, nie zastanawiaj się. Ruszaj. Obejrzyj się przez prawe ramię, żeby jeszcze się upewnić. I właśnie wtedy zobaczyła Howarda. Biegi za nią z frontowego ogrodu. Howard biegł za nią, krzyczał, gdy...

Alec!

Za samochodem pojawił się Alec.

Laurel nadepnęła pedał hamulca tak mocno, że poczuła ucisk aż w czubku głowy. Za późno! Tylne zderzak w coś uderzył z hukiem. Laurel, wciśnięta w oparcie, zatrzymała samochód. Przez chwilę siedziała nieruchomo. Potem z jej gardła wydarł się szloch. Złożyła ręce na kierownicy, oparła na nich głowę i rozpląnęła się we łzach.

Drzwiczki gwałtownie się otworzyły. Alec wyciągnął rękę, by zgasić silnik, potem chwycił Laurel za ramię i wy dostał ją z samochodu. Przytulił ją i ukołysał, szepcząc jej do ucha:

- Już dobrze, nic mi się nie stało. Nie przejechałaś mnie, nic mi nie zrobiłaś. Tylne koła wjechały na sosnową kłodę. Tylko tyle. Nic się me stało.

Laurel go słyszała, ale z trudem rozumiała słowa. Wstrząśnięta wspomnieniem tamtego koszmaru i nowym strachem, mocniej przytuliła się do Aleka.

Objął ją za głowę i wtulił jej twarz w zagłębienie swojej szyi.

- Laurel, nic mi się nie stało. Nacisnęłaś hamulec natychmiast, gdy mnie zobaczyłaś, tak szybko, jak to tylko było możliwe. Laurel, rozumiesz, co do ciebie mówię? Próbowałaś zahamować, naprawdę próbowałaś. Użyłaś hamulca, ale samochód i tak wpadł na kłodę, tak samo, jak tamtego dnia wpadł na twojego męża. Wtedy też nie mogłaś się zatrzymać. Nie było sposobu. Nie rozumiesz tego? Przesuniemy samochód, a wtedy zobaczysz ślady hamowania, które ci to udowodnią. Laurel, słyszysz mnie? To był wypadek. To był po prostu zwykły wypadek.

Czuł szarpiący, rwący ból. Rozumiał cierpienie Laurel, jej przerażenie i rozpacz, jakby sam ich doznawał. Czuł gorące łzy, które moczyły mu koszulę i płynęły bez końca, niepowstrzymane.

Nie przewidywał, że to się tak odbędzie. Spodziewał się jej wściekłości, ale i ogromnej ulgi, gdy przekona się, że jest niewinna. Och, był przygotowany na kilka minut wyrzutów i łajania, ale nie na coś takiego. I nigdy by nawet nie przyszło mu do głowy, że i dla niego okaże się to takie trudne, że każda jej Iza będzie go paliła jak kwas.

A powinien był to wiedzieć.

Chciał uwolnić Laurel od jej lęków, a naraził ją na jeszcze większą mękę. Drżała teraz w jego ramionach, a on mógł tylko cierpieć wraz z nią, łagodnie ją kołysać i czekać, by się dowiedzieć, jaka spotka go kara za to, co zrobił.

Jakże jednak cudownie było trzymać ją w objęciach i jak dobrze, że mu na to pozwalała. Mógł tak stać całą wieczność, pocieszać ją jak skrzywdzone dziecko, głaszcząc gruby warkocz, zapamiętując na zawsze miękkie zaokrąglenia kobiecego ciała. Cieszyła go jej zależność od niego, jej akceptacja, w jakiś dziwny sposób cieszyła go aż za bardzo. Jeżeli zaraz czegoś nie zrobi, ona wkrótce sama to zauważy.

- Laurel, nie płacz - poprosił niezupełnie pewnym głosem. - Proszę, przestań. Narobiłem tu sporo bałaganu, ale chciałem dobrze. I jeszcze może być dobrze, jeżeli teraz wsiądziesz do auta i spróbujesz jeszcze raz...

Zesztywniała, być może pod wpływem szoku, ale na pewno również ze złości. Uniosła głowę z jego ramienia.

- Chcesz, żebym znów wsiadła do samochodu? - spytała ze zdumieniem.  
- To nie jest żaden potwór, lecz zwyczajny pojazd wykonany z metalu i plastiku. Robi tylko to, co mu każesz.

- Prawie cię przejechałam! - Nagle na jej twarzy pojawił się głęboki namysł. - Mówiłeś, że to była kłoda? Skinął głową, celowo okazując niepokój, by jeszcze bardziej podsycić jej gniew.

- I pozwoliłeś mi myśleć... Rzuciłeś ją za samochód, żebym na nią najechała, prawda? Ty łajdaku! Chwyliła w garście jego koszulę i potrząsała nim z całej siły, ale on tylko lekko się zachwiał.

- Tak. Chciałem ci coś udowodnić - odparł spokojnie. - I lepiej, że tak się stało, niż gdybyś mnie przejechała.

- To już zależy od punktu widzenia. - Spojrzała na niego buntowniczo. - Zresztą i tak mnie to nie obchodzi! Jesteś najbardziej aroganckim i nieznośnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Nie masz żadnych zasad. Mogę się założyć, o co tylko chcesz, że wcale nie chciałeś naprawiać kosiarki!

- Mylisz się. Jest mi bardzo potrzebna, i to od zaraz. Gdybyś była taka uprzejma i posadziła ten swój śliczny tyłeczek z powrotem w samochodzie, byłbym ci bardzo wdzięczny.

To była czysta prowokacja. Wykazał się taką arogancją i brakiem zasad, jakie przed chwilą mu zarzuciła. Nie przejmował się jednak tym, jak go nazwała i jak go traktuje, skoro wreszcie przestała płakać.

- Naprawdę byś tego chciała? - warknęła, a jej oczy zwięzły się tak, że widać było tylko niebieskie szparki. - Więc stań znów za samochodem i sprawdź, czy potrafisz dość szybko odskoczyć, gdy... - Przerwała gwałtownie, zaczerpnęła tchu i zasłoniła usta ręką.

Posłał jej krzywy uśmiešek.

- Doprowadzam cię do szału, co?

- Nie chciałam tego powiedzieć - szepnęła. Odsłoniła usta, jej twarz złagodniała. - Och, Alec.

- Wiem, że nie chciałaś. Nie przejmuj się, pamiętaj, że mam grubą skórę i twardą głowę. Nie wyrządzisz mi krzywdy, nawet gdybyś bardzo próbowała. - Wziął ją za ramię i poprowadził do otwartych drzwiczek samochodu. - Odłożę kłodę na bok i wsiądę do samochodu razem z tobą. Tym razem będziesz go cofać powoli i ostrożnie. Potem sprawdzimy ślady hamowania.

Laurel stawiała opór przy każdym kroku. Ręce tak jej się trzęsły, że Alec już sam zamierzał wrzucić bieg, ale w końcu zacisnęła zęby i wycofała samochód. Gdy wreszcie znaleźli się na podjeździe, pokazał jej dwa rodzaje śladów: jedne wyraźne i nowe, drugie niewyraźne, wypełnione nawianym brudem i suchymi liśćmi. Patrząc, jak z jej twarzy znika napięcie, a jego miejsce pojawił się głęboki namysł i wreszcie pełne zrozumienie tego, co naprawdę wydarzyło się przed laty, zastanawiał się, dlaczego wcześniej nikt jej tego nie pokazał.

Zresztą nie było to trudne do odgadnięcia. Nikt jej nie słuchał, nikogo nie obchodziły jej uczucia związane ze śmiercią męża, poczucie winy, które nie opuszczało jej ani na chwilę. Ponieważ zlekceważono ją i jej cierpienie, nikomu nie przyszło do głowy, by poważnie zbadać okoliczności wypadku i ustalić, co się wydarzyło podczas tamtych straszliwych sekund.

Alec ją rozumiał, bo sam przeżył coś podobnego.

Laurel Bancroft była prawdziwą damą. Gdy już było po wszystkim, odwróciła się do Aleka, a na jej twarzy malowała się ulga i spokój. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję - powiedziała jasnym, czystym głosem.

Wyraziła swoją wdzięczność, po tym wszystkim, co jej zrobił! Poczul się tak, jakby udekorowała go orderem, i ukłuli go w serce, przypinając odznaczenie.

Popołudnie było gorące i duszne. Alec mordował się z kosiarką, zmienił kable, wyczyścił gaźnik, zmył śliski osad starej benzyny w zbiorniku, naostrzył noże. Jednak nie próbował jej uruchomić, bo Laurel odpoczywała. Przez jakiś czas przyglądała się jego pracy, a potem poszła na werandę i umościła się na huśtawce. Po jakimś czasie zasnęła. Alec uśmiechnął się na tę myśl, bo to oznaczało, że w jego obecności czuła się bezpieczna. Pomyślał też, że była to oznaka, iż zaczęła wyzwalać się z poczucia winy i bólu. A przynajmniej miał taką nadzieję.

Ocknęła się jakieś pół godziny przed jego powrotem do domu. Gdy spała, zerwał się wiatr, jęczał, szeleścił, groził deszczem. Alec przerwał w końcu robotę i wrócił do siebie. Zdażył nawet uciąć sobie krótką drzemkę, zanim babcia zawołała go na kolację.

Około północy był z powrotem w Ivywild. Usadowił się w miejscu, w którym już od jakiegoś czasu spędzał noce, na ławce pod pergolą. Dla ochrony przed ulewą przyniósł sobie nieprzemakalny płaszcz, który znalazł w szafie babci. Deszcz w końcu jednak nie spadł, ale w ciągu ostatniej godziny na północnym zachodzie zebrały się czarne chmury i teraz dotarły aż tutaj. Pod ich ciężkimi brzuchami błyskało, jakby w swoim wnętrzu uwięziły gigantyczne pioruny zamiast wody.

Alec zostawił motocykl w lesie, jakieś trzy kilometry od Ivywild. Laurel nie musiała wiedzieć, co robił już od wielu nocy, od chwili gdy znalazł ślady butów. Każdy ma jakieś słabostki, a on nie cierpiał, gdy kobieta, nawet ta najukochańsza, krytykowała jego, choćby najbardziej zwariowane i szalone, pomysły. Wiedział, że taka zabawa w ochroniarza trąci melodramatem, ale w końcu to tylko on tracił z tego powodu godziny snu, więc nikomu nic do tego.

Czyżby? Oczywiście Laurel bardzo by się tym przejęła, zamartwiałaby się, że Alec nie dosypia i próbowała zmusić go do odejścia, aż w końcu musiałby zrobić coś takiego, by zamilkła. Być może wtedy nawet sama przyłączyłaby się do służby na nocnym posterunku? Alec rozmarzył się. No tak, tylko wówczas czujność wartownika zmalałaby do zera... Pomarzyć jednak zawsze wolno, tym bardziej że dzięki temu szybciej płynęły godziny.

To, że od czasu do czasu widział jej cień za firanką, też mu pomagało, a także gdy kilka razy wyszła na werandę, żeby odetchnąć chłodnym nocnym powietrzem. Jej wygląd, sposób, w jaki jej włosy i kaftan nałożony na nocną koszulę migotały i falowały w świetle księżyca, wszystko to widział w niekończących się fantazjach, a teraz przeżywał na jawie.

Chmury zasłaniały księżyc, ale za kilka dni będzie ostatnia pełnia przed Beltane, czyli wigilią Majowego Dnia. Zastanawiał się, czy Laurel zdaje sobie z tego sprawę, czy zna lubieżne legendy związane z tą nocą i Zielonym Człowiekiem, którego kolejne wersje rzeźbiła na glinianych płytach.

W noc Beltane, jak opowiadał mu pan Wu, pogańscy czciciele Bogini Ziemi wplatali wstążki i kwiaty we włosy, i nago tańczyli wokół nasion zboża przeznaczonych na siew, składając hołd życiu, miłości i płodności. Potem kochali się w świetle księżyca, by umocnić więź między Matką Ziemią i jej dziećmi. Alec uznał, że to wspinały zwyczaj.

Natomiast chrześcijańscy duchowni uważali, że Zielony Człowiek jest symbolem grzesznej chuci, narastającej w tę rozświetloną księżycem noc. W naszych czasach cała ta idea stała się metaforą ukrytej zmysłowości natury i zupełnie normalnej reakcji kochanków na ciepłą księżycową noc.

Jeżeli Laurel nie miała pojęcia, co naprawdę przedstawiają jej rzeźby, on w żadnym wypadku nie zamierzał jej oświecać. Jeżeli jednak wiedziała, rzucało to całkiem nowe światło na całą sprawę.

Alec pokręcił się na twardej ławce. Było mu coraz bardziej niewygodnie. Lepiej zacząć myśleć o czymś innym. No cóż, od kilku tygodni był rozpaczliwie podniecony i chwilami zaczynał się obawiać, że zwariuje. Nawet mordercza praca nie zmniejszała erotycznego napięcia, w jakim nieustannie się znajdował. Marzył o kobiecie. Nie o jakiejś tam przypadkowej laleczce, jaką w pięć minut można przygruchać sobie w każdym przydrożnym barze. Teraz nie spojrzalby ani na taką, ani na żadną inną kobietę, oprócz tej jednej, czyli wdowy Bancroft. Pani Bancroft. Laurel.

Cicho jęknął, zdając sobie sprawę, co robiło z nim samo wypowiedzenie jej imienia.

Dzisiejszej nocy światło paliło się w salonie i w sypialni. Dochodziła już chyba północ, a Laurel jeszcze się nie położyła. Pewnie po popołudniowej drzemce nie chciało jej się spać. Albo może nie mogła zasnąć z powodu tego wszystkiego, co się wokół niej działo. Albo też z powodu tamtego popołudnia, kiedy trzymał ją w ramionach.

Jezu, musi wreszcie zacząć myśleć o czymś innym!

Pełniąc tutaj straż, zaniedbywał Gregory'ego. Wiedział, że nie powinien był zrzucić całej opieki nad chorym bratem na babcię, ale ona to rozumiała. Zresztą dzięki nowym lekom przeciwbólowym Gregory ostatnio czuł się lepiej. Przesypiał długie godziny i rzadziej wybuchał złością. Nawet wydawało się, że więcej może zrobić koło siebie.

Poza tym te nocne warty przy Laurel nie będą trwały w nieskończoność. Wkrótce na pewno odkryje, co się dzieje w Ivywild.

Nadchodziła burza. Wiatr się wzmacniał, kołysał koronami drzew w lesie, zdierał z gałęzi świeże zielone listki i kołował nimi w powietrzu. Rozległ się niski odgłos grzmotu. Wysoko na niebie pojawił się zygzak błyskawicy, a jej niebieskobiałe światło sprawiło, że przez te sekundy, gdy pędziła od chmury do chmury, cały świat wydawał się pozbawiony kolorów.

Usłyszał warkot samochodu chwilę przed tym, nim zobaczył jego sylwetkę w świetle błyskawicy.

Jednym płynnym ruchem ześliznął się z ławki, przeskoczył ogrodzenie i pomknął ku zaroślom. Ledwo zdążył się w nich ukryć, gdy samochód już minął zakręt koło domu i znalazł się przy podjeździe.

Zwolnił jeszcze bardziej, niemal nie posuwał się do przodu. Był to ostatni model lincolna, w huczącym wietrze ledwo było słycać odgłos jego potężnego silnika. Na pewno miał jasny lakier, ale w ciemnościach trudno było rozpoznać kolor. Jednak jedna rzecz była pewna. Osoba, która siedziała za kierownicą, nie przyjechała tu w dobrych zamiarach. Samochód jechał z wyłączonymi światłami.

Przeklinając w duchu, Alec rzucił się w pogoń. Biegnąc dla osłony skrajem lasu, starał się zbliżyć na tyle, by odczytać numer rejestracyjny lincolna. A musiał podejść naprawdę bardzo blisko.

Jednak nie powiodło mu się. Albo kierowca już dowiedział się tego, co chciał wiedzieć, albo wolał nie ryzykować żadnej podłości, gdy w domu jeszcze paliły się światła, bo nagle nacisnął na pedał gazu i pomknął drogą.

Alec mógł tylko wyrzucić z siebie kilka przekleństw. Stał i patrzył za samochodem. Do diabła, co tu się dzieje?

Pierwsze krople deszczu spadły, gdy szedł już w stronę domu. Były zimne, ale na razie tak rzadkie, że nie warto było szukać schronienia. Wpakował ręce głęboko do kieszeni i włókł się ponuro podjazdem, potem skręcił za płotem i skierował się do pergoli. Znow przeskokczył przez płot, lądując na grządce, którą celowo zostawił nieobsianą.

Grzmot huknął, potoczył się jak salwa armatnia, a potem niebo oświetliła następna błyskawica. Świat na chwilę zastygł bez mchu od nagłej mocy żywiołu i siarkowego zapachu, jakby jasny błysk zatrzymał go w połowie kroku, zanim znow pogrążył się w ciemności.

Gdy zgasł ostatni poblask, Alec zobaczył biały kształt odznaczający się w cieniu werandy. Postać pochyliła się przy owalnym krańcu poręczy.

W ciemności doleciał do niego spokojny głos Laurel:

- Lepiej wejdź do środka! - zawołała. - Najchętniej pozwoliłabym, żebyś zginął od uderzenia pioruna, ale wątpię, by to, co z ciebie pozostanie, mogło na cokolwiek się przydać.

- Zaryzykuję - odkrzyknął z głupim uporem. Skrzyżowała ręce na piersi. Po chwili znow zawołała:

- A jeżeli przywrócę cię do pracy?

- To co? - spytał lakonicznie, nie okazując wrażeń, jakie ta propozycja na nim wywarła.

- Wydaje się, że potrzebuję nocnego stróża. Mógłbyś więc tu sypiać.

Chyba nie usłyszała, jak to zabrzmiało i nie to miała na myśli, lecz umysł Aleka tak to właśnie zinterpretował.

- Czyli?

- Chodzi mi o to, że kiedy ty podczas burzy mokniesz na dworze, ja nie mogę spać. W tym domu jest sześć sypialni i na pewno któraś z nich ci się spodoba.

- Nie wątpię, ale co powiedzą sąsiedzi? - Walczył ostro, ale bał się, że przegra.

- Kto mógłby o tym wiedzieć?

- Chociażby babcia i Gregory.

- Przecież już od dawna myślą, że tu sypiasz - odparła z irytacją. - Jesteś cały mokry. Wchodź szybko.

Rzeczywiście, przemókł do suchej nitki i nawet tego nie zauważył.

Zawahał się, naprawdę się zawahał, nie ruszając się z miejsca tyle długo, by odkryć, że nawet w połowie nie jest na tyle szlachetny, na ile powinien. Potem się poddał.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Dlaczego?

To pytanie wydawało się dość naturalne, ale Laurel czuła, że zadając je, nadużywa swojego szczęścia. Alec dziś w nocy zachowywał się inaczej niż zwykle: było coś obcego w tym, jak się poruszał, jak mówił. I w jakiś dziwny sposób ona przez to czuła się też inaczej. Wcale jej nie obchodziło, że odpowiedź na jej pytanie może okazać się niebezpieczna.

Zaprowadziła go do pokoju pośrodku korytarza, dała ręcznik, żeby się wytarł. Już miała go zostawić, ale w drzwiach jeszcze raz się odwróciła. Zadała to pytanie i bardzo dobrze wiedziała, że je zrozumiał.

- Bo nie lubię węży - powiedział w końcu. - I nie będę spokojnie patrzył, jak ktoś wykorzystuje fakt, że mieszkasz tu sama.

- Nie masz obowiązku troszczyć się o mnie.

- Nie? - spytał i uśmiechnął się.

Miał wiele uroku. Tak mówił Gregory. Alec tak łatwo potrafił olśniewać i zniewalać swoim czarem. Laurel stwierdziła, że najbardziej ujęło ją światło, które płynęło z jego oczu. A te oczy patrzyły spokojnie i poważnie, ale także śmiały się do niej i do świata, jakby zapraszając do wspólnej, radosnej zabawy. A ona bardzo tego chciała, ach, jak tego pragnęła! Zwalczając słabość, powiedziała:

- Ale ja wcale nie chcę, żebyś się o mnie troszczył. Muszę sama o siebie dbać.

Uśmiech Aleka stał się jeszcze szerszy, zupełnie jakby to, co powiedziała, było wyjątkowo udanym dowcipem.

- Nic na to nie mogę poradzić. Należysz do tego rodzaju kobiet, o które mężczyzna pragnie dbać.

Dreszcz, jaki ją przebiegł, miał wiele wspólnego z aksamitnym brzmieniem jego głosu, jego słowami i z tym, co sama do nich w myślach dodała.

- Mam pistolet - poinformowała go, unosząc buntowniczo głowę. - I umiem się nim posługiwać.

- To dobrze. Ale czy strzelałaś kiedyś do czegoś bardziej groźnego niż metalowa puszka?

- Nie. A ty?

- Ja znam inne sposoby samoobrony - powiedział spokojnie i zaczął wycierać krople deszczu z ramion. Po chwili kontynuował: - Znasz kogoś, kto ma lincolna?

To było łatwe pytanie.

- Moja teściowa oraz Zelda, siostra Howarda, a także połowa lekarzy i prawników z naszego miasta. Również twoja babcia. To popularna marka, a poza tym salon sprzedaży lincolnów jest jedynym, jaki jeszcze pozostał w okolicy.

Alec zmarszczył czoło. Wytarł włosy, potem przerzucił ręcznik przez ramię i zaczął rozpinąć koszulę. Najwyższy czas, by stąd wyjść, pomyślała Laurel.

- Jeżeli masz wszystko, czego ci potrzeba, to życzę ci dobrej nocy.

Przesunął po niej wzrokiem.

- Oczywiście - powiedział szybko. - Dobranoc.

Po wejściu do swojego pokoju zgasiła światło i wdrapała się na wysokie łóżko z baldachimem. Podciągnęła kołdrę pod brodę i leżała, słuchając szumu deszczu. Padał równomiernie, stukając w dach. Za oknem zamigotała błyskawica. Laurel rozpoznała to stałe, pojawiające się nisko migotanie, które zapowiadało tornado. Miała nadzieję, że nic takiego ich nie czeka. Tornado spowodowałoby okropne spustoszenie w ogrodzie, nawet gdyby oszczędziło dom.

Jednak nie bała się kaprysów pogody. Wielki stary dom już od ponad stu lat opierał się burzom, więc nie było powodu, by nie przetrwał jeszcze kilku.

Czuła się tu także bezpieczna wobec innych zagrożeń, przynajmniej na razie. Wiedziała, że nie powinna, mając na uwadze to, co ludzie mówili o Aleku. Mimo to nie obawiała się.

Przymknęła oczy i znów go zobaczyła, jak stoi w ogrodzie, a błyskawica obrysowuje jego sylwetkę srebrzystym światłem. Nadawało mu to nieziemski wygląd, przywodziło na myśl jakąś postać z mitu lub snu. Tak bardzo chciała wtedy podejść do niego, dotknąć go. Nigdy w życiu jeszcze niczego bardziej nie pragnęła. No i w końcu zaprosiła go do domu.

Chyba oszalała.

Jak można zapraszać do domu mordercę, człowieka, który żeruje na naiwności starszych kobiet? I jak można czuć się z tym bezpiecznie? Chyba postradała zmysły!

Alec nie spał. Usłyszała znajome trzeszczenie desek podłogi, gdy przemierzał hol, chodził od okna do okna, mijał jej drzwi, by sprawdzić inne pokoje. Wydawało jej się też, że wyszedł na werandę, postać tam chwilę i znów wrócił do domu.

Co by się stało, gdyby dołączyła do niego i stanęła blisko swojego stróża w ciemności? Gdyby objęła go i przytuliła się, czy on też by ją objął? Czy zaniósłby ją do łóżka i kochał się z nią, podczas gdy deszcz stukałby o dach, a błyskawice napępiały pokój ostrym światłem?

Oczywiście nie ośmieliłaby się tego zrobić, nie mogła nawet marzyć o czymś takim. Jednak sama myśl spowodowała, że zaczęła się niespokojnie kręcić na łóżku i odrzuciła kołdrę, by ochłonić po nagłym przyplwywie gorąca, który ją ogarnął.

Już dawno nie dręczyły jej takie myśli. To, że teraz tak się stało, niepokoiło ją. Możliwe zresztą, że każdy w miarę przystojny mężczyzna wywołałby w niej taką reakcję...

Czuła się tak pełna energii i taka podniecona, gdy Alec był w jej domu. Może działo się tak dlatego, że w przewrotny sposób cieszy ją, iż robi coś, co tak zwana opinia publiczna Hillsboro zgodnie uznałaby za wołający o pomstę do nieba skandal. Mogła też radować się tym, że po tylu ponurych, spędzonych w lęku latach wreszcie zagraża jej prawdziwe niebezpieczeństwo, któremu zamierzała z otwartą przyłbicą stawić czoło.

Do tej pory zadowalała ją ta nie kończąca się, bezpieczna monotonia życia, ale odkąd Alec pojawił się na jej progu, wszystko się zmieniło. Można by wiele mu zarzucić, ale na pewno nie to, że jest nudny.

Wracał korytarzem. Rozpoznała trzeszczenie deski koło stolika z marmurowym blatem, ale nie słyszała jego cichych kroków. Pod jej drzwiami zatrzymał się i chwilę nasłuchiwał. Leżała absolutnie nieruchomo, z bijącym sercem.

Co by zrobiła, gdyby otworzył drzwi, wszedł i wśliznął się do jej łóżka? A potem ją objął? Przykrył swoim gorącym, twardym ciałem? Nie wiedziała, nawet nie mogła o tym myśleć.

Ruszył dalej. Laurel wypuściła powietrze z płuc w długim, cichym westchnieniu. Stukot deszczu bijącego w dach odbijał się echem w jej żyłach i umyśle. Padało jeszcze przez długi czas, a ona nie mogła zasnąć.

Rano Aleka już nie było. Zauważyła, że nie używał łóżka. Mogłaby pomyśleć, że jego nocna obecność tylko jej się przyśniła, gdyby nie wilgotna od deszczu róża stojąca w wazonie na kuchennym stole. A gdy o

zwykłej porze przyszedł do pracy, uśmiechnął się, ale nie powiedział „dzień dobry”.

Dzień jakoś minął. Rano, gdy było jeszcze chłodno, Alec pełł i przycinał rośliny po drugiej stronie płotu, nie zbliżając się do domu. Zjedli lunch, nie rozmawiając o minionej nocy ani też o tej, która miała dopiero nadejść. Po lunchu Alec wrócił do roboty. Gdy poszedł do domu, powietrze wypełniał słodki zapach skoszonej trawy, która schła w słońcu.

Laurel wcześniej się wykąpała, a potem próbowała czytać. Alec przyjdzie. Wiedziała, że przyjdzie. Jednak mimo to drgnęła, gdy usłyszała dzwonek do kuchennych drzwi.

Światło padające z okien domu odbiło się w jego oczach, gdy otwierała mu siatkowe drzwi. Ujrzała też zwinięty śpiwór, który niósł pod pachą.

- Cześć - powiedziała i natychmiast przyszło jej do głowy, że w ustach dorosłej kobiety to pozdrowienie zabrzmiało głupio. Przed przyjściem musiał wziąć prysznic, poczuła bowiem zapach mydła i jakiejś delikatnej ziołowej wody po goleniu.

Obdarzył ją uśmiechem.

- Pomyślałem, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, prześpię się tu, na werandzie.

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - spytała, chociaż w rzeczywistości miała wiele zastrzeżeń. Wyglądało to tak, jakby Alec wzgardził jej gościnnością albo też uważał się za kogoś niewiele lepszego niż stróżujący pies, niż Sticks, który zawsze sypiał na werandzie. Podtrzymując otwarte drzwi, dodała: - Chociaż nie rozumiem, dlaczego nie chcesz wejść do domu.

- Tak będzie lepiej - odparł. - Stąd mogę mieć oko na wszystko, a ty możesz mieć wrażenie, że mnie tu wcale nie ma.

- Jak chcesz - powiedziała uprzejmie.

- To, czego ja chcę... - zaczął w napięciu. Zamilkł, zaciskając usta. Po chwili zaczął jeszcze raz:

- Tutaj usłyszę, gdy ktoś się będzie zbliżał, i mogę od czasu do czasu przespacerować się koło domu, nie przeszkadzając nikomu.

- Jeżeli ktoś naprawdę miałby się tu zjawić w nieczystych zamiarach, to śpiąc na werandzie, staniesz się dla niego łatwym celem - zauważyła.

Troska w jej głosie poruszyła Aleka do głębi. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Laurel mogła się o niego bać. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś martwił się o niego, oczywiście z wyjątkiem babci Callie. Ogarnęło go uczucie wdzięczności, lecz jednocześnie wzrosła w nim moc, sam sobie wydał się niezwyciężony.

- Nie martw się o mnie - powiedział łagodnie. - Nic mi się nie stanie.

- Wcale się nie martwiłam - odparła natychmiast - ale co będzie, jeśli ktoś cię ogłuszy, a ja tego nie usłyszę?

- Nic mi się nie stanie.

- No dobrze, jeżeli jesteś taki pewny siebie... - Zagryzła wargę i przez chwilę się zastanawiała. - Alec, naprawdę nie musisz tego robić.

- Wiem - odparł i lekko się uśmiechnął - ale jeśli ci to nie przeszkadza, zostanę.

- Nie o to mi chodziło...

- A o co?

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mieszasz się w moje kłopoty.

- Czy uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedział, że dlatego, bo jestem w tobie szaleńczo i nieprzytomnie zakochany? - spytał, przechylając głowę na bok.

Spojrzała na niego ze złością.

- Raczej nie.

Fatalnie! Spróbował więc jeszcze raz.

- A jeżeli ci powiem, że mam bardzo nieczyste zamiary i chcę się z tobą kochać?

- Mało prawdopodobne.

Mimo mroku widać było, jak się zaczerwieniła, a w jej głosie słychać było zażenowanie. Czas, by się wycofać.

- Tak ci się wydaje? A jak ci się podoba taka odpowiedź: mam przesadne poczucie odpowiedzialności wobec osób starszych ode mnie?

- Bardzo ci dziękuję!

- Wygląda na to, że to wyjaśnienie też ci się nie podoba - stwierdził pośpiesznie. Drażnienie się z nią sprawiało mu mnóstwo frajdy, bo natychmiast chwytowała przynętę. - Więc nie pozostaje mi nic innego, jak wyznaczyć prawdę. Chodzi o to, że siwieję ze zmartwienia, gdy jesteś tu sama. To znaczy, gdyby coś ci się stało, straciłbym pracę i co bym wtedy zrobił?

- Siwiejesz?

- Tak. Widzisz? - Pochylił głowę i pokazał miejsce, gdzie, jak wiedział, naprawdę miał kilka siwych włosów.

Laurel wspięła się na palce, by na nie popatrzeć.

- Ty naprawdę masz siwe włosy! - wykrzyknęła ze zdumieniem.

- Jeszcze trochę, a ci dorównam - oznajmił i szybko się wyprostował. - Nie mówiąc już o zmarszczkach.

- To zmarszczki, które powstały od uśmiechu - poprawiła go, przyglądając się liniom rozchodzącym się od kącików oczu.

- No właśnie. Lata kontra doświadczenie, jak mówiłem wcześniej. - Patrzył na nią bacznie, żeby przekonać się, czy zrozumiała jego myśl. Gdy jej rzęsy zdrząły, przez sekundę napawał się swoim małym zwycięstwem, po czym wdał się w dalsze wyjaśnienia. - Tak więc teraz, kiedy widzisz, że po prostu dbam o własne interesy, wszystko jest w porządku.

Milczała tak długo, że zaczął się niepokoić, ale wreszcie skinęła głową.

- I co ja mam z tobą zrobić?

To pytanie było mu na rękę. Poza tym odczuł taką ulgę, że zakręciło mu się w głowie i niezbyt wiedział, co mówić.

- Co tylko pani zechce, proszę pani - rzucił śmiało.

- Dobrze - odparła, przezornie wracając do kuchni. - Teraz, gdy już odbyliśmy tę rozmówkę, rzeczywiście wydaje mi się, że weranda jest dla ciebie najlepszym miejscem.

Alec patrzył, jak drzwi się zamykają. Wciągnął głęboko powietrze, potem wypuścił je tak gwałtownie, że przeszył go dreszcz. Nie uwierzyła w ani jedno jego słowo. Potraktowała wszystko jak żart, albo takie wrażenie chciała na nim wywrzeć. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy martwić.

Rzucił śpiwór na podłogę i rozwinął go. Potem położył się na wznak, z rękami pod głową. Mimo ciepłej nocy na werandzie było zimno. Zanim nastąpiła epoka klimatyzacji, to miejsce służyło jako letnia sypialnia, więc usytuowano ją tak, by docierało tu jak najwięcej wiatru. Teraz powiew przynosił zapach róży jerychońskiej i żywopłotu otaczającego włoski ogród. Melodyjny, uspokajający plusk fontann brzmiał jak cicha pieśń rozpisana na wiele głosów. To harmonijne otoczenie szybko by go uspiło, pomyślał, gdyby właśnie po to tu przyszedł.

Jednak zjawił się tu w innym celu. I powinien o tym pamiętać.

Laurel szła już do łóżka, gdy nagle zatrzymała się. W ciemnościach oparła się plecami o ścianę i zsunęła na podłogę, zamykając oczy. „Co tylko pani zechce...”

Nie, nie będzie o tym myślała. Nie może. Zresztą Alec nic nie sugerował, tylko się z nią droczył.

Ciekawe, ale już nie czuła, że jest od niego starsza. Miało to coś wspólnego z jego pewnością siebie, a także ze świadomością, że Alec naprawdę jest o wiele bardziej doświadczony od niej. Nie mówiąc już o jego siwych włosach.

„Szaleńczo i nieprzytomnie zakochany...”

Na to wspomnienie uśmiechnęła się. Niezależnie od tego, czy mówił prawdę, czy nie, ten mężczyzna sprawił, że poczuła się lepiej. Urok? Boże, tak, Alec miał go całe mnóstwo.

A jeśli mówił prawdę? Albo przynajmniej, że chciał tak myśleć, by się do niej łatwiej zbliżyć? No i to zadziałało, prawda? Przynajmniej częściowo. Bo pozwoliła mu spać na werandzie.

Tak, ale przecież mógłby być w domu. Dlaczego zrezygnował z tego ułatwienia, jeżeli chciał ją uwieść? Zanieść do łóżka?

Jednak słowo „uwiedzenie” miało znacznie silniejszy wydźwięk, bo dotyczyło nie tylko seksu, ale również całej duchowej sfery kontaktów między mężczyzną a kobietą, wiązało się z intelektualną grą wstępną, no i, jeśli już o sam seks chodzi, narzucało pewną finezję, powolne zdobywanie, poszukiwanie prawdziwej rozkoszy, a nie szybkiego zaspokojenia.

Tak przynajmniej to sobie wyobrażała, bo jej osobiste doświadczenia w tej materii naprawdę były skąpe. Roześmiała się. No tak, oto cała ona. Zajmuje się głównie encyklopedycznym aspektem sprawy.

Czy jednak Alec nie kierował się tym samym? Czyż nie uwodził jej w podręcznikowy wręcz sposób, za pomocą drażnienia się i uśmiechów, dbając o jej wygodę, bezpieczeństwo i przyjemności? Może nie należał do tych sprytnych, wyrafinowanych typów, mających w zanadru mnóstwo komplementów, czyniących wielkie gesty i dających kosztowne prezenty, ale jego metody wcale nie były mniej skuteczne. I tak samo dokładnie przemyślane.

Jednak ona nie miała zamiaru ulec. Po tym, jak została ostrzeżona, byłoby to czystą głupotą.

Czego on właściwie od niej chce? Nie jest ani bogata, ani sławna. Ma jedynie trochę pieniędzy w banku i połowę domu, który zgodnie z prawem stanu Luizjana odziedziczyła do spółki z dziećmi. Nie było to warte uwagi oszusta wykorzystującego zaufanie ofiary. Z drugiej jednak strony po co miałby ją uwodzić, jeżeli nie

dla pieniędzy?

Dobrze by mu zrobiło, gdyby potraktowała serio jego propozycję i wykorzystała go tak, jak on zamierzał wykorzystać ją. Gdyby zgodziła się na przelotną przyjemność, jaką ten mężczyzna jej oferował, i nie dała nic w zamian, wtedy mógłby mieć pretensję tylko do siebie.

Czy jednak stać ją będzie na taką grę? Czy będzie zdolna do tego, by kochać się z nim, ale nie zaangażować się uczuciowo? Czy będzie umiała potraktować seks jak coś, po co się sięga, by zaspokoić apetyt? Jeśli raz pozwoli, by Alec wziął ją w ramiona, czy zdoła potem utrzymać serce pod kontrolą?

Właściwie, dlaczego nie? Przecież mężczyźni tak postępują od początku świata.

Och, jednak sam pomysł uprawiania seksu bez miłości wydawał jej się porażająco zimny, wręcz nieludzki. Ciała mocujące się ze sobą w ciemności. Dwie osoby, każda usiłująca rozpaczliwie uzyskać od drugiej przyjemność, nie dając nic w zamian. Zwyczajna - jak brzmiało to wymyślne określenie? - wymiana płynów ciała. I po co to wszystko, jeżeli na koniec oboje pozostaną tak samo samotni jak przedtem?

Poza tym, co powie Alekowi, gdy rano przyjdzie do pracy? Może tak: „Nie przemęczaj się, skarbie, oszczędzaj siły na noc...”.

Dobry Boże, nie!

Więc dlaczego chce znaleźć odpowiedzi pasujące do sytuacji, która pewnie nigdy nie zaistnieje? Przecież nic nie wskazywało na to, że Alec jej pragnie albo kiedykolwiek będzie pragnął. Po prostu żartował, bo tak postępują mężczyźni w jego wieku. To był żart, proszę pani, po prostu żart. Nie zrozumiała pani tego?

Zrozumiała, oczywiście, że rozumiała. No i teraz miała za swoje.

Odsunęła się od ściany i poszła do łóżka. Leżąc płasko na plecach w swojej zwykłej pozycji, naciągnęła kołdrę i zamknęła oczy, bo bolały ją od nieprzelanych łez. A gdy noc się skończyła, jedyną rzeczą, którą dostała w zamian, był nowy pączek róży zerwany w jej własnym ogrodzie.

Następnego wieczoru nie spodziewała się Aleka przed dziesiątą i nie myliła się. W końcu uświadomiła sobie, że z przyjściem czeka, aż zapadnie zmrok. A skoro było właśnie święto Beltane, Dzień Maja, noc pełni księżyca, będzie miał mnóstwo światła, jadąc tu z powrotem. Ta tajemniczość wydawała się jej przesadna, ale właściwie było jej wszystko jedno. Czyżby tak to miało w przyszłości wyglądać? W dzień będzie udawać, że Alec jest tylko zatrudnionym przez nią robotnikiem, a w nocy wpuszczać go do domu jak sekretnego kochanka?

Gdy przyszedł, podała lemoniadę i miękkie maślane ciasteczka, które Maisie upiekła po południu. Zjedli je, siedząc na kuchennych schodkach. W rozmowie skakali z tematu na temat. Alec spytał ją, czy Maisie mówiła coś o jego nocnych wartach. Nie, gospościa chyba niczego się nie domyśliła, bo był nadzwyczaj dyskretny. Nie zostawił rozścielonego łóżka, nie było żadnych dodatkowych talerzy czy filiżanek w zlewie. Chyba nikt nie zauważył jego motocykla ani jego samego, gdy wyjeżdżał albo wracał. Nikt też nie plotkował o jego nocnych eskapadach. Laurel ucieszyła się, że przynajmniej w tym względzie im się udało.

Wiedziała jednak, że nie powinni nadużywać szczęścia, tak więc nie zostawiali za długo w miejscach, w których można by ich dostrzec spoza terenu posiadłości. Laurel po powrocie do domu przez jakiś czas czytała fascynujący romans o akcji rozgrywającej się w średniowieczu, który poleciła jej Maisie, jednak dość szybko zgasiła światło. Przez chwilę leżała, zastanawiając się, czy podłoga na werandzie nie jest za twarda, czy może Alec potrzebuje poduszki albo czy nie jest tam za gorąco i nie przydałby mu się mały elektryczny wiatraczek, który trzymała u siebie w szafie. Mogłaby wstać i sprawdzić to. Troskliwa gospodyni zapewne tak by postąpiła.

Wymówki! Odpędziła te myśli i zaczęła wykonywać ćwiczenia oddechowe, aż wreszcie zmorzył ją sen.

Może godzinę później została nagle wyrwana ze snu. Jeszcze nie obudziła się do końca, ale mimo to była pewna, że coś jest nie w porządku. Skądś, nie wiedziała jeszcze, skąd, dochodziły jakieś nieokreślone dźwięki.

Podparła się na łokciu, odsunęła kołdrę i wstała. Jej kaftan leżał w nogach łóżka. Włożyła go i na bosaka przeszła przez ciemny pokój, sekundę nasłuchiwała przy drzwiach, a potem otworzyła je i wyszła na korytarz.

W tej właśnie chwili klamka przy drzwiach wejściowych przekręciła się z cichym trzaskiem, jakby ktoś nie chciał być usłyszany. Laurel zastygła, rozpoznając ten sam dźwięk, który ją obudził. Rozejrzała się i pobiegła w przeciwnym kierunku, do kuchennych drzwi. Pchnęła je obiema rękami, uważając, by nie zaskrzyphiały stare zawiasy. Wyśliznęła się na werandę, gdzie zobaczyła śpiwór Aleka. Jednak jego samego tam nie było.

Gdzie mógł pójść? Czy to on wychodził przez frontowe drzwi? To niemożliwe. Stał przy niej, gdy zamykała ich staroświecki zamek, a potem jeszcze się upewnił, czy zamek ten działa należycie.

Może Alec usłyszał jakiegoś intruza i poszedł go odnaleźć? A może był we frontowym ogrodzie, jak

przedtem, obserwując osobę, która usiłowała się tu dostać? Mógł też gdzieś leżeć ranny po walce z napastnikiem!

Laurel objęła się rękami, usiłując opanować drżenie. Myśl, nakazała sobie. Musi myśleć logicznie. Co powinna teraz zrobić?

Na pewno nie wolno jej wrócić do domu. Ktokolwiek był przy drzwiach, może już być w środku. Nie powinna też stać tu, bo przecież Alec może potrzebować pomocy. Jeżeli jednak wyjdzie do ciemnego ogrodu, by go znaleźć, może mu przeszkodzić w działaniach, jakie podjął, by jej bronić.

Noc nie była zbyt ciemna. Ogród rozświetlało cudowne srebrzyste światło księżyca w pełni. Lśniło na trawie, odbijało się w oczkach wodnych zgrupowanych w rogu trawnika, nadawało liściom i kwiatom pozór kształtów wyciętych z czarnego szkła. W jego jasnym blasku trudno byłoby znaleźć wiele miejsc do ukrycia się.

Gdzie jest Alec?

Nie mogła tu czekać, aż wróci, stać beczynnym, aż znajdzie ją intruz. Musi coś zrobić, cokolwiek, nawet gdyby potem miało się okazać, że popełniła błąd.

Bardzo ostrożnie zamknęła za sobą siatkowe drzwi, zbiegła ze schodków i popędziła ścieżką wiodącą za róg domu. Zatrzymała się przy starej cysternie, zastawionej teraz doniczkami, i szybko się obejrzała. Nic się nie poruszało, tylko od czasu do czasu na wietrze zakołysały się czarno-szare sylwetki drzew. Nie słyszała też żadnego dźwięku prócz plusku wody, cichego grania świerszczy i kumkania żab w lesie.

Nieziemskie piękno księżycowego światła i gorączkowe nocne życie przyrody zachwyciło ją. Jednak nie miała czasu, by się tym rozkoszować, nie teraz, gdy w każdej plamie cienia mogło się kryć jakieś nieznane niebezpieczeństwo, gdy każdy krok mógł ją postawić twarzą w twarz z osobą, która zabiła Sticksa. Serce jej waliło, ręce miała wilgotne od potu, całą jej istotę przenikał chłodny dreszcz strachu. Z wielkim trudem przewyciężyła niemoc i ruszyła do przodu po ocienionej dróżce. Jeden krok, dwa kroki, zatrzymała się i nasłuchiwała. Jeszcze dwa kroki.

Gdy okrążyła frontową werandę, stanęła na palcach i zajrzała przez poręcz. Nic się tam nie poruszyło. Zastygła i jęknęła z rozczarowania. Jeżeli tu Aleka nie ma, to dokąd poszedł? Konwulsyjnym ruchem okręciła się na pięcie, porażona nagłą myślą, że intruz może stać za nią.

Nic. Trwała przez chwilę w bezruchu, by się opanować.

Na miłość boską, gdzie jest Alec i co robi? I, na dobrą sprawę, co ona sama tu wyczynia, kryjąc się i bawiąc w kotka i myszkę z jakimś złoczyńcą? Gdyby posłużyła się rozumem, poszukałaby pistoletu i zabrała go ze sobą, ale to jej nie przyszło do głowy. Zaciśnęła pięści, próbując stłumić ogarniającą ją panikę. Owładnęła nią też wielka gorycz i wściekłość, że nie może już czuć się bezpiecznie w swoim własnym domu. Nie może się już w nim ukrywać.

„Ukrywać się”. Te słowa tak łatwo przychodziły jej na myśl. Czyżby Alec miał jednak rację? Czy ona rzeczywiście ukrywa się ze strachu przed życiem? Wydawało się to możliwe, a jednak nie potrafiła określić chwili, gdy postanowiła nigdy nie opuszczać Ivywild. Jej niechęć, by wsiąść do samochodu i spotykać się z ludźmi, przemieniała się w pragnienie odosobnienia tak powoli i stopniowo, że nawet tego nie zauważyła.

A teraz została wykurzona ze swojego domu, zmuszona do wyjścia na dwór, w księżycową noc. Nie ma się jednak dokąd udać. Jedyne, co jej pozostało, to znaleźć Aleka.

Zebrało jej się na płacz, ale się powstrzymała. Nie zniży się do litowania się nad sobą. Nie pozwoli też tak łatwo, by ją szcuto i przepędzano. Będzie walczyła o swój spokój. Nikt też nie będzie jej narzucał, co ma robić w swoim domu, na swojej ziemi, ze swoim czasem i życiem. Nikt!

To wszystko brzmiało bardzo pięknie, ale na razie wciąż jeszcze trzęsła się ze strachu. Zmusiła się, by ruszyć ścieżką.

Woda w fontannie sphywała i pluskała wśród świeżo posadzonych róż. Z ich wonią mieszał się zapach goździków, snuł się w ciepłym powietrzu jak mgła. Laurel zawróciła przy frontowych drzwiach. Obeszła ceglany basenik fontanny i ruszyła do furtki. Zatrzymała się, gdy jej ręce dotknęły sztachet. Nad nią róże Zéphéne Drouhin schylały blade główki, które w świetle księżyca wydawały się lawendowo-szare.

I wtedy to usłyszała: szelest kroków gdzieś za

sobą. Ktoś szedł ścieżką, obszedł róg domu, przy którym ona sama była przed chwilą. Czy widział ją? Czy dostrzegł, gdzie ona jest?

Nie czekała, by się o tym przekonać. Pchnęła furtkę i pobiegła z głową wtuloną w ramiona.

Pędziła wzdłuż ogrodzenia i podjazdem, który prowadził do garażu, potem skręciła i pobiegła na jego tyły. Przed nią rozciągał się tylny ogród, jasna przestrzeń, ocieniona drzewami i krzewami rosnącymi wzdłuż ściany budynku oraz wielką czarną sylwetką domu. Musiała przebiec przez ogród, by dostać się do kuchennego wejścia. A gdy już znajdzie się wewnątrz, może wziąć pistolet. Jeżeli uda jej się wystraszyć intruza, poszuka potem Aleka. Ze wzrokiem wbitym w geometryczne wzory tworzone przez światło

księżycyca i ciemny cień schodków, przebiegła ostatni odcinek.

Nagle pojawiło się przed nią coś ogromnego i czarnego. Krzyknęła, próbowała skrócić, ale wpadła na gorącą, twardą jak skała ścianę. Z siłą stalowych lin otoczyły ją czyjeś ramiona, zmuszając do zatrzymania się. Gdy wciągała powietrze, żeby jeszcze raz krzyknąć, jej usta zostały przyciśnięte stanowczą ręką. Ciepły oddech owiał jej policzki, musnął włosy, i Alec mruknął jej do ucha:

- Znalazłem cię. Nareszcie.

Oparła się o niego. Dławiła się, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Drżała tak niepowstrzymanie, że głos wydobywał się z jej gardła spazmami.

- Myślałam, że ty...

- Na litość boską! Dlaczego? - Zdjął rękę z jej ust i przyciągnął ją bliżej.

- Słyszałam, jak ktoś porusza klamką frontowych drzwi... a ciebie... nie było.

- Po prostu sprawdzałem je, chciałem wiedzieć, czy jesteś bezpieczna. Nie przypuszczałem, że tak cię wystraszę.

Już przedtem mówił coś takiego. Ze będzie obchodził dom. Jak policjant na patrolu chciał się upewnić, że wszystko jest zamknięte, a zamki mocno trzymają. A ona poddała się panice. W milczeniu skinęła głową i wtuliła się w Aleka. Potrzebowała jego siły i obecności, jego mocnych objęć, by odzyskać równowagę. Policzką musnęła gładką, gorącą skórą tam, gdzie biło serce. Nie miał na sobie koszuli. To zdumiewające odkrycie uspokoiło ją bardziej niż cokolwiek innego.

- Przepraszam - szepnął, gładząc ją po włosach rozrzuconych na plecach, w górę i w dół, w górę i w dół. Kołysał ją łagodnie, jakby była dzieckiem. - Tak mi przykro!

- Bałam się - powiedziała, przytulając usta do jego umięśnionego ramienia. - Bałam się, że coś ci się stało.

- Nic mi się nie stało i nie stanie - zapewnił. Objął ją mocniej w pasie, założył jej włosy za ucho, pogłaskał po policzku. - Spójrz na mnie. Mówię ci, że nic mi się nie stało.

Odsunęła się troszeczkę, żeby spojrzeć mu w twarz, na której malowała się troska i wyrzuty sumienia, lecz także zobaczyła coś jeszcze, co głęboko ją poruszyło.

Pragnął jej. Widziała to w jego oczach, słyszała w głosie, czuła w sposobie, w jaki jej dotykał. Na razie jeszcze się kontrolował, ale pragnienie było wyraźne.

Ona też go pożałowała, od tamtej pierwszej nocy, gdy pojawił się w zielonej gęstwinie jej ogrodu jak jakiś starożytny wojownik torujący sobie drogę przez zaczarowany gąszcz. Pragnęła go teraz, tu, z nagłą beztroską odwagą, dzięki której przestała się przejmować tym, kim on tak naprawdę jest i co stanie się później.

Oblewało ich światło księżycyca, łagodne i nie niosące w sobie żadnej groźby. Noc śpiewała pragnieniem i ciepłą płodnością. Napierała na nich swoją rzeczywistością, zachęcając do przeżywania słodkiej, naturalnej i niewinnej rozkoszy.

Beltane.

- Laurel? - szepnął, a jej imię zabrzmiało bardziej jak nieśmiała prośba niż pytanie.

Podniosła rękę i obrysowała palcami jego usta tak, jak o tym marzyła od dawna. Przyłożyła kciuk do dołka w jego brodzie. Pasował doskonale, jakby był wykonany z gliny, którą można modelować. Zuchwale przejechała palcami w dół po szyi, aż do obojczyka i smoka skróconego na jego ramieniu. Wciągnęła głęboki haust powietrza, odczuwając radość i spełnienie, gdy zapamiętywała dotknięcie jego gładkiej skóry.

- Tak - powiedziała, jednocześnie prosząc i odpowiadając.

Na króciutką chwilę ich spojrzenia się spotkały. Widziała, jak oczy Aleka ciemnieją, zmieniają się w stawy z nieruchomą wodą. Potem jego rzęsy opadły w dół. Pochylił głowę i zażądał jej ust. Oddała mu je.

Jego wargi miały smak świeżości, były słodką zachętą i obietnicą. A Alec był bezpieczeństwem, jakiego potrzebowała, ale także zagrożeniem, jakiego pragnęła. Trzymał ją z szacunkiem, niepewnie, jakby doszedł na skraj rozpaczki. Potem jego uścisk się zmienił, stał się odważniejszy. Chciwie wpił się w jej usta, jakby domagał się, by dzieliła z nim jego żądzę i przyjęła w siebie jego siłę.

Ona też tego chciała. Skóra mrowiła ją od nacisku jego twardego ciała, w żyłach śpiewała krew. Uderzyła jej dziko do głowy, przepędzając dreszcze, a zamiast nich pozostawiając radość. Laurel westchnęła cicho i otworzyła się dla niego, weszła w niego, domagając się więcej i dając z siebie wszystko.

Głębia jej oddania była szokująca. Do tej pory nie wiedziała, jak bardzo tęskniła za tym, by ktoś jej dotykał. To ją rozbroiło, pozbawiło ostrożności i rozsądku. Chciała czuć przy nim swoją nagą skórę, potrzebowała jego rąk i ust na swoim ciele. Aż do bólu pragnęła mieć go w sobie, by wypełnił dojmującą pustkę.

Alec aż się zachwiał, gdy poczuł, jak Laurel wtula się w niego, naciska coraz bardziej. Słodki smak jej nagłego poddania się uderzył mu do głowy jak mocne wino. Oszołomiony, wziął, co mu dawała, i zażądał więcej. Był szalony w swojej potrzebie i strachu, że może nie o to jej chodziło. Językiem i ustami starał się

podsyć jej szał, który był równie potężny, jak jego własny.

Nie powinien. Wiedział o tym. Jeszcze tyle rozsądku mu pozostało. Gdyby choć w części był takim mężczyzną, na jakiego Laurel zasługiwała, wycofałby się, poczekał, aż jej emocje opadną. Bo teraz wykorzystywał jej strach i samotność, pozwalając, by nieprzytomne pożądanie przeważyło nad tym, co uważał za słuszne. Wiedział o tym i gardził sobą.

Ach, tylko że ona była taka słodka, taka doskonała. Jej zaokrąglenia zostały tak stworzone, by pasowały do jego rąk. Odpowiadała na jego najmniejszy ruch, jakby ich umysły i ciała stopiły się w jedno. Nie mógł się opierać dłużej niż przez sekundę, i nawet nie próbował. Weźmie wszystko, co ona zechce mu dać, jej miękkość, wdzięk i czułą namiętność. A jeżeli później każe mu odejść, będzie żył tymi wspomnieniami aż do czasu, gdy stanie się skurczonym, bezzębny staruszką, a żar dzisiejszego przeżycia ogrzeje jego ostatni oddech.

Był bezbronny, gotowy na wszystko, czego Laurel od niego zażąda. Pozwoli się wykorzystać, zranić, nawet zniszczyć. A ona może to zrobić niechcący, jednym dotknięciem, słowem czy zmarszczeniem brwi. Może to zrobić, wypędzając go. I pewnie za jakiś czas okaże się to nieuchronne.

Lecz nim tak się stanie, będzie należała do niego, niezależnie od tego, czy będzie o tym wiedziała, czy nie, czy to zaakceptuje, czy będzie się broniła. Będzie ją smakował i chłonał, by wciągnąć ją w najgłębszy zakamarek swojej duszy. Stanie się jego do tego stopnia, że gdy on odejdzie, będzie go łaknęła jak pokarmu i wody, i już nigdy żaden inny mężczyzna jej nie zadowoli.

Była jeszcze jedna rzecz, którą mógł dla niej zrobić.

Podniósł ją, przytulił do piersi i poszedł do włoskiego ogrodu. Minął portal i wszedł w gęsty mrok. Tam, koło płyty z Ustami Prawdy, postawił ją na ziemi.

- Kocham cię - powiedział, patrząc jej w oczy. Włożył rękę w Usta Prawdy. - Jesteś moim życiem. Nigdy nie pokocham żadnej kobiety tak mocno i prawdziwie, jak kocham ciebie, nigdy nie będę potrzebował ani pragnął innej osoby tak bardzo, jak potrzebuję i pragnę ciebie. Nigdy cię nie skrzywdzę, nigdy nie opuszczę, chyba że sama każesz mi odejść. To ci przysięgam. Wierzysz mi?

Czy mu wierzyła? Laurel nie wiedziała ani nie mogła znaleźć słów, by wyjaśnić mu, jak małe ma to znaczenie. Nie tutaj, nie teraz, gdy księżyc oblewał ich światłem, a nocny wietrzyk głaskał rozgrzane ciała. Jednak Alec czekał, aż ona coś powie. Nie zniósłaby, gdyby pomyślał, że nie ma dla niego żadnej odpowiedzi.

Wyciągnęła rękę i powiodła palcami po twardych, rysujących się pod skórą mięśniach jego klatki piersiowej, potem rozpostarta rękę i zaczęła zataczać małe kółka dla samej przyjemności dotykania go.

- Wierzę, że teraz mnie kochasz - powiedziała miękko. - Teraz, w tym miejscu, w tej chwili. I nie proszę o więcej.

Odetchnął z ulgą, chociaż jej słowa nie dawały mu nadziei. Jednak na tym poprzestał. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Potem objął wargami jej usta, znów spragniony wonnego, wilgotnego oddechu.

Otoczył ją ramionami i poczuł jej słodkie, spragnione ciało.

Przesunął rękę po jej plecach i przez jedwabny materiał kaftana i koszuli nocnej chwycił gładki łuk bioder. Potem, powoli, zaczął zbierać fałdy materiału, podciągając je wyżej, a jednocześnie poszukiwał ust Laurel. Już nie potrafiłby przestać. Chciał być czuły, ale chwilami stawał się gwałtowny, chciał być powolny, ale się spieszył. Uniósł fałdy jedwabiu i zdarł z niej skłębiony materiał.

Potem zatrzymał się, uderzony zarówno alabastrową doskonałością jej ciała, jak i tym, że zupełnie nie wiedziała o swej nieskończonej piękności. Chłonał tajemnicę jej oczu, zagłębień i nierówności ciała, rozkoszował się cudownym darem natury, jakim była ta kobieta.

Chyba postradał zmysły, doprowadzony do szaleństwa przez światło księżyca i długą abstynencję. Nie wolno mu było sięgać po Laurel, nie miał do tego prawa, przez głęboki szacunek, jaki do niej czuł, nie powinien tego czynić... lecz jak miał się powstrzymać?

Laurel, czując się niezręcznie pod jego łakomym spojrzeniem, przysunęła się bliżej. Opuściła rzęsy, położyła ręce na jego pasku i rozpięła klamrę, a potem mosiężny guzik i zamek dzinsów. Jej palce prześlizgiwały się po płaskiej, twardej powierzchni jego brzucha, a ona cieszyła się wrażeniami, jakich doznawała, a potem wsunęła rękę pod gumkę slipów i zsunęła mu je na biodra.

Był taki silny, taki potężnie zbudowany... Poczula słodki strach, cudowny lęk, jakby to miała być jej pierwsza noc z mężczyzną. Ciepła i odważna, dotykała go, głaskała, mierzyła środkowym palcem, dłonią i nadgarstkiem. Alec coś gorączkowo wyszeptał, a potem pociągnął ją za sobą na brukowany chodnik, jeszcze ciepły po gorącym dniu.

Poruszali się razem, wchłaniając nawzajem swoją esencję językiem i ustami, szukając miejsc o najcudowniejszym smaku i dostarczających największej rozkoszy. Ich ciche okrzyki, westchnienia i miłosne zaklęcia ulatywały z wiatrem. Ich cienie kołysały się i wyginały, a potem zlewały i przenikały.

Aż wreszcie dosięgli szczytu w gorącym cudzie spełnienia. Przez chwilę Laurel patrzyła w twarz Aleka, oszołomiona dzikim, wygłodniałym wyrazem jego czarnych oczu. Rozpostarł palce jednej ręki, by przykryć jej pierś. Rozmiar i ciemny kontrast jego ręki na jej jasnej skórze był zdumiewający, podniecający.

Odważyła się na wszelkie, najbardziej śmiałe pieszczoty i gesty, czuła się swobodna, poszukiwała doznań, z jakich okradło ją życie. Powinna odczuć strach albo niechęć, widząc, jak Alec nad sobą panuje, a jednak to ją jeszcze bardziej rozpałało.

Wreszcie Alec porzucił wszelkie pozory opanowania. Odpowiedział na jej prośbę i stał się dzikim, szalonym, wszechmocnym kochankiem. Przyjęła go z rozkoszą i wraz z nim wzniosła się tam, gdzie mają wstęp tylko wybrańcy pogańskich bóstw miłości i płodności.

Szaleństwo. Beltane, noc rozkoszy, noc, w której płodna natura wysyła zew, domaga się łączenia ciał. Odnaleźli się w centrum tej odwiecznej tajemnicy. Nie myśląc i nie troszcząc się o nic, poruszali się i atakowali, wykorzystując się nawzajem. Dając i biorąc, zlewali się w jedno, w dwie nareszcie połączone części tej samej całości.

Świat wokół nich wypełnił się mgłą, otoczył się przedwieczną chwałą, księżyc nad ich głowami oblewał lśnieniem mokre ciała, oferując odpoczynek po szaleństwie, przyobiecując dobrodziejstwo spokoju. Wokół nich śpiewała letnia noc, radowała się życiem i rzucała wyzwanie śmierci. A oni byli częścią otaczającej ich natury.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jak na starszą kobietę, jesteś cudownie zaokrąglona - zauważył Alec.

Stali pod prysznicem, woda obmywała ich ciała. Zwróceni twarzą w twarz, dotykali się czołami, Alec przesuwał po Laurel namydlonymi rękami, twierdząc, że musi się upewnić, czy na jej skórze nie został żwir z włoskiego ogrodu. Woda spływała głównie na jego zgięte plecy, ramiona i kark, odbijała się od niego i przyskała na wszystkie strony, tak że Laurel musiała zamknąć oczy. Jednak nie było to aż tak wielkim poświęceniem, skoro mogła dzięki temu skoncentrować się na wrażeniach, jakich doznawała pod jego delikatnie manewrującymi rękami.

- Co taki pętaś jak ty może wiedzieć o kobiecych zaokrągleniach? - spytała niezbyt pewnym głosem. - Chyba nie zdążyłeś się jeszcze zbyt wiele o nich dowiedzieć.

- Robię, co tylko potrafię, by nadrobić stracony czas.

- I tylko tyle potrafisz?

Zsunął ręce na jej biodra i przyciągnął ją do siebie.

- Niezupełnie - mruknął.

- Tak właśnie myślałam - szepnęła, miarowo naciskając go biodrami. - Zrobisz coś dla mnie? - Mówiąc to, odsunęła się, oparła ramionami o ściankę kabiny i wciągnęła Aleka między swoje rozstawione nogi.

- Cokolwiek zechcesz, jeżeli tylko nie będziemy musieli przerywać tego, co robimy teraz.

- Nie przerwiemy. - Otarła zalane wodą oczy i posłała mu uśmiech pełen euforii, która kipiała w jej żyłach.

- Ja tylko... czy mógłbyś dla mnie sprawić, by smok się poruszył?

Wstrząsnął nim śmiech.

- Który?

- Masz ich więcej? - W jej głosie brzmiał zachwyt.

- Jeden jest rozochocony, a drugi nie. - Przysunął się bliżej, tak by ich ciała się dopasowały i poruszały razem.

- Och... tak... mogę... teraz! - Mruczała niewyraźnie, biorąc go głęboko w siebie. - Więc porusz... oboma.

- Tak?

- Tak, mniej więcej... Właśnie tak - zgodziła się i znów się zachłysnęła powietrzem.

- Boże, Laurel - szepnął. Na jego ramionach pojawiła się gęsia skórka. Oddychała z trudem.

- A co... z tym drugim?

- Patrz - powiedział. Położył jej ręce na ramionach i zaczął powoli, rytmicznie, kurczyć i rozkurczać mięśnie klatki piersiowej, w przód i w tył, przy niej i w niej.

- Tak - szepnęła. - Och, tak!

Sposób, w jaki smok wytatuowany na jego piersi i wokół ramienia falował w rytm ruchów Aleka, ogromnie ją zafascynował. Drugi smok, ten znajdujący się niżej, też się poruszał, może nawet jeszcze bardziej ekscytująco.

Nigdy dotąd Laurel nie przeżyła tak swobodnego, naturalnego seksu. Świadomość własnej zmysłowości przepełniała ją jak nieustający cud, a tę nieskrępowaną radość zawdzięczała Alekowi, bo spowodował, że odrzuciła wszelką wstydlivość. Sam też niczego nie ukrywał ani nie uważał za zakazane. Pruderia była mu

zupełnie obca. Nie uznawał jej i Laurel też od niej wyzwolił. Właśnie tego potrzebowała: jego prostej, radosnej akceptacji tego, co jest prawdziwe i naturalne między kobietą i mężczyzną. Tęskniła za tym przez całe życie.

Od zawsze go potrzebowała i nigdy już nie przestanie.

Jednak nie żądała od losu, by Alec z nią został. Będzie wdzięczna za tę chwilę i nie zamierza martwić się tym, co przyniesie przyszłość. Nie obchodziło jej, czego on od niej chce. Cokolwiek to jest, da mu to. Była mu to dłużna za wszystko, co dla niej zrobił, za to, jak się dzięki niemu zmieniła. Jeżeli nawet ją wykorzystywał, nie miała prawa się skarżyć, bo ona też go wykorzystywała. A może nawet, zaspokajając jej potrzebę sycenia się jego młodością, siłą, odbiciem własnej osoby w jego oczach, w których widziała siebie jako kobietę atrakcyjną i godną pożądaną, dawał jej więcej, niż ona jemu.

- Laurel, nie odchodź - powiedział, gdy ich spojrzenia się spotkały. Mrok w jego oczach wskazywał, że wyczuł jej roztargnienie.

- Nie odejdę - odparła i znów skupiła na nim uwagę. - Jestem tutaj.

Na jego ustach pojawił się uśmiech, nadając im wyraz niewypowiedzianej słodyczy. Potem, pochylając głowę, pocałował jej cudowną, słodką pierś.

Uniosła się ku niemu i poddając mu się, wplątała palce w jego czarne jedwabiste włosy.

- Zawsze będę z tobą - szepnęła.

Później leżeli obok siebie w łóżku, ona wtulona w niego biodrami, a on obejmował ją w talii. Patrzyła szeroko otwartymi oczami w ciemność i zastanawiała się, co z nimi dalej będzie. Oczywiście nie było sposobu, by to przewidzieć.

Potem jej umysł zajął się bliższymi sprawami: tym, co mu powie, gdy rano spotkają się przy śniadaniu. Może to i głupie, ale ludzi często zaprzątały takie właśnie kwestie, gdy ciała chłodziły po dzikiej, namiętej miłości.

Niepotrzebnie jednak tym się martwiła, bowiem Alec nie został do rana. Gdy przez zasłony przebiły się pierwsze promienie słońca, podniósł się, pochylił i pocałował ją w skroń, przez chwilę stał nieruchomo, a potem wstał z łóżka.

Nie mogła zachować się tchórzliwie i udawać, że śpi. Zasługiwał na coś lepszego.

- Nie musisz wychodzić - powiedziała spokojnie, otwierając oczy.

- Wiesz, że chciałbym zostać, tylko że...

- Co takiego?

- Muszę zajrzeć do Gregory'ego.

Była pewna, że chciał powiedzieć coś innego, albo przynajmniej nie tylko to.

- Martwisz się o moją reputację, prawda?

- Jesteś miłą, godną szacunku kobietą - odparł spokojnie. - Należy mieć to na względzie. Podparła się na łokciu.

- Ludzie od dawna uważają, że śpimy ze sobą, więc moja reputacja już i tak jest zaszargana. Jeżeli ty się tym nie przejmujesz, mnie to też jest obojętne.

Znów położył się koło niej i ujął jej twarz w ręce.

- Moja reputacja tylko by się poprawiła, gdybym został przyłapany w łóżku z wdową Bancroft. Nie chciałbym jednak wyrządzać krzywdy tobie, mojej Laurel.

Mogłaby mu powiedzieć, że już jest za późno, by martwić się o jej opinię, ale dała sobie z tym spokój.

- Jesteś pewny, że nie boisz się ludzkiego gadania? Albo tego, co myśli teraz o tobie twoja babcia? - spytała, patrząc mu w oczy.

- Pytasz, czy zmartwi mnie, gdy ludzie będą mówili, że kochałem się z najseksowniejszą staruszką w północnej Luizjanie? - zażartował.

- Nie - odparła dzielnie. - Raczej o to, że to ja cię uwiodłam.

- Widzisz jakąś różnicę? - Popatrzył na nią z ukosa, a na jego twarzy odmalowało się zrozumienie, nawet większe, niżby Laurel sobie życzyła.

Lekko skinęła głową.

- Rzeczywiście. Nie ma znaczenia, kto zrobił pierwszy krok.

Alec był coraz bardziej rozbawiony.

- O ile dobrze pamiętam, to byłem ja, ale ty też możesz w każdej chwili mnie uwieść. No i co ty na to?

Lekko się uśmiechnęła. Poglądziła go po piersi, obwiodła palcami ostatnie ślady skaleczeń pozostałych po spotkaniu z pniem sosny.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

- Może tak, ale wydawało mi się, że w nocy już cię wyleczyłem z takiego sposobu myślenia.

- Przyznaję, że zrobiłeś, co tylko było w twojej mocy. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tego, co

niedawno się wydarzyło.

- Widzę jednak, że muszę jeszcze bardziej się starać - powiedział Alec wielce obiecującym tonem.

Wróci! Wynika z tego, że dla niego nie była to jednorazowa sprawa, miły incydent z trudną do zdobycia kobietą. Tylko że ona nie chciała - nie mogła - uznać tego za pewnik. Westchnęła. Potem, uświadamiając sobie, że Alec czeka na odpowiedź, bo ma własne wątpliwości, spojrzała mu w oczy.

- Liczę na to! - zawołała.

Jego rysy się wygładziły, ale jeszcze się nie uśmiechał. Przesunął kciukiem po jej ustach.

- Zostanę, jeśli tego właśnie chcesz. Tylko mi powiedz, co mam zrobić.

- Chcę, żebyś robił to, co twoim zdaniem jest dla ciebie najlepsze - odparła spokojnie.

- To, co dla mnie najlepsze? - Jego głos nabrał głębszych tonów. - Wobec tego najchętniej wczołgałbym się z powrotem pod kołdrę i kochał się z tobą przez rok, aż nie mogłabyś już o niczym myśleć, a tym bardziej się ruszać.

- Cudowna perspektywa - odparła, uśmiechając się leciutko.

- Zachowaj to w pamięci. - Teraz mówił poważniejszym tonem. - Ale cokolwiek robimy w nocy, gdy nastaje dzień, muszę wracać do mojej roli zatrudnionego przez ciebie robotnika i wnuka babci Callie. Tak musi być przynajmniej do czasu, aż zorientujemy się, o co w tym wszystkim chodzi. Bo prawda jest taka, że komuś przeszkadzamy, a ja nie potrafię zrozumieć, co ten ktoś ma przeciw nam, ani dlaczego to się zaczęło właśnie wtedy, gdy ja się tu pojawiłem. Jednak dla twojego dobra musimy zachować maksymalne bezpieczeństwo. Dobrze?

Skinęła głową, bo Alec miał rację. Mimo to, gdy ją mocno ucałował i wstał, już za nim tęskniła. Jest beznadziejnie głupia, doprawdy beznadziejnie.

Wzeszło słońce, potem przyszła Maisie. Laurel wzięła prysznic, ubrała się i w samotności zjadła śniadanie. Niedługo potem usłyszała, jak Alec przyjeżdża motocyklem, zupełnie jakby nie wychodził stąd zaledwie dwie godziny temu. Snuła się po domu, próbując zajmować się tym, co zawsze, ale myślała tylko o tym, by wybiec na dwór i zobaczyć, czy Alec wygląda i zachowuje się wobec niej tak samo, jak poprzedniego dnia.

Martwiła się również o to, czy sama potrafi się opanować. On sobie życzy, by traktowała go jak wynajętego robotnika, ale niezręcznie jej będzie wydawać polecenia mężczyźnie, z którym dzieliła łóżko. Nie wydawało jej się to możliwe.

Okazało się jednak, że nie miała powodów do zmartwienia. Bez dyskusji i poleceń Alec zabrał się do malowania płotu. To była praca, którą w oczywisty sposób należało wykonać, jedna z tych, o których rozmawiali kilka dni temu. Ponieważ jednak Laurel chciała, by płot został pomalowany w pierwszej kolejności, czuła się teraz tak, jakby Alec czytał jej w myślach. Może zresztą tak rzeczywiście jest, cieszyła się w duchu.

Przez całe przedpołudnie zachowywali się bardzo rozsądnie, zresztą głównie dlatego, że Laurel spędziła większość czasu w szopie garncarskiej. Jednak podczas lunchu pojawiły się drobne kłopoty.

Jedli w kuchni. Maisie przygotowała kanapki z kurczakiem i sałatką, do tego mrożoną herbatę, a na koniec podała świeże jagody z bitą śmietaną. Jakaś jagoda dostała jej się pod sztuczną szczękę, więc zrezygnowała z deseru i poszła zmywać przy zlewie, stając do nich tyłem.

Alec rzucił szybkie spojrzenie na Laurel i poinformował ją:

- Masz śmietaną na ustach.

- A teraz? - spytała, oblizując dolną wargę.

- Wciąż ją masz - odparł, wpatrując się w nią. Uniósł się z krzesła, pochylił i szybkim pocałunkiem zlizął śmietaną.

Właśnie w tym momencie Maisie odwróciła się od zlewu, z mokrą szmatą w ręku, jakby zamierzała wytrzeć stół. Uniósł brwi, gdy Alec opadał z powrotem na krzesło.

- Musiałem coś oczyścić - powiedział spokojnie.

- Widzę. - Gospościa oparła ręce na biodrach, z jednej z nich zwisała ścierka. - Ale lepiej bardziej uważaj.

- Dlaczego? Masz jakieś zastrzeżenia?

- Zostawisz farbę tam, gdzie nie powinno jej być, i będziesz miał kłopoty.

- Gdzie? - spytał Alec, rzuciwszy okiem na swoje ręce, potem na twarz i ramię Laurel, tam, gdzie jej dotykał.

- A czy ja mówiłam, że już tak się stało? Mówiłam tylko, że musisz uważać.

Alec spojrzał na nią ze zrozumieniem.

- Tak jest, proszę pani - powiedział z pełną ironii uprzejmością.

Maisie rzuciła mu obrażone spojrzenie, ale wracając do zlewu, uśmiechała się. Alec, napotkawszy wzrok Laurel, ponuro pokiwał głową.

Następnego dnia nie zachowywał się już tak poprawnie, choć na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że został sprowokowany.

Laurel była w szopie. Nagle usłyszała warkot samochodu. Nie zatrzymał się przed domem, lecz podjechał aż pod garaż i stanął obok jej buicka. To pewnie ktoś z rodziny, pomyślała. Wyszła z szopy akurat na czas, by zobaczyć, jak z samochodu wysiada jej szwagierka.

Zelda, siostra Howarda, była jedyną osobą z rodziny, która odnosiła się do Laurel serdecznie. Chodziły razem do szkoły, chociaż Zelda była od niej starsza. W ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat Laurel rzadko się z nią widywała, ale tylko dlatego, że w sposób naturalny ich drogi się rozeszły.

Zelda prawie się nie zmieniła. Włosy miała nadal jasne w odcieniu beżu, dobrze utrzymane dzięki wszystkim produktom ze swojego salonu piękności, i obcięte na pазia, co nie pasowało do jej kanciastej twarzy. Powiewna sukienka w paski była trochę na nią za ciasna, a rozcięcie w spódnicy kończyło się o kilka centymetrów za wysoko. Ciemna szminka w kolorze burgunda i srebrzyste cienie na powiekach stanowiły niedobraną kombinację. Mimo to promieniała zadowoleniem, gdy serdecznie machała do Laurel ręką. Nagle zobaczyła Aleka i stanęła z otwartymi ustami.

Laurel nie miała o to do niej pretensji, bo Alec naprawdę mógł ucieszyć kobiece oczy. Jego włosy lśniły w porannym słońcu jak skrzydła gwarka. Był bez koszuli, mięśnie grały mu pod opaloną skórą. W jednej ręce trzymał wielkie wiadro z farbą, drugą, z pędzlem, starał się dosięgnąć szczytu sztachety. Białe plamy farby dekorowały mu brzuch, tworząc ogromny kontrast z ciemnobrązową skórą.

Zelda zatrzasnęła drzwiczki samochodu i ruszyła do bocznej furtki.

- Ho, ho, Laurel, kochanie! - krzyknęła z lubieżnym zachwytem. - Masz tu ślicznego chłopca do zabawy!

Laurel była przyzwyczajona do obcesowego zachowania Zeldy i tego, że szwagierka niemal czuła przymus flirtowania ze wszystkimi istotami produkującymi testosteron, jednak dla Aleka to była nowość. Laurel zobaczyła, jak sztywnieje, a na jego miedzianozłotej twarzy występują ciemne rumieńce.

- Zeldo, przedstawiam ci Aleka Stantona - powiedziała Laurel dość oschle. - Bądź jednak ostrożna, bo ma wielki pędzel.

- Założyłabym się, że nie tylko jego pędzel jest wielki - zachichotała Zelda, nie zwracając uwagi na napięcie, jakie nagle zawisło w powietrzu. - Cześć, Alec. Gdy tu skończysz, zapraszam cię do siebie.

Alec skinął głową, w ten sposób kwitując nawiązanie znajomości, ale z jego miny można było poznać, że nie jest nią zachwycony. Laurel pomyślała, że najlepiej będzie, jeżeli zabierze stąd Zeldę, zanim ta powie coś, co go sprowokuje do, jak zwykle zbyt szczerzej, odpowiedzi.

- Nie wydaje mi się, by skończył tu pracę w najbliższym czasie - stwierdziła, posyłając mu krótki, sekretny uśmiech. - Zeldo, chodź do domu. Zobaczmy, czy Maisie zaparzyła kawę.

Szwagierka patrzyła na nich z nieukrywaną ciekawością.

- Nie mogę powiedzieć, bym ci miała za złe, że nie chcesz go wypożyczać - zauważyła. - Słowo daję, ja bym go trzymała przykutego łańcuchami do mojego łóżka. Ale dziękuję za kawę. Mama mówiła, że zmieniasz wszystko w ogrodzie i umierałam z ciekawości, jak tu teraz wygląda.

- Całą robotę tak naprawdę wykonał Alec. Dokonał prawdziwych cudów, choć okupił to katorżniczą pracą.

- Nie wątpię!

Laurel spojrzała na szwagierkę bez uśmiechu. Czuła, jak narasta w niej złość.

- Chodźmy, pokażę ci fontannę i oczka wodne z tyłu domu.

- Och, chętnie je zobaczę, skarbie. Uwielbiam wycieczki. - Ignorując Laurel, która już zaczęła iść, podbiegła do furtki i wyciągnęła rękę, by ją otworzyć.

- Uwważaj... - zawołał Alec. Ale było już za późno. Cofając rękę, Zelda zobaczyła, że jest cała w białych plamach.

- Uff - mruknęła z obrzydzeniem. Potem na jej ustach wykwit! lubieżny uśmieszek. Rzuciła Alekowi wymowne spojrzenie. - Oczywiście, niektóre rzeczy są warte tego, by mieć lepkie palce, prawda? Skarbie, nie masz przypadkiem chusteczki? - Jej zachwycone spojrzenie obsunęło się poniżej jego pasa i zatrzymało na szmacie, która zwisała z tylnej kieszeni jego wyblakłych dżinsów.

Alec z obojętną miną podszedł krok bliżej i podał jej szmatę przez płot. Zelda zatrzepotała rękami i wyciągnęła rękę, by ją wytarł. Alec stał nieruchomo, przyglądając się jej.

Laurel ogarnęła wściekłość. Podeszła bliżej i wyrwała Alekowi usmarowaną farbą szmatę.

- Dziękuję. Sama się tym zajmę.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, gdy usłyszał w jej głosie odprawę, było niezgłębione. Odwrócił się i zabrał z powrotem do malowania.

- Musisz psuć zabawę? - spytała Zelda z sardonycznym rozbawieniem. Wzięła szmatę, którą Laurel wtykała jej do ręki, i zaczęła wycierać palce.

Laurel nie odpowiedziała. Gdy szwagierka wyczyściła ręce, odebrała od niej szmatę, posłużyła się nią do

otwarcia furki, a potem oddała ją Alekowi. Następnie wzięła Zeldę pod rękę i pociągnęła do fontanny.

- Interesujące - skomentowała siostra Howarda, rzucając w tamtym kierunku tylko jedno obojętne spojrzenie. - Ładne - mruknęła, gdy Laurel pokazała jej świeżo posadzone róże. - Może być - zauważyła, gdy zobaczyła stawek z liliami i donice z kwiatami ustawione na pokrywie cysterny. Gdy jednak doszły do włoskiego ogrodu, jej oczy się rozszerzyły.

- Fantastyczne! - zawołała z nabożnym podziwem. - Tu właśnie odbywacie wasze orgie, prawda?

Laurel gwałtownie się odwróciła, by spojrzeć na szwagierkę, niepewna, czy się nie przesłyszała.

- Co takiego?

- Orgie, skarbie. No, wiesz... Księżyc, wino i ten słodki młodzieniec, cały nagi i gotowy.

- Dobry Boże, Zeldo! - jęknęła Laurel, starając się dać szwagierce do zrozumienia, że potraktowała to stwierdzenie jak niesmaczny żart. - Skąd taki pomysł?

- Po prostu to się samo narzuca, kotku. Przyszłoby mi to chyba do głowy nawet wtedy, gdyby ludzie nie szeptali o was. Oczywiście mówią, że ty i Alec modlicie się do pogańskich bożków i takie tam różne głupoty.

Laurel przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- To śmieszne! - krzyknęła w końcu drżącym głosem.

- Naprawdę? - Zelda rozejrzała się, popatrzyła na kolumny i kamienie obramowane kępami trawy, potem zatrzymała wzrok na *Bocca della Verita*. - W tylnym ogrodzie ludzie na ogół miewają tylko basenik dla ptaków i trochę petunii, natomiast to, co ty tu masz, to prawdziwa dekadencja.

- Ale ty chyba nie wierzysz w te bzdury? - Laurel nie udało się ukryć niepokoju. Przyszła jej do głowy pewna myśl, od której zacisnął się jej żołądek, a głowa rozboleła tak, jakby ścisłano ją w imadle.

Zelda westchnęła, w jej oczach odmalowała się troska.

- To, w co ja wierzę, nie ma znaczenia, skarbie. Ważne jest to, co mówią ludzie. Po prostu pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Bo nie wyobrażam sobie, by ktoś inny ci to powiedział.

- No tak... Cieszę się, że to zrobiłaś.

- Ludziom czasami naprawdę odbija. Zupełnie jakby takie ciągłe gadanie sprawiało im wielką przyjemność.

Laurel powoli skinęła głową.

- Ale teraz jest jakoś inaczej - powiedziała. - A przynajmniej tak mi się wydaje. Plotkowanie to rzecz absolutnie naturalna. Ludzie to robią, gdy zbierają się razem, podczas rozmów ustalają się standardy obowiązujące społeczności. Jednak to, co się mówi i robi teraz, jest po prostu podłe. Słyszałaś o anonimowych listach?

- Tak, chociaż żadnego nie widziałam. Ktoś o nich wspomniał u mnie w pracy, ale mam wrażenie, że nikt ich nie czytał.

- Czy nie wydaje ci się to trochę...

- Szalone? - podpowiedziała Zelda, gdy Laurel zamilkła.

- No właśnie. Lub też ktoś tak postępuje z jakichś osobistych powodów.

Zelda zmarszczyła czoło.

- Myślisz, że ktoś ma coś przeciwko tobie?

- Na to wygląda.

- Boże, nic o tym nie wiem, ale musisz przyznać, że robisz wszystko, by wzburzyć ludzi. - Zelda popatrzyła wymownie na szwagierkę.

- Co masz na myśli? - spytała ostro Laurel, bo nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- No więc tak. Chyba zapomniałaś przez te lata izolacji, że Hillsboro jest bardzo prowincjonalnym miasteczkiem, a mówiąc wprost, po prostu konserwatywnym. Już wystarczająco źle by się stało, gdybyś połączyła się z młodym mężczyzną, ale to, że on przyjechał tu z Zachodniego Wybrzeża, jeszcze bardziej pogarsza sprawę. Wszyscy wiedzą, jacy ludzie tam żyją, to znaczy, że oddają się najrozmaitszym dziwnym kultom i nie mają żadnych zahamowań, jeśli chodzi o seks.

- Zeldo, na miłość boską! Przecież nie wszyscy Kalifornijczycy są tacy.

- Może i nie, ale nigdy nie przekonasz o tym ludzi z Hillsboro. Poza tym twój Alec nie jest takim sobie zwyczajnym chłopcem stąd, prawda?

Oczywiście, że nie, i Laurel szczerze była za to wdzięczna losowi. Zresztą sama dopiero zaczynała się przekonywać, jak bardzo jest niezwykły.

- A co to ma wspólnego z tą całą sprawą? - spytała z irytacją.

- Skarbie, tylko proszę, nie złość się na mnie. Przecież widzę, jaki on jest pociągający. W pewien sposób przypomina mi mojego ojca, który też był niebezpiecznie przystojny, miał ten sam męski urok działający na każdą kobietę. Stara czy młoda, każda będzie się do niego ślinić. Pewnie dlatego sama chętnie poszłabym z

nim na całego. Po prostu staram się ci powiedzieć, jak to wygląda.

- Nie moja wina, że tak to wygląda. Pamiętaj, to jest moje życie.

- Wiem, wiem. I masz pełne prawo sypiać, z kim tylko zechcesz. - Gdy usta Laurel się zacisnęły, Zelda szybko dodała: - Ja tylko żartuję.

Laurel nie uśmiechnęła się.

- Czy to twoja matka cię prosiła, byś do mnie przyszła? - spytała.

Zelda położyła rękę na pulchnym biodrze.

- Chyba żartujesz! Wiesz, że mama i ja nie żyjemy ze sobą w zgodzie, odkąd przyłapała mnie na tylnym siedzeniu samochodu szeryfa Tanninga. A na dodatek byłam wtedy podcięta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Laurel jak przez mgłę przypomniała sobie rodzinną awanturę po tym incydencie. Było to kilka lat temu, jakieś siedem czy osiem miesięcy przed śmiercią Howarda. Sensacja trwała ze dwa tygodnie.

- Myślałam, że to już przebrzmiała historia.

- Dla większości ludzi tak, ale nie dla mojej mamy.

Laurel skinęła głową.

- Przyszła tu do mnie. Chyba sądziła, że potrzebuję rady, ale sama potrafię o sobie zadbać.

- Laurel, jesteś tego pewna? - Zelda z powątpiewaniem pokręciła głową. - Nie zamierzam się wtrącać w cudze sprawy, ale nie masz wielkiego doświadczenia życiowego.

Laurel wiedziała, że sama Zelda uważa się za kobietę wyjątkowo wyrafinowaną, bo od czasu gdy skończyła szkołę, sypiała z kim popadło. Co więcej, jako nastolatka uciekła z domu do Nowego Jorku.

Spędziła tam kilka lat, zanim matka ją znalazła i sprowadziła z powrotem.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tą całą sprawą - rzekła cierpko.

- Nie rozumiesz? Gdy wychodziłaś za męża, byłaś właściwie jeszcze dzieckiem, a od śmierci Howarda mieszkasz tu zupełnie sama. Tak więc jakiś sprytny facet bez trudu mógłby cię w sobie rozkocharać, a potem cię wykorzystać.

- Zeldo, nie jestem idiotką!

- Nie mówię, że twój Alec tego chce. Jak mogłabym, skoro w ogóle go nie znam. Kłopot jednak w tym, że ty też go nie znasz.

Mówiąc to, Zelda popatrzyła ponad ramieniem Laurel. Ta, idąc za jej spojrzeniem, zobaczyła, że Alec skończył robotę po drugiej stronie ogrodu, albo też chciał być bliżej niej na wypadek, gdyby go potrzebowała, bo zabrał się do malowania w okolicach pergoli. Po jego minie można było poznać, że słyszał ich rozmowę.

- Wiem o nim to wszystko, co powinnam wiedzieć - oświadczyła Laurel.

Zelda wymownie wzruszyła pulchnymi ramionami.

- No więc nie powinnam już nic więcej mówić, prawda? Ale bądź ostrożna. - Spojrzała nieśmiało na Aleka.

- Och, i jeszcze, gdy następnym razem ty i twój chłopak urządzicie sobie orgię, zaprosicie mnie do towarzystwa!

- Dobrze - odparła Laurel z sarkazmem. Alec odezwał się jednocześnie z nią, gniewnym tonem, rzucając Zeldzie niechętnie spojrzenie.

- Nie zapomnij przynieść swoich winogron. Może nabiorą trochę słodczy.

Gdy znaczenie tych słów dotarło do Zeldy, jej oczy się rozszerzyły, a na uróżowane policzki wypłynął purpurowy rumieniec. Laurel roześmiała się, ale zaraz udała, że kaszle. Alec zaś wrócił do pracy.

Zelda głośno złapała oddech, a potem niepewnie zachichotała.

- No, no, ale ma tupet! Przypominaj mi, żebyś nie wchodziła twojemu Alekowi w drogę, dobrze?

Laurel zagryzła usta, żeby się nie roześmiać.

- Jeszcze nie widziałaś drugiej fontanny - powiedziała, kierując się w stronę garażu.

- Tylko na nią spojrzę - oznajmiła Zelda, rzucając ukradkowe spojrzenie na Aleka. - Muszę wracać do pracy. Za pół godziny umówiłam się na trwałą.

Obeszły dom, mijając fontannę Bachusa. Zelda udawała zainteresowanie, ale tak naprawdę widać było, że jak najprędzej chce stąd odjechać.

- Laurel, kochanie, wpadnij do mnie, zrobię porządek z twoimi włosami na koszt firmy. To znaczy, jeżeli zdołasz się oderwać od twojego... od Ivywild.

Laurel podziękowała szwagierce za tę propozycję, wypowiedziała zwyczajowe, banalne uprzejmości. Potem, gdy Zelda odjechała, poszła do Aleka.

Gdy zobaczył, że zbliża się do niego, odłożył pędzel, wyciągnął szmatę z kieszeni i zaczął czyścić rękę. Miał tak wściekłą minę, że Laurel zadrżała.

- Czy tak właśnie o mnie myślisz? - spytał ostro, gdy podeszła na tyle blisko, że mogła go słyszeć. - Ze

próbuję cię wykorzystać?

- To powiedziała Zelda, nie ja.

Wpakował szmatę z powrotem do kieszeni.

- Nie wykorzystam cię. Nie zrobiłbym tego. Nigdy.

- Wiem - powiedziała spokojnie. I rzeczywiście miała tę pewność, przynajmniej tak długo, jak długo mogła patrzeć mu w oczy i widzieć w nich szczerą, która lśniła jak złoto na dnie głębokiego strumienia.

W miarę jak się jej przyglądał, jego spojrzenie stawało się coraz czulsze. Wreszcie lekko się uśmiechnął.

- Oczywiście ty możesz mnie wykorzystać w każdy sposób, jaki ci tylko przyjdzie do głowy. Możesz mnie obierać ze skóry zawsze, gdy będziesz w nastroju na... winogrona.

Wybuchając śmiechem, wpadła w jego ramiona i przycisnęła czoło do jego rozgrzanej od słońca piersi.

- Och, Alec! - zawołała. - Widziałeś jej minę?

Oczywiście zauważył minę Zeldy i wcale mu się to nie podobało. Patrząc gdzieś w przestrzeń ponad głową Laurel, czuł, jak jego rozbawienie ustępuje, natomiast wzbiera w nim szalone pragnienie, by zawsze i wszędzie chronić tę kobietę przed wszelkim złem i niebezpieczeństwem. Co tu się w ogóle dzieje? Zelda powiedziała straszne rzeczy. Jeżeli choć w połowie były prawdą, on i Laurel naprawdę mieli poważne kłopoty.

Na dodatek szpiegowano ich, a przynajmniej on taki wniosek wysnuł. Ktoś ich widział we włoskim ogrodzie. Tylko w ten sposób mogły powstać plotki o orgii.

Już na samą myśl o tym chciał udusić tego kogoś gołymi rękami. Miał w Bogu nadzieję, że Laurel nie doszła do podobnych wniosków. Była za mądra, by tego nie pojąć. Oczywiście nie powie słowa na ten temat. Nie należała do kobiet, które mówią o wszystkim, co tylko przyjdzie im do głowy. Czasami chciałby, żeby była bardziej rozmowna. Czułby się lepiej, gdyby wiedział, co ona naprawdę myśli.

Musiała wyczuć jego nastrój, bo nagle przestała się śmiać, zeszywniała i spróbowała wyrwać się z jego ramion, ale jej nie puścił.

- Ktoś był tu w nocy, gdy my... gdy spałeś na werandzie - powiedziała ponuro. - Właśnie dlatego tak się wystraszyłam, kiedy wpadłam na ciebie. Potem pomyślałam, że to ty narobiłeś hałasu, ale przecież właśnie wtedy byłeś z drugiej strony.

- To prawda - odparł ponuro. - Poszedłem na tyły domu po sprawdzeniu frontowych drzwi, ty zaś przybiegłaś z za moich pleców, więc odwróciłem się, żeby cię złapać.

Skinęła głową z niepewną miną.

- Ktokolwiek to był, widział nas.

Alec wcale nie poczuł się lepiej, wiedząc, że Laurel ma rację.

- Przepraszam.

- Za co? To nie twoja wina, że kręci się tu jakiś podglądacz.

- Moją winą jest to, że nie byliśmy w łóżku jak przyzwoici, normalni ludzie. Tylko że ty... wyglądałaś tak nieprawdopodobnie pięknie w świetle księżycy, a ja ciebie pragnąłem i chciałem widzieć księżyc w twoich oczach, gdy będę się z tobą kochał. Nie chciałem żadnych wspomnień, porównań z tym, co robiłaś z mężem.

- Wiem - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Było cudownie. Dlatego właśnie wydaje mi się takie okropne, że ktoś usiłuje to obrzydzić.

- Nie mogą nam nic zrobić, jeżeli im na to nie pozwolimy. To my decydujemy, jak będziemy o tym myśleć.

- Tak - szepnęła, ale Alec wyczuł jej niepewność.

- W każdym razie - kontynuował - znajdowałaś się w swojej prywatnej posiadłości i zajmowałaś własnymi sprawami. Wstydzić się powinna ta osoba, która tu przyszła.

Laurel uśmiechnęła się do niego, dziękując, że chciał ją pocieszyć, ale nie wydawała się przekonana.

- Dlaczego? - spytała po chwili. - Dlaczego to robią? Nikogo z nich nigdy nie skrzywdziłam.

Objął ją mocniej.

- Szaleńcy nie kierują się logiką. Poza tym może wcale nie chodzi im o ciebie.

- Nie rozumiem.

- Z tobą było wszystko w porządku, póki ja się tu nie pojawiłem, prawda? - powiedział w napięciu.

Zastanawiała się tylko sekundę.

- Nie było.

- Nie o to mi chodzi i doskonale o tym wiesz - oznajmił. - I nie patrz tak na mnie, chyba że chcesz jeszcze bardziej podsycić plotki.

Uśmiechnęła się kusząco, ale jej uśmiech zaraz zgasł.

- Z przerażeniem myślę o tym, że te wszystkie wiadomości muszą dotrzeć do Marcii i Evana.

- Jeżeli mają choć szczyptę rozumu, nie mówiąc już o poczuciu lojalności wobec własnej matki, nie uwierzą w ani jedno słowo plotkarzy.

- Nawet jeżeli w tych plotkach jest część prawdy? - Laurel spojrzała gdzieś w bok. Czuł, jak ściska mu się serce.

- I tym się najbardziej przejmujesz, prawda? Tym, co twoje dzieci o tobie pomyślą.

- Jestem ich matką.

Wydawała się zażenowana i nieszczęśliwa.

- Jesteś tylko człowiekiem - powiedział z bólem, ale i uporem.

- Powinnam mieć więcej...

- Czego? - przerwał jej. - Godności? Szacunku dla siebie? Czy też tylko więcej rozsądku w postępowaniu ze mną?

- Och, Alec! - szepnęła z delikatną naganą. Wiedział, że powinien przestać mówić, ale nie mógł.

- Teraz tego żałujesz, co? Wolałabyś, żebym się tu nigdy nie pojawił albo bym teraz sobie poszedł, bo wtedy mogłabyś powrócić do swojej bezpiecznej kryjówki.

- Nic takiego nie myślałam, ale wydaje mi się, że warto byłoby zachować trochę więcej dyskrecji, przynajmniej dopóki plotki nie ucichną.

- Dyskrecji? - powtórzył. - Czyli mam zostawić cię w spokoju.

- Tego nie powiedziałam!

- Tylko dlatego, że nie możesz się na to zdobyć. Jesteś damą i za nic nie zranisz moich uczuć, rozkazując mi wprost, bym się wyniósł z twojego łóżka, więc próbujesz mnie doprowadzić do tego, żebym to zrobił z własnej woli. - Wiedział, że mówi za dużo, popychany świadomością, że traci wszystko, co osiągnął. Zresztą nic na to nie mógł poradzić. Czasami miewał takie autodestrukcyjne napady i nic prócz totalnego wybuchu nie mogło położyć im kresu. Lauren zbladła, na jej rzęsach drżały łzy.

- Nie chciałam cię zranić.

- Ale cholernie dobrze ci się to udało.

- Jednak skoro to ty poruszyłeś ten temat - kontynuowała, jakby Alec niczego nie powiedział - mógłbyś spać gdzie indziej.

- Dobrze.

- Nie miałam na myśli...

- Nie przejmuj się. Nie zamierzam ani rozpaczać, ani kryć się w jakimś kąciuku, gdzie mógłbym przeżuwać swój żal. Skoro o to prosisz, mogę się przyczaić na dzień czy dwa, ale z całą pewnością nie pozbedziesz się mnie na stałe. Nie obchodzi mnie, czy cały świat zagląda nam przez ramię i gada na nasz temat. Nie obchodzi mnie nawet, czy twoje dzieci przyglądają się nam z wytrzeszczonymi oczami. Złapałaś mnie, kobieto. I czy mnie chcesz, czy nie, jestem twój.

Było jeszcze coś, czego Laurel nie rozumiała, chociaż może w końcu zrozumie. Chodziło o to, że on też ją złapał. Należała do niego i za nic nie pozwoli jej odejść.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego dnia Laurel pracowała w szopie do późna. Maisie przysłała jej powiadzić, że już wychodzi do domu, i spytać, czy jutro ma zrobić zakupy. Jakiś czas po jej wyjściu Alec odjechał z rykiem motoru. Laurel usiadła i przez długą chwilę nasłuchiwała, wpatrując się w pustkę. Gdy dźwięk zamarł w oddali, zacisnęła mocno rękę na dłucie i zamknęła oczy, bo ogarnęło ją nagłe poczucie osamotnienia. Potem wzięła głęboki, gwałtowny oddech i jeszcze raz zabrała się do rzeźbienia.

Płaskorzeźba, nad którą pracowała, różniła się od poprzednich. Po pierwsze, przedstawiała kobiecą twarz. Po drugie, Laurel otoczyła ją motywami kwiatowymi zamiast winogron i liści. Jednak największa zmiana polegała na wyrazie tej twarzy: nie była spokojna.

Kobieta usiłowała wydostać się z gliny. Jej oczy patrzyły z rozpaczą, jakby się dusiła. Z ustami otwartymi do krzyku walczyła, by uwolnić się z pułapki. Walczyła, ale przegrywała.

Przy pierwszych pracach Laurel zastosowała pewne techniczne ułatwienia, ale teraz badała swoje możliwości w ukazywaniu rozmaitych stanów emocjonalnych. To, co osiągnęła, trochę ją zaniepokoiło. Rozumiała też, skąd płynie ten niepokój, bo potrafiła się zdobyć na wystarczającą niezależność sądu, by rozpoznać własne rysy w twarzy złapanej w pułapkę kobiety. A przecież nie wybrała świadomie siebie samej jako modelki, nie zamierzała przedstawiać nic tak osobistego. To przyszło samo, wynikło z zamętu, jaki w sobie czuła.

Jednak na tej twarzy malowała się zarazem bezbronność. Laurel nie była pewna, skąd to się wzięło, nie sądziła bowiem, by sama była taką właśnie osobą. Mimo to owa miękkość sprawiała, że oglądającemu rzeźbę w jakiś sposób trudniej było pogodzić się z faktem, że przedstawiona w płaskorzeźbie kobieta czuje się uwieczona. A na dodatek płyta wywoływała przez to jeszcze większy niepokój.

Laurel straciła poczucie czasu. Nie czuła głodu ani zmęczenia. Pracowała, rzeźbiła w glinie strach i miłość, łagodziła ostre kany, by twarz nabrała życia. Gdy zapadł zmrok, zapaliła świetlówki nad ławą. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej, podmuchy wiatru wpadające przez otwarte drzwi przynosiły zapach lonicery i róż, jednak Laurel nie odrywała wzroku od rzeźby. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy znów usłyszała silnik harleya.

Alec wrócił! Tego się nie spodziewała. W pierwszej chwili poczuła złość, że zlekceważył jej prośbę, choć pod tą złością kryło się słodkie oczekiwanie. Jednak dla jego przyjemności nie wybiegnie na spotkanie, nie przerwie pracy.

Znów pochyliła się nad gliną, ale już nie mogła się skupić. Nasłuchiwała kroków, czekała, aż Alec stanie w progu. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógłby do niej od razu nie przyjść. Prawie zawsze tak robił. Co mogło zatrzymać go tak długo?

Wreszcie usłyszała powłóczenie nogami i zobaczyła cień mężczyzny, rzucany przez księżyc.

To nie był Alec! Serce podeszło jej do gardła. Gwałtownym ruchem odwróciła się od ławy i z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sylwetkę osoby stojącej w drzwiach. W rękę zaciskała dłuto.

Mężczyzna wstąpił w niebieskobiały blask jarzeniówek. Na jego ustach pojawił się krzywy uśmiech, gdy skłonił głowę w powitaniu.

- Dobry wieczór.

- Gregory! - Zamknęła oczy i opadła na stół, bo poczuła miękkość w kolanach.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie, nie, nic się nie stało. - Udało jej się zdobyć na lekki uśmiech. - Jak się czujesz?

Skrzywił się.

- Jeszcze żyję, a to już coś. Jak rozumiem, spodziewałaś się Aleka?

- Niezupełnie, tylko wydawało mi się, że słyszę jego motocykl.

- Motocykl? No tak. Pożyczyłem go sobie. Alec wcześniej poszedł spać, bo był wykończony. W każdym razie nie wyglądało na to, że zaraz go będzie potrzebował, więc...

Nie wiedziała, o czym mogłaby rozmawiać z bratem Aleka. Prawie nie знаła Gregory'ego, a śmiertelna choroba spowijała go jak całun. Rozmowa z nim

była trochę jak stąpanie po polu minowym, gdzie każda nieostrożność może spowodować wybuch. Co więcej, wydawało się, że Gregory należy do tego rodzaju ludzi, którzy nie potrafią zdobyć się na uprzejmą wymianę zdań. Tak więc chyba najbezpieczniej będzie spytać o innych, zanim się dowie, po co tu przyszedł.

- Co słysząc u pani Callie?

- Wszystko w porządku. Oczywiście za ciężko pracuje, ale, moim zdaniem, ona to lubi.

Laurel podejrzewała, że zdaniem Gregory'ego wszyscy pracują za ciężko.

- Przynieść ci coś do picia? Zaparzę kawę. A może zjadłbyś biszkopt? Maisie go dziś upiekła. W jego oczach zabłysło zainteresowanie,

- Na pewno nie masz szkockiej z wodą sodową.

- Może być burbon z wodą - zaproponowała, chociaż wątpiła, by Gregory'emu dobrze to zrobiło. Nawet ją zdziwiło, że chce mieszać alkohol z lekami przeciwbólowymi.

- Świetnie - powiedział.

Przyglądała mu się przez chwilę, ale uznała, że jej gość najlepiej wie, czego potrzebuje. Zgasiła światła i poprowadziła go na werandę. W sumie cieszyła się z towarzystwa Gregory'ego. Wprawdzie dom wznosił się nad nimi taki ciemny i cichy, że wydawało się nieprawdopodobne, by w środku ktoś się czał, chociaż zostawiła tylne drzwi niezamknięte na klucz, a jednak wszystko było możliwe.

Gregory był tak samo zdenerwowany jak ona, albo przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

- To miejsce wygląda jak nawiedzane przez upiory. Nie wiem, jak możesz tu mieszkać. Ja za żadną cenę nie zostałbym tu sam.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - odparła, prowadząc go na werandę, a stamtąd, przez oszklone drzwi, na korytarz. Po drodze zapalała światła.

- Nigdy nie myślałaś, żeby się stąd wynieść i zamieszkać gdzie indziej?

- Na przykład: gdzie?

Byli już w kuchni. Wyjęła z szafki dwie szklanki i wrzuciła do nich lód, a potem pogrzebała w kredensie i znalazła butelkę bourbona. Już w chwili gdy Howard go kupował, był to dwunastoletni trunek, a teraz można by obchodzić jego osiemnaste urodziny.

- Gdziekolwiek - odparł. - Na Florydzie, w Kalifornii, w Arizonie. Sprzedaj tę rudę i wyjedź. Przecież nic cię tu nie trzyma.

- Tu mieszkają moje dzieci.

- Przecież są już dorosłe, prawda? I usamodzielnily się - zauważył, biorąc od niej szklankę.

- Tak, to prawda, ale co miałabym robić w Kalifornii albo na Florydzie?

- To samo, co robisz tutaj. Uśmiechnął się, widząc, że Laurel dla siebie nalewa wodę.

- Więc co to za różnica? - Usiadła przy stole naprzeciwko Gregory'ego.

Zdobył się na tyle przyzwoitości, by się roześmiać. Potem zapadło milczenie. Gregory wypił spory łyk i odstawił szklanke na stół. Był wyraźnie rozluźniony.

- Martwię się o mojego brata - powiedział po dłuższej chwili.

- Coś się stało?

- Tak. - Rzucił jej spojrzenie spode łba. - Chodzi o ciebie.

Odchyliła się na krześle, zaplotła ręce w pasie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Gregory wzruszył kościstymi ramionami.

- Więc to jest tak. Alec to dobry facet, ale czasami staje się dziwny, zaczyna się zachowywać tak szlachetnie, jakby był jakimś superbohaterem, bo wydaje mu się, że jest odpowiedzialny za losy całego świata.

- Nie powiedziałabym, że to takie dziwne.

- Nawet wtedy, gdy sam się tym krzywdzi?

- Na przykład przez to, że wiąże się z kobietą, która jest od niego starsza o kilka lat? - spytała spokojnie.

Lekko się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że nie będzie potrzeba wzniosłych słów, żebyś mnie zrozumiała.

- Tak, ale nie wiem, dlaczego, twoim zdaniem, dla niego jest to złe. - Laurel zacisnęła dłonie w pięści. Nie patrzyła Gregory'emu w oczy.

- Bo raz już przez to przeszedł i fatalnie się to dla niego skończyło. Próbowałem go ostrzec, ale moje słowa nie dotarły do niego. Obawiam się, że źle by się stało, gdyby znów jakaś kobieta zakochała się w nim, a potem się usunęła, gdy sprawy między nimi zaczęłyby się psuć. Tym razem chyba by oszalał. Jestem pewien, że tak by się stało.

- Usunęła się? Chcesz powiedzieć, że jego żona popełniła samobójstwo?

- Wszyscy tak uważają - parsknął.

- Mówiono mi, że aresztowano go za morderstwo.

- Doprawdy? To tylko świadczy, jak mało ludzie wiedzą na ten temat. Rzeczywiście na początku policja uważała, że Alec mógł jej w tym pomóc, ale prokurator nie znalazł dowodów zbrodni. Nigdy by nie doszło do procesu, gdyby jej dzieci tak się nie uparły.

- Rozumiem. Co za bezwzględność z ich strony - rzekła Laurel ze złością.

- No jasne. Zwłaszcza że Alec przez całe miesiące nie odstępował staruszki ani w dzień, ani w nocy.

Staruszki?

Czy tak właśnie postrzegał ją Gregory? Jako następną starą kobietę, którą Alec zajmuje się przez całą dobę?

- Nie chcę, żeby znów musiał przechodzić przez coś podobnego - mówił dalej Gregory. - Potem zastanawiałby się, co złego zrobił, rozpacział, że mógł temu zapobiec, a nie zapobiegł. Nie jestem pewien, czyby to wytrzymał. Ludziom wydaje się, że jest twardy, i taka jest prawda, gdy chodzi o stronę fizyczną, ale za bardzo bierze sobie wszystko do serca. Jeżeli coś ci się stanie, on się nie poziera.

Czy Gregory może mieć rację? Laurel chciałyby to wiedzieć.

- Nawet jeżeli właściwie go oceniasz - powiedziała ostrożnie - to nie rozumiem, czego w związku z tym spodziewasz się po mnie.

- Każ mu odejść. Zrób to szybko, póki jeszcze możesz. Odeślij go precz dla jego własnego dobra. To jedyny sposób, żeby poczuł się wolny, bo teraz uważa, że jest za ciebie odpowiedzialny, a on nigdy nie odwróci się od tego, co uważa za swój obowiązek.

- W przeciwieństwie do innych ludzi? - wykrzyknęła złośliwie, bo Gregory sprawił jej ból.

- Właśnie. - Parsknął krótkim śmiechem. - Wiem, że jest wart trzy razy tyle co ja, i zawsze tak było. Wiem również, że nadszedł czas, by przestał ratować wszystkich naokoło siebie i zajął się własnym życiem.

- Czy jesteś całkowicie pewny - zapytała cicho

- że to o niego się martwisz? Nie przemawia przypadkiem przez ciebie lęk, że będzie się zajmował kimś innym, zamiast troszczyć się o ciebie?

Gregory oparł się wygodniej, ręce położył na kolanach.

- Wydajesz się taka delikatna - powiedział, patrząc jej prosto w oczy - ale umiesz prowadzić nieuczciwą walkę.

- Tylko wtedy, gdy ktoś mnie do tego zmusi - stwierdziła ponuro.

- Tak, no cóż, ja też to potrafię. Myśl sobie, co chcesz. Mało mnie to obchodzi. Alec jest moim bratem i tym razem naprawdę martwię się tylko o niego. Życie nigdy nie traktowało go uczciwie, więc już niczego

dobrego się nie spodziewa, po prostu bierze to, co może dostać. Ale zasługuje na coś więcej. Nie chcę, by zbyt mocno związał się z tobą, jeżeli w końcu i tak będzie musiał przegrać.

Gdy zamilkł, Laurel przyglądała mu się przez długą chwilę. Wreszcie westchnęła.

- No dobrze, przepraszam cię. Wierzę, że troszczysz się o Aleka, ale mnie też na nim zależy. Na pewno nie chciałabym zranić go w jakikolwiek sposób. Przedyskutowaliśmy z nim sytuację i doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli nie... to znaczy, jeżeli na jakiś czas pozostaniemy wyłącznie przy typowych stosunkach łączących pracodawcę z pracownikiem. A jeżeli chcesz, bym go zwolniła, to mówię ci, że to nic nie da. Już próbowałam. Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

- Zwolniłaś go?

Skinęła głową.

- Tak, lecz on i tak nadal tu przychodzi.

- A ty myślisz, że teraz będzie się trzymał z daleka tylko dlatego, że mu tak powiesz? - spytał Gregory ze śmiechem.

- Teraz go tu nie ma - oznajmiła znacząco.

- Był zmęczony i tyle. Poza tym nie jest głupi. Da ci czas, żebyś ochłonęła i zaczęła za nim tęsknić.

Czy Alec naprawdę jest aż tak wyrachowany? Ta myśl nie podobała się Laurel. Jednak, z drugiej strony, czy mogła wierzyć Gregory'emu? Niewiele o nim wiedziała. Zresztą to samo odnosiło się do Aleka, z którym przecież spędzała mnóstwo czasu.

- Wobec tego nie wiem, czego się po mnie spodziewasz - powiedziała.

- Nie dawaj mu żadnej nadziei, bo jeżeli w końcu i tak go odepchniesz, on tego nie przeżyje. Broń go przed nim samym. Każ mu odejść.

- A jeżeli mnie nie posłucha?

- Jesteś mądrą kobietą, znajdziesz jakiś sposób. Może i tak, ale czy ona tego chce? Na to pytanie nie potrafiła sobie odpowiedzieć. W każdym razie nie musiała szukać odpowiedzi już w tej chwili.

- Pomyślę o tym.

- To uczciwe postawienie sprawy.

Gregory dopił resztkę burbona i wstał. Laurel nie zamierzała prosić go, by został. Odprowadziła go do drzwi. Na schodach werandy na chwilę się zatrzymał i odwrócił.

- Nie mów Alekowi, że tu przyszedłem, dobrze?

- A czy jest jakiś powód, żebym tego nie robiła? - spytała, bardziej by go zdenerwować niż dlatego, że jednak zamierzała powiadomić o tym Aleka.

- Będzie zły, jeżeli się dowie, że rozmawiam o nim za jego plecami. To zabawne: sam uważa, że wolno mu się wtrącać we wszystko, w co chce, ale wścieka się, kiedy ktoś miesza się do jego spraw.

- Chyba większość ludzi jest taka - odparła. Gregory zawahał się, jakby chciał zmusić Laurel do bardziej konkretnej odpowiedzi, ale zrezygnował. Rzucił krótkie „dobranoc” i poszedł do motocykla, który zostawił na podjeździe. Chwilę później odjechał z rykiem silnika i tak szybko, że spod tylnej opony przysnął żwir.

Laurel patrzyła za nim przez jakiś czas, dopóki tylne czerwone światło nie rozpląnęło się w ciemnościach. Wtedy odwróciła się i weszła do domu.

Od wyjścia Gregory'ego minęło wiele godzin i Laurel już mocno spała, gdy nagle coś ją wyrwało ze snu. Podniosła głowę, oddech zamarł jej w piersi, serce waliło jak szalone. Przez chwilę jego głośnie bicie zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Potem znów to usłyszała: powtórzył się ten sam hałas, który ją obudził.

Brzmiał jak rozbijane szkło. Potem rozległ się łoskot, jakby coś spadło i rozbiło się na drobne kawałki. Wyrwana z głębokiego, niemal narkotycznego snu, Laurel nie mogła zmusić umysłu do pracy. Przez długą chwilę nie zdawała sobie sprawy, co właśnie usłyszała.

Potem zrozumiała. Jej ogrodowe rzeźby. Ktoś je rozbijał!

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Drżąc tak bardzo, jakby owiał ją mroźny wiatr, pobiegła do okna, rozsunała na kilka centymetrów zasłonę i wyjrzała.

Niczego nie zauważyła.

Księżyc zaszedł, w tylnym ogrodzie panowały ciemności i cisza. Nie dostrzegła nawet najmniejszego ruchu.

Hałas ustał tak samo nagle, jak się rozpoczął. Może intruz usłyszał jej kroki albo zobaczył ją w oknie? Ale co on robi teraz?

Laurel wybiegła z pokoju i popędziła korytarzem do frontowych oszklonych drzwi. Przed domem było troszkę jaśniej niż na jego tyłach, ponieważ drzewa rosły w pewnym oddaleniu. Mimo to nie zauważyła żadnego śladu intruza.

Przez francuskie drzwi pokoju stołowego też nic nie spostrzegła. Położyła rękę na klamce, ale zaraz się

rozmyśliła.

Teraz nic nie może zrobić, by ocalić swoje rzeźby. Tego była absolutnie pewna. Lepiej nie wychodzić w ciemność, lecz zostać w domu, gdzie była bardziej bezpieczna. Jednak na samą myśl, że ktoś wśliznął się do ogrodu i niszczy jej własność, ogarnęła ją dzika wściekłość. Cała praca, największa duma Laurel, w kilka sekund została zniszczona. Nie mogła znieść myśli, że stoi tu beczynn timer, chociaż całą duszą rwała się, by wybiec na dwór, schwytać tych ludzi i spytać, kto im dał prawo ją prześladować. I jeszcze pragnęła zadać im taki ból, by popamiętali ją do sądneho dnia.

Jednak zdrowy rozsądek powstrzymał ją. Ktokolwiek tam był, na pewno miał jakąś broń. Być może ci sami ludzie zabili Sticksa. Zamiłowanie do szpiegowania, wandalizmu i pisania anonimowych listów, które już okazali, kazało wątpić, czy są przy zdrowych zmysłach. Może tylko czekali, aż otworzy drzwi.

Nie będzie czekała beczynn timer. Nie zniesie dłużej tego, że jest obiektem plotek, a jacyś ludzie nachodzą ją i próbują sterroryzować.

Wezwie szeryfa Tanninga i złoży skargę. Od tego zacznie. Potem może zwalczać ogień ogniem. Poprosi Maisie, by zadzwoniła do ludzi, porozmawiała o tym, co się tu dzieje, i popytała, kto może za tym stać. Albo zrobi coś jeszcze lepszego. Wsiądzie do samochodu, pojedzie do miasta i wstąpi do salonu piękności Zeldy...

Wsiądzie do samochodu? Opuści Ivywild i pojedzie do miasta? Ot tak, po prostu. Skąd taki pomysł?

Czy zdobędzie się na to, skoro jeszcze kilka dni temu wydawało jej się to absolutnie nieosiągalne? Czy powody, jakie ją do tego zmuszały, są dość silne, by wytrzymała taką torturę? Czy podoła temu, skoro już teraz, na samą myśl o owej eskapadzie, serce wali jak oszalałe i w głowie jej się kręci?

Jednak czy ma inny wybór? Nie może przecież biernie zdać się na to, co jej prześladowca jeszcze dla niej szykuje. Nie może wiecznie chować się przed kimś, kto skrada się do niej i jest coraz bliżej.

Nie, koniec z tym!

Mogłaby oczywiście zadzwonić po Aleka. Zjawiłby się tu natychmiast i zajął wszystkim, a ona mogłaby usiąść z boku i tylko się przyglądać.

Nie robi tego. Nie chce go mieszać w swoje sprawy jeszcze bardziej, niż już jest w to wszystko zamieszany, ani czuć, że zawdzięcza mu jeszcze więcej. Nadszedł czas, by sama toczyła swoje bitwy.

Gdy tak stała przy francuskim oknie, w jakimś momencie usłyszała, że ktoś zapala silnik, a potem samochód odjechał w noc. Jej prześladowca odszedł. Znowu tylko błyskawicznie uderzył i zniknął.

Była prawie pewna, że nic jej już nie grozi, ale mimo to wołała nie ryzykować wyjścia do ogrodu. Jednak ciągnęło ją tam. Musiała sprawdzić, jakie szkody wyrządzono. Niemal godzinę jeszcze stała przy oknie i nasłuchiwała, zanim wreszcie zdecydowała się opuścić dom.

Zniszczono wszystko. Usta Prawdy roztrzaskano. Ich kawałki rozleciały się na wszystkie strony, jakby ktoś walił w nie kowalskim młotem. Fontanna Bachusa stanowiła już tylko ruinę. Oczka wodne zostały zdeptane, doniczki z kwiatami, które stały na pokrywie cysterny, wrzucono do stawu z liliami. Zniszczeń dokonano w sposób tak złośliwy i podły, jakby sprawca odczuwał przy tym autentyczną przyjemność.

Powinna wezwać policję, lecz po chwili namysłu stwierdziła, że zniszczenia nie były zbyt wielkie, jeśli wziąć pod uwagę ich wartość materialną, a myśl o wyjaśnieniach, które musiałaby złożyć Danowi Tanningowi i jego zastępcom, po prostu sparaliżowała ją. Byłoby to niezwykle krępujące.

Musi jednak coś z tym zrobić. W jakiś sposób powinna się dowiedzieć, kto stoi za tą kampanią terroru, no i powstrzymać swojego prześladowcę.

Załóżmy, tylko założmy, że to Alec. Tej nocy, gdy się kochali, przekonywał ją, że to nie on ją prześladowa, ale przecież mógł kłamać. A jeżeli zastosował podstęp, specjalnie ją przestraszył, żeby jeszcze bardziej się od niego uzależniła? Alec jest przecież jedyną osobą, która dokładnie wiedziała, gdzie rzeźby się znajdowały i ile dla niej znaczą. A kiedy dziś stąd wychodził, był wystarczająco wściekły, by roztrzaskać rzeczy o wiele większe i bardziej wartościowe. Nie chciała myśleć, że mógłby się zdobyć na tak podłą zemstę. Ale z drugiej strony skąd mogła wiedzieć, do czego naprawdę jest zdolny?

Mógł to również być Gregory. On też miał do niej pretensje. Albo teściowa. A skoro już mowa o rodzinie, Zeldy wcale nie była zachwycona, gdy Laurel ostatnio z nią rozmawiała. Czy wszyscy w Hillsboro mają jej coś za złe?

Oczywiście ten wandal wcale nie musiał mieć czegoś przeciwko niej osobiście. Mógł to być przypadek zimnej, wykalkulowanej złośliwości, a to byłoby nieskończenie gorsze. A może powinna przestać się nad tym zastanawiać, bo w końcu oszaleje.

Nie może przestać!

Wróciła do łóżka. Leżąc z otwartymi oczami, wpatrywała się w ciemność i pustkę pokoju, a w głowie wirowały jej niespokojne myśli. Bez końca zastanawiała się nad poszczególnymi osobami, które mogły czuć do niej niechęć. Ciągle od nowa rozmyślała o Aleku, o tym, jak wyglądał dziś po południu, i o rzeczach, o których mówił.

Nawet gdy wreszcie zasnęła, ciągle słyszała szcęk rozbijanej ceramiki. Ktoś, kogo nie widziała, zmusił ją, by szła krwawiącymi stopami, powoli, krok za krokiem, po roztrzaskanych rzeźbach. A na końcu tej drogi był jej samochód. Stał z otwartymi drzwiczkami i czekał na nią. Tylko że gdy już do niego wsiadła, nie była zdolna go uruchomić, ale wiedziała, że zabierze ją tam, dokąd nie chciała jechać. Wiedziała też, że nigdy już nie zdoła znaleźć powrotnej drogi do Ivywild.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ręce zaczęły Laurel drżeć już w chwili, gdy zabierała się do zrobienia makijażu. Starła się nie myśleć o tym, co sobie zaplanowała na dzisiejszy ranek, ale to w niczym jej nie pomagało. Gdy szła do garażu, było już o wiele gorzej: nogi się pod nią uginały, miała zawroty głowy. Zdołała jeszcze otworzyć drzwiczki i wśliznąć się na fotel kierowcy, ale nie zdobyła się na przekręcenie kluczyka w stacyjce.

Agorafobia. Taka jest fachowa nazwa jej problemu. Jeszcze niedawno zaprzeczyłaby, że na to cierpi. Przysięgłaby także, że nie wyjeżdżała z domu tylko dlatego, bo nie miała potrzeby. Jednak Alec udowodnił jej, że jest inaczej. Teraz musiała przyznać, że boi się opuszczać Ivywild.

Jednak dziś przezwycięży ten strach. Była tego pewna, bo, jak podejrzewała, jej przypadek był dość łagodny. Dała sobie mnóstwo czasu. Od salonu Zeldy dzielił ją zaledwie kwadrans jazdy, a miała jeszcze całą godzinę. Musi tylko przekręcić kluczyk i wyprowadzić tyłem samochód z garażu. Zrobiła to, gdy

Alec siedział obok niej. Na pewno potrafi dokonać tego jeszcze raz.

Potrzebowała dobrych czterdziestu minut i dwóch wędrówek do domu - raz, by sprawdzić, czy wyłączyła kuchenkę, a drugi, by upewnić się, że wyjęła z kontaktu wtyczkę żelazka. Wiedziała, że to wymówki, ale nie mogła się opanować. Za jednym i za drugim razem złość na siebie zmuszała ją do wyjścia z domu i do tego, by na powrót wsiąść do samochodu. Poza tym stale rozpierał ją gniew na prześladowającego ją dręczyciela i strach o to, co jeszcze może się zdarzyć, jeżeli nie zrobi nic, by go powstrzymać.

W końcu udało jej się zapalić silnik i wyprowadzić samochód z garażu. Stała na końcu podjazdu, przodem do drogi. Ręce i kolana nadal jej drżały, ale zdążyła się już do tego przyzwyczaić i mogła to zignorować. Natomiast ogarnęło ją przerażenie, że przez ten długi czas zapomniawszy wszystkie zasady ruchu drogowego, ale i tę obawę zduśiła w sobie. Wytarła wilgotne ręce o spódniczkę, zacisnęła je z całej siły na kierownicy, zdjęła nogę z pedału hamulca i nacisnęła pedał gazu.

Na razie wszystko było w porządku. Znalazła się na drodze. W miarę jak mijały minuty i kilometry, jej ręce stawały się coraz pewniejsze. Strach ustąpił miejsca zadowoleniu, a potem nawet lekkiej euforii.

Zrobiła to! Jedzie, utrzymuje samochód w ruchu, z powrotem przyzwyczajając się do panowania nad autem. Dzięki Bogu miała trochę czasu, zanim znajdzie się na głównej szosie. Dziękowała też Bogu za to, że już wcześniej przypomniała sobie tę drogę, gdy jechali tędy z Alekiem.

Alec pomógł jej bardziej, niż do tej pory zdawała

sobie z tego sprawę. Czy wiedział, co jej dolega? Rozpoznał jej problem? Chyba tak. Na jego korzyść świadczyło też to, że wiedząc o jej dolegliwości, nie uczynił niczego, by poczuła się gorsza i nieudolna, a wręcz przeciwnie, stale odbudowywał jej wiarę w siebie.

Był niezwykłym człowiekiem. Dopiero teraz zaczynała to rozumieć.

Gdy wreszcie zaparkowała samochód przed salonem piękności, położyła głowę na kierownicy i zamknęła oczy. Była wykończona jak po maratonie. Jednak ciężka próba nie dobiegła jeszcze końca. Nie tylko musi wrócić tą samą drogą do domu, ale również spędzić następną godzinę z Zeldą.

Szwagierka właśnie zakręcała na walki cieniutkie, siwe włosy jakiejś staruszki.

- Laurel, skarbie, chodź tu bliżej! - zawołała ochryplym głosem. - Zrzuć na podłogę magazyny z tamtego krzesła i siadaj. Będzie jak za starych, dobrych czasów, gdy przychodziłaś zrobić sobie trwałą.

Salon piękności Zeldy nie był specjalnie wykwintny. Urządziła go w niewielkim domku na kółkach, a winylowa podłoga i sprzęty do mycia głowy i czesania pamiętały lepsze czasy. W szafkach koloru burgunda tłoczyły się butelki i aerozole, a koło drzwi jak na straży stała miotła nad stertą obciętych włosów najrozmaitszych odcieni. Dzięki najnowszym produktom kosmetycznym i plakatом rozwieszonym na ścianach zakład sprawiał jednak korzystne wrażenie, natomiast szczupłość pomieszczenia powodowała, że kobiety z Hillsboro czuły się tu jak w domu.

Laurel porozmawiała z kobietą w fotelu, w której rozpoznała emerytowaną nauczycielkę. Uwzględniając fakt, że kiedyś uczyła matkę Laurel, panna Dacey musiała mieć już jakieś osiemdziesiąt pięć czy dziewięćdziesiąt lat.

- Tak dawno cię nie widziałam, moja droga - powiedziała.

Laurel uprzątnęła krzesło wskazane przez Zeldę i opadając na nie, wymruczała coś o tym, że powinna częściej wychodzić z domu.

- Najwyższy czas - oznajmiła Zelda. - Właśnie mówiłam panie Dacey, że to dla ciebie niezdrowo tak się zamykać w Ivywild. Zresztą trochę jest w tym i mojej winy. Powinnam była częściej do ciebie przyjeżdżać, namówić cię na zakupy albo na wyjście do kina. Ale nie martw się, od dziś wszystko będzie inaczej.

- Miło mi, że się o mnie troszczysz, ale na pewno masz mnóstwo innych spraw na głowie - powiedziała Laurel uprzejmie. Nie chciała dawać do zrozumienia, że chętnie wyszłaby gdzieś z Zeldą.

- No tak, to prawda - przyznała Zelda szczerze, sięgając po następny wałek. - Rodzina i cała reszta... No i oczywiście ja, w przeciwieństwie do ciebie, muszę pracować. Ty nigdy nie byłaś do tego zmuszona.

- Ivywild i moje garncarstwo dostarczają mi dość zajęcia - odparła Laurel z uśmiechem, mimo uwłaczającej uwagi szwagierki. Potem, wreszcie realizując swój plan, dodała: - A w tym tygodniu będę jeszcze bardziej zajęta. Czy uwierzysz, że zeszłej nocy ktoś się wkradł do ogrodu i roztrzaskał wszystkie płaskorzeźby, łącznie z Zielonym Człowiekiem, nad którymi tyle się napracowałam?

- Coś podobnego! - wykrzyknęła Zelda, zastygając z na wpół nawiniętym wałkiem. - Co za bezczelność!

- Próbowali też połamać betonowe kolumny, które zrobiliśmy z Alekiem, ale okazały się dla nich za twarde. Cieszyłabym się, gdyby sobie przy tym wywichnęli barki.

- Och! - mruknęła Zelda, unosząc brwi w niepewnym uśmiechu. - Widzę, że jesteś spragniona krwi.

- Miałam ochotę chwycić pistolet i podziurawić wandalę na wylot. I na pewno to zrobię, jeżeli znów w środku nocy wkradnie się do mojego ogrodu ktoś, kto nie ma tam nic do roboty.

- Czy to dotyczy również... No, sama wiesz, kogo?

- Jeśli masz na myśli Aleka Stantona, to owszem, również jego - odparła twardo Laurel.

- Och, och! - zaśmiała się Zelda, nawijając ostatnie pasmo włosów klientki. Potem sięgnęła po butelkę płynu do trwałości. - Wygląda na to, że jeśli chodzi o ciebie, musiał zgubić swoją króliczą łapkę.

- Można tak powiedzieć - mruknęła Laurel, nie patrząc na szwagierkę. Po pierwsze, była to prawda, a po drugie warto, żeby wiadomość rozeszła się po okolicy.

W wilgotnym, gorącym powietrzu unosił się ostry zapach preparatu. Zapadła chwila ciszy, gdy Zelda starannie moczyła każdy wałek na głowie klientki.

Panna Dacey, która siedziała w fotelu z pochyloną głową, rzuciła Laurel spojrzenie spod oka.

- Chyba nie mówicie o wnuku Callie Stanton? - spytała.

Zelda tylko wzniosła oczy ku niebu, ale Laurel zdobyła się na uśmiech.

- Zna go pani?

- Znam Callie od zawsze, ale nie mogę powiedzieć, że poznałam dobrze młodego Aleka. Jednak widywałam go od czasu do czasu i wydaje mi się, że to miły młody człowiek.

- Och, panno Dacey, chyba nie powie mi pani, że podobają się pani ci wszyscy długowłosi faceci?

- zażartowała Zelda.

- A dlaczego nie? - zachnęła się starszka. - Wcale mi to nie przeszkadza, jeżeli tylko utrzymują włosy w czystości. Wiadomo, że młodzi ludzie zawsze chcą się czymś odróżnić. Pamiętam czasy, kiedy kobiety zaczęły się strzyć na krótko. Słyszac, co ludzie o nich mówili, pomyślałybyście, że wszystkie one to jakieś Jezabel\*. Oczywiście wcale takie nie były. Tak samo jak ten miodny człowiek nie jest żadnym poganinem, wbrew temu, co się o nim mówi. Poza tym połowa mężczyzn, których pokazują w telewizji, wygląda tak samo.

- To prawda, panno Dacey - przyznała Laurel z uśmiechem. - Jest pani osobą bliską mojemu sercu.

Starszka aż się zarumieniła z radości.

- Też mi coś! Po prostu mam jeszcze nieco zdrowego rozsądku.

- Jednak mnóstwo ludzi nie może się nim wykazać - stwierdziła Zelda. Skończyła rozprowadzanie płynu do trwałości, pomogła panie Dacey wstać z fotela i odprowadziła ją do suszarki. - Nie dalej jak wczoraj usłyszałam apel, że powinno się go przepędzić z miasta.

- To podle i okrutne - orzekła starsza pani. Szła do suszarki, powłócząc nogami. - Gdy byłam dzieckiem, zdarzyło się, że wpakowali jakiegoś obcego do beczki z gorącą smołą, potem wytarzali go w pierzu i wywieźli z miasta na drabiniastym wozie. Później mówiono, że ten człowiek o mało co nie umarł.

- Ale to było całe lata temu - zauważyła Laurel.

- Teraz na pewno do niczego takiego by nie doszło.

- Trudno powiedzieć, co ludzie zrobią, go ich coś naprawdę wzburzy - stwierdziła Zelda, sadzając pannę Dacey pod suszarką i włączając hałaśliwy aparat.

Laurel spojrzała na szwagierkę ze smutkiem i pytaniem w oczach.

- Skąd się bierze ta cała nienawiść i jad? Nie rozumiem tego.

- Nie wiem, od czego to wszystko się zaczęło - powiedziała Zelda, wzruszając tłustymi ramionami - ale

---

\* Jezabel - w przenośni: kobieta rozwiązła, okrutna i niegodziwa, od imienia izraelskiej królowej z IX w. p.n.e. (przyp. red.).

wydaje mi się, że skoro twój Alec przestał się koło ciebie kręcić, to oznacza, że będziesz musiała zaprzestać również dalszych prac w Ivywild.

- Och, on nadal u mnie pracuje - powiedziała Laurel, myśląc o czymś innym.

- Przecież mówiłaś, że odszedł.

- Miałam na myśli tylko to, że między nami nic nie ma. - Uśmiechnęła się blado. - Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby uważać, że coś nas łączy, skoro jestem od niego o tyle starsza.

- Sama się nad tym zastanawiałam - oznajmiła Zelda szczerze, a potem roześmiała się, widząc minę Laurel.

- Żartowałam, tylko żartowałam. No, siadaj w fotelu i powiedz, jak mam cię uczesać.

Laurel zastosowała się do polecenia szwagierki, chociaż nie zależało jej na nowej fryzurze. Zelda umyła jej włosy, wyrównała końce, wysuszyła, ale zamiast zaczesać je zwyczajnie, w taki sposób, w jaki Laurel najbardziej lubiła, sięgnęła po piankę i lokówkę. Wychodząc, Laurel miała na głowie „tapira”, czyli specjalność zakładu Zeldy, i wyglądała jak przekwitająca tania cali girl. Myśląc tylko o tym, że musi natychmiast naprawić tę szkodę, umyć włosy i ułożyć je po swojemu, nawet się nie spostrzegła, że prowadzi samochód, dopóki nie przebyła co najmniej połowy drogi do domu.

Alec stał w szopie i przyglądał się najnowszej płycie, jaką wyrzeźbiła Laurel. Gardło mu się zaciskało, gdy dotykał pełnej napięcia kobiecej twarzy, schwytej w pułapkę, niemal zakrytej duszącymi ją kwiatami. Najchętniej roztrzaskałby tę rzeźbę na kawałki, gdyby w ten sposób mógł uwolnić uwięzioną w kwiatach twarz.

To była oczywiście Laurel. Nie wiedział, że aż tak silnie odczuwa swoje uwięzienie. Wydawało mu się raczej, że je nawet lubi, jednak okazało się, że nie miał racji. Walczyła, jak umiała, ale broń, którą dysponowała, nie była zbyt skuteczna.

Pomógłby jej, gdyby się tylko na to zgodziła.

A właściwie dlaczego nie miałyby mu na to pozwolić? Czy dlatego, że nie do końca mu ufała? Albo dlatego, że on sam, w sposób, którego do końca nie rozumiał, stanowił część tego, co trzymało ją w więzieniu?

Gdy przyszedł rano do pracy, jej już nie było. Zostawiła wiadomość dla Maisie, ale nie dla niego. Natychmiast zaczął się zamartwiać, że miała wypadek albo może siedzi gdzieś sztywna ze strachu i nie potrafi wrócić do domu. Tak było, póki nie zobaczył szczątków rzeźb zaścielających ziemię.

Była w domu sama, gdy to się stało. Musiała być przerażona, ale nie zadzwoniła do niego, a teraz, rano, nie zaczęła, by mu o tym opowiedzieć. Pojechała do salonu piękności tak, jakby to, by się nie spóźnić na umówioną godzinę, było ważniejsze od rozmowy z nim.

Chciałby, żeby tu była, pragnął, aby wybiegła z domu i nakrzyczała na niego, że ją zostawił i dlatego ktoś mógł zniszczyć jej rzeźby, z których była taka dumna. Może miałby poczucie winy, może nawet ogarnąłby go tak wielki gniew, że zdołałby zapomnieć, iż zostawił ją samą.

Lecz ona go odesłała. I dlatego tak się stało.

No cóż, może to sobie powtarzać nawet milion razy, ale nie poczuje się przez to lepiej. Powinien był posłuchać swojego instynktu i nie opuszczać Laurel. Tymczasem pozwolił, by poniosła go duma i po prostu sobie odszedł. No i proszę, co się stało.

Ten wypadek uświadomił mu, jak bardzo Laurel go potrzebuje, a zarazem jak bardzo nie chce się do tego przyznać.

Alec wszedł do szopy, żeby sprawdzić, nad czym Laurel ostatnio pracowała. Miał nadzieję, że zrobiła coś, co mógłby powiesić w miejsce zdewastowanych rzeźb. Niestety, nowa płaskorzeźba absolutnie się do tego nie nadawała, bowiem była czymś zbyt osobistym i bolesnym. Nie można jej było ot tak po prostu powiesić w miejsce innej, która została zniszczona.

Odłożył płaskorzeźbę, stanął z rękami zatkniętymi za paskiem i rozejrzał się za czymś innym. Jego wzrok padł na pudło stojące na najwyższej półce. Zostało wepchnięte pod samą ścianę i prawie nie było go widać, tak jakby Laurel chciała je ukryć.

Aż się wstrząsnął, gdy je otworzył i zobaczył swoją własną twarz, patrzącą mu prosto w oczy. Nic dziwnego, że to schowała. Boże, jaka ona jest utalentowana! Nawet aż za bardzo, stwierdził z pewnym strachem. Z twarzy na płycie wycierała cała prymitywna zmysłowość, którą tak bardzo starał się ukryć, ordynarna chuć, z jaką pożądał jej ciała, a także głupia męska pewność, że Laurel jest raczej nagrodą, którą może wygrać, niż darem, jaki los mógłby mu ofiarować z własnej woli.

- Co ty tu robisz?

Określił się na pięcie, by stanąć z Laurel oko w oko. Zaskoczyła go, ale jeszcze bardziej zdumiewające było to, że zafascynowany rzeźbą, nie usłyszał warkotu samochodu.

- Oglądam - odparł spokojnie.

- A niby co tak sobie oglądasz? - Przeszła kilka kroków, mijając próg, gdzie stanowiła tylko ciemną sylwetkę na tle słonecznego blasku.

Alec zamrugał powiekami, gdy zobaczył ją wyraźnie.

- Jezus Maria! Coś ty zrobiła z włosami?! - krzyknął.

Przesunęła palcami po skręconych jak spiralki loczkach i głębokich falach, przyglądała je i całe to swoje nieszczęście przerzuciła przez ramię.

- Nieważne. Chcę wiedzieć, dlaczego tu jesteś.

Przez chwilę Alec milczał. Rozpraszało go to, że Laurel wydaje się w tej chwili zarówno aniołem, jak i swawolną grzesznicą. Ogarnęło go także typowo męskie pragnienie, by wróciła do wyglądu, do jakiego był przyzwyczajony. Zżerała go również nagła potrzeba zabrania jej do łóżka i zapoznania się z tą zupełnie inną kobietą.

- Przeszedłem poszukać jakiejś rzeźby do powieszenia w ogrodzie, ale ta nie wydaje mi się odpowiednia - wyjaśnił w końcu.

- Rzeczywiście nie. A teraz, jeżeli...

- Jeżeli chciałaś ją powiesić razem z tą, która przedstawia mnie, nie mam nic przeciwko temu. Nawet czułbym się zaszczycony.

- Nie miałam takiego zamiaru - odparła tonem pozbawionym wyrazu.

- A co zamierzałaś? - Kiedy jej rysy się zaostrzyły, dodał szybko: - Nie udaję głupca, a przynajmniej mam taką nadzieję. Naprawdę chciałbym wiedzieć.

- Nic. Po prostu bawiłam się gliną. To mniej więcej to samo, co gryzmolenie na kartce papieru... Tak myślę.

- Bardzo chciałbym zobaczyć, co wychodzi, gdy pracujesz na serio.

Jej wzrok powędrował do płyty z kobiecą twarzą, którą Alec odłożył na ławę.

- Wątpię. Wynik mógłby przypominać jakąś maskarę, coś, co wystraszyłoby nawet demony. Albo ludzi.

Alec potrząsnął głową.

- Nie pomniejszaj swojej wartości. Masz prawdziwy talent.

- Mam pewne umiejętności - poprawiła go - ale to mi w zupełności wystarcza, dopóki zabawa w glinie sprawia mi przyjemność. A teraz, jeżeli nie masz nic do roboty, na pewno uda mi się coś ci znaleźć.

- Wyobraź sobie, że mam kilka pomysłów - powiedział i z szerokim uśmiechem ruszył do niej. - Chętnie wysłucham również twoich propozycji.

- Stój!

Wyciągnęła obie ręce, jakby chciała zatrzymać go z daleka od siebie. Jednak on nadal szedł, aż jej palce oparły się o jego pierś.

- Mam stanąć? Gdzie? - W jego słowach brzmiała ironia. - Nie wydaje ci się, że jest już trochę za późno na wytyczanie w tej szopie linii demarkacyjnej, skoro w innych miejscach byliśmy o wiele bliżej siebie?

- Myślałam, że zgodziliśmy się co do tego, że będziemy...

- Dyskretni w sytuacjach, gdy ktoś może nas zobaczyć, ale nie wtedy, gdy jesteśmy sami. - Spojrzał na nią w zamyśleniu. - A przynajmniej ja sobie nie przypominam tej części umowy.

- Wiesz bardzo dobrze, że właśnie to miałam na myśli.

Jej ręce, oparte na jego piersi, drżały. Czuł całym sobą jej cierpienie. To go poruszyło na wiele sposobów, a nie wszystkie były godne pochwały.

- Wiem, co zrobić, żeby wszystko było dobrze - oznajmił z krzywym uśmieszkiem.

- Nie wątpię - parsknęła. Uśmiechnął się szerzej.

- Och, Laurel, wpędzisz mnie do grobu. Jak ci się wydaje, co chciałem powiedzieć?

- Nie mam pojęcia - odparła, a jej rzęsy zaczęły drżeć. - Ale na pewno jest to coś...

- Seksownego - podpowiedział, gdy zamilkła.

- Raczej lubieżnego - skorygowała, unosząc buńczucznie brodę.

Chwycił jej oparte na swojej piersi palce i ucałował ich koniuszki. Nie puszczać ich, powiedział:

- No, niezupełnie, ale moim zdaniem wszystko zależy od powodu, dla którego wyjdiesz za mąż.

Jej palce się zacisnęły na jego ręce. Była zaszokowana. i,

- Za mąż?

- To święty stan, ustanowiony przez Boga i pobłogosławiony...

- Wiem, co to jest! Jestem tylko zdumiona, że ty wypowiedziałeś to słowo. - Próbowwała uwolnić rękę, ale nie pozwolił jej na to.

- Nie wypowiedziałem go ot tak, po prostu. - Teraz już nie żartowałem. - Proszę cię, żebyś za mnie wyszła.

Przez chwilę stała nieruchomo.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Nawet kaznodzieja nie mówiłby poważniej  
- Zapewnił ją. - Nie widzę lepszego sposobu, by położyć kres plotkom. A ty? Poza tym pomyśl o korzyściach. Ponieważ jestem od ciebie młodszy o dziesięć lat, mamy przed sobą mniej więcej taki sam czas życia, dzięki czemu nie zostaniesz znów wdową. A ja uwielbiam dojrzałe kobiety, które wiedzą, czego chcą. No i spójrz na siebie: jesteś doskonała pod każdym względem.

- Alec...

- Oprócz tego jest jeszcze jedna sprawa, którą zresztą sama poruszyłaś. Chodzi o seksualne dopasowanie...

- Tego nie mówiłam! Spojrzył na nią spod rzęs.

- Nie? Wydawało mi się, że o tym wspomniałaś. Jesteś kobietą, która potrzebuje mnóstwa miłości. I wiesz co? Ja jestem akurat w odpowiednim wieku, by dać ci jej tyle, ile tylko chcesz. A nawet więcej.

Popatrzyła na niego, jakby chciała się upewnić, że skończył, zanim spróbuje zaapelować do jego rozsądku. Alec wprawdzie miał jeszcze wiele do powiedzenia, ale przez uprzejmość pozwolił jej mówić.

- Już sobie wszystko ustaliłeś, prawda? - spytała w końcu gniewnym tonem.

- Nie potrzeba do tego geniusza, zwłaszcza po tym, gdy sobie uświadomiłem, co dokładnie do ciebie czuję.

- Chyba powiedziałaś, że mnie kochasz. - W jej głosie nie było radości. Zapewne nie uwierzyła w ani jedno jego słowo.

- Tak, kocham cię - przyznał ponuro.

- Zakochałeś się we mnie od pierwszego wejrzenia.

Ostrożnie skinął głową.

- I będziesz mnie zawsze kochał, nawet gdy osiwieję i nie zostanie mi ani jeden ząb, prawda?

- Nie obchodzi mnie, czy będziesz łysa, czy też będziesz miała tyle włosów, co trzy kobiety razem wzięte - oświadczył, rzucając spojrzenie na jej koafiurę.

- Wzruszające! Czy jesteś jednak pewny, że to potrwa aż tak długo? - spytała, a jej głos powoli stawał się coraz ostrzejszy. - A może zaplanowałeś dla mnie samobójstwo, gdy już się mną zmęczysz? A jeżeli ten pomysł nie wyda mi się zbyt atrakcyjny, będziesz obok, żeby mi pomóc?

Alec poczuł, jak krew odpływa mu z serca. Zachłysnął się, jakby otrzymał straszliwy cios. W głowie mu szumiało i wirowało. Ledwie trzymał się na nogach.

- Kto ci powiedział? - spytał cicho.

- Jakie to ma znaczenie? Wystarczy, że wiem.

- Nic nie wiesz.

- Umarła, prawda?

- Tak, umarła.

- Popelniła samobójstwo, tak?

- Była chora, właściwie umierająca.

- Ale ciebie aresztowano za morderstwo.

Odrzucił wzrok od Laurel i przyłożył ręce do skroni, które zaczęły mu pulsować.

- To długa historia. Ale wiedz, że nie zabiłem mojej żony.

- Chcesz powiedzieć, że nie znaleziono dowodów.

- Nie wkładaj mi w usta swoich słów! To, co stało się w Kalifornii, nie ma nic wspólnego z nami. Tu wszystko jest inne. Ty jesteś inna niż pani Chadwick. Jesteś taka młoda i to na tyle różnych sposobów, że sam czuję się przy tobie stary. I nie ma to nic wspólnego z wiekiem, ani twoim, ani moim. Ty i ja jesteśmy ludźmi, którzy potrafią razem się śmiać i cieszyć, którzy cenią sobie te same rzeczy. Lubimy się nawzajem, oraz, co najważniejsze, gdy jesteśmy ze sobą, ty, kobieta, i ja, mężczyzna, potrafimy wyczarować magię.

- I właśnie na tym ci zależy? - spytała zadyszczonym szeptem. - Czy też na pieniądzach i bezpieczeństwie?

- Laurel... - zaczął, postępując krok do przodu, mimo jej niechęci. Szukał w sobie cierpliwości i wytrwałości, by spróbować jeszcze raz.

- Nie. - Cofnęła się. - Po prostu nie. Nie chcę wychodzić za mąż. Nie chcę wyjść ani za ciebie, ani za nikogo innego. Ani teraz, ani nigdy.

Odsunęła się od niego, lecz on postąpił za nią.

- Naprawdę chodzi ci o mnie, czy też o siebie? - spytał. - A może po prostu cały ten pomysł cię przeraził?

- Wszystko jest możliwe, po prostu nie wiem - odparła - ale odpowiedź pozostaje taka sama. Odwróciła się od niego i pobiegła do domu.

- Kto tak bardzo cię skrzywdził? - zawołał za nią Alec. - Co zrobił Howard, że znenawidziłaś małżeństwo? A gdy już przy tym jesteśmy, mam jeszcze jedno pytanie. Czy było tego wystarczająco dużo, byś go zabiła?

Słyszała go, wiedział o tym, lecz nie odpowiedziała.

Alec stał tam, gdzie go zostawiła, i wpatrywał się w przestrzeń. Po chwili zaczął się przyglądać obu wyrzeźbionym płytom, swojej własnej twarzy i twarzy Laurel, lubieżnemu mężczyźnie i złapanej w pułapkę

kobiecie. Wstrząsnął nim krótki wybuch śmiechu. Wziął obie płaskorzeźby i zaniósł je do włoskiego ogrodu. Tam powiesił je obok siebie w miejscu, gdzie przedtem były Usta Prawdy. To miejsce wydawało mu się bardzo odpowiednie.

Gdy już się z tym uporał, poszedł po siekiere i zaatakował krzaki rosnące przy tylnej ścianie domu. Pomyślał, że jeżeli odsłoni ten teren, osoba, która się tu wślizguje, będzie miała do dyspozycji mniej kryjówek. Najważniejsze było jednak to, że zmęczenie ciężką pracą uchroni go od popełnienia jakiegoś gwałtownego czynu, który mógłby wpędzić go w kłopoty.

Ciągle jeszcze zawzięcie machał siekiere, gdy przyjechał radiowóz. Alec stanął nieruchomo i obserwował mężczyznę w mundurze, który wysiadł i ruszył do frontowego ogrodu, a potem wszedł po schodkach do domu.

Gdy ustał stukot siekiery, Laurel podniosła głowę znad domowych rachunków. Już biegła do drzwi, gdy usłyszała, że Maisie kogoś wpuszcza. Wyszła na korytarz i zobaczyła gospozię z szeryfem. Dan Tanning, mnąc w rękach kapelusz, odpowiadał na jej zwyczajowe pytania o to, jak wygląda przestrzeganie prawa w Hillsboro. Widząc Laurel, obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że tu wstąpiłem - powiedział niskim głosem, przeciągając słowa. - Słyszałem o twoich kłopotach i wpadłem, żeby z tobą pogadać.

- Zawsze jesteś mile widziany i dobrze wiesz o tym - odparła swobodnie. - Domyślam się, że rozmawiałeś z Zeldą.

Szeryf lekko się zaczerwienił i przez chwilę patrzył w ziemię.

- Od czasu do czasu odsłania mi uszy, jak mawiał mój ojciec, gdy szedł się strzyc. Byłem u niej dziś rano, parę minut po twoim wyjściu. Zeldą bardzo się o ciebie niepokoi.

- Jestem wdzięczna, że przyszedłeś, ale wątpię, byś mógł coś dla mnie zrobić. Ten ktoś nigdy nie zostawił po sobie żadnego śladu.

- W każdym razie przynajmniej obejrzę szkody. - Skinął ręką w kierunku ogrodów.

- Nie zostało wiele do oglądania - powiedziała Laurel, prowadząc go do frontowych drzwi i na werandę.

- Już sprzątnęłaś gruz? - Rzucił jej spojrzenie spod gęstych brwi. Skinęła głową.

- To była pierwsza rzecz, jaką tu rano zrobiono.

- A kto się tym zajął?

- Alec, zaraz po przyjeździe do pracy. Szeryf wydał jakiś niezrozumiały dźwięk, a potem powiedział:

- W każdym razie, jeżeli oczywiście pozwolisz, trochę się tu rozejrzę. Może coś mi się rzuci w oczy. Poprowadziła go do ogrodu. Szeryf szedł za nią.

Była świadoma, że uważnie ją obserwuje. Jest prostolinijnym człowiekiem, pomyślała, mówi dokładnie to, co myśli, ani więcej, ani mniej. Przy nim nie musiała zastanawiać się, o co naprawdę mu chodzi, i sprawiało jej to prawdziwą ulgę.

Po drodze wymienili kilka zdawkowych uwag o pogodzie. Gdy weszli do włoskiego ogrodu, Laurel poczuła, jak nerwy jej się spinają na widok wiszących obok siebie płyt z kobiecą i męską twarzą.

Oczywiście zrobił to Alec. Chciał jej coś przez to powiedzieć. On, w przeciwieństwie do szeryfa, nie był prostolinijny.

Wzięła głęboki oddech i opowiedziała szeryfowi o rzeźbach, które zostały roztrzaskane. Tanning skinął głową. Jego spojrzenie przez chwilę zatrzymało się na obu wiszących płytach, ale nawet jeżeli dopatrzył się podobieństwa do rzeczywistych osób, nie skomentował tego.

- Nie znalazłaś gdzieś w pobliżu żadnego narzędzia, które mogło posłużyć do rozbijania urzeźb?

- Na przykład drąga czy czegoś w tym rodzaju?

- Albo polana do kominka, kija baseballowego, młotka, łomu...

Laurel pokręciła głową.

- Szkoda. Po narzędziu moglibyśmy się zorientować, czy to był po prostu wygłup jakiegoś szczeniaka, czy też ktoś miał wobec ciebie złe zamiary. Może nawet moglibyśmy zdjąć odciski palców.

- Spytałem Aleka, ale jestem pewna, że powiedziałby mi, gdyby coś znalazł.

Szeryf spojrzał na nią uważnie, ale nic nie odpowiedział. Z włoskiego ogrodu poszli w poblizsze garażu, gdzie przedtem była fontanna Bachusa. Tu też nie znaleźli niczego ciekawego. Alec wyłączył wodę, basenik był pusty i wyglądał bardzo smętnie. Dan aż zagwizdał, gdy zobaczył rysy w drewnianej ścianie garażu, tam, gdzie rozbijano maski.

- Laurel, to mi się nie podoba. Mam złe przeczucia. Wiem, że to nie moja sprawa, ale naprawdę nie chciałbym, żebyś zostawała na noc sama w domu.

- Mieszkam tu sama od czasu, gdy Evan wyjechał do szkoły. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

- Nie zgodziłbym się z tobą. I sądzę tak nie tylko dlatego, że rozmawiałem z Zeldą. Pojechałem też do pani

Callie. Była bardzo wzburzona tą całą sprawą. A kilka dni temu matka Howarda zaczęła mnie i także mówiła, że coś trzeba z tym zrobić. Może powinnaś poprosić kogoś, by tu spędzał noc?

- Kogo? Teściową? Zeldę? - Z trudem opanowała drżenie głosu. - Raczej nie.

- A Evan? Chyba mógłby tu pomieszkać przez kilka tygodni i stąd jeździć na uniwersytet. Albo poproś córkę i zięcia.

Nad Evanem mogłaby się zastanowić, chętnie też widziałaby tu córkę, ale nie zniosłaby obecności zięcia.

- Pomyślę o tym.

- Dobrze. - Zamilkł na chwilę. - A ja zapędzę dziewczyny z biura do komputera, żeby sprawdziły, co w Kalifornii mają na temat... pewnych osób.

- Chodzi ci o Aleka?

- I jego brata.

- Nie wydaje mi się to konieczne.

- To się okaże. Jeżeli są czyści, to w porządku, ale jeżeli nie, to... No cóż, lepiej o wszystkim wiedzieć.

Nie mogła w żaden sposób go powstrzymać.

- Możesz dogrzebać się do kilku spraw, ale ja o wszystkim już wiem.

- Zobaczymy - odparł z westchnieniem. - A ty się nie martw za bardzo. Postaram się tu często wpadać albo przyślę kogoś z zastępców.

- Nie musisz.

- Jasne, że nie muszę - powiedział cicho - ale dobrze wiesz, że zawsze miałem bzika na twoim punkcie. Kiedyś, po śmierci Howarda, myślałem nawet, że moglibyśmy być razem, ale potem... - Nie dokończył zdania i spojrzał gdzieś w bok.

Laurel uznała, że mówi o tym, jak to miał pecha i został przyłapany z Zeldą. Chyba w ogóle wyleciałoby to jej z pamięci, ale szwagierka niedawno o tym wspomniała. Tyle że mało ją to obchodziło. Lubiła Dana, ceniła go, ale nic między nimi nie było. A przynajmniej nie z jej strony. Jego bliskość nie przyspieszała rytmu jej serca tak, jak to się działo, gdy był przy niej Alec. i

- Doceniam to - powiedziała spokojnie - ale wydaje mi się, że niektóre sprawy po prostu nie mogą się udać.

Rzucił jej szybkie spojrzenie i jeszcze raz odwrócił wzrok. Z zarośli za domem znów usłyszeli stukot siekiery. Ze spojrzeniem utkwionym w tamto miejsce Dan powiedział:

- Tak więc zatrudniłaś wnuka pani Callie. Mam nadzieję, że jesteś już na tyle dorosła, by wiedzieć, co robisz.

- Raczej tak.

- Będziesz ostrożna?

- Tak, na pewno.

- To dobrze. - Dan przecesał palcami włosy, włożył kapelusz i opuścił nisko rondo. - Chyba już pójdę. A ty zastanów się nad tym, co mówiłem.

Obiecała, że tak zrobi, odprowadziła Dana wzdłuż ściany garażu i przez ogród różany na podjazd, gdzie zostawił radiowóz. Uśmiechnął się do niej i skłonił, potem wsiadł do samochodu i odjechał. Laurel jeszcze długo stała zamyślona, zanim odwróciła się i poszła do domu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdy Laurel wyszła z łazienki, Alec leżał na łóżku w ciemnej sypialni. Rozparł się na poduszkach, jedną rękę wsunął pod głowę, miał na sobie tylko dzinsy. Obdarzył ją kuszącym uśmiechem.

Zatrzymała się w miejscu, z ręką zaciśniętą na szczotce, która zaplątała się w mokrych włosach przerzuconych przez ramię. Jej serce zaczęło wyprawiać dzikie harce. Pierwszą myślą, jaka przemknęła jej przez głowę, była obawa, że jej cienka bawełniana nocna koszula jest za bardzo przezroczysta. Zupełnie jakby to miało jakieś znaczenie.

- Jak się tu dostałeś? - spytała pustym głosem.

- Umiałem otwierać takie zamki, jakie tu masz, zanim jeszcze nauczyłem się chodzić. Aż dziwne, że nikt ci dotąd nie wyniósł wszystkiego z domu, z tobą na dodatek. - Przyglądał się jej, gdy tak stała w starej nocnej koszuli, a w oczach miał żar.

- Jak rozumiem, miałeś jakiś powód, by tu przyjść? - Wyplątała w końcu szczotkę z włosów i zaczęła się czesać, by nie patrzeć na niego.

- Nawet kilka. Po pierwsze, niezależnie od tego, czy w to wierzysz, czy nie, potrzebujesz kogoś, kto by cię pilnował, a tak się składa, że ja mam czas. Po drugie...

Gdy zamilkł, spojrzała na niego.

- Po drugie?

Posłał jej wiele mówiący uśmiech.

- Liczyłem na to, że stęskniłaś się za swoim chłopczykiem do igraszek. Pomyślałem sobie, że mogłabyś wyciągnąć go ze schowka i trochę się nim pobawić.

Laurel poczuła, że jej policzki płoną żywym ogniem. Miała nadzieję, że w mroku Alec nie widzi tego wiele mówiącego rumieńca.

- Po tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy po południu? Chyba nie mówisz poważnie.

- Nie?

- Oczywiście, że nie!

- To fatalnie. - Pokiwał posępnie głową, a w czarnych głębinach jego oczu pojawił się cień bólu.

- Och, przestań! - krzyknęła, przerzucając moką masę włosów na plecy. - Chyba nie spodziewałaś się, że przyjmę to tak lekko.

Zacisnęła usta, głęboko zastanawiając się nad jej słowami.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, kto bierze? - zasugerował, unosząc brwi.

Laurel zamknęła oczy. Znów się z nią drażnił. A może nie? Całkiem możliwe, że potrafił wybrać dowolną drogę, zależnie od jej reakcji. Powinna się na niego rozżłościć, nabrać podejrzeń, ale zamiast tego poczuła, jak powoli narasta w niej uczucie ulgi.

Epitety, jakimi go obdarzyła, nie były komplementami, ale również nie było w nich zacierzenia.

- Każde twoje słowo jest prawdą - przyznał jej niechętnie rację - ale powinnaś zobaczyć teraz swoją minę.

- To wcale nie jest śmieszne - odparła z gniewem.

Alec wzruszył ramionami.

- Miałem już do czynienia z takimi kobietami jak twoja szwagierka. Mylą szorstkość i nieokrzeseanie z wyrafinowaniem. Poza tym dobrze wie, że naprawdę dokuczyłyby mi tylko wtedy, gdyby udało jej się zwrócić ciebie przeciwko mnie. Niestety, chyba nie musi się fatygować. Sam doskonale to robię za każdym razem, gdy otwieram swoje parszywe usta.

Ponury ton jego głosu i nutka pogardy dla samego siebie były rozbijające. Z drugiej strony Laurel domyślała się, że właśnie do takiej reakcji chciał ją doprowadzić. No i osiągnął to, czego chciał.

- Oboje powiedzieliśmy rzeczy, w które tak naprawdę nie wierzyliśmy - stwierdziła, rzucając mu szybkie spojrzenie - ale cała ta sytuacja jest taka dziwaczna, że chyba nie ma co się dziwić.

- Mechanizm samoobrony. Zarówno u ciebie, jak i u mnie.

To było rozsądne wyjaśnienie, jeżeli, oczywiście, chciałyby je przyjąć. Zdenerwowana, przechyliła głowę na bok i zaatakowała szczotką moką gęstwinę włosów. Szczotka natychmiast wplątała się w grube pasmo i Laurel zakłęła pod nosem.

- Hej, zaczekaj! - wykrzyknął Alec, wyskakując z łóżka. - Rób tak dalej, a nie zostanie ci ani jeden włos. - Podszedł i wyjął jej szczotkę z ręki. - Daj, ja to zrobię.

Przez chwilę się opierała, ale on był stanowczy. Otoczył jej nadgarstek silnymi palcami i zaprowadził ją do łóżka, sam usiadł i zrobił dla niej miejsce między swoimi rozstawionymi kolanami. Posadził ją plecami do siebie i przerucił na nie jej włosy. Ostrożnie wyciągnął szczotkę ze splątanego gąszczu i zaczął czesać Laurel, wykazując przy tym ogromną zręczność.

Całkowicie skupił się na tym zajęciu. To oraz fakt, że dotykał jej włosów, było dla Laurel zadziwiająco intymnym odczuciem. Zdumiewało ją, jak trudno jej jest nie opierać się o Aleka, nie wtulać się w jego pierś.

Nie powinna była sobie na to pozwalać, tylko natychmiast wstać i kazać mu wyjść. Zresztą nie powinna była robić wielu jeszcze rzeczy: wdawać się w kłótnie, pozwalać, by Alec jej dotykał... i dlaczego pozwalała, by szczotkował jej włosy?!

Nie ma ani krzty zdrowego rozsądku, ani grama silnej woli.

Po dłuższej chwili odchrząknęła.

- Dobrze sobie radzisz.

- Mam wieloletnie doświadczenie - odparł, przerzucając szybkim gestem swój długi kucyk przez ramię. - Zaczęłem od czesania siostry, gdy była mała. Robiłem to każdego dnia przed wyprawieniem jej do szkoły.

Wyobraziła sobie kilkunastoletniego chłopca, który dba, by jego mała siostrzyczka dobrze się prezentowała, opiekuje się nią i próbuje zastąpić jej matkę i ojca. Poczuła bolesne ukłucie w sercu. Nie chciała się wzruszać, wiedziała bowiem, że Alec nic sobie nie robi z jej współczucia, ale i tak je odczuwała.

- Jak słyszałem, znów groziłaś, że kogoś zastrzelisz - powiedział, zanim zdążyła się opanować.

Próbowała spojrzeć na niego przez ramię, ale trzymał ją za włosy i nie mogła odwrócić głowy, więc się poddała.

- Kto tak powiedział?

- Jakaś starsza kobieta zadzwoniła do babci. Mówiła, że słyszała to w salonie piękności. Kiedy wieczorem wróciłem do domu, babcia pytała mnie, czy coś o tym wiem.

- Byłam zdenerwowana.

- Rozumiem, ale nasz intruz też może się postarać o broń.

Laurel westchnęła z rozpaczą.

- A co miałam zrobić? Nadstawić drugi policzek? Pozwolić wandalom, by zniszczyli wszystko, nad czym tak ciężko pracowaliśmy?

- Nie musisz nic robić. Przecież masz mnie. - Jego ręce przestały się poruszać i tylko łagodnie dotykały jej włosów.

- Ponieważ jednak nie wiem, jak długo będę cię miała, sama muszę dać sobie z tym radę.

- Zawsze będziesz mnie miała. Niezależnie od tego, czy za mnie wyjdiesz, czy nie.

Nie zważając na szarpnięcie włosów, wyrwała mu się, by spojrzeć na niego.

- Nie mów tak!

- Dlaczego? Przecież to prawda. Nie zamierzam cię ponaglać ani prosić o więcej, niż możesz mi ofiarować. To się więcej nie zdarzy.

Rezygnacja w jego głosie sprawiała jej przykrość, żałowała, że go do tego doprowadziła, chociaż jednocześnie była ciekawa, co on teraz chce osiągnąć.

- Alec, nie sądzę...

- Więc nawet nie próbuj - powiedział stanowczo. - To nic takiego, naprawdę. Potrzebujesz mnie właśnie teraz, a ja potrzebuję ciebie. Nie musimy myśleć o żadnym jutrze ani tym bardziej o jakimś „na zawsze”. Ważna jest tylko obecna chwila. Czy to takie trudne?

To wcale nie było trudne, i na tym właśnie polegał cały kłopot.

- Och, Alec, zasługujesz na dużo więcej, niż na to, by po prostu chwilowo cię potrzebowano. Jego rzęsy zdrząły, a wyraziste usta zacisnęły się.

- Pozwól, że sam się będę tym martwił. - Jego spojrzenie zatrzymało się na jedwabistych pasmach, które ciągle trzymał w dłoni, i łżejszym już tonem dodał: - Pierwszej nocy, gdy zobaczyłem cię wychodzącą z domu, pomyślałem, że twoje włosy są jak promienie księżycy. I takie właśnie mi się podobają, jedwabiste i miękkie, a nie te różne fale i loczki, jakie miałaś dziś rano.

- Dziękuję. Mnie też - odparła łagodnie. Zmienił temat rozmowy, ale kto mógłby mieć mu to za złe? Ona też nie chciała rozpamiętywać tego, co między nimi zaszło. Nie chciała myśleć o tych wszystkich wątpliwościach, lękach i kłopotach, jakie ją dręczyły. Zresztą nie mogła o nich myśleć, gdy opierała się ramionami o twardą pierś Aleka i czuła na biodrach dotyk jego mocnych ud. Ciepło jego ciała otaczało ją jak pieśczoćta. Jego gorący, czysty zapach uderzał jej do głowy jak afrodyzjak. Pragnęła go z głębokim, drażącym bólem, którego nie ukoi nic prócz dotyku kochanka.

Co w nim jest takiego, że wprowadza zamieszanie w jej myśli i odbiera jej siłę woli, przez co w żaden sposób nie potrafi mu się oprzeć? Słyszała o mężczyznach i kobietach, którzy ryzykowali wszystko dla dobra ukochanej osoby, ale nigdy nie przypuszczała, że pewnego dnia zrozumie, co ich do tego skłaniało. W tej chwili nie przejmowała się, co się stanie później, albo co spotkają samą. Wystarczało jej, że Alec jest tu, z nią. I naprawdę czuła, że mogłaby umrzeć, jeżeli jej nie pocałuje.

Może ślad tej tęsknoty odbił się na jej twarzy, bo ręce Aleka zaczęły się poruszać coraz wolniej. Popatrzył na nią badawczo, pośennie, ale i pożądliwie. Odrzucił szczotkę i przyciągnął Laurel do siebie.

Czuł się tak, jakby wygrał i otrzymał cudowną nagrodę. Będzie szlachetny w swoim zwycięstwie, jeżeli tylko zdobędzie się na to w chwili, gdy Laurel doprowadza go do szaleństwa.

Całował rozkoszny kącik jej ust, miękki i wilgotny jak u dziecka. Potarł nosem gorący atlas policzka, poczuł go na rzęsach, na twarzy, a potem dłońmi zaczął krążyć po najcudowniejszych miejscach na jej ciele. Była taka doskonała i tak wspaniale reagowała na jego najłżejszy nawet dotyk. Delikatne, ulotne słowa, jakie wyszeptywała, poruszały w nim jakąś strunę, która powodowała rezonans w jego sercu. Uwięził ustami te ciche szepty, wchłonał je w siebie.

Boże, tak pragnął, by ta kobieta naprawdę należała do niego! Nie chodziło tylko o seks, bo pragnął przede wszystkim miłości, zaufania, serdeczności, przyjaźni... pragnął jej duszy. Swoją już jej dawno ofiarował.

Ale teraz uwielbiał jej ciało, atlasowe, miękkie i wilgotne ciepło, słodki jak cukier, miętowy zapach jej ust. Uwielbiał Laurel. I musi ją mieć teraz, już, zanim eksploduje.

Wreszcie się połączyli. Była jego i chciał, by też o tym wiedziała. Oddawał jej całą swą moc, nabrzmiała pragnieniem potęgę. Dołączyła do niego, wciąż miękka i słodka, lecz jakże w tym wszystkim silna, gibka, nienasycona. Przyspieszył ruchy, użył całej swojej siły, by odczuła, jak bardzo jej pożąda.

Zaczęła nierówno oddychać, drżała z wysiłku, starając się dorównać jego staraniom. To jeszcze bardziej

nasiliło jego pragnienie, popędził w dal, zmuszając ją, by podążyła za nim.

Szeptał, jak bardzo pragnie stać się częścią niej. Pragnął tego rozpaczliwie, a jednocześnie narastało w nim poczucie spełniającego się cudu. Nigdy w życiu nie czuł się tak wspaniale. Nigdy nie pragnął tak bardzo zabrać kogoś ze sobą w to ciemne, rozpalone do czerwoności jądro swojej najczystszej żądz.

Gdy poczuł ogarniające Laurel dreszcze rozkoszy, sam niemal stracił przytomność, dając jej całego siebie. A potem mięśnie jego ciała stężyły i nie mógł się poruszyć. Pierś mu ciążyła, w głowie szumiało. Zastygł w bezruchu.

Szaleństwo mijało. Powoli znów powracała rzeczywistość, znów przy swoim sercu słyszał bicie serca Laurel. Mijała minuta za minutą i nie działo się nic, prócz tego, że ich oddechy stawały się coraz spokojniejsze. W końcu przeciągnęła się, podniosła rękę i przesunęła czubkami palców po jego mokrych od potu włosach. Z cudownym, tajemniczym uśmiechem powiedziała:

- To było zdumiewające.

Ogarnęła go lekkość, ogromna radość. Ześliznął się z Laurel i położył na boku. Leniwie, naśladowując akcent dżentelmena z Południa, powiedział:

- Och, moja droga, to nie było nic szczególnego.

Zaśmiała się cicho, zmysłowo. Alec poczuł się szczęśliwy, że zdołał swoimi słowami wywołać taki efekt. Reagowała tak, że czasami aż czuł lęk, a czasami drgnienie najczystszej podniecenia. Chciałby zostać z nią w łóżku do końca świata, by odkrywać niezgłębione tajniki jej kobiecości.

Choć, prawdę mówiąc, nie był specjalnie doświadczony w tej materii. Nigdy mu nie zależało na szybkim, przypadkowym seksie, choć kilka razy dał się na to skusić, czego zresztą potem żałował. Seks nie zaspokajał jego głębokiego głodu, tak samo, jak nie zaspokoiłaby go przekąska z lepkiego cukierka, podczas gdy Alec łaknął prawdziwego, domowego jedzenia. Poza tym wydawało mu się to po prostu głupie. AIDS był największym zagrożeniem, które niesie ze sobą swoboda seksualna, ale były też i inne, które mogły położyć ostateczny kres erotycznemu życiu człowieka.

I to mu o czymś przypomniało. Zbierając myśli, pocierał ustami ciepłą pierś, kremową jak kość słoniowa.

- Laurel?

- Co? - Głaskała go bezwiednie po plecach, ale teraz jej ręka się zatrzymała.

- Nie użyłaś żadnego zabezpieczenia, prawda?

Odpowiedziała dopiero po długiej chwili, głosem cichym i pełnym napięcia.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Ani mnie. - Jego pierś uniosła się w głębokim oddechu.

- Może... być z tym kłopot. Nie jestem jeszcze na tyle stara, by być.... w naturalny sposób zabezpieczona przed konsekwencjami...

- Wiem. Bardzo byś się zmartwiła? To znaczy... jestem po prostu ciekawy, ale czy byłabyś wściekła, gdybyś miała jeszcze jedno dziecko, teraz gdy twój syn i córka są już dorośli?

Popatrzyła posepnie w ciemny kąt pokoju.

- Chyba nie - powiedziała w końcu. - Jeżeli tylko bym miała pewność, że będzie zdrowe.

- Rozumiem, o co ci chodzi - stwierdził, a potem nagle się uśmiechnął. - Wyobrażasz sobie to gadanie? Ale tak samo by plotkowali, gdybyś poszła do apteki kupić jakieś środki. Ja się tym zajmę.

- Nie musisz. Poradzę sobie sama.

Przez chwilę Alec sądził, że Laurel jednak chciałaby mieć jego dziecko. Ta możliwość, a zaraz potem świadomość, że nie miała niczego takiego na myśli, uderzyła go boleśnie.

- Ja to zrobię - powiedział spiętym głosem. - To mój obowiązek.

- Jak wolisz. - Jej twarz znajdowała się w cieniu, a rzęsy zasłaniały oczy.

- To, co ja bym wolał... - zaczął. Nagle zamilkł, a oddech uwiązał mu w piersi. Jej twarz była skąpana w czerwonym świetle, w którym tańczyły i wiły się pomarańczowe i żółte trójkątne płomienie.

Pożar!

Spojrzał w okno za sobą. Zasłony nie były do końca zaciągnięte. Pełzające światło ognia przedostawało się przez szparę. Gwałtownie zaklął, a potem błyskawicznie zerwał się z łóżka i chwycił spodnie.

- Zostań tu i wezwij straż pożarną! - krzyknął, wciągając dzinsy. Zapinał je już po drodze, wybiegając z pokoju.

Laurel zadzwoniła po straż pożarną, ale wcale nie zamierzała zostać w domu. To jej szopa się paliła, strzelając płomieniami wysoko w niebo, a wraz z nią płonęły jej skarby: już wykonane misy, piec do wypalania gliny i wszystkie piękne, jeszcze niewykończone dzieła. A także narzędzia, dłuta, pędzle, kaolin i nadzieja na stworzenie nowych rzeźb. Włożyła koszulę i wybiegła z domu.

Zatrzymała się na tylnej werandzie, bo poczuła żar rozchodzący się w skłębionych falach, gorący,

zatykający gardło zapach, palący oddech zniszczenia. Popatrzyła na czerwoną paszczę ognia, widoczną przez rząd tylnych okien szopy. Potężne płomienie wyciągały szpony do nieba, gorące popioły wirowały, a potem opadały, niczym czerwone spadające gwiazdy. Potem zobaczyła Aleka. Zgięty w pół szybkimi, pewnymi ruchami podłączył szlauch do hydrantu.

Laurel popędziła przez werandę, po schodkach, niemal przefrunęła przez trawnik, już nadpalony i gorący. Chwyliła Aleka za ramię i szarpnięciem obróciła do siebie.

- Zostaw! - zawołała, przekrzykując huk płomieni. - Już jest za późno.

Jego spojrzenie było spokojne, wyraz twarzy zdecydowany. Na nagich ramionach osiadł szary popiół i wyglądało to jak peleryna z piór.

- Jeśli chcemy ocalić dom, trzeba go polewać wodą.

Oczywiście miał rację, wiedziała o tym, lecz i tak powiedziała:

- Strażacy będą tu za kwadrans. Alec tylko parsknął.

- Jeżeli jest w domu coś, co byś chciała uratować, lepiej zaraz to wynieś.

Odszedł kilka kroków na bok, przesunął dźwignię kranu hydrantu, pociągnął wąż w stronę garażu i skierował strumień wody na tylną ścianę i dach. Już przedtem zdążył wyprowadzić samochód i zostawił go na trawniku, by nie zastawiać drogi pojazdom straży.

Laurel odwróciła się i spojrzała na dom, na jego ściany lśniące różowo w odbłasku ognia. W środku były dziesiątki cennych antyków, począwszy od stu pięćdziesięcioletniej kanapy z drewna różanego, a skończywszy na serwisie ze starej paryskiej porcelany, składającym się z dwustu pięćdziesięciu części. Jak mogłaby dokonać wyboru między tymi wszystkimi skarbami?

Ciśnienie wody było o wiele większe niż dawniej, bo Alec podczas układania rur do fontanny zainstalował kilka dodatkowych hydrantów. Jeden z nich znajdował się koło fontanny Bachusa. Laurel pobiegła, otworzyła kran, pociągnęła ciężkie zwoje węża w pobliże Aleka i razem z nim zaczęła polewać ścianę i dach domu.

- Jak to się zaczęło? - zawołała po jakimś czasie.

- Może powstało krótkie spięcie?

- Nie wydaje mi się. - Podniósł głowę i pociągnął nosem. - Czujesz?

Zrobiła to samo i natychmiast zakaszła od dymu i ostrego, dobrze jej znanego zapachu. Szeroko otworzyła oczy.

- Benzyna!

- Tak. Ktoś ją porozlewał, chyba z kanistra z garażu, a potem podpalił i umknął jak szczur. Stało się to wtedy, gdy byłem w domu. Taki ze mnie strażnik - oskarżał się z pasją.

- Nie mogłeś tego przewidzieć.

- Powinienem być lepiej pilnować domu, zamiast... - Zamilkł i zacisnął usta.

- Trudno się ustrzec takich kreatur - stwierdziła Laurel, patrząc na strumień wody bijący w dom.

- A gdyby podpalił dom? - powiedział, marszcząc czoło. - Gdyby podłożyli ogień w czasie, gdy byłabyś sama i spała? - W jego głosie brzmiał przestrah.

- Ale tak się nie stało - odparła. - Musieli wiedzieć, że nie śpię, widzieli, że światło się jeszcze pali. A to znaczy...

- Znaczy, że nie był to plan powzięty z góry, lecz nagły pomysł. Chcieli tylko przyciągnąć twoją uwagę. Nie zamierzali cię zabić... tym razem.

Powietrze było duszne i gorące, ciężko było oddychać, a płomienie huczały coraz głośniej.

- Dlaczego mnie? - spytała. - Przecież mogli wiedzieć, że ty też tu jesteś.

Alec potrząsnął głową i podszedł bliżej, by pomóc Laurel polewać kraniec domu.

- W pierwszej chwili myślałem, że ktoś tu za mną przyjechał z Kalifornii. Ale teraz już tak nie sądzę.

- Chodzi ci o dorosłe dzieci twojej żony?

- Albo o kogoś związanego z nimi. - Precyzyjnie, z niewzruszonym spokojem, lał wodę na dom. Szalejące płomienie rzucały czerwone błyski na jego włosy, w ich świetle jego spocone ręce i barki lśniły jak złocistomiedziany metal. - To nie wchodzi w rachubę, bo już nie stanowią dla nikogo zagrożenia. Poza tym to nie ja nadaję glinie życie i nie ja miałem wilczurą, który trzymał przy mnie straż. Laurel, ktoś zna twoje słabości i wykorzystuje je. Ktoś wie, co najbardziej kochasz. Przemyśl to, bo na tym, co już zrobili, wcale nie musi się skończyć. Pomyśl, co jeszcze kochasz, bo oni mogą to zniszczyć - powiedział z rozpaczą w głosie.

Nie chciała o tym myśleć, nie mogła, ale musiała. Ile jeszcze miłości jest w jej sercu? Dzieci, oczywiście. Ivywild. Och, i jeszcze...

Kochała mężczyznę, który teraz był obok niej i usiłował ocalić jej dom. Kochała Aleka.

Ta prawda przeszła jej serce i umysł z siłą trzęsienia ziemi. Uświadomiła to sobie z całą jasnością, wprost

trudną do zniesienia i wstrząsającą. Jak do tego doszło? Nie chciała go kochać, nie potrzebowała tego uczucia, już dawno przestała czekać na spełnienie tych sentymentalnych pragnień. Szaleństwo spowodowane zbliżającą się menopauzą, oto, jak należy to nazwać. Gra hormonów, chociaż innego rodzaju niż te szalone wzloty i upadki okresu dojrzewania, kiedy to człowiek nieustannie jest w kimś zadurzony.

„Byłabyś wściekła, gdybyś miała jeszcze jedno dziecko?”

Nie przyjmie do wiadomości, że go kocha. Jeżeli to zignoruje, może miłość do Aleka przeminie. Chyba zdołają zdusić, uwolnić się od tej głupiej radości, gdy patrzy na niego, rozmawia z nim, dotyka go; od rozpaczliwego pragnienia, by być w jego ramionach; od głębokiego, ostrego bólu, gdy rozmyślała, jak wyglądałoby dziecko spłodzone przez nich oboje i jak by się czuła, trzymając je w ramionach.

Tak bardzo starała się być rozsądna i zachowywać dystans, ale nie potrafiła. Podała się prawie bez słowa protestu, i znów by uległa, gdyby tylko miała okazję. A jednak wciąż z rozpaczą zastanawiała się, czy mężczyzna, który pragnie kobiety, i to niezależnie od motywów, jakie nim kierują, posunąłby się do zabicia jej psa, niszczenia jej twórczości i spalenia jedyne miejsce, w którym znajdowała przed nim ucieczkę. Czy uważałby, że najlepszym posunięciem jest doprowadzenie do takiej sytuacji, by pozostał jej już tylko on?

I rzeczywiście, teraz już tylko on jej pozostał. A ona go kochała, naprawdę kochała.

Ciekawe, czy stara pani Chadwick czuła to samo.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Do wszystkich, którzy wierzą w Boga:*

*Laurel Bancroft jest grzeszną kobietą. W obliczu Boga i ludzi została przyłapana na rozpuszcie. To wstrętne, ale prawdziwe. Paraduje nago, oddaje cześć bożkom, których ma pełno w swoim ogrodzie. Jak wąż do Edenu, tak samo do jej ogrodu zakradł się Szatan. W jego imię ona i jej kochanek czynią haniebne i niegodziwe rzeczy. Mężczą zwierzęta i składają je w ofierze. Spytajcie ją, co się stało z jej psem. Jeżeli się jej nie powstrzyma, następnym razem może zabić mężczyznę, kobietę albo dziecko. Niektóre z jej diabelskich dzieł zostały oczyszczone przez ogień, ale to nie wystarczy. Powinno się ją potraktować jak czarownicę niegodną tego, by żyć...*

Laurel konwulsyjnie zacisnęła rękę, mnąc list. Było w nim więcej, o wiele więcej, ale nie mogła się zdobyć, by czytać dalej.

Znalazła go w skrzynce pocztowej przy końcu podjazdu, gdy poszła wysłać kilka rachunków. Był w zwykłej białej kopercie, normalnych rozmiarów, takiej jak tysiące innych. Adres wypisano na maszynie. Nic jej nie ostrzegło przed treścią anonimu.

Ręce jej drżały, zacisnęła z całej siły zęby. To, że ktoś ośmielił się pisać o niej takie okropne rzeczy, że zbrukał wszystko, co dzieliła z Alekiem, przemienił to w coś tak ohydneho i niskiego, wzbudziło w niej nieprzytomną złość, a jednocześnie żal.

Ile jeszcze osób dostało dzisiaj ten list? Czy odrzucą te jadowite słowa, rozumiejąc, że to wymysł czyjś chorego umysłu, czy też będą szeptać, kiwać głowami i opowiadać sobie, że od dawna coś takiego podejrzewali? Czy będą patrzeć na siebie nawzajem ze skrywaną radością i mówić: „No cóż, nie ma dymu bez ognia. Wiesz, że od lat była dziwna, mieszkała sama w Ivywild jak pustelnica, jakby się czegoś wstydziała...”

Już ich słyszała. Doprowadzało ją to do szaleństwa. Odczuwała gwałtowną potrzebę zrobienia czegoś, czegokolwiek, żeby powstrzymać tę podłą kampanię.

Kto to robi? Kto? Przychodziła jej do głowy tylko jedna osoba, którą mogły obchodzić jej poczynania. Sadie Bancroft. Teściowa wydawała się niezachwiana w swojej wierze, że Laurel powinna zostać na zawsze uwięziona w Ivywild za to, co zrobiła Howardowi, ale też nigdy nie sugerowała, że uważa Laurel za kogoś więcej niż najzwyczajniejszą morderczynię. Nic nie wskazywało na to, że ma chorą, rozszalałą wyobraźnię, taką, jaka objawiła się w liście. I nigdy nie groziła jej śmiercią.

Tak było oczywiście do czasu, gdy na scenie pojawił się Alec.

Jednak, z drugiej strony, przyłączała się do najrozmaitszych listownych kampanii, a stąd do napisania takiej epistoły, jaką Laurel dzisiaj dostała, jest już tylko jeden krok. Jeśli Sadie wysłała ten anonim, błędem byłoby pozostawić bez odpowiedzi tak ohydny gróźbę.

Alec jeszcze wycinał zarośla za domem, tak samo jak przez ostatnie trzy dni, od czasu pożaru. Przychodził wcześniej i zostawał do późna. Wydawało się, że postanowił oczyścić cały teren aż do ostatniego źdźbła, by pozbawić kryjówek tego kogoś, kto się tu zakradał. Powinna mu pokazać list, bo o nim też wspomniano. Zasługiwał na to, by wiedzieć, powinien być na bieżąco o wszystkim informowany.

Nie mogła się jednak na to zdobyć. List był nie tylko obrzydliwy i sprawiał ból, lecz także wprawiał ją w

zażenowanie. Tak niestety było. Po prostu nic na to nie mogła poradzić. Gdyby potrafiła mu zaufać, uwierzyć w to, co mówił o swoich uczuciach dla niej, nie miałyby to znaczenia. Lecz w tej sytuacji nie mogła się przełamać.

Sama porozmawia z Sadie. Może nawet tak będzie lepiej. W rozmowie bez świadków teściowa nie zechce chyba obrzucać jej oskarżeniami.

Laurel poszła do siebie, rzuciła list na staroświecką toaletkę i wzięła szczotkę do włosów. Kilka szybkich pociągnięć i włosy były uczesane. Spięła je z tyłu ciężką klamrą, potem lekko pomalowała usta błyszczkiem. Chwilę później była już w samochodzie.

Dom, który teściowa wybudowała po ślubie Howarda z Laurel, bardzo różnił się od Ivywild. To był niski bungalow w ranczerskim stylu, z beżowych cegieł i drewna, zwarty w sobie, oszczędny i absolutnie bez charakteru. Stał na tyłach niewielkiej działki na jedynym przedmieściu, jakim mogło się pochwalić Hillsboro. Nie było w pobliżu tego domu ani jednego krzaczka, po murach nie wspinało się dzikie wino, żadna roślina nie łagodziła jego prostokątnego kształtu ani nie burzyła monotonii płaskiego trawnika. Laurel zawsze miała wrażenie, że nie dość, iż dom teściowej nie ma żadnej osobowości, to jeszcze jego właścicielka jest z tego dumna.

Na podjeździe stała czerwona honda Marcii. Laurel właśnie ustawiała za nią swoje auto, gdy jej córka wyszła z domu. Ze spuszczoną głową szukała czegoś w torebce. Słyszając stuk drzwiczek samochodu Laurel, podniosła głowę i zauważyła ją. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie. Powoli ruszyła matce na spotkanie.

- Mama? Coś podobnego! - rzuciła bez żadnych wstępów. - Od kiedy to znów prowadzisz samochód?

- Ja też cię witam - odparła Laurel ciepło, choć z lekkim sarkazmem i ironią. Szybko uściskała sztywno stojącą córkę. Kierowała tę ironię zarówno do siebie samej, jak i do Marcii. Była tak wzburzona listem i perspektywą nieprzyjemnej rozmowy z teściową, że ledwie sobie uświadomiła, iż prowadzi samochód, a już w ogóle nie myślała o swoich fobiach.

- Dziwnie jest widzieć cię poza domem - powiedziała Marcia, niezręcznie odwzajemniając uścisk.

- Ostatnio staram się wychodzić trochę częściej. Spieszysz się? Mam przestawić samochód, czy masz czas, żeby wejść ze mną do babci i posiedzieć chwilę?

Na bladej twarzy Marcii pojawił się rumieniec skrepowania.

- Wybieram się do sklepu na zakupy. Babcia mnie o to prosiła. Wróć za chwilę.

- Robisz babci zakupy? Chyba nie jest chora?

- Nie, nie. Ja po prostu... Przeprowadziłam się tu kilka dni temu.

Laurel patrzyła na coraz czerwieńsze policzki córki, a Marcia spojrzała w bok, by nie napotkać wzroku matki.

- Dlaczego? - spytała. - Co się stało? Jimmy stracił pracę?

- Ach nie, nie o to chodzi. Jeżeli już musisz wiedzieć, odeszłam od niego.

- Odeszłaś od niego - powtórzyła wolno Laurel. - I poszłaś do babci, zamiast wrócić do domu, do mnie.

- Mamo, nie rób z tego takiej wielkiej sprawy. Byłaś zajęta ogrodem i tym Alekiem. Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Nigdy mi nie przeszkadzasz - powiedziała Laurel z rozpaczą.

Marcia nerwowo wzruszyła ramionami.

- To by tylko dołało oliwy do ognia. Jimmy dostawał już szalu od tego, co się teraz o tobie mówi, sam ciągle wygłaszał tyrady, bredził o tobie i tym twoim młodym ogierze. Gdy mu oznajmiłam, że odchodzę, bo już nie mogę tego słuchać, wyzwiał mnie od ostatnich i powiedział, że jestem taka sama jak ty. Próbowałam mu wyjaśnić, że nawet bym nie spojrzała na innego mężczyznę, gdyby nie był takim fanatykiem, ale to tylko jeszcze bardziej pogorszyło sprawę.

- Na innego mężczyznę? - spytała Laurel z niebotycznym zdumieniem.

W oczach Marcii pojawiły się iskielki gniewu.

- Nie bądź taka zaszokowana. Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która chce mieć jakąś radość w życiu. W każdym razie Jimmy uderzył mnie. Nie zamierzam mu na to pozwalać, więc odeszłam. Poza tym mógłby zrobić krzywdę dziecku.

- Nie jestem zaszokowana, ja tylko... Co takiego? Dziecko? Córeczko, jesteś w ciąży?

Marcia skinęła głową.

- Tak.

- I nic mi nie powiedziałaś? Dobry Boże, nie wydaje ci się, że mnie to też obchodzi?

- Sama się zorientowałam dopiero pięć dni temu. - Marcia się broniła, ale jej słowa, tak jak przedtem słowa matki, również miały w sobie nutkę, sarkazmu.

Pięć dni temu? Przed pożarem, zanim roztrząskano rzeźby? Ale to chyba nie miało żadnego związku... A może jednak?

- Nie wierzę, żeby Jimmy chciał skrzywdzić własne dziecko - powiedziała. - Trudno mi też uwierzyć, że właśnie w takim momencie postanowiliście się rozejść.

- To nie jest jego dziecko.

Laurel ze zdumienia aż otworzyła usta i wpatrywała się w córkę bez słowa.

- Więc kto jest ojcem? - spytała w końcu.

- Ktoś, z kim się spotykałam, rozumiesz? To znaczy, wiesz, jaki jest Jimmy, wciąż zajęty pracą i tymi bzdurami, które robi w kościele. Zawsze był zazdrosny, oskarżał mnie o to i tamto, mówił, że jestem opętana seksem, lecz ja lubię seks, jestem normalną kobietą, z normalnymi potrzebami. Uznałam więc, że równie dobrze mogę naprawdę zgrzeszyć, skoro i tak czeka mnie piekło.

Laurel poczuła przyływ miłości, ale także poczucie winy, współczucie i żal. Ta opanowana młoda kobieta kiedyś była jej małą córeczką, która przybiegała do niej z płaczem po pocięciu, gdy się skaleczyła czy uderzyła. Wszystko to zostało utracone, gdy umarł Howard.

- Och, Marcio, tak mi cię żal - szepnęła. - Żałuję, że miałaś takie kłopoty, a ja nic o tym nie wiedziałam.

- To nie ma znaczenia. Nie chciałam, żeby ktoś wiedział o moich problemach ani, by inni mi mówili, jak mam postępować i co mam robić.

Te słowa coś Laurel przypomniały.

- Chodzi ci o sposób, w jaki rozmawiałaś ze mną o Aleku, prawda? Jak mogłaś mówić mi to wszystko, skoro sama robiłaś to samo, a nawet postępowałaś gorzej ode mnie, bo przecież nadal jesteś mężatką?

Marcia zacisnęła usta i spuściła głowę. Zaczęła grzebać w torebce, aż wreszcie znalazła kluczyki. Nie podnosząc głowy, powiedziała:

- To wcale nie to samo. Ja przynajmniej znalazłam sobie kogoś w moim wieku. Ciekawe, co powie Alec, gdy się dowie, że niedługo zostaniesz babcia.

Laurel też nie potrafiła sobie tego wyobrazić, ale w tej chwili całą uwagę skupiła na córce.

- Kochanie, wiem, że nie byliśmy sobie bliskie, ale chciałabym ci pomóc, jeżeli mi na to pozwolisz. Jeśli chcesz, zamieszkać ze mną i zostać tak długo, jak ci będzie wygodnie. W Ivywild jest mnóstwo miejsca, a ja bardzo bym się cieszyła, mając cię przy sobie.

Marcia bawiła się kluczykami, uparcie nie patrząc na matkę.

- Dziękuję ci bardzo, ale tam się dzieje tyle dziwnych rzeczy. Nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł.

- Z powodu dziecka. Rozumiem. - Laurel powiedziała to spokojnie, ale zraniło ją, że córka nie chce przyjąć jej zaproszenia.

- Tak, z powodu dziecka, ale nie tylko - przyznała Marcia z wyrazem rozpaczki na szczupłej twarzy.

- Także ze względu na babcie?

- To by jej się nie podobało.

- Rozumiem - odparła Laurel. - Mimo to zaproszenie wciąż jest aktualne.

- Dziękuję. Pomyślę o tym. - Głos Marcii brzmiał nieco pewniej, a w jej oczach nie było już takiej wojowniczości.

Laurel już prawie pozwoliła jej odejść, ale nagle zmieniła zdanie.

- Zaczekaj - powiedziała. - Dostałaś dziś jakiś list?

- List? Nie, nic nie przyszło. A przynajmniej nie tutaj - odparła Marcia, otwierając drzwiczki samochodu. - O jaki list ci chodzi?

Kłamie i to niezbyt zręcznie, pomyślała Laurel.

Albo może mówi prawdę, jeżeli to teściowa otrzymała tę obrzydliwą przesyłkę. Jednak Marcia najwyraźniej nie życzyła sobie o tym rozmawiać, bo inaczej nie udawałaby, że o niczym nie wie.

- Zostawmy to - powiedziała Laurel, zamykając sprawę. Wsiadła do samochodu, by go przestawić i pozwolić córce odjechać. - Po prostu stek obrzydliwości od kogoś chorego na umyśle. - Zawahała się. - Jeżeli nie chcesz u mnie zamieszkać, to może byś po prostu częściej wpadała?

- Jasne - odrzekła Marcia, ale nie uśmiechnęła się ani nawet nie spojrzała na matkę. Szybko wsiadła do samochodu i włączyła silnik.

Nie wyglądało to zbyt obiecująco.

Gdy Laurel wjeżdżała na podjazd po odjeździe córki, zobaczyła, że w oknie bawialni porusza się zasłona. Uśmiechnęła się ponuro. Teściowa ją obserwowała i to najpewniej przez cały czas, kiedy rozmawiała z Marcia. Zapewne umierała z ciekawości, co też one sobie mówiły.

Nie zdziwiły jej więc pierwsze słowa Sadie Bancroft:

- Przypuszczam, że twoja córka powiedziała ci o ciąży?

- Och, widziałaś nas? - spytała Laurel z wystudiowanym zdziwieniem, wchodząc do maleńkiego przedpokojku. - Powinnaś była do nas dołączyć.

Teściowa spojrzała na nią. Usta miała zaciśnięte, jej nozdrza poruszały się tak, jakby czuła jakiś

nieprzyjemny zapach. Nie była uczesana, twarz miała obrzmiałą, oczy podkrążone. Laurel pamiętała, że bezkształtna domowa sukienka, którą miała na sobie, kiedyś była we wzory z różowych i niebieskich tropikalnych kwiatów, ale już tyle razy ją prano, że teraz trudno było je rozpoznać. Płócienne kapcie były podarte, w palcach wycięto dla wygody dziury. Sadie wyglądała na osobę chorą.

- Byłam zajęta w kuchni - wyjaśniła.

- Wyobrażam sobie, że przygotowujesz jakieś smakołyki, skoro Marcia teraz tu mieszka. Nie chciałabym ci w tym przeszkadzać.

Mówiąc to, Laurel poszła w stronę kuchni. Wszystko w tym domu, począwszy od winylowej wykładziny na podłodze, a skończywszy na lampach, było w monotonnych jasnobrunatnych kolorach. Panowała też tu wręcz agresywna, aseptyczna czystość. Dom teściowej zawsze tak wyglądał; Laurel niemal już zdążyła o tym zapomnieć.

- Porozmawiamy tu, w bawialni - nakazała ponuro Sadie.

- Nie zostanę długo - oznajmiła Laurel. - Przyszłam, bo...

- Ja dopiero teraz się dowiedziałam o Marcii i Jimmym, ale plotki już musiały się rozejść po całym mieście.

- Zapewne masz rację, bo znasz się na plotkach lepiej niż ja. Jednak nie przyszłam z powodu Marcii. Teściowa spojrzała na nią zwięzonymi oczami.

- Nie obchodzi cię, co się z nią dzieje?

- Oczywiście, że obchodzi! - krzyknęła Laurel, bo już traciła cierpliwość. - Przecież to moja córka!

- Niestety.

- Chcesz zrzucić na mnie winę za to, że rozeszła się z mężem? - rozżłościła się Laurel. - Bo jeżeli tak, to chciałabym ci przypomnieć, że od śmierci Howarda widywałam ją o wiele częściej niż ja i miałaś na nią duży wpływ. Pamiętaj też, że to ty pchnęłaś ją do tego małżeństwa, bo uznałaś, że Jimmy jest wspaniałym młodym mężczyzną, uczciwym, szlachetnym, żarliwym chrześcijaninem, jednym słowem - wręcz wymarzonego kandydatem na męża. Natomiast, według mnie, Jimmy był przekonany o swojej prawości nudnym pedantem oraz groźnym dla otoczenia fanatykiem, ale kto by mnie chciał słuchać! Więc nie próbuj teraz winić mnie za własne błędne opinie, bo nic tym nie osiągniesz. Na pewno wyrządziłam mojej córce krzywdę, jednak nie przez to, że źle jej doradzałam, lecz dlatego, że nie walczyłam, by trzymać ją z dala od ciebie i twoich poglądów.

- No, no, po co zaraz te nerwy! A poza tym jak w ogóle śmiesz wygłaszać taką tyradę, skoro wszyscy wiedzą, że żyjesz w grzechu z mężczyzną na tyle młodym, by mógł być chłopcem twojej córki?

- Nie żyjemy w grzechu, bo oboje jesteśmy wolni i możemy robić to, co nam się podoba. A co więcej, Alec jest co najmniej o dziesięć lat starszy od Marcii, ale nie wydaje mi się, byś się tym przejęła, gdyby zainteresował się nią, a nie mną.

- Uważasz, że nierząd nie jest grzechem? - spytała teściowa.

Laurel miała tylko pogardę dla osób, które z maniackalnym uporem starały się udowodnić, że reprezentują wyższy od innych poziom moralny.

- Szczerze mówiąc, w ogóle wątpię, czy istnieje coś takiego jak grzech, choć, z drugiej strony na to patrząc, to naprawdę interesujące pojęcie, nie uważasz? Może właśnie dlatego użyłaś go w tych anonimowych listach, które wszędzie rozesłałaś?!

Sadie Bancroft uniosła rękę do piersi i wpatrzyła się w Laurel gorejącymi oczami.

- Uważasz mnie za zdolną do takiego plugastwa? Wydawała się prawdziwie poruszona oskarżeniem synowej. Twarz miała bladą, w oczach pokazały się łzy, ale Laurel nie zamierzała dać się na to nabrać.

- Owszem. To ty od lat oczerniasz mnie za moimi plecami, to ty robiłaś wszystko, co w twojej mocy, bym czuła ciężar winy za spowodowanie śmierci Howarda. A teraz, gdy zorientowałaś się, że zaczynam buntować się przeciwko losowi, na jaki, twoim zdaniem, zasłużyłam, zamierzasz mnie zniszczyć. Wychodzę z domu i znajduję odrobinę szczęścia z innym mężczyzną, a ty tego nie potrafisz znieść. Tak więc za wszelką cenę starasz się mnie powstrzymać, odebrać mi szansę na normalne życie.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! Ja też dostałam jeden z tych listów, dziś, z samego rana. Laurel uśmiechnęła się ironicznie.

- Jeżeli go dostałaś, to tylko dlatego, że sama go sobie wysłałaś.

Teściowa wpatrywała się w nią, a w jej oczach pojawił się wyraz gniewu.

- Nie zrobiłam tego, ale dla ciebie to żadna różnica, prawda? Chcesz, żeby to była ja. Bo wtedy nie musiałabyś się bać.

- Ja się nie boję! Jestem po prostu wściekła.

- Może, ale przynajmniej, że również się boisz - powiedziała teściowa z satysfakcją. - I powinnaś, bo oprócz mnie jest jeszcze ktoś, kto uważa, że zasługujesz na najsurowszą karę. Tak więc masz poważniejszy kłopot

niż ciąży Marcii i na dodatek sama go sobie ściągnęłaś na głowę.

- To jakieś szaleństwo! - krzyknęła Laurel.

- Naprawdę? Lepiej zacznij postępować uczciwie, przestań łajdaczyć się z tym młodym człowiekiem, zaniechaj rozpusty, posyp głowę popiołem i błagaj Boga, żeby ci wybaczył te wszystkie obrzydliwości, jakie czynisz z tym całym Alekiem, albo...

- Obrzydliwości? - powtórzyła Laurel z oburzeniem. - Szczerze mówiąc, dziwnie brzmi to stwierdzenie w ustach kobiety, która kiedyś sypiała z mężczyznami w każdym wieku, i to z powodów, które nie były zbyt chwalebne. Czy myślisz, że nikt już nie pamięta pewnej mężatki, która pod nieobecność męża dorabiała do jego pensji w przydrożnych barach?

Twarz Sadie Bancroft zrobiła się biała jak prześcieradło. Głośno oddychając, odwróciła się i poczłapała do bawialni, gdzie bezwładnie opadła na krzesło. Z jej gardła wydarł się cichy jęk. Kołysała się w przód i w tył, trzymając się za serce.

Laurel się wystraszyła.

- Dobrze się czujesz? Mam wezwać lekarza?

- Odejdź... Odejdź ode mnie! - Teściowa wyciągnęła rękę, jakby chciała ją odepchnąć.

- Jeżeli naprawdę jesteś chora, muszę ci jakoś pomóc.

- Nie! Nie potrzebuję... niczego. A już zwłaszcza od ciebie. Nie. - Sadie Bancroft złapała chrapliwie oddech. - Po prostu wyjdź stąd.

- Przykro mi, ale nie jestem pewna, czy powinnam cię tak zostawić - odparła Laurel chłodno. Nie mogła się zorientować, czy teściowa rzeczywiście zasłała, czy też tylko udaje, by uniknąć dalszej rozmowy.

- Nie chcę cię tutaj widzieć, nie potrzebuję, najchętniej bym cię już nigdy więcej nie zobaczyła! - wykrzyknęła teściowa. - Wynoś się z mojego domu.

Jej głos brzmi już prawie normalnie i nie jest już też taka blada, pomyślała Laurel. Gdyby tu została, tylko jeszcze bardziej by ją zdenerwowała.

- Mam ci kogoś przysłać? Może Zeldę?

- Sama sobie poradzę - warknęła teściowa.

Może i tak. Laurel odwróciła się, ale przy drzwiach spojrzała za siebie. Matka Howarda patrzyła na nią. Bezkrwiste usta miała zaciśnięte, w jej oczach malowała się bezsilna złość. Laurel wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wsiadła do samochodu i przez jakiś czas siedziała nieruchomo za kierownicą, ze wzrokiem wbitym w bungalow bez żadnego charakteru, tak samo szpetny, jak jego mieszkanka. Złość i triumf wrzały jej w żyłach jak kwas i żółć, ale nie potrafiła cieszyć się dzisiejszym zwycięstwem nad swoją teściową. Czuliła raczej litość dla tej kobiety. Nad sobą też się litowała. Przychodząc tutaj, by stawić czoło wrogowi, stanęła twarzą w twarz jedynie z widmami, które ją samą prześladowały do tej pory. A teraz, gdy zostały pokonane, nie wiedziała, co robić.

Była święcie przekonana, że to teściowa stoi za atakami na nią. Oczami wyobraźni widziała, jak podaje truciznę Sticksowi, nie tylko dlatego, że nie cierpiała jej psa, lecz również dlatego, że biedny wilczur niejedną raz ją wystraszył. Również postępkami w jej stylu było potajemne rozbicie płyt z rzeźbami i płodzenie ohydnych anonimów, bo właśnie w ten sposób teściowa mogłaby odplacić za rzucone przez Laurel wyzwanie, czym było opuszczenie przez znenawidzoną synową jej pokutnego więzienia.

Jednak podpalenie szopy to już zupełnie coś innego. Trudno było wyobrazić sobie starą kobietę, jak parkuje samochód daleko od domu i w ciemności idzie przez las. Jeszcze trudniej było uwierzyć, że w ciemnościach znajduje kanister z benzyną, rozlewa ją, rzuca zapalniczkę i szybko ucieka.

Jeżeli jednak to nie teściowa ją prześladowała, to kto? Dzięki temu, że była pewna, kto jest jej prześladowcą, do tej pory nie odczuwała zbyt wielkiego strachu. No cóż, z teściową nie znosiły się od zawsze, ale również dobrze się znały i wiedziały, czego mogą się po sobie spodziewać. Ich wojna była zawzięta, ale bezkrwawa, a przy tym obie przestrzegały pewnych określonych zasad. Rany, jakie sobie nawzajem zadawały, kaleczyły jedynie dumę i uczucia. Jeśli jednak to ktoś inny był sprawcą, sytuacja stawała się naprawdę niebezpieczna.

Kto jeszcze tak bardzo jej nienawidził? To musi być czyjaś zemsta. Lepsze to jednak, niż żeby sprawcą był Alec, kierowany chęcią odizolowania jej i uzależnienia od siebie. Wprawdzie w nocy przez chwilę go podejrzewała, ale tak naprawdę nie wierzyła w jego winę. Z całą pewnością nie był aż tak przebiegły, bezlitosny i szatańsko sprytny.

Mąż Marcii, Jimmy, był gwałtowny. Uderzył żonę. Był też religijnym fanatykiem. Mógł wierzyć, że Laurel musi zostać ukarana za swoje rzekome grzechy. Co więcej, miał wystarczająco dużo samczej pewności siebie, by sądzić, że potrafi uniknąć konsekwencji, cokolwiek by postanowił zrobić. Laurel nigdy go nie lubiła, a on o tym wiedział. Mimo to zawsze była dla niego uprzejma. Nie istniała między nimi otwarta wrogość, bo rzadko się widywali. I z tego też powodu raczej nie było możliwe, by wiedział o niej aż tyle,

żeby z szatańską precyzją po kolei niszczyć tylko to, co Laurel najbardziej kochała.

A więc może Gregory? Był mądry i miał pokretny umysł. Jednocześnie kochał i nienawidził brata, a także jasno powiedział, że jego zdaniem Laurel nie jest odpowiednią osobą dla Aleka. Gregory, w swej bliskiej szaleństwu przewrotności, mógł też traktować rozgrywkę z Laurel i swym bratem jako swoistą zabawę, która na jakiś czas pozwalała mu się oderwać od ostatecznej i właściwie przegranej już batalii, jaką prowadził ze śmiercią.

Czy starczyłoby mu jednak sił, by wykonać te wszystkie podłe czyny? Alec mówił, że ostatnio czuł się lepiej, jednak Laurel nie sądziła, by mógł zdobyć się na taki wysiłek.

Pozostawała Zelda. Uwielbiała plotki. Znajomość najdrobniejszych szczegółów z życia innych ludzi pomagała jej wypełnić pustkę własnego życia, a twórcze upiększanie sensacyjnymi szczegółami tego wszystkiego, co dotarło do jej uszu, traktowała jak sztukę. Poza tym czuła niechęć do Aleka i nie podobały jej się zmiany zachodzące w Ivywild. Jednak nie miała powodów do zemsty i z trudem można by ją sobie wyobrazić, jak rozprawia o grzechu i szatanie. Poza tym, oczywiście w swój specyficzny sposób, zawsze odnosiła się do Laurel raczej przyjaźnie. Zresztą Sticks został otruty na długo przed jej wizytą.

Kogo jeszcze można wziąć pod uwagę?

Maisie? To śmieszne, by w ogóle ją podejrzewać. Natomiast babcia Callie była taka pogodna i zawsze zajęta własnymi sprawami, a teraz jeszcze dodatkowo opiekowała się Gregorym, nie miała więc czasu, by wtrącać się w życie innych ludzi.

Marcia i Evan? Laurel kategorycznie zabroniła sobie podejrzewania własnych dzieci. To było po prostu nie do pomyślenia.

Dan Tanning ostatnio wykazywał niezwykle zainteresowanie jej osobą i mógł też być przekonany, że w Hillsboro wszystko ujdzie mu bezkarnie. Jednak jaki mógłby mieć powód, by ją krzywdzić? To, że kiedyś, dawno temu, byli w sobie trochę zadurzeni, nie stanowiło jeszcze powodu do zazdrości o Aleka.

W ogóle trudno było przyjąć do wiadomości, że ktoś naprawdę chce ją skrzywdzić. Normalni ludzie nie robią takich rzeczy. Czy wobec tego należy przyjąć, że prześladuje ją człowiek chory umysłowo? A jeżeli tak, to po co w ogóle łamać sobie głowę nad motywami, skoro żaden motyw nie może istnieć?

Laurel przekreśliła kluczyk w stacyjce i wyjechała z podjazdu. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak zasłona w jednym z okien bungalowu odrobinę się odsuwa.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Alec patrzył, jak Laurel wjeżdża do garażu. Chwilę później wyszła z mrocznego wnętrza. Stała w drzwiach, osłoniła ręką oczy od słońca i spojrzała w stronę lasu. Wiedział, że go nie widzi, nie mogła przebić wzrokiem gęstwiny, gdzie zajął stanowisko.

Była blada i niespokojna. Nie miał pojęcia, dokąd pojechała ani co robiła, ale domyślał się, że nie była to przyjemna przejażdżka i że Laurel nie osiągnęła tego, co zamierzała.

W końcu skuliła ramiona i odwróciła się. Alec był pewny, że nie garbi się z rozpaczy albo zmęczenia, czy nawet poczucia klęski, lecz dlatego, że potrzebowała go, a jego nie było przy niej. Nie zamierzał się ruszyć, lecz nogi same go poniosły. Laurel spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła go.

Alec stanął natychmiast, zupełnie jakby wpadł na płot. Wstrzymało go w miejscu rozczarowanie i nagłe, przerażające odkrycie. Laurel wcale nie pragnęła jego obecności. Wprost przeciwnie, bała się, że może go spotkać. I odczuła ulgę, gdy tak się nie stało. Tę prawdę wyczytał z jej oczu.

Jednak nie pozwoli, by to go powstrzymało. Laurel go potrzebuje, czy chce się do tego przyznać, czy też nie. I to mu wystarczy. Przynajmniej nie cofnęła się, gdy podszedł bliżej. Ciało miała napięte, gdy chwycił ją w ramiona, ale potem westchnęła i poddała się. Objęła go w pasie, położyła mu głowę na piersi i zamknęła oczy.

Oblewało ich palące światło słońca, leczyło, uspokajało swoim żarem. Przez gałęzie drzew przedzierał się wietrzyk. W ogrodzie, za płotem, sennie brzęczały pszczoły. Z ramionami wypełnionymi rozgrzanym kobiecym ciałem, wdychając zapach perfum i żywicy z samosiejek, które właśnie zaczął karczować, powinien być szczęśliwy. A jednak nie był. W pewnej chwili wiatr przyniósł ostry zapach wilgotnego wypalonego drewna i ciągle jeszcze ciepłego popiołu.

- Znalazłem list - powiedział, dotykając ustami jedwabistych włosów Laurel.

Nie poruszyła się, ale poczuł, jak nagle tężeje.

- List - powtórzyła za nim niepewnym głosem.

- Zostawiłaś go na toaletce. Nie zamierzałaś mi o nim powiedzieć?

- Nie... nie wiem - usłyszał drżący szept. Mogło być wiele powodów, dla których wołałaby zachować to dla siebie. Zażenowanie. Troska o jego uczucia. Niepewność dotycząca tego, jak mógłby zareagować. I jeszcze

jeden.

- Co ja takiego ci zrobiłem, że mi nie ufasz? - spytał.

- Nic. - Podniosła głowę i odsunęła się od niego o krok, pozostawiając jednak ręce na jego piersi. Spojrzała mu w oczy. - Ja... po prostu pomyślałam, że sama się tym zajmę. Byłam pewna, że to moja teściowa napisała ten list... ale chyba się myliłam.

Takie wytłumaczenie było całkiem prawdopodobne. Laurel mogła nawet mówić prawdę, lecz Alekowi nie wydawało się, by powiedziała mu wszystko.

- Raz cię zawiodłem - odezwał się po chwili. - Może nawet dwa razy, więc bałaś się, że znów tak się stanie.

- Albo też na odwrót, pomyślałam, że mnie nie zawiedziesz - powiedziała cichym, melodyjnym głosem. - Ona nie jest młoda i nie wydaje mi się zbyt inteligentna.

- Ale ty jesteś.

- Naprawdę? Omal jej nie zabiłam swoimi podejrzeniami. No cóż, nie zastanowiłam się wcześniej nad innymi możliwymi rozwiązaniami. Tak więc źle trafiłam, idąc do niej, i nadal nic nie wiem.

Alec nie był pewny, co naprawdę chciała przez to powiedzieć, ale musiał zapytać, nawet jeżeli serce drżało mu ze strachu przed jej odpowiedzią.

- Inne możliwe rozwiązania? Kto jeszcze zna wystarczająco dobrze Ivywild, by móc tędy chodzić po ciemku? Oprócz mnie, oczywiście.

- Oczywiście - zgodziła się. - Niestety, jeszcze tego nie odkryłam.

Nie zawahała się, nawet udało jej się uśmiechnąć, ale Alec umiał dostrzec prawdę w zamglonej błękitnej głębi jej oczu. Leciutko drżała. Jej ciepło, odwaga i bezbronność powodowały, że chciałby ją zabrać do domu i przekonać, by już nigdy się go nie bała, albo też by zawsze pamiętała, że ma powody, by się go bać. Sam nie wiedział, który impuls był silniejszy.

Mówienie lekkim tonem o grożącym Laurel niebezpieczeństwie było najtrudniejszą rzeczą, jaką próbował zrobić w Ivywild.

- Jesteś pewna, że niczego nie odkryłaś? A może jednak przyszło ci do głowy, że to ja zakradłem się do twojego Edenu jak wąż?

Na twarzy Laurel wyraźnie odbił się wysiłek, z jakim starała się ukryć zdumienie. Była jednak silniejsza, niż się spodziewał, bo tylko lekko uniosła brwi.

- Nigdy nie wierzyłam w tego węża.

- Myślisz, że Adam i Ewa sami zerwali jabłko?

- Czy ta teoria nie ma sensu? To, co zakazane, pociąga z nieprzepartą siłą. Ulegamy pokusie bez pomocy szatana.

- Biedny Adam - szepnął Alec. - Wydaje mi się, że to, czym Ewa go wabiła, miało niewiele wspólnego z jabłkami.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Naprawdę?

- Zawsze sobie wyobrażałem, że wygnano go z rajy za to, że pozwolił, by winę za wspólnie popełniony przez nich grzech zrzucano na Ewę. O wiele lepiej by zrobił, gdyby stanął przed Stwórcą i spytał go, po co właściwie ich stworzył, jeżeli nie uczynił tego dla miłości?

- Miałby stawić czoło Bogu? - zakpiła Laurel. - Najprawdopodobniej dostałby srogie cięgi od swojego Stwórcy, i co by się wtedy stało z nim i Ewą?

- Byliby razem w rajy, oczywiście jeżeli ona by go wspierała.

Patrzył uważnie na Laurel, zastanawiając się, czy zrozumie jego aluzję, i co robi, jeśli tak się stanie. Widział, jak na jej skroni pulsuje mała żyłka. Wietrzyk zdmuchnął miękkie srebrzystozłote pasmo włosów na jej policzek. Słońce paliło, pokrywało ciała warstwą potu, od którego pod dotykiem skóra stawała się lepka. Jednak strużka potu, która spłynęła po jego plecach pod koszulką, była spowodowana strachem. Walczył o coś ważnego i przegrywał.

- Ale w końcu i tak byli razem - powiedziała Laurel.

- Naprawdę razem? - spytał cicho. - Czy też razem, ale osobno, bo Ewa już nigdy nie potrafiła zaufać Adamowi?

Laurel patrzyła na niego tak, jakby szukała w jego oczach czegoś, czego w nich nie było.

- Wydaje mi się, że dzieliła ich wina Adama. Jest takie powiedzenie, że dawne grzechy rzucają długie cienie.

Alec wciągnął gwałtownie powietrze do płuc, ale zanim zdążył się odezwać, otworzyły się siatkowe drzwi. Maisie wyszła na werandę, rozejrzała się i zobaczyła ich.

- Hej, wy dwoje, lunch gotowy! - zawołała.

- Idziemy - odrzyknął Alec. Głos mu aż zadrżał z radości, że gosposia przerwała tę rozmowę. Jego dusza

wyspiewywała hymny pochwalne na cześć nieskomplikowanych kobiet. I tych, które nie są tak porażająco cudowne. Albo tak śmiertelnie niebezpieczne w swojej niezwykłej uprzejmości.

Po południu przyszedł Evan, tym razem sam. Wsiadł z samochodu i rozejrzał się. Alekowi wydał się trochę butny, chociaż mógł być po prostu zdenerwowany. Wiedział, że syn Lauren go zobaczył, lecz mimo to udawał, że go nie dostrzega. Alec miał prawo uznać takie ignorowanie jego osoby za obelgę lub też za wybitny przykład braku ogłady. Wystarczyłoby pomachanie ręką, skinienie głową. Alec nie był zarozumiały. Jednak miał swoją godność, więc bardzo się zirytował, choć nie pokazał tego po sobie. Bez pośpiechu ruszył w stronę domu.

Spotkał Laurel i Evana przy ruinach szopy. Laurel ich sobie przedstawiła. Alec wyciągnął rękę, która na chwilę zawisła w powietrzu. Gdy jednak matka ostro spojrzała na syna, ten szybko podał mu swoją dłoń.

Uścisk ręki był silny. Spodziewał się, że chłopak potraktuje to jako próbę sił, ale widocznie zobaczył w oczach Aleka coś, co spowodowało, że zmienił zdanie, bo wypowiedział tylko kilka uprzejmych słów powitania i cofnął się.

- Evan też dostał list - oznajmiła Laurel drżącym głosem.

- Przesłano go pocztą? - spytał Alec. Wydawało mu się, że list, który otrzymała Laurel, został włożony bezpośrednio do jej skrzynki, co samo w sobie stanowiło przestępstwo federalne. Jednak koperta ze znaczkiem byłaby o wiele bardziej obciążającym dowodem.

Evan potrzęsnał głową.

- Nie. Znalazłem go w mojej skrzynce pocztowej w kampusie. Ale nie tylko dlatego tu przyjechałem.

Jego głos drżał z gniewu. Alec uznał, że wcześniej Evan musiał się sprzeczać z matką. Upewniła go w tym Laurel, gdy powiedziała:

- Zadzwoń do ciebie, by powiadomić cię o pożarze, gdybyś mógł w czymś pomóc, ale zarówno wtedy, jak i teraz nic nie możesz dla mnie zrobić.

- Przypuszczam, że nie powiadomiłabyś mnie nawet wówczas, gdyby cała posiadłość spłonęła. Laurel popatrzyła na niego surowo.

- Gdybyś zadzwonił do mnie w sprawie listu, zamiast iść do ciotki Zeldy, na pewno bym ci o wszystkim mówiła.

Evan spieszył się.

- Nie wiedziałem, czy ty też to dostałaś, a miałem nadzieję, że nie.

- Więc poszedłeś powiadomić o tym cioci Zeldzie, bo mogłeś być pewien, że natychmiast o wszystkim rozpowie w całej okolicy?

- Ciocia Zeldy nie jest taka. Poza tym i tak już wiedziała o liście, bo też go dostała. Czy naprawdę nic cię nie obchodzi to, jak ja się czuję, wiedząc, że popadłaś tu w takie kłopoty? Przecież jesteś moją matką!

Mówiąc to, Evan rzucił Alekowi wyzywające spojrzenie, a ten natychmiast odwdzieczył mu się ponurym uśmiechem. Laurel spojrzała po kolei na nich obu, zanim się odezwała.

- Wiem i miło mi, że się o mnie troszczysz. Po prostu uważam, że teraz najważniejszą sprawą dla ciebie jest nauka.

- Mamo, mogę sobie poradzić z dwiema rzeczami naraz - prawie krzyknął rozgoryczony chłopak.

Tak bardzo chciał do czegoś się przydać. Alec to rozumiał i zaczął myśleć z sympatią o Evanie Bancrofcie.

Laurel westchnęła.

- Evanie, ty nie musisz sobie z niczym radzić. Nikt nie może nic zrobić, dopóki się nie dowiemy, kto stoi za tym wszystkim.

- Mógłbym z tobą mieszkać i czuwać nad tobą. Nie wiem dokładnie, co tu się naprawdę dzieje, ale sądzę, że powinnaś mieć kogoś przy sobie, żeby ludzie nie myśleli, że jesteś całkiem sama.

Alec czekał bez tchu na odpowiedź Laurel. Przyzna się do tego, co ich łączy, czy też raczej przyjmie propozycję Evana? A jeżeli pozwoli synowi tu zamieszkać, co stanie się z nim samym?

Od strony spalonej szopy wiał lekki wietrzyk. Alec czuł zapach wygasłego pożaru, dym, unoszący się w powietrzu żar. Miał takie wrażenie, jakby stał u bram piekieł, czekając, aż rozstrzygnie się jego los.

- Nie potrzebuję pomocy - powiedziała Laurel ze wzrokiem wbitym w miejsce, skąd Alec usunął zarośla.

- Mamo, nie bądź śmieszna! - zawołał chłopak. - A jeżeli ta osoba, która podpaliła szopę, postanowi rzucić płonąca pochodnię na dom? Ta kupa suchego drewna spali się szybciej niż bożonarodzeniowe fajerwerki. I na tym też podpalacz może nie poprzestać. A jeżeli wejdzie do domu? Bez trudu można się tu włamać przez okno, a dom jest taki duży, że niczego nie usłyszysz, aż będzie za późno.

Laurel spojrzała na syna surowo, co stanowiło całkowity kontrast z jej bładą, delikatną twarzą.

- A co ty, swoim zdaniem, mógłbyś wtedy zrobić? Masz lżejszy sen niż ja? Umiesz lepiej strzelać?

- Przynajmniej byłoby nas dwoje do trzymania straży! - Evan znów rzucił Alekowi wyzywające spojrzenie.

Troje, nie dwoje, sprostował Alec w myśli, ale Evan dobrze o tym wiedział. Jeżeli Laurel chciała oszczędzić uczucia chłopca, był to próżny wysiłek. I właśnie wtedy powiedziała to, na co czekał.

- Alec zostaje ze mną na noc. Tak więc mam już kogoś, kto nade mną czuwa i pomaga uporać się z kłopotami.

Evan wsparł się pod boki.

- Ach, więc to tak? Tylko że, jak widzę, nie na wiele ci się przydał.

Alec drgnął, słysząc te słowa, ale i tak nie miały dość mocy, by zniszczyć szczęście, które go ogarnęło.

- Masz rację - powiedział ze spokojem i pewnością siebie. - Albo miałeś, bo teraz wiem, czego należy się spodziewać.

Laurel rzuciła mu gniewne spojrzenie, które dzielnie wytrzymał. Przyznawała się do ich związku. Oficjalnie wyznała, że są razem, i czyniła to wobec swojego syna, jednej z niewielu osób, na których jej naprawdę zależało. Mimo to nie uśmiechnęła się ani nie wydawała się szczęśliwa. Alec poczuł w piersi ostry ból. Miał przeczucie, że mniejsze zagrożenie ustąpiło miejsca większemu.

- Pozbądź się go - powiedział Evan. - Nie potrzebujesz tego mężczyzny.

- Evan! Nie masz prawa mówić takich rzeczy. A poza tym powinieneś być na tyle dobrze wychowany, by nie robić tego w obecności zainteresowanej osoby.

- Prawda pozostaje prawdą - odciął się. Na jego policzkach pojawił się szkarłatny rumieniec. - Ja bym się lepiej o ciebie zatroszczył. A zresztą, gdyby on sobie poszedł, może nie byłoby przed kim cię bronić.

Niepokój Aleka pogłębił się jeszcze bardziej.

- Gdybym uważał, że to prawda - powiedział - już by mnie tu nie było.

- A więc odejdz! - warknął Evan.

- Nie! - krzyknęła Laurel. - I nie ma potrzeby dłużej ani o tym rozmawiać, ani wprowadzać żadnych zmian. Poza tym może po podłożeniu ognia sprawa już się skończyła.

Boi się, że zaraz zacznie się z Evanem bić, pomyślał Alec, i jej obawy mogły nawet być słuszne. Z trudem utrzymywał wściekłość na wodzy. Brał pod uwagę to, że Evan ma tu pewne prawa, ale jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

- Chyba nie mówisz serio. - Chłopak z trudem ukrywał złość.

- Lepsze to, niż widzieć w każdym kącie jakieś straszidło - oznajmiła Laurel ostro.

- Właśnie - gorączkował się Evan. - I ma tyle samo sensu, co chodzenie do łóżka z którymś z nich.

Alec ruszył do przodu, ale Laurel położyła mu rękę na ramieniu, by go zatrzymać. Uniosła głowę, twarz miała białą jak marmur, a jej oczy lśniły zimnym błękitem lodowca.

- Evanie, niech to będzie dla ciebie absolutnie jasne: nie chcę już więcej niczego takiego słyszeć. Twoje miejsce jest w szkole. Powinieneś skupić się na nauce i postarać o jak najlepsze stopnie na koniec semestru. Nie życzę sobie, byś tu zamieszkał, bo musiałabym martwić się jeszcze i o ciebie. Nieustannie bałabym się, że to ty możesz zostać zaatakowany w następnej kolejności. Mam Aleka. On jest wszystkim, czego potrzebuję.

W nagłej chwili olśnienia Alec pojął, że Laurel używa go jak tarczy. I tyle znaczyło publiczne przyznanie się do ich związku. Według niej to było lepsze niż nieustanna obawa o kogoś, kogo kochała. Czy to jednak znaczyło, że, jej zdaniem, on lepiej potrafi dbać o siebie niż jej syn, a więc mniej ryzykuje? Albo też jest to po prostu dowód na to, że jej na nim nie zależy, bo łatwo go zastąpić kimś innym, choćby zawodowym ochroniarzem? „On jest wszystkim, czego potrzebuję.” Kilka minut temu te słowa stanowiłyby prawdziwy cud, a teraz zastanawiał się tylko, do czego naprawdę Laurel go potrzebuje.

Evan wysuwał wszystkie argumenty, jakie przyszły mu do głowy, udowadniając jednocześnie, że odziedziczył po matce wielką inteligencję i jej skłonność do poświęceń. W końcu zaczęli się lepiej rozumieć z Alekiem, nawet jeżeli stosunki między nimi wcale się nie poprawiły. Jednak Laurel nie zmieniła zdania.

Gdy Evan wreszcie odjechał, Laurel stała i patrzyła, dopóki jeszcze było widać samochód. Oczy miała smutne, minę posępną. Jednak otaczała ją wzruszająca aura spokoju. Odwróciła się do Aleka, gdy do niej podszedł.

- Robi się późno - powiedziała spokojnie. - Nie sądzę, by dziś można było jeszcze wiele zrobić. Lepiej idź do Gregory'ego, jeżeli uważasz, że powinieneś.

Alec skinął głową.

- Ostatnio za często zostawiałem go z babcią.

- Nie musisz tu wracać - dodała, spoglądając mu w oczy. - Chyba że naprawdę tego chcesz.

- Właśnie tego chcę. - Patrzył na nią, obserwując, jak popołudniowe cienie prześlizgują się po jej twarzy, malując drżące wzory światła i mroku na jej spódniczce i bluzce. Widział, że waha się, jak zareagować. W dziwnie bolesny sposób pragnął, by powiedziała mu, by nie wracał. Oczywiście nie posłuchałby jej, ale potrzebował dowodu, że jednak troszczy się o niego.

Laurel nie chciała przeciągać tej chwili. Uśmiechnęła się, a jej spojrzenie napotkało jego wzrok. Jasnym, dźwięcznym głosem powiedziała:

- A więc wracaj szybko.

Patrzyła, jak Alec oddala się na swoim motocyklu. Uświadomiła sobie, że zawsze odprowadza go wzrokiem, gdy Alec wraca do domu babci Callie. Wiedziała, że któregoś dnia odjedzie i nigdy już nie wróci. Wtedy zostanie sama w tym wielkim, pustym domu. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie dziś.

Drzwi otworzyły się i wyszła Maisie. W jednej ręce trzymała wielką torebkę, w drugiej niosła złożony fartuch. Ona już też wracała do domu. Szurając nogami, zeszła po schodkach i zatrzymała się obok Laurel.

- Nie masz nic przeciwko temu, że zostaniesz tu sama? - spytała niespodziewanie.

Laurel skinęła głową z uspokajającym uśmiechem.

Wiedząc, że gospościa doskonale zdaje sobie sprawę z nocnych bytności Aleka, dodała:

- Nie będę długo sama.

- Mogłabym jeszcze przez chwilę tu zostać. Mój staruszek w tym tygodniu pracuje do późna i mam dużo czasu, zanim będę musiała wziąć się do robienia kolacji.

- A jeżeli przyjdzie tu jakiś złoczyńca, dasz mu po głowie tą swoją wielką torbą - powiedziała Laurel z uśmiechem.

- Na pewno by go to uziemiło, biorąc pod uwagę cały chłam, jaki w niej noszę. - Maisie szybko spoważniała. - Martwię się o ciebie, kochanie. Już do tej pory otaczało cię mnóstwo podłości i jadu, ludzie gadali i mieszały się w nie swoje sprawy, ale zwykle tak się dzieje, gdy coś podnieci ich ciekawość. Jednak teraz sprawy powoli zaczynają wymykać się spod jakiegokolwiek kontroli.

- Niestety, tak - przyznała Laurel, przyglądając nerwowo włosy. - To wszystko jest takie chore, a ja nawet nie wiem, o co im chodzi.

- Na pewno nie wiesz? A może kiedyś powiedziałaś albo zrobiłaś coś, co mogło kogoś wyprowadzić z równowagi? Nie przypominasz sobie niczego takiego?

Laurel powoli pokręciła głową.

- Chyba że chodzi o jakąś sprawę związaną z Alekiem, o której ja nic nie wiem.

Maisie przez chwilę stała w milczeniu.

- Jeżeli rzeczywiście on jest powodem tego wszystkiego, to może niedobrze, że przebywa tu i w dzień, i w nocy.

- Sama mu to powiedz - zaproponowała Laurel.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Maisie zagryzła usta. - Może bym porozmawiała z Callie? Jest jedyną osobą, której zdanie Alec bierze pod uwagę.

Laurel pomyślała, że gospościa chyba ma rację.

- Nawet jeżeli tak jest, to wydaje mi się, że sprawa zaszła już za daleko, by jej interwencja mogła coś tu zdziałać. Poza tym...

- Poza tym lubisz, gdy on tu jest?

- Aż tak bardzo to widać? - spytała Laurel z irytacją.

- Zmieniłaś się. Tak bym to ujęła. - W spojrzeniu starszej kobiety była troska i sympatia. - No, dobrze, za chwilę wyjadę. Tylko proszę, bądź ostrożna. Oboje uważajcie na siebie. Po powrocie do domu zamknij porządnie drzwi.

- Na pewno to zrobię.

Maisie skinęła głową i poszła do samochodu.

- Do zobaczenia rano.

Laurel nie od razu zawróciła do domu, bo jej uwagę przyciągnęło kilka zwiędłych pąków róż. Podeszła, by je zerwać. Słyszała, jak Maisie wsiada do samochodu, który zawsze zostawiała na trawie przy skraju podjazdu. Potem usłyszała jęczenie startera. Dopiero po trzeciej nieudanej próbie Laurel spojrziała w tamtą stronę.

Maisie wysiadła ze swojego starego, wielkiego cadillaca i ze złością trzepnęła się pięścią w pulchne biodro. Laurel ruszyła w jej stronę. Przechodząc koło furtki, krzyknęła:

- Nie możesz zapalić?

- Ten cholerny rżęch znów wysiadł. Będę musiała zadzwonić po staruszkę, chociaż wróci do domu dopiero za kilka godzin.

- Mogłabym cię odwieźć - zaproponowała Laurel - ale wtedy rano nie będziesz tu miała czym przyjechać. Wątpię, by stacja obsługi przysłała kogoś jeszcze dziś.

- Och, staruszek naprawi ten złom szybciej i będzie to dla nas o wiele tańsze.

- Coś ci powiem. Weź mój samochód. Zrobisz mi przysługę, bo trzeba nim od czasu do czasu pojeździć, a

rano nim wrócisz.

- Jesteś pewna? Możesz go jeszcze dziś potrzebować.

Laurel zaśmiała się.

- Nigdzie się nie wybieram.

Musiała wysłuchać jeszcze wielu protestów, ale w końcu Maisie się zgodziła wziąć jej auto. Laurel przyniosła kluczyki i gospościa odjechała jej buickiem. Została sama.

Sama.

Bzyczenie owadów w otaczających dom lasach wydawało się bardzo głośne w absolutnej ciszy, która zapadła po odjeździe Maisie. Promienie słońca już tak nie paliły, melancholijny plusk fontanny przypominał szelest deszczu w zimowe popołudnie.

Szybkim krokiem wróciła do domu. Zamknęła frontowe drzwi i starannie przekręciła klucz.

Może godzinę później zadzwonił telefon. Laurel akurat kroїła pomidory. Zamierzała przygotować sobie lekką kolację, sałatkę i gotowanego kurczaka. Nie miała ochoty podnosić słuchawki, bo w ostatnich dniach nie zdarzyło się nic, co dawałoby nadzieję na jakąś miłą wiadomość. Jednak mógł to być Alec, Evan albo nawet Marcia. Może któreś z nich dzwoniło, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Niepokoiłoby się, gdyby nie podeszła do telefonu.

- Laurel? Tu Dan Tanning.

- Witaj, Dan. Co słyhać? - spytała uprzejmie. Wsunęła słuchawkę między ucho i ramię i wróciła do gotowania.

- Dziękuję, u mnie wszystko dobrze. Słuchaj, Laurel, nie dzwonię w celach towarzyskich. Nie chcę cię denerwować, ale zdarzył się wypadek.

Odłożyła nóż i mocno zacisnęła palce na słuchawce.

- Chyba nie Evan, albo...

- Nie, nie, chodzi o Maisie. Kilka kilometrów przed miastem jej samochód wyleciał z szosy. Jest ciężko ranna: ma złamaną nogę i obrażenia wewnętrzne. Jej lekarz wezwał pogotowie lotnicze, żeby ją przewieźli do Shreveport.

- Och, Dan! Wyjdzie z tego?

- Nie wiem, ale uparła się, że nie da się zabrać do tamtego szpitala, póki z tobą nie porozmawia.

- Niestety, nie mam samochodu.

- Wiem. Boże, Laurel, mało nie oszalałem, gdy zobaczyłem twojego starego buicka wpasowanego w drzewo. Jeden z moich zastępców już po ciebie jedzie. Będzie za pięć minut.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Teraz nie można, tam wchodzić - powiedział Dan. Spotkali się na korytarzu przed izbą przyjęć. - Lekarze rozmawiają z Maisie i jej mężem. Zaczekaj tutaj. Przyniosę ci kawę.

- Bardzo z nią źle? - spytała cicho Laurel, gdy Dan prowadził ją do poczekalni.

W oczach szeryfa był smutek, jakby widział już zbyt wiele tragedii.

- Mówią, że ustabilizowali jej stan.. Jest przytomna i to są jedyne dobre wiadomości. Wiesz, ona nie jest młoda...

- Chciała w przyszłym roku odejść na emeryturę, w tym samym czasie, co jej mąż. - Laurel zacisnęła usta, oddychała głęboko, a oczy paliły ją od zbierających się pod powiekami łez. - To moja wina. Powinnam była sama odwieźć ją do domu.

- Wtedy obie byłybyście ranne.

Odwrócił się gwałtownie i ruszył do automatu z kawą, stojącego w kącie pokoju. Wrócił chwilę później z dwoma styropianowymi kubkami. Kawa była gorzka, ale gorąca, rozgrzewała Laurel od wewnątrz, pozwoliła opanować dreszcze.

- Co się właściwie stało? - spytała. - Twój zastępca powiedział mi, że chodziło o jakieś kłopoty z kierownicą.

- Zacisk przewodu układu wspomagającego kierownicy się obłuził i cały ten lepki płyn trysnął na przednią szybę. Maisie nic nie widziała, no i oczywiście kierownica najpierw chodziła za luźno, a potem prawie nie dało się nią poruszyć. Może nic by się nie stało, gdyby Maisie miała szybszy refleks albo była na prostym odcinku drogi, ale między miejscem wypadku a twoim domem są same zakręty. Wpadła w panikę, straciła kontrolę nad samochodem i uderzyła w drzewo.

Laurel spojrzała w napięciu na szeryfa.

- Przez długi czas ten samochód był prawie nieużywany.

- Maisie powiedziała, że w zeszłym tygodniu Alec Stanton zrobił przegląd.

- Może coś przeoczył - odparła szybko Laurel, słysząc wyraźną insynuację w tonie szeryfa. Wlepił spojrzenie w swój kubek z kawą. Zaciśnął na nim palce tak mocno, że aż powstało w nim wgłębienie.

- Dostałem informacje z Kalifornii.

- I? - Serce waliło jej mocno, gdy czekała na odpowiedź.

- Zabił ją.

Nie potrzebowała pytać, o kogo chodzi. Poczua się nielojalna w stosunku do Aleka, ale jednak musiała to wiedzieć.

- Jak? Co się stało?

- Podał jej środki przeciwbólowe. Podczas autopsji okazało się, że otrzymała ogromną dawkę. Umierała, ale nie dość szybko, więc jej pomógł. Byli małżeństwem od siedmiu miesięcy.

Laurel poczuła, jak ogarnia ją chłód.

- Więc dlaczego nie siedzi w więzieniu?

- Nie zebrano wystarczających dowodów. Lekarstwa zostały zapisane dla niej. Najprawdopodobniej zbierał te pigułki przez kilka tygodni, czy nawet miesięcy. - Dan wzruszył ramionami. - Jego adwokat próbował udowodnić, że sama je gromadziła i popełniła samobójstwo.

Nie zwracając uwagi na ironiczny ton głosu Dana, Laurel spytała:

- Czy odbył się proces?

- Nie z powodu morderstwa. Potem jednak urządzono wielki cyrk z procesem cywilnym. Spadkobiercy żony nie byli specjalnie zadowoleni, gdy okazało się, że zostali wysiudani z posiadłości. Możesz to sobie wyobrazić: odebrał im ją ogrodnik, dzieciak, którego ich mama przyjęła do domu z dobroci serca. Oskarżyli go o spowodowanie śmierci matki i zażądali niebotycznego odszkodowania. Nie uzyskali korzystnego wyroku, ale w końcu nikt nie wygrał prócz adwokatów, którym przypadło najwięcej pieniędzy.

- Ale to jeszcze nie dowodzi, że Alec był winny!

- Boże, Laurel! - wykrzyknął Dan z rozgoryczeniem. - Zastanów się! Mężczyzna żeni się z bogatą wdową, starszą od niego o ponad trzydzieści lat, a potem ona zaraz umiera w podejrzanych okolicznościach. Jak myślisz, co się tam mogło wydarzyć?

- Jeżeli była taka chora, dlaczego po prostu nie zaczekał?

- Pewnie zabrakło mu cierpliwości. Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? Ale na twoim miejscu nie przyjąłbym jego oświadczeń.

Oświadczyły? Laurel sztywno się wyprostowała, bo po jej kręgosłupie przebiegł dreszcz,

- Nie jestem bogata. Dużo mi do tego brakuje.

- W porównaniu z czym? Albo raczej z kim? Ivywild jest sporo warte. Poza tym byłbym bardzo zdziwiony, gdybyś zdążyła wydać choć ułamek tego, co Howard miał w banku i co dostałaś z bardzo wysokiego ubezpieczenia na życie, które opłacał.

- Nie wiedziałam, że moje sprawy finansowe są tak ogólnie znane - odparła z niesmakiem.

- W Hillsboro wszyscy orientują się w sytuacji finansowej sąsiadów - powiedział Dan ze znużeniem. - Założyłbym się, że wiesz doskonale, ile zarabiam rocznie.

Rzeczywiście, wiedziała, ile zarabia szeryf. Odwróciła od niego wzrok.

- Sama widzisz. Dla oszusta bez grosza przy duszy stanowisz łakomy kąsek. Przemysł to sobie. Bardzo cię o to proszę. Po prostu przemysł. - Dopił kawę i wrzucił kubek do kosza na śmiecie, a potem ruszył do drzwi.

- Idę dowiedzieć się, czy Maisie może już z tobą porozmawiać.

Och, Alec! Laurel z bólem myślała o tym, przez co musiał przejść w Kalifornii, ale jednocześnie była zaniepokojona. To, co mówił Dan, brzmiało tak prawdopodobnie. Tak logicznie.

Głośny warkot zasygnalizował zbliżanie się helikoptera pogotowia lotniczego. Musi iść do Maisie.

Zostawiła kubek z kawą na stole i wyszła na korytarz. Dan machał do niej ręką.

- Tędy, za zakretem.

Nosze, na których leżała gospoia, ustawiono przy tylnych drzwiach szpitala, wychodzących na lądowisko helikoptera. Były opłatanie rurkami i kablami do monitorów jak bożonarodzeniowymi girlandami. Nad noszami pochylało się kilka osób: lekarz, dwie pielęgniarki i dwóch asystentów. Mąż Maisie, wysoki, chudy jak tyka mężczyzna z czarnymi obwódkami pod paznokciami, opierał się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi i opuszczoną głową.

Lekarz wyszedł Laurel na spotkanie.

- Pani Bancroft, proszę nie rozmawiać długo i nie denerwować pacjentki. Niech pani zachowa spokój. Podniecenie może jej bardzo zaszkodzić.

Laurel skinęła głową, ale zaraz przestała zwracać uwagę na lekarza. Zobaczyła, że Maisie otwiera oczy i wyciąga do niej rękę, szepcząc jej imię. Lekarz odstąpił na bok. Na drżących nogach podeszła do noszy i

ostrożnie chwyciła zimne palce gosposi. Ogarnęło ją nagłe przerażenie, odbierając zdolność myślenia. Bała się tego, co Maisie może powiedzieć.

- Och, Laurel, kochanie, tak się cieszę, że przyjechałaś - powiedziała Maisie. Oczywiście miała ogromne, źrenice rozszerzone od środków przeciwbólowych, które już krążyły w jej krwiobiegu. - Bałam się, że nie będziesz mogła, zanim...

- Ale już jestem - wpadła jej w słowo, starając się mówić cicho i spokojnie. - Jestem tu. Czy chciałaś mi coś powiedzieć i dlatego prosiłaś, żebym przyjechała?

Maisie leciutko skinęła siwą głową.

- To miałaś być ty, nie ja. Ty miałaś jechać samochodem. Myślałam o Sticksie i Aleku, zastanawiałam się nad listami i tym wszystkim. Musisz bardzo na siebie uważać.

- Wiem i będę ostrożna - odpowiedziała odruchowo, nie bardzo wiedząc, co mówi. Warkot helikoptera był coraz głośniejszy. Jego trójkątny cień padł na betonowe lądowisko, a obracające się śmigła chłostały powietrze.

Maisie przyciągnęła Laurel bliżej. Drżała tak mocno, że nosze niemal zatańczyły na swoich kołach. Zadyszany, cichym głosem powiedziała:

- To ma związek z innym morderstwem. Słyszałam, jak ludzie szeptali, ale nie zwróciłam na to uwagi. A powinnam była.

Lekarz podszedł bezszelestnie w swoich butach na gumowych podeszwach.

- Wystarczy, pani Bancroft. Już ją zabieramy.

Laurel spojrzała na niego i odstała o krok.

Pielęgniarki zwolniły hamulce noszy, zakrzętały się wokół kroplówek i monitorów. Mąż Maisie podszedł do szklanych drzwi i otworzył je.

Ale Maisie nie puściła ręki Laurel. Trzymała ją z rozpaczliwą siłą, nawet wtedy, gdy nosze zaczęły się toczyć.

- Idź do Callie - powiedziała z prośbą w oczach. - Była pielęgniarką, wie więcej, niż się wydaje. Jeżeli jej powiesz, że ja ją o to prosiłam, porozmawia z tobą. Zrób to od razu. Słyszysz?

Mrucząc jakieś obietnice i ściskając jej po raz ostatni rękę, Laurel odeszła na bok. Wydawało jej się, że Maisie jest teraz spokojniejsza. Potem personel medyczny otoczył nosze i straciła z oczu bladą okrągłą twarz. Chwilę później Maisie odleciała śmigłowcem.

Laurel powoli się odwróciła. Tłamsząc w sobie ból spowodowany podejrzeniami Maisie, ruszyła korytarzem. I zastygła jak posąg.

Alec. Stał przed nią, wysoki, silny i wściekły, z kaskiem motocyklowym w ręce. Oczywiście miał tak samo gniewne i głodne jak smok wytatuowane na ramieniu. Szyderstwo i złość wyzierały z każdej linii jego wspaniałego ciała. Albo słyszał, co mówiła Maisie, albo może Dan, który stał niedaleko, z ręką na kaburze pistoletu, coś powiedział. Nie trzeba było wiele. Nie Alekowi.

- Jechałem do domu, gdy zobaczyłem, jak wyciągają twojego buicka z rowu - powiedział, wpijając spojrzenie czarnych oczu w jej twarz. - Drzwiczki po stronie kierowcy były wgniecione, na siedzeniu widziałem krew. Pomyślałem - dodał cicho - że to ty tam byłaś.

Laurel westchnęła.

- Och, Alec, tak mi przykro. Słyszałeś już o Maisie?

- Tak.

- Gdy zadzwonił Dan, myślałam tylko o niej. Nie przyszło mi do głowy, że ty...

- Już dobrze - powiedział gwałtownie. - Dokąd teraz jedziesz?

- Nie zastanawiałam się nad tym. - Potarła skronie, w których zaczynała odczuwać ból. - Chyba do domu.

Dan podszedł i stanął między nimi. Zwrócił się do Laurel i wykorzystując całą swoją władzę, oznajmił:

- Ja cię odwiozę.

- Mam tu motocykl - sprzeciwił się Alec. Nie prosił, nie żądał, nawet nie obiecywał komfortowej jazdy czy bezpieczeństwa. Nie wyciągnął ręki, tak jak to zrobił Dan. Czekał tylko, stojąc ze sztywno wyprostowanymi ramionami i nogami w szerokim rozkroku. Mimo to Laurel czuła, że siłą swojej woli przyciąga ją jak stalową liną, coraz bliżej i bliżej, i wcale nie była pewna, czy chce się uwolnić.

- Wolę motocykl - powiedziała, nie patrząc na Dana. - Przewietrzę głowę, oczyszczę myśli.

- Laurel, jesteś pewna? - Szeryf wsparł obie ręce na szerokim pasie z kaburą. Był to błąd, bo w ten sposób pokazał plamy potu pod pachami.

Niepewnie się do niego uśmiechnęła.

- Chyba tak. Widzisz, chcę sama pewne rzeczy sprawdzić.

- Więc nie miej do mnie pretensji o to, co się może stać.

- Nawet by mi to nie przyszło do głowy - odparła. Podeszła do Aleka i wzięła go pod rękę.

Mężczyźni wymienili długie, ostrzegawcze spojrzenia. Potem Alec zdjął rękę Laurel ze swojego ramienia i splótł swoje palce z jej palcami. Mocno je trzymał, gdy odwrócił się i pociągnął ją do wyjścia.

Jazda do Ivywild nie trwała długo. Gdy dojechali na miejsce, Laurel dopiero zdołała otrząsnąć się z żalu i uspokoić rozbiegane myśli. Gdy otworzyła drzwi, chwycił ją za ramię i nie pozwolił wejść.

- Zaczekaj - polecił. Wszedł sam, ostrożnie zaglądał do ciemnych pokoi, a gdy po chwili wrócił, zapalił światło. - Wydaje się, że wszystko jest w porządku.

Laurel poszła prosto do kuchni. Zaparzyła kawę, ale zaraz sobie przypomniała, że Alec jej nie pija, więc wyjęła butelkę burbona. Potrzebowała czegoś dla dodania sobie odwagi, a także na uspokojenie wzburzonych nerwów. Po chwili Alec też przyszedł i zatrzymał się w drzwiach.

- Zostaw - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Nie będę pił. Wolę, byś pamiętała, że byłem trzeźwy, gdy ci się spowiadałem, oraz że zrobiłem to z własnej woli.

Laurel bardzo ostrożnie odstawiła butelkę na stół i skrzyżowała ręce na piersi, by jakoś się pozbierać.

- Nie jestem pewna, czy chcę tego słuchać.

- Myślę, że będziesz musiała. Płacenie za własne błędy to jedna sprawa, ale gdy ktoś robi ze mnie kozła ofiarnego, to już zupełnie coś innego.

- Jak myślisz, kto to wszystko inscenizuje? - Odwróciła się do niego twarzą, mocno wsparłszy się plecami o blat.

- Dobre pytanie. Możemy się potem nad tym zastanowić, ale najpierw trzeba kilka rzeczy wyjaśnić.

- Dotyczących twojej żony - szepnęła Laurel.

- Dotyczących mojej żony - powtórzył. - To długa historia. Chcesz poznać pełną wersję czy skróconą?

Wpatrywał się w nią nieruchomym, przerażającym wzrokiem. Laurel odwróciła spojrzenie.

- Powiedz tyle, ile chcesz.

- Nie jestem pewny, ile już zdążyłaś usłyszeć od Gregory'ego. Wiesz, że po śmierci mamy zamieszkaliśmy w posiadłości Chadwicków, bo pani Chadwick wzięła nas pod opiekę, prawda? - Gdy szybko skinęła głową, kontynuował: - Najbardziej ją ujęła Mita, moja mała siostrzyczka. Wydaje mi się, że kupowanie jej ubrań i wysyłanie do szkoły sprawiało pani Chadwick prawdziwą przyjemność. Mita była mądrym, słodkim dzieckiem. Nadal zresztą taka jest.

Wyraz dumy, jaki przemknął mu przez twarz, wzruszył Laurel bardziej, niż mogłyby ją wzruszyć gorące zapewnienia o miłości do siostry.

- Mita jest teraz lekarką, prawda?

- Tak, pediatrą. Dobrze pamiętała swoje dzieciństwo, kiedy podczas choroby nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Potem już zajęła się nami pani Chadwick.

- Tak ją nazywałaś, nawet po ślubie? Pani Chadwick? - Laurel nie była pewna, czy jej pytanie wynika z ciekawości, czy też stawia je, by jeszcze przez chwilę nie słyszeć tego, czego najbardziej się obawiała.

- Przez długi czas, nim została moją żoną, była moją pracodawczynią i dobrodziejką.

- Rozumiem cię.

- Wątpię - stwierdził w napięciu. - To nie było tak, jak myślisz i jak wszyscy myśleli. Nie utorowałem sobie drogi do jej łóżka, nie pochlebiałem jej ani nie namawiałem, nie działa się nic takiego, co ludzi bawi, gdy myślą o młodym mężczyźnie poślubiającym starszą kobietę. Dużo ze mną przebywała, mieliśmy zwyczaj rozmawiać codziennie przy podwieczorku - podawała go na lnianych serwetkach, używając srebrnej zastawy i chińskiej porcelany, tak elegancko, jak tylko możesz sobie wyobrazić. Byliśmy przyjaciółmi. Potem, pewnego dnia, zawołała mnie na patio. Była u lekarza i dowiedziała się, że ma przed sobą tylko kilka miesięcy życia. Najwyżej rok. Nie chciała zostawiać swojego majątku dzieciom, które nigdy jej nie odwiedzały i nie obchodziło ich, czy ich matka żyje, czy nie. Bała się jednak, że będą stwarzać problemy, jeśli spíše testament na korzyść moją i Mity. Gdybym się jednak z nią ożenił, nikt nie mógłby podważyć jej zapisu, a poza tym mogłaby już zacząć mi przekazywać niektóre rzeczy. Na dodatek potrzebowała kogoś, kto by się nią opiekował, gdy nadejdzie dzień, kiedy nie będzie już mogła sama się obsłużyć.

- I zgodziłeś się.

Alec splótł ręce.

- To była tylko prawna umowa. Nigdy nie dzieliliśmy łóżka i nigdy nie spaliśmy razem. Po pierwsze, pani Chadwick była ciężko chora, a, po drugie, była dla mnie matką, i to dużo lepszą od tej, która mnie urodziła, dlatego gdyby coś się między nami jednak wydarzyło, miałoby to posmak... historii Edypa.

Laurel cicho westchnęła w nagłym zrozumieniu. Alec patrzył na nią przez chwilę, potem jego głos stwardniał.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że odmówiłbym, gdyby nalegała, przecież tyle jej zawdzięczałem, ale to nie była tego rodzaju kobieta, którą zadowoliliby jedynie wdzięczność, niezależnie od tego, jak gorąco bym ją wyrażał. A ja w tym czasie byłem za młody, by potrafić udawać coś więcej.

Laurel przez sekundę zastanawiała się, czy teraz by potrafił. Jednak zadanie takiego pytania nie byłoby ani uprzejme, ani rozsądne.

- I co się stało? - spytała spiesznie.

- Potem, któreś nocy, gdy byliśmy po ślubie jakieś pół roku, a ona nie mogła już wytrzymać bólu, przyszedł czas na odwdzięczenie się jej za wszystko, co dla nas zrobiła. Poprosiła mnie, bym ją zabił.

- Zabił ją? - Laurel powtórzyła jego słowa, bo wypowiedział je tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze rozumiała. Jednak odczytała odpowiedź w jego nagle pobladłej twarzy.

- A ty co zrobiłeś? - szepnęła. Alec westchnął, oparł się plecami o framugę drzwi i pochylił głowę.

- Chciałem to zrobić, naprawdę chciałem. Potrafisz mnie zrozumieć? Chciałem położyć kres bólowi, którego nie mogła już wytrzymać, a także mojemu czuwaniu przy niej w dzień i w nocy, całej tej męce. To by było takie łatwe. Uczyłem się u pana Wu sztuk walki, znałem każdą sztuczkę, jakiej mógł mnie nauczyć, a także kilka innych, które poznałem w gorszych dzielnicach. Mały nacisk w odpowiednim miejscu i byłoby po wszystkim. Nawet niczego by nie poczuła. I nie zostałyby żaden ślad. - Zamilkł. - Ale nie mogłem. Po prostu nie mogłem.

Laurel wypuściła powietrze z płuc. Ten dźwięk był bardzo wymowny. Poczwała ogromną, wręcz obezwładniającą ulgę.

- Dzięki Bogu - szepnęła.

Spojrzał na nią, twarz miał absolutnie bez wyrazu.

- Co za zaufanie! - stwierdził krótko. - Jeżeli jestem taki dobry, odgrywając rolę mordercy, może powinienem zacząć występować w telewizyjnych pokazach wrestlingu?

- A może powinieneś powiedzieć mi, jak naprawdę umarła twoja żona? - Jeżeli nawet przedtem myślała, że w skrajnej sytuacji, na prośbę umierającej osoby, Alec potrafiłby jednak zabić, teraz wierzyła, że jest tak niewinny, jak utrzymuje. Tak więc albo jest idiotycznie naiwna, albo miłość rzeczywiście jest ślepa.

- Pani Chadwick była stanowczą kobietą - kontynuował Alec ze smutkiem. - Czasami mi ją przypominasz. Gdy zorientowała się, że albo nie mogę, albo nie chcę pomóc jej rozstać się z tym światem, zaczęła zbierać leki przeciwbólowe. Składała je w szufladzie nocnej szafki. Któregoś wieczoru uznała, że ma już ich dosyć. Wezwała do domu panienkę z salonu piękności, kazała sobie umyć głowę, zrobić manikiur i makijaż. Potem wzięła długą, aromatyczną kąpiel i włożyła różową jedwabną koszulę nocną. Po kąpeli napisała dwa pożegnalne listy: jeden do mnie, a drugi do swoich dzieci. A gdy już to wszystko zrobiła, zażyła zaoszczędzone pigułki i położyła się do łóżka. Koszulę nocną ułożyła w piękne fałdy, ręce złożyła na piersi jak jakaś średniowieczna królowa na sarkofagu. Gdy poszedłem do niej zajrzeć, była... - Alec zamilkł i odwrócił głowę. Mięśnie twarzy napięły mu się tak, że pod skórą widać było twarde kule.

- Kochałeś ją - powiedziała miękko Laurel. Nerwowo wpackował ręce do kieszeni spodni.

- Nie tak, jak ci się wydaje.

- W ogóle nie myślałam o tym - zapewniła go. - Po prostu... pomyślałam, że było między wami coś więcej, niż powiedziałeś.

- Była zawsze taka miła - odparł Alec, patrząc na Laurel tak, jakby ją nakłaniał, by próbowała doszukać się czegoś nienaturalnego w wydarzeniach, o których opowiadał. - Nauczyła mnie mówić poprawnie, jeść widelcem i nożem, cenić piękne rzeczy i rozpoznawać dobro, gdy je napotykałem. Pozwoliła mi i Micie mieszkać u siebie, gdy nie mieliśmy gdzie się podziać. U niej byliśmy bezpieczni. Mogliśmy być razem. Ubierała nas, posiała do szkoły, nauczyła szacunku dla siebie samych i spowodowała, że rzeczywiście staliśmy się godni szacunku, czego nie doznaliśmy nigdy przedtem. Patrzyłem na nią tak, jak głupi wieśniak w dawnych czasach mógł patrzeć na jakąś piękną damę, która okazała mu dobroć. Nie wstydzę się przyznawać do tego i nie żałuję niczego. Może tylko tego, że nie potrafiłem zrobić dla niej tej jednej jedynej rzeczy, o którą mnie poprosiła.

- Jeżeli była taka, jak mówisz, na pewno poczuła dumę, że nie możesz się na to zdobyć - stwierdziła Laurel. - Zresztą i tak bez trudu sama sobie poradziła.

- Wiedziałem, co chce zrobić - przyznał się Alec, a jego głos brzmiał jak lód pękający pod stalowym walcem. - Znalazłem zapas pigułek na wiele tygodni przed jej śmiercią, ale zostawiłem je na miejscu. Wykupywałem receptę tak często, jak tylko się odważyłem, i podawałem jej lekarstwa częściej, niż kazał lekarz. Nie chciałem, żeby tak bardzo cierpiała.

- Nie wiedziałeś, czy naprawdę się na to zdecyduje.

Rzucił jej spojrzenie pełne zadawnionego żalu.

- Wiedziałem - powiedział, akcentując mocno to słowo. - Mogłem ją powstrzymać, ale nie zrobiłem tego. Jeżeli więc jestem winny jej śmierci, no to niech tak będzie, ale ani przez chwilę niczego nie żałowałem.

Tak więc teraz Laurel poznała całą historię. Spodziewała się, że będzie go potępiać, ale żadne tego rodzaju uczucie w niej się nie obudziło. Oczywiście, sama nie mogła rzucić w niego kamieniem, bo ciążyła na niej

jej własna wina, z którą musiała sobie radzić. Na ogół łatwo wydaje się sądy o czyimś postępowaniu, ale przecież nikt nie może z całą pewnością stwierdzić, czy ten ktoś postąpił słusznie, czy nie, póki sam nie znajdzie się na jego miejscu.

- Opowiedz mi o procesie - poprosiła. Alekowi aż zakręciło się w głowie.

- Wierzysz mi - powiedział ze zdumieniem.

- Tak.

- Tak po prostu?

- Przecież powiedziałeś prawdę? - Laurel poczuła, jak z emocji palą ją policzki.

- Całkowitą, ale spodziewałem się... Myślałem, że będę potrzebował więcej czasu, by cię przekonać.

Laurel osłoniła oczy rzesami, bojąc się, co mógłby w nich zobaczyć, gdyby przyjrzał się bliżej.

- Mimo to chcę usłyszeć resztę.

Popatrzył na jej bladą twarz, przesunął wzrokiem po rękach, które ciągle jeszcze lekko drżały, a potem wbił spojrzenie w blat, na którym stała miska z sałatką, którą Laurel szykowała, gdy zadzwonił szeryf, by ją powiadomić o wypadku Maisie.

- Nie jadłaś kolacji, prawda? - powiedział. - Zjedz coś, a ja w tym czasie opowiem ci wszystko do końca.

- Chybabym nic nie przelknęła, ale mogę ci przygotować kanapkę.

- Już jadłem. Zmus się.

- Naprawdę nie mogę. - Gdy nadal patrzył na nią nieubłaganie, odwróciła się z irytacją. - Och, no dobrze. Ale chcę poznać wszystkie szczegóły tej historii. Wszystkie, rozumiesz?

Kończąc przygotowywanie sałatki, słuchała uważnie. Potem usiadła i bez apetytu zaczęła jeść. Tymczasem Alec opowiadał jej ponurą historię o ludziach, którzy kierowali się wyjątkowym skapstwem. Gdy dorosłe dzieci pani Chadwick nie zdołały zmusić prokuratora, by oskarżył Aleka o morderstwo, zrobiły, co w ich mocy, żeby przynajmniej nie mógł skorzystać z pieniędzy, które odziedziczył po ich matce. Proces był długi i nieprzyjemny. Prasa brukowa rozkoszowała się każdym skandalicznym szczegółem. Rozpisywano się o starszej, bogatej kobiecie i jej młodym kochanku, nazywano go „Kochankiem Lady Chadwick”<sup>\*</sup>, czego zresztą w tej sytuacji można się było spodziewać. Ostatecznie sąd wydał wyrok na korzyść Aleka i testament nie został obalony, ale - tak jak to powiedział Dan - korzyść odnieśli przede wszystkim prawnicy. Alec musiał sprzedać posiadłość, by zapłacić ich honoraria. To, co mu zostało, przeznaczył na studia jego i Mity, a potem także na pomoc Gregory'emu.

Słyszając ból w jego głosie, Laurel zrozumiała, jak bardzo była mu wstrętna ta cała brukowa sława, a także utrata szacunku, o którym z takim naciskiem przedtem mówił. Pomyślała też, że jego niekonwencjonalny wygląd i zachowanie to reakcja na cały ten brud i podejrzenia, z jakimi musiał się zmagać, podobnie jak w tym przysłowiu o psie, który staje się taki, jak go traktują. Ze smutkiem myślała o upokorzeniu, przez jakie musiał przejść, bo przecież nikt nie stanął po jego stronie ani nikt mu nie pomógł.

Przynajmniej nie musiała iść do pani Callie, by spytać ją o szczegóły, tak jak o to prosiła Maisie. Już wiedziała wszystko, co musiała.

- Powiedziałeś, że spadkobiercy pani Chadwick mogli mieć coś wspólnego z tym, co się tu dzieje - odezwała się po dłuższej chwili. - Czy miałeś jakiś powód, by tak myśleć?

Alec skrzywił się z niesmakiem.

- Oni lubią atakować podstępnie. Gdyby spowodowali kłopoty, za które obwiniono by mnie, lub straciłbym dobrą pracę, byłiby uszczęśliwieni. Tak długo specjalizowali się w utrudnianiu mi życia, że chyba się do tego przyzwyczaiłem i teraz widzę ich na każdym kroku.

- To ma sens, ale Hillsboro leży daleko od Kalifornii.

Alec skinął głową.

- Byłem tak zapatrzony w swoje kłopoty z przeszłości, tak się bałem, że przeze mnie tobie stanie się krzywda. Potrzebowałem trochę czasu, by się zorientować, że to ty możesz stanowić główny cel.

Laurel odłożyła widelec z kawałkiem pomidora, który właśnie podnosiła do ust.

- A teraz okazuje się, że ktoś może przeze mnie wyrządzić krzywdę tobie - powiedziała zdenerwowana.

- To nie ma żadnego znaczenia. - Patrzył na nią z natężeniem, chociaż słowa były wypowiedziane lekkim tonem.

- Może nie dla ciebie - oświadczyła stanowczo. Jej niebieskie oczy pociemniały. - Jednak dla mnie to zmienia wszystko.

---

\* Aluzja do słynnej skandalizującej powieści „Kochanek Lady Chatterley” brytyjskiego pisarza Davida Herberta Lawrence’a (wyd. 1928), opisującej romans pani z wyższych sfer z gajowym zatrudnionym w majątku jej kalekiego, niezdolnego do wypełniania małżeńskich obowiązków męża (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Na werandzie było już ciemno. Alec siedział na huśtawce, jedną nogą odpychał się od ziemi, nie zwracając uwagi na skrzywienie zardzewiałych łańcuchów. Rozmyślał nad tym, co powiedziała Laurel. Jej zdaniem fakt, że cierpiał z powodu własnych decyzji, to jedna sprawa, ale zupełnie czym innym byłoby, gdyby miał cierpieć dla dobra Laurel. A przynajmniej tak to zrozumiał. Ślad troski o niego, którą wyczuł w pokrętej logice Laurel, wzbudzał w nim dziwne, niemal już zapomniane uczucia. Zaczęła rodzić się w nim nadzieja.

Laurel była w domu. Mówiła, że ma zamiar się wykąpać, ale przed chwilą słyszał, jak rozmawiała przez telefon. Sprawdził wszystkie okna i drzwi, potem zrobił obchód ogrodu i oczyszczonego z zarośli terenu wokół domu. Przez jakiś czas stał między drzewami, nasłuchiwał i obserwował, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Jeżeli czegoś nie przeoczył, na razie nie mieli niepożądanego towarzystwa.

Teraz, siedząc na huśtawce, jeszcze raz przebiegł czujnym spojrzeniem po otoczeniu. Odruchowo zaczął się odpychać mocniej. Z całych sił starał się zachować czujność, ale nie było to łatwe, bo wszystkie jego myśli zaprzętała Laurel. Nigdy nie zapomni sposobu, w jaki słuchała tego, co miał jej do powiedzenia, nie okazując najłżejszego nawet obrzydzenia, nie wygłaszając pełnych zgorznięcia komentarzy, nie odsuwając się od niego. Zrozumiała go.

Nie był na to przygotowany i teraz nie potrafił sobie poradzić z przepelniającymi go uczuciami. Spodziewał się, że będzie musiał wytoczyć każdy możliwy argument na swoją obronę, tak, by Laurel potrafiła spojrzeć na tę trudną i zagmatwaną sprawę z jego punktu widzenia. Nie zdziwiłby się, gdyby po prostu pokazała mu drzwi.

Była naprawdę wyjątkową kobietą. Potrafiła wznieść się ponad własne tragiczne doświadczenia i zrozumieć przeżycia innych ludzi, była też zdumiewająco tolerancyjna. Wszystko wyjawiał jej bez ogródek, a ona nie okazała żadnej niechęci ani wobec tego, co jej opowiedział, ani wobec niego samego. Po prostu uwierzyła mu na słowo.

Możliwe, że stało się tak częściowo dlatego, że zależało jej na nim, chociaż nie miał odwagi w ten sposób o tym myśleć. W końcu nigdy nic takiego mu nie powiedziała, jednak najwyraźniej mu ufała, a wdzięczność, jaką dla niej odczuwał, narastała w nim jak okrzyk triumfu. Teraz czuł, że bez wahania ofiarowałby jej wszystko, o co by go poprosiła, żadne poświęcenie nie wydawałoby mu się zbyt wielkie. Zasługiwała na wszystko, co mógł jej dać.

Kochał ją bezgranicznie, każdym uderzeniem swego serca. Była jedynym celem jego życia, jego szczęściem, jego światłem, spokojnym oceanem, po którym płynęła jego dusza. Była dla niego słońcem i księżycem, słodkim marzeniem, łagodnym wietrzykiem i zapachem staroświeckich róż. Będzie jej bronił do ostatniego tchu i gotów jest dla niej zginąć.

Lub umrze z miłości do niej, bo pragnął jej z gwałtowną zachłannością. To pragnienie odbierało mu siły i rozpałało umysł szaleńczymi obrazami. Chciał istnieć tylko z nią, widzieć ją i czuć na ustach jej smak, pieścić i tulić, poznać każdy centymetr jej ciała. Pragnął, by ich serca były zgodnym rytmem, a dusze połączyły się w jedno.

Postanowił, że pójdzie do domu i wyciągnie Laurel z wanny, całą śliską i mokrą, by kochać się z nią na wilgotnych kafelkach łazienki, albo pomoże jej się wytrzeć, zbierając ustami kropelki wody z jej pleców i brzucha. Albo nie pozwoli jej nałożyć koszuli nocnej, rozpuści długie włosy, chwyci je w garść i przyciągnie ją do siebie...

Siatkowe drzwi zatrzeszczały i otworzyły się. Cień Laurel, rzucony na podłogę werandy przez palącą się z tyłu lampę, poruszał się i falował, gdy przekraczała próg. Szła do niego, ubrana w nocną koszulę i kaftan, okryta peleryną długich włosów kołyszących się w rytm delikatnych, posuwistych kroków. Wydawała się taka niewinna, a jednocześnie uwodzicielska...

- Co tu robisz? - spytała, gdy przytrzymał huśtawkę, podczas gdy ona siedziała koło niego, podwijając bosc nogi, okrywając je koszulą.

- Myślę. - Nic więcej nie zdołał powiedzieć.

- O czym?

- No... o paru rzeczach - powiedział cicho. Nie potrafił zrozumieć wszystkich skomplikowanych pragnień, które ta kobieta w nim wzbudzała, a bał się, że każda próba poradzenia sobie z tym może go pchnąć do jakichś nagłych i prymitywnych działań, których Laurel mogłaby nie zaakceptować. Znow zaczął się bujać na huśtawce, która sunęła równomiernie w przód i w tył, w przód i w tył.

- Na przykład o tym, dlaczego ludzie robią to, co robią, a także o uczuciach i wydarzeniach z przeszłości, które ich do tego skłaniają?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział z iskierką rozbawienia w głosie. - Ty też o tym myślałaś?

- Tak. - Leciutko się zawahała, ale zaraz zaczęła mówić dalej: - Dzwoniłam przed chwilą, żeby dowiedzieć się o Maisie. Powiedzieli, że dobrze zniosła lot i teraz też nieźle się trzyma.

- To wspaniale. Babcia się ucieszy, gdy to usłyszysz. - Alec zatelefonował wcześniej do Callie i opowiedział jej o wypadku. Nie chciał, by dowiedziała się o nim od żadnych sensacji plotkarzy.

Włosy opadały Laurel na ramiona, lśniły w mroku, migotały w rytm poruszeń huśtawki.

- To okropne, że Maisie jechała moim samochodem - powiedziała z żalem, biorąc głęboki oddech. - Mogła zginąć.

- Albo ty...

- Może dlatego czuję się taka... żywa. Czy to nie wydaje się dziwne?

Alec odwrócił głowę, by na nią spojrzeć, zaalarmowany tym, co usłyszał w jej głosie.

- To całkiem naturalne. Natura ma swoje sposoby, by zmusić nas do doceniania tego, co mamy, oraz byśmy od czasu do czasu uświadomili sobie, że życie jest piękne.

- Jestem trochę cyniczna, nie uważasz?

- Dlaczego? Przecież to nie znaczy, że się nie przejęłaś tym wypadkiem. Zresztą, co właściwie miałabyś teraz robić? Bić się w piersi i jęczeć? Nie wiem, w czym by to miało komukolwiek pomóc.

- Masz rację, ale jednak nie powinnam się czuć tak...

Umilkła i zapadła cisza. Księżycowe światło oblewało ogród, fontanna melodyjnie pluskała, wtórował jej szepcący nocny wiatr. Od woni lonicery, róż i słodkiego, gorącego zapachu kobiety Alekowi mąciło się w głowie.

Przesunął wzrokiem po twarzy Laurel, po wdzięcznym łuku szyi, aż do piersi. Bez trudu dojrzał, jak bardzo jest spragniona miłości.

- A co ty czujesz? - spytał głębokim, spokojnym głosem. - I czego chcesz? Powiedz mi. Albo pokaż. Obiecuję, że nie będę przez to myślał o tobie gorzej, i na pewno cię nie zawiodę. O cokolwiek poprosisz, dam ci to z największą radością.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. W jego głosie było tyle zrozumienia... Słodki żar rozlał się po niej całej.

- Naprawdę mam ci powiedzieć?

- Proszę - odrzekł szorstko, chrypliwie. Poczula ucisk w gardle. Wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy Aleka. Przesunęła palcami po twardych płaszczynach i mocnych krawędziach jego brody. Przeniosła dłoń na ramię i rozpostarła rękę w miejscu, w którym, jak wiedziała, wytatuowany smok leżał w zwojach między sercem i miękką bawełnianą koszulką Aleka. Potem, chwytając go za koszulkę, by nie stracić równowagi, uklękła na huśtawce i przełożyła jedną nogę przez jego kolana.

- A co myślisz o tym? - spytała cicho, gdy już się wygodnie umościła.

- Powiem ci, gdy odzyskam oddech - sapnął. Odepchnął się nogą od ziemi, by bardziej rozkołysać huśtawkę, a potem położył ręce na krągłych biodrach Laurel i mocno ją trzymał w kołysce swoich ud.

- Tak jest dobrze? - spytała trochę niespokojnie.

- Nie - jęknął. - Powiedziałbym raczej, że fantastycznie.

Roześmiała się cicho, a potem chwyciła go za głowę i wplotła palce w jego włosy. Znalazła rzemyk, którym były związane, zsunęła go i rzuciła na ziemię. Wreszcie mocno owinęła jedwabisty, czarny pęk włosów wokół ręki.

- Jeżeli ci się nie podobają, jutro je zetnę - zaproponował.

- Sama to zrobię, ale tylko troszeczkę je skrócę. Uwielbiam mieć...

- Linę ratunkową - odpowiedział ze śmiechem.

- Właśnie. - Wykorzystała jego włosy jako dźwignię, by się podnieść i usadowić na nim bardziej precyzyjnie.

Wciągnął gwałtownie powietrze i niezbyt pewnym głosem powiedział:

- Muszę cię ostrzec, że chociaż to wszystko jest fantastyczne, może doprowadzić do ekscesów, które dostarczą nowej amunicji naszemu autorowi listów.

- Nie obchodzi mnie to - odparła Laurel, a potem zaraz sobie zaprzeczyła: - Myślisz, że on tu jest?

- Albo ona? Nie, sprawdziłem teren i nikogo nie widziałem.

- My się tylko huśtamy - powiedziała, pochylając leciutko głowę na bok. Szukając jego wzroku, łagodnie unosiła się i opadała na niego.

- Tak, i nadajemy temu słowu co najmniej kilka nowych znaczeń. Roześmiała się.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu? - powiedziała czule i pochyliła się, by przycisnąć miękkie usta do jego warg.

Pachniała słodką, bujną zmysłowością. Spotkali się ustami, przyłgnęli do siebie. W porywie uniesienia i zachwytu Alec zagłębił się dłonią w rozkoszne tajemnice jej ciała.

Nie miała na sobie majtek. To było jego następne odkrycie, gdy poruszał palcami pod jedwabiem nocnej koszuli i kaftana. Skoncentrował się na miękkim ciele Laurel, które za chwilę dostarczy im obojgu największej rozkoszy, i przez cały czas wprawiał w ruch huśtawkę, osuwając się niżej przy każdym

odepchnięciu się od ziemi, które posyłało ich wyżej i wyżej.

Laurel uwolniła usta i krzyknęła, rozpieęła ją bowiem radość i zachwyty. Puściła koszulkę i włosy Aleka, i położyła obie ręce na jego piersi. Potem powiodła palcami, by znaleźć guziki jego koszuli. Wyciągała je z dziurek pojedynczo, palce miała to zwinne, to zdrętwiałe, zależnie od sposobu jego manipulacji pod jej koszulą nocną.

- Jesteś w tym tak dobry, że chyba musiałeś to robić już wcześniej - powiedziała bez tchu.

- Nigdy, ale szybko się uczę, zwłaszcza gdy mam odpowiednie bodźce.

Roześmiała się i z perfidną delikatnością zaczęła wodzić ustami po jego piersi.

- Czarownica - mruknął.

- Lucyfer - szepnęła, gdy odwdzieczył się jej szczególnie ekscytującą pieszczotą oraz wyższymi wlotami huśtawki.

Po sekundzie zapytała:

- Jak myślisz, może nasz autor listów miał rację i rzeczywiście jesteśmy zdeprawowani?

- Jeżeli to jest zdeprawowanie - powiedział Alec - to nigdy już nie chcę być cnotliwy.

- Masz rację - przyznała i zabrała się do rozpinania jego dżinsów, niemal wrywając mosiężny guzik z dziurki.

Pomógł jej, otwierając suwak i zsuwając spodnie. Opadła na niego i westchnęła, biorąc go w siebie. Pochyliła się do przodu, by przyłożyć czoło do jego czoła, i zamknęła oczy. Przez chwilę trwał nieruchomo, smakował uczucie zbyt bogate, by od razu można było je rozpoznać.

Potem wzlecieli w niebo. Wzbijali się w górę i opadali, ślizgali się w szerokich, odbierających oddech pętach, którym akompaniowało skrzypienie huśtawki. Unosili się coraz wyżej, lżejsi od powietrza, połączeni w ekstazie jak odlatujące ku słońcu ptaki.

Byli wolni od trosk, wątpliwości i strachu, zapomnieli o wszelkiej powadze i odpowiedzialności. Rozpoznali magię i przyjęli ją w przepelnione szczęściem serca.

- Spójrz na mnie - powiedział Alec cichym, ochrypłym głosem.

Laurel usłyszała go, wyczuła jego głęboką potrzebę. Schwycił spojrzeniem jej wzrok, zmusił ją, by patrzyła mu w oczy. Chciał, by odczytała w nich, kim on jest naprawdę i co czuje. W końcu, gdy już to wiedziała i zaakceptowała, odrzuciła wszelkie wewnętrzne ograniczenia i pozwoliła mu wstąpić do swojej najgłębiej ukrytej komnaty rozkoszy. Znalazł się tam, wziął Laurel i trzymał mocno, a noc sprzymierzała się i zraszała z nimi w jedną całość, śpiewała w nich i wokół nich.

Potem podniósł się i nadal trzymając ją przy sobie, ciągle z nią połączony, ruszył do domu. Ze śmiechem opadli na łóżko i zaczęli wszystko od nowa. Gdy znów nadeszła chwila spełnienia, byli przynajmniej na razie, prawie sobą nasyceni, prawie szczęśliwi, prawie bezpieczni. Prawie...

Laurel powoli się budziła. Światło w pokoju było zamglone. Deszcz padał jednostajnie, ulewa tworzyła kurtynę wody, iluminowaną krótkimi błyskawicami i wstrząsaną od czasu do czasu grzmotem. Był to łagodny, chociaż zarazem podniecający dźwięk, przywołujący wspomnienie nocnych niewyraźnych snów. Laurel pozwoliła, by przez chwilę te dźwięki ją otulały, a na jej ustach powoli wykwił uśmiech. Nie, to nie był tylko sen.

Odwróciła głowę na poduszce, szukając mężczyzny, który spał obok niej. Leżał na brzuchu, z brodą opartą na wyciągniętych rękach, i patrzył na nią. W jego oczach malowała się spokojna pewność posiadacza, jak również głęboki namysł.

- Znów? - spytał, przeciągając wypowiedziane słowo. Ton udawanego znużenia i niedowierzania kontrastował z czułym spojrzeniem jego oczu.

- Możesz robić, co chcesz, jeśli tylko obiecasz, że nie będę musiała w ogóle się ruszać.

- Czy to znaczy, że mogę poczynać sobie z tobą dokładnie tak, jak sobie życzę?

- Tak - powiedziała i cicho westchnęła, niczym wstydliva panienska.

- A co się stanie, jeżeli jednak w końcu się poruszysz?

Uniosła podejrziwie brwi.

- W końcu czego?

- A czegoś tam takiego - odpowiedział ze śmiechem. - Więc mam się zabrać do roboty w taki sposób, żebyś nie musiała ruszać nawet małym paluszkiem?

- Jeśli to potrafisz - odparła, obdarzając go wielce lubieżnym uśmiechem.

- Rzucasz mi wyzwanie. No cóż, popełniłaś naprawdę poważny błąd. - Jeszcze nie skończył mówić, a już ruszył do ataku.

Długi czas później, gdy Laurel leżała pod nim rozciągnięta, przymocowana do łóżka kajdankami jego rąk i jego gorącą, dziką twardością, uśmiechnął się z triumfem i oświadczył:

- Zwyciężyłem.

- Brutalnie wykorzystałeś moją bezradność, prostaku - powiedziała Laurel z pełną królewskiej dumy pogardą, usiłując się nie roześmiać.

- Będę to robił zawsze, kiedy tylko zdarzy się okazja, ale myślałem o innej nagrodzie.

- Cokolwiek zechcesz. Jestem na twoje rozkazy.

- Chciałbym, żeby to była prawda - powiedział z westchnieniem. - Myślałem o uprowadzeniu.

Nie była pewna, czy to miał być żart, czy też Alec mówi poważnie. Twarz mu się ściągnęła, przestał się uśmiechać.

- To znaczy? - spytała niespokojnie.

- Tylko na jakiś czas. Niestety. Myślę o zabraniu cię do Kalifornii. - Poruszał się w niej łagodnie, przyprowadzając o doznania, które odbierały jej dech.

- Do Kalifornii? - Chciała pytać dalej, ale zaraz zabrakło jej głosu.

- Tam będziesz bezpieczna.

Jednak wcale nie żartował. Był śmiertelnie poważny. Laurel zacisnęła mocno powieki, bo przeszył ją dreszcz. Potem znów je otworzyła. -

- I mam się na to zgodzić - spytała - bo jestem za słaba, by się bronić? Czy też zamierzasz zabrać mnie tam siłą?

Jego twarz zmieniła się, jej rysy stwardniały. Gwałtownie puścił Laurel, ześliznął się z niej, odsunął i usiadł ze spuszczoną głową, zaciskając ręce na materacu. Czarne włosy lśniły na matowej skórze pleców. Wstrząsnął nim dreszcz, potem już siedział nieruchomo.

- Alec? - Laurel też usiadła, ignorując narastającą w niej bezradność. Wyciągnęła do niego rękę.

- Zostaw!

- Nie to miałam na myśli.

- Owszem, właśnie to - powiedział ostro, jakby ją odtrącał.

- Ja tylko myślałam, że ty... - Zamilkła, niezdolna do ubrania swoich podejrzeń w słowa.

- Myślałaś, że wykorzystuję seks, by uzyskać od ciebie to, co chcę. Nigdy bym tak nie postąpił. Nigdy! Ale to moja wina, bo udawałem, że mam nad tobą władzę. Wydawało mi się jednak, iż wiesz, że to tylko gra. Myślałem, że rozumiałaś.

- Zrozumiałam. Teraz.

- Nie, nie rozumiesz. Nie wiesz, jak cienka jest granica między udawaniem i rzeczywistością, i jak łatwo ją przekroczyć, gdy stawka jest wystarczająco wysoka. A także jak bardzo się boję, że to zrobię. Zanim zdołam się przewyciężyć, musisz mi ufać, może nawet bardziej, niż ja sam sobie. Myślałem, że mi ufasz, ale widzę, że nie potrafisz. Nie możesz zaufać mi aż tak bardzo, i nigdy nie zdołasz.

- To nieprawda - powiedziała, targana żalem. - W każdym razie nie możesz się spodziewać, że potrafię czytać w twoich myślach. Jestem tylko kobietą.

- Kobietą, moją kobietą, którą chcę i muszę chronić, ale nie mogę, bo sprawy układają się tak, jak się układają. Muszę cię zabrać daleko od niebezpieczeństwa, gdzieś, gdzie będę mógł czuwać nad tobą i Gregorym. Nie mogę wciąż czuć się rozdarty między wami. Pozwól mi na to! Proszę!

Serce ją zabolalo, gdy usłyszała w jego głosie rozpacz, ale sposób, w jaki wypowiedział imię swojego brata spowodował, że w jej głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki. Czy to możliwe, że Gregory kryje się za tymi wszystkimi wydarzeniami? Czy właśnie dlatego Alec tak bardzo chce nad nią czuwać? A może troszczy się bardziej o dobro swojego brata niż o nią?

- Możesz w każdej chwili odejść. Nie trzymam cię tu siłą - powiedziała spokojnie.

Powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Och, trzymasz mnie! - wykrzyknął. - Do tej pory nawet nie miałem pojęcia, że masz nade mną tak wielką władzę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Laurel smażyła bekon, gdy znów rozszalała się burza. Zanim zdążyła zdjąć apetyczne paski mięsa z elektrycznej patelni i położyć je na papierowym ręczniku, by odsączyć tłuszcz, na świecie zrobiło się mroczno i mokro, bowiem rozpętała się gwałtowna ulewa. Laurel spojrzała na zegarek. Właśnie o tej porze zawsze zjawiała się Maisie. Może już nigdy do mnie nie przyjdzie, pomyślała ze smutkiem Laurel. Przez długie lata gosposia była jej jedyną prawdziwą przyjaciółką.

Alec był w łazience. Nie wiedziała, co jada na śniadanie, a sama nie była głodna. Mimo to chciała przynajmniej udawać, że wszystko idzie normalnym torem, nawet jeśli chodziło tylko o posiłek.

Właśnie miała zamiar wbić na patelnię jajka, gdy zadzwonił telefon.

- Mamo? Możesz rozmawiać?

To była Marcia. Mówiła nerwowo, z irytacją. Ton jej głosu, a także pytanie, jakie zadała, wzbudziły w Laurel lęk.

- Tak.

- Och, to dobrze. Bałam się, że on jest z tobą... To znaczy Alec.

- A gdyby nawet tu był, to co? - spytała ostro, nie panując nad głosem.

- Bo, oczywiście, chodzi o niego - powiedziała Marcia kąśliwie. - A właściwie o was oboje.

- Nie wydaje mi się, bym miała ochotę jeszcze raz z tobą o tym rozmawiać - oświadczyła Laurel.

- Wcale ci się nie dziwię - usłyszała zdumiewającą odpowiedź. - Tym razem jednak chodzi o coś innego. Przykro mi to mówić, ale nie chcę, żebyś o tym usłyszała od kogoś innego. Brat Stevens napiętnował cię podczas swojego wczorajszego kazania.

- Co zrobił?! - Laurel wyłączyła elektryczną patelnię. No cóż, ta rozmowa chwilę potrwa.

- Wiem, jak musisz się czuć, i przykro mi, bo wydaje mi się, że to w pewnym stopniu moja wina. No wiesz, z powodu Jimmy'ego. Chciał, żebym poszła do brata Stevensa po poradę w sprawie naszego małżeństwa, ale odmówiłam. Po co miałabym iść do niego, skoro i tak wiem, co ten człowiek by mi powiedział, prawda? Małżeństwo to boży nakaz i muszę prosić Boga, żeby mi wskazał słuszną drogę, a potem błagać męża o jeszcze jedną szansę. Ale ja nie będę nikogo o nic błagała! I nie chcę jeszcze jednej szansy. Nie mogę tego już dłużej wytrzymać. Nie mogę!

- Och, kochanie - powiedziała Laurel w rozpaczy. - Nie wiedziałam, że jesteś aż tak nieszczęśliwa. - A powinna była wiedzieć. I wiedziałyby, gdyby nie ta długotrwała izolacja, którą sama sobie narzuciła.

- To nieważne, i nie o tym chciałam mówić. A jeśli chodzi o kazanie, to ja go nie słyszałam, ale powiedziano mi, że brat Stevens odmówił modlitwę za zdrowie Maisie, a potem zaczął gadać o tym, że to Alec naprawiał twój samochód, więc to on ponosi winę za wypadek. Tylko że brat Stevens dał do zrozumienia, że ten wypadek nie był zrzędzeniem losu i że tylko boskiej łasce należy zawdzięczać, że to nie ty jechałaś swoim autem.

Właściwie wszystko, o czym mówił brat Stevens, było prawdą, z wyjątkiem tego, co sugerował.

- Mamo, jesteś tam?

- Tak, tak, jestem.

- Och, wydawało mi się, że odłożyłaś słuchawkę. W każdym razie brat Stevens powiedział, że to ty miałaś zostać złożona w ofierze. Powiedział, że jesteś pod urokiem rzuconym przez Aleka, że wy dwoje praktykujecie sataniczne obrzędy, zabijacie zwierzęta i odprawiacie czarne msze, o których była mowa w tych okropnych listach. Och, mamo, powiedział jeszcze, że jeżeli coś ci się stanie, to będzie wola Pana Boga, bo nigdy nie powinnaś była wiązać się z mężczyzną o tyle młodszym i z tak niechlubną przeszłością. To jego słowa, nie moje. Powiedział, że gniew Boga porazi was oboje za wasze grzechy, i że cokolwiek się stanie, będzie to kara boża.

Laurel czuła się tak, jakby właśnie usłyszała wyrok śmierci. Słowa zostały wypowiedziane publicznie i wsparte autorytetem Kościoła. Czuła mrowienie, oddychała gwałtownymi haustami, ale jej reakcja nie miała nic wspólnego z bojaźnią bożą. Zareagowała tak, bo nagle jasno zrozumiała, jaki był cel tego ostatniego ataku.

Ktokolwiek za tym stał, wybrał już sposób, w jaki chce zakończyć sprawę. Lokalna społeczność uznała, że ona i Alec są winni.

Alec miał rację.

Wybrano go na kozła ofiarnego.

I nie poprzestaną tylko na pogrózkach. Naprawdę zamierzają go złożyć w ofierze. Chcą to zrobić w tym samym ogrodzie, który ona i Alec razem stworzyli. Potępienie go za to, co wydarzyło się w Kalifornii, dotarło do Hillsboro. Wmawia się ludziom, że Alec Stanton jest wcieleniem szatana, całkowicie odpowiedzialnym za prawdziwe lub wymaginowane zło, jakie dokonuje się w Ivywild, natomiast ona jest jego ofiarą, którą opętał swą diabelską mocą, by potem zniszczyć. W końcu, gdy wszystko już się dokona, na jego barki zrzuci się brzemień winy - i kary - za to, co stanie się z nią, niezależnie od tego, co to właściwie będzie.

- Mamo? - dotarł do niej głos Marcii. Usłyszała w nim niepokój i troskę. - Zrozumiałaś wszystko, co ci mówiłam?

- Tak - odpowiedziała. - Chyba tak.

- Oczywiście nie wierzę w te wszystkie bzdury, nie wierzyłam w nie ani przez chwilę. Wiem od dawna, że nie zabiłaś taty naumyślnie. Wiem to od czasu, gdy już na tyle dorosłam, by myśleć samodzielnie i zrozumieć, jaka naprawdę jesteś. I wiedziałam o tym w czasie, gdy... gdy zdradzałam Jimmy'ego. Och, ale on wtedy niemal oszalał. Przeklinał mnie, wyzywał od najgorszych. Przypominał mi w tym babcię i to, jak się zachowywała wobec ciebie. Nie zasługuję na to, by mnie tak traktowano, i pomyślałam... Och, mamo,

pomyślałam, że ty też nie zasługiwałaś!

- Dziękuję ci, Marcio - powiedziała Laurel. Głos z trudem wydobywał jej się z zaciśniętej od zdławionego szlochu krtani. - To bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Evan nie wierzył jej już od dawna, ale on nigdy nie był z babcią tak zżyty jak ja.

- Ja... jestem ci wdzięczna, że mi to mówisz. - Laurel była szczęśliwa, ale jednocześnie czuła smutek. Już dawno temu powinna była wyciągnąć ręce do swoich dzieci. Trzeba było dopiero Aleka, by jej pokazał, jak zdobyć się na samodzielną refleksję, jak zamknąć przeszłość i zacząć myśleć o przyszłości, o innych ludziach, a nie tylko o sobie.

- Więc - kontynuowała Marcia niepewnym głosem - co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Muszę się zastanowić.

- Mamo, nie możesz tak po prostu czekać, aż oni zrealizują to, co zaplanowali przeciwko tobie. Musisz walczyć, wykonać jakiś ruch, nawet gdyby miał okazać się niewłaściwy.

- Przypuszczam, że masz rację. - Jeśli jednak popełni błąd, kto jeszcze na tym ucierpi? Marcia? Evan? Alec? Jak daleko to wszystko zajdzie?

- Pomożemy ci, ja i Evan, jeżeli tylko nam na to pozwolisz - powiedziała Marcia w napięciu, jakby nie była pewna, czy jej propozycja zostanie dobrze przyjęta. - Musisz nam tylko powiedzieć, co mamy zrobić.

Laurel poczuła, jak ogarniają straszliwy chłód, bo oto dotarła do niej pewna prawda, która od dawna leżała uśpiona w jakimś zakamarku jej umysłu.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli niczego nie będę robiła. Póki mieszkałam tu sama, nic się nie działo, panował spokój i cisza. Może znów tak będzie, jeżeli po prostu...

- Zostaniesz sama w Ivywild? Och, mamo, nie! Ten okrzyk zdumiał Laurel. Przecież Marci zawsze zależało na tym, by u matki nic się nie zmieniało.

- Kochanie, nie można skutecznie walczyć przeciw plotkom i aluzjom - powiedziała spokojnie. - Nie powstrzymasz ludzi przed nawet najpodlejszym gadaniem. Nie wiem, komu mój związek z Alekiem aż tak bardzo przeszkadza, że posuwa się do takich niegodziwości, by położyć temu kres, ale tak, jak ja to widzę, mam tylko dwie możliwości: mogę albo zostać, albo wyjechać.

- Wyjechać? Dokąd? Z Alekiem?

- Widzę, że nie podoba ci się ten pomysł? - Laurel powiedziała to bardziej sarkastycznie, niż zamierzała, lecz po przeżyciach z ostatnich dni miała nerwy w strzępach.

- Nie, nie o to chodzi.

- A o co?

- Brat Stevens dał do zrozumienia, że brat Aleka ma AIDS, i że rak, od którego umiera, to końcowe stadium tej choroby, gdy układ immunologiczny nie może już dłużej walczyć. Sama wiesz, że to jest zaraźliwe, zwłaszcza w sytuacjach... intymnych. Nie chcę być niemila albo głupio podejrzliwa, ale, mamo, zastanów się nad tym.

- Co ty właściwie sugerujesz? - spytała Laurel cierpko.

- Romans to jedna rzecz, zwłaszcza że nie znałaś prawdy o bracie Aleka, ale decydowanie się na długotrwały związek to niemal samobójstwo!

Laurel przez długą chwilę milczała, ale jej myśli pędziły jak oszalałe. Potem podjęła decyzję. Dokładnie wiedziała, co musi zrobić, w jaki sposób oraz kiedy. Wiedziała też, że będzie potrzebowała o wiele więcej odwagi niż wtedy, gdy po latach uwiecznienia wychodziła z domu.

- Mamo?

- Tak, kochanie, jestem tu - powiedziała miękko. - I zawsze będę... tutaj.

Gdy skończyły rozmawiać, Laurel wyrzuciła do kosza na śmieci jedzenie, które zaczęła szykować, zanim zadzwoniła Marcia, potem otworzyła okna, by pozbyć się zapachu gotowania. Do wnętrza wdarło się ciepłe, wilgotne powietrze, kuchnię wypełnił szum i zapach deszczu. Czuła się chora, zmarznięta i zrozpaczona, ale jednocześnie ogarnął ją lodowaty spokój, jakby oderwała się od wszystkiego i pozostała w niej tylko niewzruszona pewność, że musi zrobić to, co przed chwilą postanowiła. Jedynie bowiem w ten sposób...

Gdy Alec wszedł do kuchni, odwróciła się od okna nad zlewem i mocno splotła przed sobą ręce.

Mokre włosy miał ściągnięte do tyłu, przez co jego piękna, wyrazista twarz była całkiem odsłonięta. Z czarnych oczu wзираła stanowczość i determinacja. W ten ciepły, deszczowy letni poranek nie miał na sobie koszuli. Smok na jego ramieniu był widoczny w całej okazałości. Zwinięty i groźny, miał jednak w sobie niezwykły urok.

Tak właśnie chciała na zawsze zapamiętać Aleka.

Przez moment wspomniła miłosne chwile, jakie razem spędzili, i natychmiast odczuła bolesną rozkosz. Potem zamknęła się na te doznania, wymazała wszelkie uczucia tak, jakby wymazywała z tablicy napisy wykonane kredą. Podniosła powieki i spojrzała w oczy ukochanemu mężczyźnie.

Alec zatrzymał się. Wszystkie jego zmysły dygotały od bolesnej świadomości nadchodzącego niebezpieczeństwa. Spojrzał badawczo na Laurel i zrozumiał, jak bardzo jest spięta. Powoli, ostrożnie podszedł bliżej. Odsunęła się i stanęła tak, by odgrodził ich stół.

- Ponieważ pada - powiedziała głosem, który brzmiał jak zgrzytanie noża po szkłe - w Ivywild nie ma nic do roboty, a ty pewnie chciałbyś spędzić trochę czasu z Gregorym. Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli już pójdziesz do domu. Poza tym sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś już tu nie wracał.

- Znów mnie zwalniasz. - Jego słowa zabrzmiały twardo. Zaciśnął dłonie w pięści.

- Powiedz, ile mam ci zapłacić. Zostaw wykaz przepracowanych w tym tygodniu godzin, a ja ustale, ile ci jestem winna i wyślę czek do...

- Do diabła z czekami! Jeżeli chodzi ci o to, co przed chwilą zdarzyło się nam w łóżku, to zachowujesz się tak, jakbyś się zaszadzała z armatą na komara.

- To, co stało się w łóżku, przekonało mnie o czymś, o czym powinnam była już od dawna wiedzieć - powiedziała z lodowatym spokojem. - Nie mamy, jako para, przed sobą przyszłości. Nawet gdyby nie chodziło o dzielącą nas różnicę wieku, po prostu nie pasujemy do siebie.

Alec zobaczył odbicie swojej twarzy w chromowanym testerze, stojącym na kuchennym blacie. Odbicie to było zamazane.

- Dzieląca nas różnica wieku - powiedział - nie ma żadnego znaczenia. Ani to, że do siebie nie pasujemy. Prawda jest taka, że się mnie boisz.

Już otwierała usta, żeby zaprzeczyć, ale zaraz zmieniła zdanie.

- To całkiem wystarczy, nie uważasz? Miłość i strach nie idą w parze.

- Kto to powiedział? Kobieto, ja też się ciebie niemal śmiertelnie boję, a przecież ciągle do ciebie wracam, bez przerwy staram się jakoś do ciebie dotrzeć.

- I czego to dowodzi? - Szybko uniosła głowę. - Tylko brawury albo głupoty. Nie masz już czego szukać w moim domu. Czy można to powiedzieć jeszcze wyraźniej? Nie jestem wystarczająco bogata ani na tyle głupia, bym była dla ciebie użyteczna, no, może poza kilkoma chwilami igraszek na sianie. A to już było i się skończyło.

Alekowi krew gwałtownie odpłynęła z głowy, świat wokół niego zawirował.

- Nie dla mnie - oświadczył.

Lauren odwróciła się do niego bokiem, chwyciła oparcia krzesła tak mocno, że skóra zbielała wokół jej paznokci.

- Może ci się wydaje, że jestem niewdzięczna, ale tak nie jest. Wiem, co dla mnie zrobiłeś, albo przynajmniej próbowałeś zrobić. Uwolniłeś mnie z mojego więzienia i spowodowałeś, że znów jestem sobą, przywróciłeś mi poczucie godności. Jednak rzecz polega na tym, że dla tej nowej kobiety przewidziałam inne życie. Ona nie będzie łaźić za tobą i błagać o chwilę uwagi.

- Dobrze - syknął przez zaciśnięte zęby. - Jednak prawda jest taka, że to ty sobie nie życzysz, bym ja łąził za tobą jak dzieciak. Nie chcesz, bym co chwilę ciągnął cię za spódnice, nie chcesz znosić moich napadów złego humoru, więc odstawiasz mnie od piersi, poświęcając na to jeden jedyny ranek. Nie uważasz, że to dość okrutne?

- Mogłoby tak być - powiedziała Lauren, odwracając się do niego. Spojrzenie miała zimne jak lody Arktyki. - Niestety masz tendencję do gryzienia, gdy się podniecisz, a ja muszę dbać o swoje zdrowie.

- Twoim zdaniem jestem jak wściekły pies...

- Mówię o tym, że twój brat ma AIDS, a przez to wymienianie z tobą płynów organicznych nagle straciło dla mnie wszelki powab.

- Boże! Laurel! - Poczul w piersi taki ból, jakby dostał cios nożem prosto w serce.

- Przykro mi, ale wydawało mi się, że chcesz usłyszeć najgorsze.

Laurel nie wyglądała tak, jakby było jej przykro, albo by była świadoma tego, co właśnie mu zrobiła. Alec nie mógł oddychać, nie potrafił nawet rozsądnie myśleć. Mimo to odezwał się niezwykle spokojnym głosem.

- Słodka, troskliwa, uprzejma, urocza kobieta, o jakże pięknej duszy. Tak o tobie myślałem od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Ale to był mój błąd. Natomiast twój polega na tym, że mi nie ufasz. Przecież nie dotknąłbym cię, gdybym sądził, że to może spowodować twoją śmierć.

- Czy w ten sposób chcesz mnie przekonać? No więc nie przekonałeś. Natomiast niejedną raz się przekonałam, że potrafisz zawiść zaufanie.

- Być może, jednak nigdy nie zawodzi mnie zdrowy rozsądek, szczególnie w tak ważnych sprawach. Nie jestem seropozytywny. Owszem, Gregory tak, chociaż jego choroba nie jest żadną plagą, której należy się brzydzić i bać. To tragedia człowieka, tak samo jak inne choroby, które nawiedzają nas, nędznych śmiertelników. To niedotrzymana obietnica i utracona nadzieja, i tak będzie trwało, póki się tego nie zatrzyma albo póki wszyscy nie staniemy się duchami istniejącymi w wypożyczonym czasie.

- Co za poezja - powiedziała Laurel z pogardą. - Lecz ja mówiłam o tobie.

- Ja też. Jeżeli możesz się ode mnie odwrócić z powodu Gregory'ego, nie jesteś taką kobietą, za jaką cię uważałem. Tak więc znowu zamknij się tutaj, w swoim starym domu i ze swoimi starymi fobiami, jeżeli tego właśnie chcesz, ale wkrótce nie będziesz się czuła lepiej niż mój brat. Pozostaniesz w więzieniu, które sama sobie stworzyłaś, staniesz się martwa za życia.

Teraz ona też cierpi, pomyślał Alec, widząc wyraz jej oczu. Jednak ta świadomość nie uradowała go, nie uciszyła jego żalu. Bojąc się, że przestanie nad sobą panować i uczyni coś niewybaczalnego, odwrócił się i wypadł z kuchni, a potem z domu.

Był już w połowie drogi do babci Callie, pędząc na oślep na swoim motorze, gdy zauważył, że ma na sobie tylko dżinsy. Były przemoczone, deszcz tłukł go w twarz i spływał mu z włosów po nagiej skórze. Lecz wilgoć w jego oczach nie miała nic wspólnego z pogodą.

Laurel zaczęła, aż ryk silnika ucichnie w dali. Wtedy dopiero głośno i przenikliwie krzyknęła. Ten nieartykułowany dźwięk przeciął powietrze wysokiej kuchni, zawibrował w kołyszącym się świetle lampy nad piecykiem i wprawił w drżenie porcelanę w kredensie. Zanim echo krzyku zamarło, pod Laurel ugięły się kolana. Osunęła się po ścianie i usiadła skulona na podłodze. Zwinięta w kłębek, rozpląnęła się w strumieniach gorzkich łez.

Zachowałyby spokój i opanowanie, gdyby był tu ktoś, kto mógłby ją usłyszeć albo zobaczyć, lecz nie było nikogo. Tak więc dręczyła stare ściany swoim rozpaczliwym szlochem, a jej ból napelniał cały dom, te wszystkie zimne, puste pokoje. Płakała, aż oczy jej zapuchły, nos poczerwieniał, a policzki piekły od obcierania z nich łez.

W końcu podniosła się i poszła do łazienki, gdzie wytarła nos, potem zmoczyła ręcznik i obmyła twarz. Mówiąc sobie, że nie może już dłużej płakać, zobaczyła w lustrze opuchniętą twarz, i znów zaszlochała, gdy wspomniała ból, który ujrzała w oczach Aleka. Straszliwy ból, ogromne cierpienie.

Wiele godzin później, w nocy, wreszcie przestała łkać. Zasnęła zwinięta w kłębek pośrodku łóżka, które ciągle jeszcze pachniało miłością i Alekiem.

Rano obudziła się z bólem głowy, spragniona i nie całkiem przytomna. Czuła się tak, jakby zmieniała się w ducha, o którym mówił Alec. Stała się bladym, nikłym cieniem, dryfującym z pokoju do pokoju, od łóżka do stołu, do łazienki, i znów do łóżka.

Straciła poczucie czasu, ledwie wiedziała, czy to dzień, czy noc, czy na dworze jest jasno, czy ciemno.

Czasami myślała, że trzeba by zadzwonić i zapytać o stan zdrowia Maisie, albo porozmawiać z Marcją lub Evanem, lub nawet z Zeldą. Jednak wydawało jej się to zbyt wielkim wysiłkiem. Wszystko, nawet samo życie, okazało się ciężarem zbyt wielkim na jej barki.

Oplakiwała utratę wszystkiego, co kochała. Sticks - nie żyje. Jej wyroby garncarskie - przepadły. Maisie - ciężko ranna. Alec, Alec, Alec... Równie bolesna była zagłada nadziei. Kto powiedział, że to tak strasznie boli? Alec, oczywiście, wspominając o Gregorym. A teraz ona poznała tę straszliwą prawdę, tak jak to jej wykrzyczał.

Jak więzień, któremu niemal udało się uciec, znów została zamknięta za kratami i zносиła to w dwójnasób ciężko. Czuła się tak, jakby się dusiła, zamknięta w ciemnym pomieszczeniu przez te wszystkie szyderstwa, kłamstwa i plotki, przez niesprawiedliwe i krzywdzące opinie, przez całą podłość, jaką zgotowały jej mialkie umysły.

Nie pamiętała, że trzeba chodzić po pocztę. Nie chciało jej się ruszać z domu. Pozwoliła, by burza nawiała do fontann i ozdobnych stawów suche liście i śmiecie. Nie zrywała przekwitłych róż, więc prawie przestały kwitnąć. Pozwoliła, by na werandzie zbierał się kurz, by mleko w lodówce skwaśniało, a chleb zapleśniał. Wcale jej to nie obchodziło. Nic już nie miało dla niej znaczenia.

Powoli umierała, była pogrzebana żywcem pod wspomnieniami.

Alec siedzi spokojnie, z gołą głową, na pokrywie cysterny. Alec troskliwie składa Sticksa do grobu. Alec spada z sosny jak kamień. Alec na motorze. Alec pokazuje jej fontannę. Alec przekonuje ją, że nie zabiła nikogo naumyślnie. Alec uczy ją miłości. Alec, mężczyzna, który ją kocha.

A teraz nie ma go już w Ivywild. Odszedł, więc jest bezpieczny.

To przynajmniej stanowiło dla niej pociechę.

Lecz ona została tu sama. Nikt na nią nie spoglądał. Nikt jej nie słuchał. Nikogo nie obchodziła. Czuła się tak, jakby stała się niewidzialna. A więc naprawdę przemieniła się w ducha, a duchy nie mogą kochać... choć, jak się okazało, potrafią cierpieć. I umrzeć z bólu, wspominając miłość, którą z zimną krwią i z pełną świadomością - zabiły.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gregory szybko tracił siły. Był jak lekki samolot, który utracił sterowność. Spadał długim, równym ześlizgiem, ale teraz, blisko końca, nagle przyspieszył, by wkrótce rozbić się o ziemię.

Alec patrzył na to z bólem, a jeszcze bardziej cierpiał, gdy słuchał tego, co jego brat mówił. Gregory nie odchodził spokojnie. Lecz czy można mu to było mieć za złe?

Nie zgodził się pójść do szpitala, wolał czekać na śmierć w łóżku, w którym spał jako chłopiec. Alec wezwał Mitę, która natychmiast przyjechała. Spokojna, opanowana i bardzo sprawna, zdjęła z ramion babci najcięższą pracę: zmieniała Gregory'emu pościel, gotowała specjalne potrawy. Jej wykształcenie medyczne okazało się również przydatne przy dozowaniu środków przeciwbólowych. Gregory przestał cierpieć. Jednak siostra nie spędzała wiele czasu przy chorym. Gregory wolał, by obsługiwał go Alec, i lepiej odpoczywał, gdy to brat przy nim siedział, wysłuchiwał jego przekleństw i osuszał łzy. Tak więc Alec patrzył, słuchał i próbował nie myśleć o niczym innym ani o nikim innym. Starał się nie myśleć o Laurel, lecz tylko o swoim nieszczęsnym bracie, który wkrótce opuści go na zawsze.

Nagle pogorszenie stanu Gregory'ego stanowiło doskonale wyjaśnienie tego, dlaczego przestał chodzić do Ivywild. Babcia chyba mu uwierzyła, ale Gregory nie. Zadawał krępujące pytania. Alec nie mówił mu więcej, niż to było konieczne, ale mimo to brat wyczytał wszystko z tych niewielu informacji, jakie otrzymał, i jego komentarze o fałszu i niestałości kobiet były bardzo gorzkie.

Dla Aleka były to szczególnie trudne chwile. Wolałby nie słyszeć zarzutów wobec Laurel, najchętniej nie pozwoliłby bratu, by obrzucał ją paskudnymi epitetami. Mimo iż wiedział, że postawa Gregory'ego wynikała z troski, wstawał i wychodził z pokoju brata, gdy ten zaczynał swoje filipiki, i nie wracał do niego całymi godzinami. Gregory wreszcie nauczył się w tej sprawie trzymać język za zębami, nie chciał bowiem stracić jedyne go towarzystwa, jakie w oczekiwaniu na śmierć tak naprawdę tolerował.

Późną nocą, gdy żaden z braci nie mógł zasnąć, prowadzili długie rozmowy. Mówili o wspólnej przeszłości w dysfunkcyjnej rodzinie i o dziwnych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, latach rozpowszechniania się narkotyków i nieskrępowanej wolności. O tym, co złapało i trzymało ich matkę w sidłach jak jakiegoś bezbronny owada w bursztynie. Zmagali się z tym, co wówczas stało się z ich matką, z jej bezcelowym żeglowaniem od mężczyzny do mężczyzny w rozpaczliwym poszukiwaniu idealnej miłości. Rozmawiali także o tym, jak to

Gregory wstrzykiwał sobie narkotyki igłami zainfekowanymi wirusem HIV i o AIDS, chorobie podobnej do średniowiecznej morowej zarazy.

To ostatnie chyba pomagało Gregory'emu, ale nie Alekowi.

W tych późnych godzinach nocnych, gdy siły organizmu słabły, Alec wracał myślami do Laurel i do jej ostatnich słów. Mimo wysiłków nie potrafił połączyć tego, co o niej wiedział, z nieczułością, z jaką go od siebie przepędziła. Nie mógł uwierzyć, że jej uczucia okazały się aż tak płytkie i przelotne. Albo może nie chciał w to uwierzyć.

Którejś nocy, na początku lipca, siedział, czytając książkę Zane'a Greya, którą znalazł w biblioteczkę babci. Ustawił sobie krzesło koło łóżka Gregory'ego i wygodnie się rozparł. Brat był już tak wychudzony, że jego sylwetka prawie zupełnie nikła pod prześcieradłem. Szczupła, naznaczona bólem twarz konającego znajdowała się w cieniu, bo pokój oświetlała tylko mała lampka. Cichy szum zamontowanego w oknie klimatyzatora tłumił dochodzące z dworu nocne odgłosy. W pokoju było o wiele chłodniej, niżby Alec sobie życzył, ale znosił to w milczeniu, bo Gregory, zżerany gorączką, która wkrótce miała go zabić, czuł się lepiej w niższych temperaturach.

Alec przewrócił stronicę. Dźwięk, mimo że cichy, spowodował, że Gregory zaczął inaczej oddychać. Odwrócił głowę i leżał, patrząc na brata. Jego oczy płonęły w zapadniętych oczodołach, usta były bezkrwiste. Leżące na prześcieradle ręce wydawały się w swoim kościstym kształcie surowo eleganckie.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał Alec.

Gregory skinął głową.

- Tak, chyba tak. Muszę ci powiedzieć, że się myliłem.

- W czym? - Opuścił książkę na kolana.

- Co do twojej Laurel. Jest silniejsza, niż mi się wydawało.

Alec w jednej chwili stał się czujny, chociaż nie dał tego po sobie poznać żadnym poruszeniem ani zmianą wyrazu twarzy.

- No cóż, nie zdziwiło mnie to, ale właściwie dlaczego tak uważasz?

- Wysłuchała wszystkiego, co jej o tobie powiedziałem, i nie pokazała, jak bardzo się tym przejęła. Inna kobieta natychmiast by wpadła w panikę, a Laurel spokojnie wypytywała mnie o szczegóły, o motyw. Temat rozmowy nie zbijał jej z tropu. Sama wyrobiła sobie swój własny pogląd na sprawę. Zaimponowała mi. - Zamilkł na chwilę. - Chciałem ci też powiedzieć, że byłem o nią zazdrosny...

- Ty zazdrosny o Laurel?!

- Nie tyle może o nią, co o was. Nikt nigdy nie patrzył na mnie tak, jak ona na ciebie. Nikt mnie tak dobrze nie rozumiał, jak ona ciebie. Nikt nigdy nie wyrzeźbił mojej twarzy z pamięci. Wiem też, że nikt już nigdy tego nie zrobi.

- Nadałeś temu wszystkiemu zbyt wielkie znaczenie - powiedział Alec zmienionym głosem. Usiłował zbagatelizować sprawę, by przerwać rozmowę, która stawała się dla niego zbyt bolesna.

- Też na początku tak myślałem. Wydawało mi się, że Laurel jest jedną z tych kobiet, które lubią doznawać czegoś nowego, podobnie jak się zamawia z karty jakiś dziwny deser, bo wygląda egzotycznie. Nie chciałem, żeby w ten sposób degustowała właśnie ciebie, tylko dlatego, że jest starsza i sądzi, że młodszego mężczyzny nie należy traktować zbyt poważnie, bo taki związek długo nie przetrwa i szybko się o nim zapomni.

- Bardzo ci dziękuję - powiedział Alec z ledwie tłumioną wściekłością.

Gregory wygładził prześcieradło.

- No cóż, większość takich związków nie trwa zbyt długo. Zabija je zwyczajna nuda, bo o czym dojrzała kobieta i młody facet mogą ze sobą rozmawiać, gdy ciała już ochłoną po upojnej nocy? Poza tym ludzie uważają, że mężczyźni nie szukają niczego trwałego, więc kobiety czują się uprawnione do pobjaźniania sobie. Jednak ty taki nie jesteś.

- Nie przyszło ci do głowy, że sam potrafię załatwiać swoje sprawy?

Gregory ochryple się roześmiał.

- Nie sądzę. Od dawna pracujesz tak ciężko, że nie miałeś czasu dobrze poznać kobiet. Poza tym nie traktujesz życia lekko, nigdy tak nie postępowałeś. Nie potrafiłeś. Jesteś poważnym człowiekiem. Jeżeli zobowiązesz się coś wykonać, traktujesz to zadanie niezwykle poważnie. Wiedziałem, że Laurel mogła cię zranić, nawet gdyby nie chciała tego uczynić. Może nawet nie zauważyłaby, gdyby tak się stało.

Alec odchylił głowę, wpatrując się w spłowiałą tapetę po drugiej stronie łóżka.

- Przynajmniej w tym mogę ci przyznać rację.

- Tak, ale, jak już mówiłem, nie miałem racji. To, co was łączyło, było wyjątkowe. Widziałem to za każdym razem, gdy wymawiałaś jej imię lub gdy o niej myślałaś. Teraz wydaje mi się, że coś was musiało rozdzielić, coś, co ma związek z tymi wydarzeniami w Ivywild. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, i jestem pewien, że ty mi tego nie powiesz, ale szkoda by było, gdybyście się rozstali na zawsze.

- A więc ty nic o tym nie wiesz - mruknął Alec cicho.

Gregory milczał i tylko przez długą chwilę patrzył na brata. W końcu jego chudą pierśią boleśnie wstrząsnął chrapliwy śmiech.

- Uważasz, że miałem coś wspólnego z tymi wydarzeniami? Bardzo mi pochlebiasz, ale tyle nienawiści wymaga od człowieka sporej energii, a ja jej nie mam. Ani też wyobraźni. Poza tym musiałbym się ciężko napracować, gdybym próbował wszystkim wmówić, że mój młodszy braciszek jest wcieleniem szatana, i

- Mógłbym cię poprosić, żebyś mi dał na to słowo skauta, ale niestety żaden z nas skautem nie był. - Alec patrzył bratu prosto w oczy.

- To prawda, ale właściwie jaki miałbym powód, żeby kłamać? - Gregory też patrzył na niego badawczo. W świetle lampy jego lśniąca od potu twarz wydawała się żółta.

Alec westchnął i potarł zdrętwiałą ręką twarz, potem włosy.

- Musiałem również i ciebie brać pod uwagę, bo nie wiem, kto jest tym niebezpiecznym szaleńcem, i wszyscy wydają mi się podejrzani - powiedział przepraszającym tonem. - Nie wiesz nawet, ile bym dał za choćby najmniejszy ślad, dzięki któremu mógłbym dotrzeć do osoby, która zadała sobie tak wiele trudu, żeby doprowadzić do naszego rozstania z Laurel.

- Najpierw zastanów się nad motywami - poradził mu Gregory - a gdy już je poznasz, będzie ci łatwo domyślić się, kto jest sprawcą waszej niedoli.

- Na tym właśnie polega cały kłopot. Nie widzę żadnego rozsądnego motywu, tylko jad i obłąkańczą wręcz nienawiść.

- Nikt na tym nie zyskuje?

- O nikim takim nie wiem. To, że byłbym z Laurel, nie pozbawiłoby nikogo spadku, jak w przypadku pani Chadwick. Laurel jest młoda i zdrowa. Będzie jeszcze żyła co najmniej z pięćdziesiąt lat, pewnie dłużej niż ja.

- Więc ktoś ma coś do stracenia.

- Na przykład co, jeśli wyłączamy z tego pieniądze?

- Władzę, prestiż, pozycję towarzyską... - Gregory zadumał się na chwilę. - Wiesz, tu może chodzić o jakąś mroczną, kompromitującą tajemnicę. W tej części kraju ludzie zabijają dla takich rzeczy.

- Nie oceniam tego w ten sposób - powiedział Alec w zamyśleniu.

- Bo te dziwaczne wydarzenia przesłoniły ci cały obraz, ale przecież doskonale wiadomo, że nie chodzi tu

o żadne diabelskie sprawy. Ja o tym wiem, ty wiesz, i sprawca też. Tak więc pozostaje jakiś całkiem praktyczny cel, dla którego warto było poświęcić aż tyle energii i podjąć bardzo ryzykowne działania. Ten ktoś musi być naprawdę przerażony i zdesperowany. Jest gotów na wszystko, byle tylko ochronić siebie. Myślę, że tak to wygląda.

Alec nagle uświadomił sobie, jak bardzo inteligentny jest Gregory, i poczuł w sercu gorzki żal oraz bezsilną wściekłość, że tak bezużytecznie kończy się jego życie. Widział także miłość w głęboko zapadniętych oczach.

- Powiniennem być wcześniej z tobą porozmawiać - powiedział. - Wygląda na to, że zauważyłeś rzeczy, które umknęły mojej uwadze.

- To była tak samo moja wina, jak i twoja, że nie rozmawialiśmy ze sobą - odparł Gregory. - Byłem za bardzo zaprzątnięty swoimi sprawami, by ci się do czegoś przydać.

- Ja też myślałem o innych rzeczach - przyznał samokrytycznie Alec.

- Była ku temu najwyższa pora, bo to naprawdę urocze rzeczy. Gdyby tak nie było, nie miałbym powodów, żeby ci zazdrościć.

- Pragnęłaś Laurel. - Alec powiedział to zwyczajnie, bez złości. Już nie była im potrzebna, ani teraz, ani nigdy.

- Któż by nie pragnął tej kobiety? Przede wszystkim pragnęłam jej ciepła i miłości, które w całości oddała tobie - szepnęła Gregory i usiłował się uśmiechnąć.

Alec odłożył książkę i ujął brata za rękę.

- Okazuje się, że jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż nam się wydawało.

Kontrast między ich rękami, jedną bladą i wychudzoną, drugą silną i opaloną, był tak widoczny, że każde porównanie byłoby nie na miejscu. Gregory oddał Alekowi lekki uścisk.

- Tak - powiedział, wyginając usta w drżącym uśmiechu. - Chyba rzeczywiście jesteśmy podobni.

Na zegarku, stojącym na stole, wskazówki przesuwwały się z cichym tykaniem. Alec myślał, że Gregory śpi, ale mylił się, bo po chwili brat znów się odezwał.

- Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe - powiedział niepewnie. - Tego, że rozmawiałem z Laurel? To, że się rozstaliście, nie jest moją winą, prawda?

Alec napotkał jego wzrok. Sam patrzył na niego spokojnie, z całą stanowczością, taką samą, z jaką ścisnął jego rękę.

- Nie, w żadnym wypadku - zapewnił brata bez wahania, chociaż może troszkę ochryple. - Przestań się tym zadrezczać.

Gregory zamknął oczy.

- Cieszę się.

Po jakimś czasie zaczął oddychać trochę głębiej i Alec pomyślał, że śpi. Bruzdy wryte na jego twarzy przez ból i chorobę wygładziły się, wydawał się nieco młodszy. Potem, tuż przed świtem, w najtrudniejszej godzinie dla konających, westchnął i puścił rękę Aleka, którą przez cały czas trzymał. Jego oddech ustał, w pokoju zapadła absolutna cisza.

Alec położył rękę na policzku brata i trwał tak przez wiele minut. Potem odwrócił się. Spokojnym, równym krokiem podszedł do okna i wyłączył klimatyzator.

Do kaplicy na nabożeństwo żałobne przyszli ludzie, którzy nie byli nigdy w domu Callie, póki Gregory żył, lecz nawet teraz nie przybyło ich zbyt wielu. W większości byli to przyjaciele babci. Alekowi przyszło do głowy, że im człowiek staje się starszy, tym bardziej zaprzyjaźnia się ze śmiercią i tym większy czuje respekt przed rytuałami z nią związanymi.

Siedział obok babci w pierwszej ławce, zwyczajowo przeznaczonej dla rodziny. Po drugiej stronie siedziała Mita. Dwaj dalecy kuzyni zajmowali ławkę za nimi. Reszta uczestników pogrzebu usadowiła się daleko z tyłu, pozostawiając bliskich zmarłego w izolacji.

Ludzie rozmawiali. Szmer szeptów i cichych uwag wznosił się i opadał jak fale oceanu. Alec wiedział, że na niego patrzą, brzemieniem na ramionach czuł ich wbity w siebie baczny i nieżyczliwy wzrok. W powietrzu wisiły miazmaty chorobliwej ciekawości. Postanowił, że nie będzie się tym przejmował. Obejmując szczupłe ramiona babci, zapatrzył się w srebrzystoszarą trumnę Gregory'ego, obsypaną białymi i czerwonymi różami. Pragnął tylko jednego: by ceremonia już się zaczęła i jak najszybciej skończyła.

Nagle ze skupienia wyrwał go narastający szum szeptów, jakby brzęczenie pszczół, które coś zaniepokoiło w ulu. Rozejrzał się, powiódł wzrokiem za spojrzzeniami ludzi, którzy odwracali głowy i patrzyli do tyłu.

Szepcząc pod nosem jakieś przekleństwo, na chwilę zamknął oczy, potem znów je otworzył. Nadal tam stała!

Laurel. Chuda, blada, ubrana na czarno i nieprawdopodobnie, cudownie piękna, z włosami upiętymi w lśniącą koronę. Na chwilę zatrzymała się w drzwiach, rozglądając się po kaplicy. Wydawało się, że jej twarz

jeszcze bardziej zbladła, jeżeli w ogóle było to możliwe. Potem, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, poszła nawą do pierwszych ławek, gdzie siedział Alec.

Zawahała się, jej niebieskie oczy aż pociemniały ze zdenerwowania. Drżała, dreszcze przeszywały jej ciało. Alekowi serce wezbrało bólem na myśl, ile wysiłku kosztowało ją przybycie tutaj i przejście przez całą kaplicę, żeby znaleźć się blisko niego. Wyciągnął rękę.

Podeszła jeszcze kilka kroków, lekko się potknęła, ale zaraz z wdziękiem odzyskała równowagę. Lodowatą ręką chwyciła jego dłoń i już nie puściła. Usiadła obok niego i zaczęła patrzeć prosto przed siebie.

Boże, jakim on był głupcem!

Nie pamiętał już rzeczy, jakie mu powiedziała, ani co wtedy czuł. Mógł myśleć tylko o tym, że pragnie wziąć ją w ramiona i ogrzać, wymazać z jej oczu bolesny wyraz, sprawić, by się uśmiechnęła.

Co ona tu robi? Niech go piekło pochłonie, jeżeli potrafi zrozumieć, dlaczego kryła się całymi tygodniami, a teraz pokazuje się właśnie dziś i właśnie tu, mając całkowitą pewność, że wprawi to w ruch wszystkie ozory, które będą trzaskały jeszcze głośniejsze niż przedtem.

Widział tylko jeden powód. Przyszła tu wyłącznie dla niego. Nie chciała, by musiał stawiać czoło ludziom w samotności. Nadal jej trochę na nim zależało, jeśli nawet nie czuła do niego nic więcej.

Nie ośmielił się na nią spojrzeć, uśmiechnąć się, dotknąć. Trzymał tylko jej zimną rękę. Wiedział, że nawet tego nie powinien robić. Puścił ją, gdy tylko zdołał się do tego zmusić. Ostatnią rzeczą, jakiej Laurel potrzebowała, była następna fala złośliwej gadaniny. A jednak, jeśli w tej sytuacji można użyć takiego słowa, Alec czuł się szczęśliwy.

Wreszcie zaczęła się ceremonia i szybko zmierzała do końca. Modlitwy, mowa pożegnalna, słowa wypowiedane przez pastora, wszystko to dokonało się bez zbędnej zwłoki. Obojętni żałobnicy przemknęli przed zamkniętą trumną. Wszyscy wyszli na zewnątrz i czekali w niezręcznej ciszy, gdy trumnę ładowano na karawan. Babcia płakała, Alec przez chwilę ją pocieszał. Potem wziął siostrę pod rękę i odwrócił się, by przedstawić ją Laurel.

Lecz Laurel już nie było. Odeszła, wyśliznęła się tak samo cicho, jak przyszła. Szarpiący ból, jak od ciosu nożem, ostrzegł go, ile to dla niego znaczyło. Lecz stanowiło również bodziec. Z ponurą stanowczością Alec przysięgł sobie, że natychmiast, gdy tylko będzie to możliwe, zacznie działać.

Aż do zmroku zatrzymały go obowiązki rodzinne i poczucie przyzwoitości, gdy jednak babcia i Mita zaczęły sprzątać po gościach, natychmiast się wymknął. Poczul się bardziej sobą, gdy zmienił garnitur na dżinsy i wskoczył na motocykl. Powiew łagodnego nocnego powietrza przywrócił mu jasność myśli, po raz pierwszy od wielu dni widział przed sobą cel.

Długie godziny spędzone przy Gregorym dały mu czas na myślenie o tym, co było. Nie wszystkie wątpliwości udało się rozwiązać, ale wydawało mu się, że przynajmniej wie, jakie pytania powinien zadać. Nadeszła pora, by wyjaśnić wszystkie sprawy.

Laurel usłyszała motocykl na długo przedtem, zanim pojawił się przed frontową furtką. Nie dziwiło jej, że Alec przyjechał, lecz nie spodziewała się go tak wcześnie. Myślała, że zjawi się następnego dnia wieczorem, jako że po śmierci bliskiej osoby trzeba załatwić mnóstwo spraw. Poza tym przyjechała z Zachodniego Wybrzeża jego siostra i Laurel przypuszczała, że Alec będzie chciał spędzić z nią trochę czasu. Nie, nie spodziewała się go dziś wieczorem, ale mimo to była gotowa.

Nie mając nic do roboty, przez całe długie popołudnie wysprzątała dom, starła kurz z mebli, które nie widziały ścierki już od dłuższego czasu, czyściła, szorowała, aż wreszcie wszystko zaczęło lśnić. Potem wykapała się i włożyła spodnium z kloszowymi nogawkami, w kolorze jasnej żółci zadrukowanej we wzory niebieskie i czerwone jak burgund.

Na koniec zamiotła werandę, zapaliła światło nad frontowymi drzwiami i usiadła na huśtawce, rozkoszując się zapachami i odgłosami dochodzącymi z ogrodu. Zastanawiała się też, jakimi słowami powinna wytłumaczyć swój udział w pogrzebie, skoro wcześniej powiedziała Alekowi, że już nigdy nie chce go widzieć.

Spotkała go u stóp schodów, niedaleko od miejsca, gdzie zobaczyła go tej pierwszej nocy, gdy przyszedł do Ivywild. W świetle padającym z okien domu wyglądał prawie tak samo jak wtedy. Miał równie szerokie ramiona, był tak samo silny, tak samo obłudnie przystojny, a za jego pozorną indolencją kryła się taka sama powaga i mądrość. Jednak wokół oczu i ust miał głębsze zmarszczki, a ramiona opadały mu ponuro. Wyglądał jak człowiek, który odkrył, czego naprawdę chce, i zamierza to osiągnąć w każdy możliwy sposób. Przeszył ją dreszcz. Stojąc nieruchomo, czekała.

Alec nie tracił czasu na żadne wstępy.

- Dlaczego? - spytał, wspierając się pod boki.

- Z poczucia obowiązku - odparła i wstrząsnął nią krótki śmiech. Zdążyła doskonale poznać tego

mężczyznę i dokładnie wiedziała, co powie. - Z jakiej innej przyczyny ludzie chodzą na pogrzeby, jeśli nie z obowiązku, a także by okazać zwykle współczucie?

- Myślałem, że może miałaś jeszcze jakieś inne powody.

- Owszem, miałam - zgodziła się. - Byłam ci coś dłużna za to, co próbowałeś dla mnie zrobić, nawet jeśli ten eksperyment okazał się tak bardzo nieudany.

- Och, był udany - sprostował Alec. - Tylko że ty sama, własnymi rękami, brutalnie wszystko zniszczyłaś.

Splowiały czarny podkoszulek, który miał na sobie, ze srebrnymi literami reklamującymi jakiś od dawna nie istniejący zespół rockowy, całkowicie przykrywał smoka. Co za szkoda. Jednak miękki ciemny materiał tak mocno przylegał do jego torsu, że z gorącego pragnienia, by go dotknąć, aż zaczęły ją mrowić koniuszki palców. Rozpaczliwym ruchem odwróciła głowę.

- Chcesz wejść? - spytała. - Podam ci coś do picia.

Alec stał bez ruchu.

- Pytanie o to, czego chcę, wymaga kilku odpowiedzi.

- Nie mam ich dla ciebie! - krzyknęła, odwracając się od niego w nagłym przypiływie złości. Szerokie nogawki spódnicy-spodni zawirowały wokół jej łydek. - Przykro mi, jeżeli myślałeś, że moje przyjście na pogrzeb miało jakieś specjalne znaczenie. Nazwij to impulsem lub uprzejmym gestem wobec pani Callie. Nazwij litością, jeśli tak wolisz, ale nie nadawaj temu jakiegoś nadzwyczajnego sensu, bo miniesz się z prawdą.

- Laurel, twoje przybycie na pogrzeb Gregory'ego nie było czymś zwyczajnym, i sama o tym wiesz. Świadomie uczyniłaś z niego gest pełen znaczenia - powiedział z nieukrywaną pewnością siebie.

- Nie.

- Najpierw zamykasz się w domu jak zakonnica i przez długie tygodnie nie widzisz żywej duszy, a gdy wreszcie stąd wychodzisz, idziesz prosto do kaplicy pogrzebowej i siadasz obok mnie na ławce przeznaczonej dla najbliższej rodziny, tak, jakby tam było twoje miejsce. Przyszłaś, mimo że wcześniej usłyszałem od ciebie zupełnie inną deklarację. Przyszłaś, domyślając się, co o tym pomyślę. Przyszłaś, chociaż cała się trzęsała ze strachu, bo wiedziałaś, że znów rozpęta się całe to piekło plotek i oszczerstw. Tak więc jeszcze raz cię pytam: dlaczego?

- Dla siebie - odparła, unosząc głowę. - Zrobiłam to dla siebie.

Jego gęste brwi zbiegły się.

- Wydaje mi się, że będziesz mi to musiała wytłumaczyć.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niezdecydowania, a potem rozpacz, ale zaraz się opanowała.

- Może jednak zrobiłaś dobrą robotę, uświadamiając mi, że jeszcze żyję, bo doszłam do wniosku, że nie mogę znów zamknąć się w domu. Sama bym się zniecierliła, gdybym zmarnowała cały twój wysiłek i poniosła ostateczną życiową klęskę.

Napięcie na twarzy Aleka nieco zelżało. Gdy Laurel zamilkła i zacisnęła usta w wąską kreskę, powiedział:

- Więc postanowiłaś walczyć.

- Można to tak określić. Gdy Zelda zadzwoniła i powiedziała mi o śmierci Gregory'ego, zaczęłam dusić się w czterech ścianach mojego domu. Miałam wrażenie, że ci, którzy mnie prześladowają, stoją teraz gdzieś niedaleko, obserwują mnie i rozkoszują się swoim zwycięstwem, bo odebrali mi wszystko. To doprowadziło mnie do szaleństwa.

Na twarz Aleka powoli zaczął wpływać radosny uśmiech.

- A już myślałem, że sam będę musiał cię do tego doprowadzić.

Po twarzy Laurel przebiegł cień niechęci.

- Do szaleństwa?

- Do wściekłości. Na mnie, na innych ludzi, na świat. Byle tylko cię wreszcie obudzić. A gdyby to zawiodło, uciekłbym się do bardziej drastycznych środków.

- Na przykład?

Podszedł bliżej, by z żelazną konsekwencją spełnić swą groźbę. I właśnie wtedy pojawił się jakiś cień, który zbliżał się do nich ścieżką prowadzącą od cysterny i sadzawek z liliami. Alec chwycił Laurel za ramię i wepchnął za siebie. Nie było czasu na nic więcej. Cień zmienił się w krępa postać w wymyślnej sukience. To była Zelda. Na jej umalowanych ciemnoczerwoną szminką ustach błąkał się dziwny uśmiezek. Teraz już nie zachowywała ostrożności, jej obcasy stuknęły o chodnik.

- Boże, co wy tu robicie po ciemku? - spytała.

- Mam nadzieję, że coś skandalicznego.

- Do licha, Zeldo! - krzyknęła Laurel, wychodząc zza Aleka. - Skąd się tu wzięłaś?

- Z miejsca, gdzie zawsze parkuję samochód, trochę dalej na szosie. Dobrze orientuję się w ciemnościach, jeżeli wolno mi się pochwalić, ale zaczęło mnie to już męczyć, więc dziś z tym skończę.

- Chcesz powiedzieć, że to ty nas szpiegowałaś? - spytała Laurel z pogardą.  
- Nie tylko szpiegowałam. - Zelda zachichotała. Trzymała w ręku pistolet. - Ale, jak powiedziałam, jestem już tym zmęczona. Tak więc zaraz się ciebie pozbędę, moja droga Laurel. I ciebie też, rozkoszny chłopczyku do zabawy. Doprawdy wydaje mi się, że Alec za bardzo cierpi po śmierci ukochanego brata, a także z powodu twojej niestałości, więc cię zastrzeli. Potem skieruje pistolet na siebie. Okropna tragedia, ale co za wspaniały koniec dla tego godnego potępienia romansu. Wprost bajeczny, prawda? A jakież cudowny temat na niedzielne kazanie: „Słuchajcie, wierni w Chrystusie Panu, oto szatan objawił swoje prawdziwe oblicze i zabrał do piekła dwie potępione dusze!” - Roześmiała się chrapliwie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Jesteś szalona. - Laurel zareagowała spokojnie, chociaż jej słowa dźwięczały kontrolowaną mocą.  
- Och, na pewno nie - odparła Zelda z rozbawieniem. - Raczej powiedziałabym, że wszystko wymyśliłam wprost genialnie. To ty zwariowałaś, skoro poszłaś na pogrzeb, mimo że tyle razy zostałaś ostrzeżona. No cóż, ale ja wiedziałam, że pójdziesz, po prostu wiedziałam, a potem twój kochaś przyleci za tobą tu jak na skrzydłach i wszystko zacznie się od nowa. Odkąd Alec przyjechał do miasta, nie można mieć do ciebie zaufania.

Stojący za Laurel Alec zeszytniał. Jego wzrok, poważny i groźny, przeszywał Zeldę na wylot. Laurel, przerażona tym, co z całą pewnością zamierzał zrobić, położyła mu rękę na ramieniu. Jeżeli szwagierce wydawało się, że jest taka genialna, może uda się ją sprowokować, by wyjaśniła, na czym jej geniusz polega. To dałoby im trochę czasu, by uspić jej czujność i w odpowiednim momencie rozbroić.

- A przedtem można mi było ufać? - spytała Laurel. - Nie rozumiem, o co ci tak naprawdę chodzi.

Zelda uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Och, skarbie, przedtem byłaś czułą żonką Howarda, a on trzymał cię w cuglach. Pilnował cię jak jastrzęb. Bez jego wiedzy nie mogłaś nawet kichnąć. Przyznaję, że sprawiłaś nam kłopot, gdy zaczęłaś mówić o remoncie domu i gruntownych zmianach w ogrodzie, ale potrafił to zdusić w zarodku. A potem go zabiłaś. Mimo to nadal wszystko szło tak jak trzeba, bo byłaś tak bardzo pogrążoną w poczuciu winy męczennicą, że bez najmniejszego trudu można było cię kontrolować. Musieliśmy tylko trzymać cię tu w zamknięciu, jedynie z tym cholernym złośliwym psem do towarzystwa.

- My?

- Och, na początku Howard, mama i ja, a potem tylko ja i mama.

- Ty i mama - powtórzyła Laurel, usiłując znaleźć jakiś sens w tym, co usłyszała. Już chciała zadać kolejne pytanie, ale Zelda radośnie kontynuowała:

- Mama naprawdę się zdenerwowała, gdy Dan Tanning zaczął się kręcić koło ciebie i sapać z podniecenia. Że też musiał to być właśnie szeryf. Okropne! - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Oczywiście załatwiłam go. Jezu, co to był za głupiec, skoro uważał, że naprawdę chcę się z nim zabawić na tylnym siedzeniu radiowozu. Śliniący się idiota. Był taki zawstydzony, gdy nas przyłapano, i taki przerażony tym, co mama mu powiedziała, że już więcej nie pokazał się w Ivywild. Plotki to użyteczna rzecz, oczywiście gdy nie dotyczą nas samych.

- Tak, rozumiem.

Twarz Zeldy wykrzywiła się w nagłej złości.

- A potem ty znów musiałaś się zabrać do tego przeklętego ogrodu!

Ramię Aleka stwardniało jak stal, gdy Zelda zmieniła ton.

- Nie rozumiem, co widzisz w tym złego - powiedziała Laurel szybko.

- Nie, nie rozumiesz, i na tym polega cały kłopot, ty cholerna idiotko. Po co miałabym sobie zadawać tyle trudu? Boże, niemal dostałam ataku serca, gdy tu przyszedłam i zobaczyłam, co już zrobiłaś. Byłaś tak blisko, by znaleźć... - Nagle przerwała, zacisnęła usta i z sykiem wciągnęła powietrze przez nos.

- Sticks. - To Alec wymówił imię psa. - Zabiłaś Sticksa, bo przez niego nie mogłaś się tu zakradać - dodał z pogardą.

- Cieszę się, że się go pozbyłam. To bydlę nienawidziło mnie i mamy. Alec roześmiał się.

- Zawsze wiedziałem, że to mądry pies.

- Ale ty byłeś o wiele gorszy niż on. - Zelda z gorejącym wzrokiem odwróciła się do Aleka. - Kilka razy prawie mnie już złapałeś, uratowało mnie tylko to, że wychowałam się tu i w dzieciństwie bawiłam w chowanego w lasach otaczających dom. No i jestem szybsza, niż na to wyglądam.

- Na pewno. I sprytniejsza - zgodził się Alec ironicznie.

Próbuje doprowadzić Zeldę do wybuchu gniewu, pomyślała Laurel, chce odciągnąć jej uwagę ode mnie. I to mu się udało, bo szwagierka skierowała lufę pistoletu na niego i zmrużyła oczy.

- A czego właściwie nie powinnam znaleźć? - spytała Laurel szybko. - Uważam, że mam prawo się dowiedzieć, co tutaj ukryłaś i co jest aż tak ważne, że mam z tego powodu umrzeć.

- Nie masz żadnych praw! - krzyknęła Zelda gniewnie, znów zwracając się do niej. - Nigdy nie miałaś. Mówiłam mamie, że popełnia błąd, sprzedając dom tobie i Howardowi, mówiłam jej, że go przeżyjesz albo któregoś dnia, gdy jego nie będzie, wasze głupie bachory wściubią nos tam, gdzie nie powinny. Ale czy ona mnie posłuchała? Och, oczywiście, że nie! Nie mogła tu wytrzymać, musiała zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego, zanim ostatecznie puszcza jej nerwy. A przecież, do cholery, to wszystko stało się z jej winy i sama, aż do śmierci, powinna tu warować jak podwórzowy kundel. Co za głupia krowa!

- Prawa dziedziczności są niepodważalne - powiedział Alec. - Głupia krowa na ogół rodzi głupie...

- Cysterna! - przerwała mu Laurel, przekrzykując obelgę, którą wypowiadał z całą świadomością, chcąc, by lufa skierowała się z powrotem na niego.

- Howard szalał, gdy dzieci bawiły się w jej pobliżu albo gdy ja chciałam tam coś posadzić. Mówił, że to zbyt niebezpieczne, bo ścianki mogą się obsunąć. Ale z drugiej strony nie zgadzaliście się na to, by wykarzować tam zielsko i kolczaste krzaki.

- No tak. Pewnie właśnie tam pochowaliście ciało? - zasugerował Alec, jakby namawiał Zeldę do wyjawienia prawdy.

Ze świstem wciągnęła powietrze.

- Skąd... - Przerwała i z wykrzywioną twarzą spiorunowała wzrokiem Aleka. - Mądrała. Nawet nie zgadywałeś, co? Po prostu strzelałeś. No dobrze, powiem wam. Nie muszę się kłępować, bo i tak nie będziecie mogli puścić tej rewelacji dalej, co najwyżej rozpowiecie ją diabłom w piekle. Masz rację, kochasiu starych wdówek, właśnie tam pochowaliśmy ciało. - Nagle w jej oczach załśniły łzy. - Ciało mojego tatusia.

Ojciec Zeldy?! Mąż Sadie Bancroft, który rzekomo odszedł od nich tak dawno temu, kiedy Howard był nastolatkiem. Gdy Laurel przetrwała tę wiadomość, Alec wpakował ręce do kieszeni spodni i pokręcił głową.

- Coś podobnego! - powiedział protekcyjnym tonem. - No i diabeł wreszcie wyskoczył z pudełka. Kto to zrobił? Ty?

- Wszyscy troje. Mama, Howard i ja. - Po twarzy Zeldy przemknął grymas rozpacz.

- Ale dlaczego? Co się stało? - spytała Laurel.

- Mama pojechała do Leesville o jeden raz za dużo i kielich się przepełnił. Tatus oświadczył, że odchodzi, nie wiedział jednak, że jej się nie opuszcza ot tak, po prostu. Tak mu powiedziała i udowodniła to. Wzięła pistolet i... - Zelda wzruszyła ramionami i gwałtownie zamilkła. - To było takie straszne... - dodała po chwili.

- Wierzę ci. Kochałaś go, prawda? - odezwała się Laurel cicho.

Zelda wykrzywiła usta, w jej oczach znów pojawiły się łzy.

- Byłam jego kochaną córeczką, jego małą księżniczką. Zabierał mnie wszędzie, na ryby, na polowania, na pikniki. Nauczył mnie posługiwać się strzelbą, prowadzić łódź, naprawiać samochód. Gdy byłam na tyle duża, by można mnie było wybrać na królową koszykówki, wydał setki dolarów, kupując głosy.

- Widziałaś, jak twoja matka go zastrzeliła? - spytał Alec.

- Widziałam, jak celuje mu w plecy i krzyczy, by zawrócił, ale on szedł. Podbiegłam do niej, walczyłam o pistolet. Padł strzał i tatus upadł. Mama powiedziała... mówiła, że nie chciała go zabić. Powiedziała, że nie pociągnęła za spust, nie zamierzała tego zrobić, nigdy by go nie zabiła, chciała go tylko przestraszyć, i gdybym ja nie...

- Zrzuciła winę na ciebie - stwierdziła Laurel ze współczuciem, które ją samą zdziwiło.

- Nie, bo zrobiłam to! Tak mi się wydaje, tak to pamiętam... ale naprawdę nie chciałam go zabić! Nigdy, za nic na świecie! Nie chciałam, żeby mój tatus umarł! - Niemal błagała, by jej uwierzyli.

- To był wypadek. Policja na pewno by się z tym zgodziła. Nie było potrzeby...

- Była! - W jasnych oczach Zeldy ujrzeli panikę. - Mama powiedziała, że nam nie uwierzą. Zresztą wtedy całe miasto by się dowiedziało i mówiono by za naszymi plecami podłe, wstrętne rzeczy.

- Wszystko wyszło na jaw, prawda? - Laurel postawiła kropkę nad „i”. - O tym, jak twoja matka prowadziła się z żołnierzami i spała z nimi za pieniądze jak zwyczajna prostytutka, bo w istocie nią była, oraz o całym tym piekle, jakim było ich małżeństwo. Na przykład o tym, jak kiedyś Sadie wlała mężowi wrzący olej do ucha? Na pewno wyciągnięto by jeszcze wiele innych smakowitych kąsków...

- Milcz! Milcz! - krzyknęła Zelda i podeszła do Laurel.

Alec usiłował ją zasłonić, ale ona wysunęła się przed niego.

- Ludzie zawsze wiedzą o wszystkim - powiedziała. - Stare kobiety mają swoje sposoby, by dotrzeć do każdej tajemnicy. Maisie mi już coś na ten temat mówiła i chciała, żebym spytała babcię Callie o resztę, tyle, że nie zrozumiałam, o co jej chodziło.

Zelda nieprzyjemnie się roześmiała.

- Och, wiem, że ludzie zawsze plotkowali o nas. Mówili, że zanim jeszcze skończyłam szesnaście lat, sypiałam z połową drużyny futbolowej, a z pozostałymi zaczęłam sypiać po ślubie, mimo że niewiele z tego było prawdą. Jednak najgorsza była Maisie. Nigdy nie lubiła ani mnie, ani naszej rodziny. Zawsze cię broniała. Ucieszyłam się, gdy usłyszałam, że ta stara łajdaczka połamała się w wypadku, choć z drugiej strony byłam wściekła, bo to ty miałaś rąbnąć w drzewo.

- Maisie nie miała nic złego na myśli, a to, co mówiła, nie miało nic wspólnego z tym, czy cię lubiła, czy też nie - powiedziała Laurel. - Ludzie po prostu są ciekawi, interesują się życiem innych, tym, co się z nimi dzieje. Wątpię, by wiedziała, co zrobiłaś swojemu tacie.

- Nic mu nie zrobiłam! Kochałam go. Naprawdę go kochałam, ale nie chciałam iść do więzienia. Mama powiedziała, że mnie zamkną, i ją też, bo ja byłam nieletnia. Jedyne, co nam pozostało, to zaciągnąć go i... - Zelda zamilkła, szeroko otwartymi oczami patrząc przed siebie. Gorączkowo złapała oddech i mówiła dalej: - Och, Boże, jego ręce i nogi były rozrzucone, każda w inną stronę, a gdy padał, uderzył głową o ziemię. Słyszałam to. Potem często mi się śniło, że wcale nie umarł, tylko wciąż tam leży i krwawi albo usiłuje się czołgać jak jakiś potwór z horroru.

- To, co zamierzasz z nami zrobić, wcale nie będzie lepsze - ostrzegł ją Alec. - Będzie do ciebie wracało, nawet jeżeli unikniesz więzienia, w co zresztą bardzo wątpię, bo natychmiast ludzie tacy jak babcia Callie zaczną dodawać dwa do dwóch. - Podeszedł do niej o krok. - Lepiej oddaj mi broń.

Pozwolił, by Laurel znalazła się w pewnej odległości od niego, a teraz jeszcze tę odległość zwiększył. Pewnie miał nadzieję, że namówi Zeldę do zmiany planów, a gdyby to się nie udało, zamierzał zaatakować. W ostateczności chciał ściągnąć na siebie ogień, by uratować kobietę, którą kochał ponad wszystko. Laurel dobrze rozumiała, czym kierował się Alec w swoich poczynaniach.

A ona chciała żyć. Teraz już była tego pewna. Marzyła o tym, by uwolnić się od przeszłości, która trzymała ją w Ivywild, i zacząć poznawać szeroki, wielki świat, smakować to wszystko, co dostępne jest wolnym ludziom. Lecz mogła to zrobić tylko z Alekiem, bo bez niego czuła się tak, jakby pozbawiono ją duszy.

Musiała coś zrobić, i to już, natychmiast, bo inaczej on zginie, a do tego nie mogła dopuścić. Jeżeli nawet ona umrze, rozpaczliwie chciała, by Alec żył. Z determinacją ruszyła do przodu. Jeżeli ściągnie uwagę Zeldy na siebie, wtedy Alec zyska ułamek sekundy, by zrobić to, co zamierzał.

Jej głos, pewny i silny, posłużył jako broń.

- Tak naprawdę to wcale nie uważasz, że zabiłaś swojego tatę, prawda? Tak samo jak ja nie uważam, abym zabiła Howarda. To też był wypadek. Nie doszłoby do niego, gdyby nie wpadł w taką panikę, gdy chciałam pojechać po róże, by posadzić je wokół cysterny, i gdyby nie uparł się, że mnie powstrzyma. Wciąż jednak prześladowuje mnie wspomnienie głuchego łoskotu, z jakim samochód w niego uderzył, nadal czuję się tak, jakbym uderzyła go ja, a nie chrom i stal. Jego śmierć zawsze będzie mi ciążyła na sumieniu, chociaż już nie na sercu. Tak samo nasza śmierć będzie obciążała twoje sumienie.

- Och, wy to zupełnie coś innego - mruknęła szyderczo Zelda. - Wami gardzę, bo jesteście żalonymi śmieciami, stary babsztyl i jej kochaś-gołodupiec. Ile mu płacisz, gdy ci dogodzi? A ile musisz wysupłać za specjalny numerok? - syknęła z pasją, jakby chciała zbrukać coś, czego instynktownie zazdrościła szwagierce, a co było dla niej zupełnie niedostępne. - Poza tym przez te lata zmieniłam się. Stałam się twarda.

- Naprawdę? A mimo to nadal prześladowuje cię wspomnienie śmierci twojego ojca? I nie tylko dlatego, że zabiła go wystrzelona przez ciebie kula, bo cały czas zastanawiasz się, czy może jednak mogłaś mu tamtej nocy jakoś pomóc... Może jednak mogłaś zrobić coś, co ocaliłoby go przed śmiercią?

Te ostatnie słowa wypowiedziała pod wpływem impulsu, gdy zobaczyła czarne oczy Aleka utkwione w siebie. Oby tylko ją rozumiał.

Zelda parsknęła histerycznym śmiechem.

- Nie mogłam! Gdy wrzuciliśmy go do cysterny, już nie żył. Nie żył, słyszysz? I niech ci się nie wydaje, że jestem taką kretynką, by nie zrozumieć, co wy oboje robicie. Dobry Boże, co za para idiotów! Tańczycie tu przede mną jak pieprzone kukielki, jedno próbuje chronić drugie przed moją kulką. - Jej głos zabrzmiał nieprzyjemnie. - Ale wierzcie mi, mam ich sporo w magazynku. Starczy dla was obojga.

- Za to nie masz dość serca, by zrozumieć, co to jest miłość - powiedział Alec. - Zmarnowałaś swoje życie i już tego nie odrobisz. Stałaś się zimną kłodą, ponurym kamieniem, którego nikt nigdy nie ogrzał. Jesteś skazana na wieczną samotność, choćbyś nie wiem ilu facetów gościła w swym łóżku. Można cię nazwać wielką porażką, chodzącą kłęską. Oto czym jesteś. Nie masz serca ani wyobraźni, jesteś wyprana z uczuć i dlatego nie wiesz, że pewne rzeczy dla prawdziwych ludzi stanowią najwyższą wartość. - Mówił nadal do Zeldy, lecz jego oczy trzymały wzrok Laurel na uwięzi. - Nikt ci nigdy nie powiedział, że jesteś jego

gwiazdą przewodnią, powietrzem, którym oddycha i radością jego życia. Nikt nigdy ci nie powiedział, że gdyby nawet mógł żyć jeszcze tysiąc lat, bez ciebie te lata nic nie będą dla niego znaczyły. Nikt nigdy ci nie mówił, że kocha cię bardziej niż ostatni oddech własnego umykającego życia, a w chwili śmierci będzie cię kochał jeszcze mocniej.

- Skończyłeś? - spytała Zelda z udawaną pogardą, choć widać było, jak bardzo jest wstrząśnięta.

Skończył, Laurel zobaczyła to w jego oczach. Z bijącym sercem, ze łzami zasłaniającymi widok, gorączkowo szukała sposobu, by nie dopuścić do tego, co miało się zdarzyć. Za wszelką cenę chciała powstrzymać Aleka, ale nic nie mogła już zrobić. Tak więc pozostało jej tylko jedno.

- Kocham cię - szepnęła. - Ja też cię kocham. Usłyszał, bo w jego oczach rozpalila się słodka radość... i już się odwracał, zawirował, napiął mięśnie i rzucił się do ataku, którego nauczył go chiński ogrodnik, zbyt nagłego, by podążyć za nim wzrokiem, zbyt potężnego, by go zatrzymać. Jednym wyrzutem ręki chwycił Zeldę za nadgarstek, jednym wyrzutem nogi pozbawił ją równowagi. Ale było o jeden oddech za późno. Pistolet wystrzelił, wyrzucając z siebie język ognia. W tym samym ułamku sekundy Alec twardym butem zahaczył o nogę Zeldy pod kolanem i pociągnął do tyłu, wyszarpując jej jednocześnie broń. Ciemny metal załśnił, lecąc wysokim łukiem w górę, a potem pistolet głośno uderzył o ścieżkę. Zelda z krzykiem wpadła w splątane kolczaste krzaki starego głogu.

Laurel rozpaczliwie krzyknęła. Skoczyła, by podtrzymać Aleka, który zachwiał się i osunął. Kolana jej się ugięły pod jego ciężarem. Opadła razem z nim na ziemię, próbując swoim ciałem złagodzić jego upadek.

Chwycił się kurczowo za pierś, spod jego dłoni zaczęła sączyć się krew.

- Pistolet - ostrzegł ochryple. - Weź pistolet. Laurel położyła Aleka na ziemi i rozpaczliwie się rozejrzała. Zobaczyła pistolet. Szybko po niego skoczyła, bo Zelda już zaczynała się wyplątywać z krzaków.

Gdy Laurel podniosła się z bronią w rękę, szwagierka najpierw zakwiliła, a potem zaczęła histerycznie szlochać. Podrapana i krwawiąca upadła między ciemię.

Laurel nie zwracała na nią uwagi, tylko podbiegła do Aleka. Mocno krwawił, ale twarz miał spokojną, rozjaśnioną szczęściem. Całe życie szukał swojego Graala i właśnie go znalazł. Dotarł do kresu bolesnej wędrówki, by dalej kroczyć już inną, słoneczną drogą.

Gdy zdjęła mu podkoszulek, zobaczyła, że jego smok ma wielką, ziejącą dziurę w boku. Będzie potrzebował całej swojej sztuki i magii, by się zregenerować i ocalić mężczyznę, który go nosi.

Alec zwilżył usta.

- Czy tym razem... nie zawiodłem? W oczach Laurel załśniły gorące łzy.

- Nie. Nie zawiodłeś.

- To dobrze.

Po jej policzku popłynęła jedna jedyna łza i jak srebrna kropla spadła na jego pierś, ale on już tego nie widział. Oczy miał zamknięte, głęboko zapadnięte w bladej twarzy, a w świetle wschodzącego księżyca zobaczyła, że jego usta już się nie uśmiechają.

Pielęgniarka była młoda i ładna, miała cynicznie uniesiony kącik ust i ogromne poczucie władzy. Weszła do poczekalni, przesunęła wzrokiem po siedzących w niej osobach i spytała niecierpliwie:

- Jest tu ktoś z rodziny Aleka Stantona? Pani Callie wstała, odpychając się niepewnie rękami od oparcia fotela. - Jestem jego babcią.

- Może pani teraz wejść.

- Czy on...? - Pani Callie zabrakło głosu.

- Lekarz dyżurny wszystko pani powie, gdy znajdzie chwilę czasu.

Gdy Mita także wstała i podtrzymała babcię, Laurel szybko odeszła od okna, gdzie do tej pory stała, i podparła starą kobietę z drugiej strony. Razem, we trzy, ruszyły do drzwi.

Pielęgniarka zablokowała im drogę.

- Pani jest krewną?

- Tak, siostrą - odpowiedziała Mita.

- A pani? - zwróciła się do Laurel.

- Nie. - Tylko tyle zdołała wycedzić przez zaciśnięte zęby.

- Więc proszę tu zostać.

- W żadnym wypadku! - krzyknęła Laurel.

- Takie są przepisy, dlatego stanowczo nalegam, by pani tu została - powiedziała ostro pielęgniarka.

Od wielu tygodni Laurel grożono, prześladowano ją i oszukiwano. Zabito jej psa, zniszczono jej własność. Dziś stawiała czoło morderczyni i widziała, jak od kuli pada mężczyzna, którego kochała. Naprawdę nie była w nastroju, by pokornie znosić fochy tej pielęgniarki.

- Może pani sobie nalegać tak długo, aż trafi panią szlag - warknęła. Twarz miała rozgorączkowaną, ale

spojrzenie zimne.

Marcia zerwała się z krzesła i skinęła głową na brata, który siedział obok niej. Rzucili się ku pielęgniarce, każde z nich położyło jej rękę na ramieniu, by ją powstrzymać, wyglądała bowiem na bardzo rozsierdzoną i urażoną.

- Dziś wieczorem Alec Stanton podczas strzelaniny ocalił mojej matce życie - powiedziała Marcia gwałtownie. - A ona zrobiła wszystko, co mogła, by uratować jego. Na pani miejscu nie wchodziłabym jej w drogę, bo to naprawdę może się okazać niebezpieczne.

Laurel rzuciła córce szybki, przepelniony wdzięcznością uśmiech, delikatnie położyła rękę na ramieniu Callie, skinęła na Mitę i wszystkie trzy wyszły na korytarz, wymijając oszołomioną pielęgniarkę.

Alec, mimo bladości, która rozlała się po jego twarzy, na tle białych prześcieradeł wydawał się mieć skórę ciemną jak mahoń. Żył - świadczyły o tym popiskiwanie i szum urządzeń, które go otaczały, ale oczy miał zamknięte, a oddech bardzo płytki. Pod koszulą wybrzuszał się opatrunek, rurki biegnęły od ramienia gdzieś w górę i ginęły za krawędzią łóżka.

Pani Callie westchnęła cicho.

- Dzięki Bogu, och, dzięki Bogu, nie zniósłabym, gdyby... gdyby... ten biedak skończył tak, jak Gregory.

- Tak nie będzie - powiedziała cicho Laurel. Jej wzrok napotkał ciemne oczy Mity, tak podobne do oczu Aleka, a potem odwróciła się z powrotem w stronę łóżka.

Zapadła cisza. Patrzyły na Aleka, a on spał, nieprzytomny po narkozie.

Po jakimś czasie pani Callie podeszła bliżej i delikatnie pogłaskała go po rękę, a następnie, z ramionami skulonymi ze zmęczenia, ruszyła do drzwi. Gdy Laurel się zaważała, podniosła rękę.

- Nie, nie. Po prostu muszę na chwilę usiąść. Mita może pójść ze mną. A ty zostań, żeby ktoś z nim był na wypadek, gdyby... gdyby się obudził.

Drzwi zamknęły się cicho za obiema kobietami. Laurel znów odwróciła się do łóżka i ujęła rękę Aleka w swoje dłonie. Nawet teraz, gdy był nieprzytomny, wyczuwała jego uśpioną siłę.

Nie wiedziała, jak długo tak stała. Z korytarza dochodziły różne dźwięki, ludzkie głosy, szelest kółek szpitalnych wózków, informacje przekazywane przez głośniki. Raz usłyszała syrenę karetki. Potem po odgłosach rozpoznała, że przysłała nowa zmiana pielęgniarek, Laurel jednak nie ruszyła się, tylko wciąż stała przy łóżku, delikatnie głaszcząc Aleka po rękę.

W jednej chwili jeszcze był nieprzytomny, a w następnej patrzył na nią. W jego oczach koloru ciemnej czekolady dostrzegła świadomą myśl, między brwiami zarysowała mu się zmarszczka.

Miała mnóstwo czasu, by się zastanowić, co mu powie, gdy nadejdzie ta chwila.

- Witaj - odezwała się, uśmiechając się leciutko. - Ożenisz się ze mną?

Jego oczy gwałtownie zaszyły mgłą. Skinął prawie niezauważalnie głową.

- To ze mną jest aż tak źle? - spytał ochryple. Powinna była wiedzieć, że nie pójdzie jej łatwo. Powstrzymała westchnienie.

- Nie tylko bliska śmierć lub też litość bywa powodem, dla którego ludzie się pobierają.

- A więc chodzi o wdzięczność. - Uniósł czarne brwi.

- Jak to Marcia niedawno pięknie ujęła, uratowałeś mi życie, ale ja też uratowałam twoje. Gdzie więc jest tu miejsce na wdzięczność?

- Twoje dzieci tu przyszły? - Mówił głosem pewnym, choć niezbyt donośnym. Laurel skinęła głową.

- Wspierają swoją matkę tak, jak dzieciom przysłało.

- I nie... mają nam za złe?

- Jeżeli nawet, to tego nie powiedzą, bo czują, że nie przyniosłoby im to nic dobrego. - Ponieważ patrzył na nią nieruchomym, baczny wzrokiem, leciutko się zaśmiała. - Nie sądzę, by się ośmieliły. Wydaje mi się, że w oczach mieszkańców Hillsboro staliśmy się niezwykłą parą, a z nastaniem dnia, gdy ludzie zaczną gadać jak najęci, staniemy się sławni.

Przez jego bladą twarz przebiegł wesoły uśmieszek.

- To ty będziesz sławna.

- Razem z tobą. I chcę, żeby od dziś tylko tak było.

- Nie potrzebujesz mnie.

- To nieprawda - powiedziała stanowczo. - Prosiłeś, żebym za ciebie wyszła, ale ci odmówiłam. Żałuję, że cię zraniłam, ale wtedy miałam ku temu ważne powody, które teraz już nie istnieją. Jeżeli jednak twoja duma wymaga, bym cię prosiła, to... od czego mam zacząć?

- Moja duma tego nie wymaga! - Aż zacisnął usta ze wzburzenia na samą myśl.

- Więc zmieniłeś zdanie?

- Nie, ale...

- ...ale nagle wydałam ci się starsza i bardziej zgrzybiała, niż wcześniej myślałeś, więc uznałeś, że do

towarzystwa na huśtawce wolisz jakieś młodziutkie dziewczę?

- Boże, nie! Laurel, nie walczysz uczciwie.

- A kto mówi, że to będzie uczciwa walka? - spytała sprytnie. - Co cię tak zdenerwowało? To, że mówię o huśtawce? Mogłabym też wspomnieć o wspólnym prysznicu albo o skąpanym w świetle księżycy ogrodzie...

- Laurel...

To, że wymówił jej imię, wystarczyło, by ochłonęła. Serce jej zlodowaciało.

- Czego jeszcze możesz chcieć? - krzyknęła. - Mówiłam już, że cię kocham.

- To było wyznanie pod przymusem, taki ostatni posiłek dla skazańca.

- Och, tak właśnie myślisz? - spytała, a serce znów jej się obudziło do życia. Potem zmarszczyła czoło. - Oczywiście ja też mogłabym uznać, że to wszystko, co mi mówiłeś, było nie do końca szczerze. Powinnam traktować to jako rozpaczliwą próbę wykorzystania ostatniej szansy w obliczu śmiertelnego zagrożenia...

Alec uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie dasz mi tej satysfakcji i nie pozwolisz, bym to usłyszał od ciebie, prawda?

- Znów? No więc dobrze, kiedyś ci to powiem, w przerwie między jednym a drugim.

Westchnął.

- Między czym a czym?

- Huśtawką i prysznicem... - Roześmiała się.

- No cóż, chyba rzeczywiście nie gram uczciwie. A co by było, gdybym ci powiedziała, że jeśli się ze mną ożenisz, to wkrótce po miodowym miesiącu zostaniesz dziadkiem?

- Co takiego? Chodzi o Marcie, prawda? Cieszę się, lecz nic z tego! Droga pani Bancroft, gramy dalej, bo łapówkami nic pani nie osiągnie.

- Naprawdę ci to nie przeszkadza? - spytała lekko zdenerwowana.

- Lubię dzieci, ale nigdy nie byłem dziadkiem, a także nie znałem nikogo, kto mógłby mi posłużyć za wzór. Będiesz musiała mnie nauczyć, co mam robić.

- Ja też nigdy nie byłem babcią - poinformowała go, udając irytację.

- Wobec tego będziemy się uczyć razem.

- Mam ci jeszcze coś do powiedzenia - oznajmiła, a jej oczy zalśniły radością.

- Naprawdę? - Zamilkł na chwilę. - No, powiesz mi, o co chodzi, czy nie?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Potrzebuję ogrodnika. Nie wiadomo, kiedy Maisie wróci do pracy, więc będę zbyt zajęta w domu, żeby poradzić sobie jeszcze z roślinami.

- Na jak długo mnie zatrudnisz?

- Bezterminowo. Potrzebuję również modelu dla moich rzeźb, bo wkrótce odbuduję szopę. A to mi przypomina...

- Że potrzebujesz cieśli?

- Znasz się na tym choć trochę? - spytała z nadzieją w głosie.

- Jestem mistrzem młotka - pochwalił się. - Zresztą moje mistrzostwo objawia się również w wielu innych dziedzinach.

- To dobrze. Aha, jeszcze jedno. Ponieważ bardzo nie lubię być sama, potrzebuję też nocnego stróża, możesz więc okazać się użyteczny, grzejąc mi zmarznięte nogi... i inne miejsca.

- Laurel, doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Odwróciła głowę, nie do końca przekonana, czy Alec żartuje.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo jest tyle rzeczy, które chciałbym zrobić, już, teraz, a nie mogę się ruszać.

- Och. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądał twój biedny smok, gdy wyjdzie spod przykrycia.

- Chodź - powiedział, a jego oczy lśniły jak czarne diamenty. - Może pozwolę ci na niego zerknąć.

Laurel obejrzała się na drzwi.

- No, nie wiem... Pielęgniarka chciała mnie stąd wyrzucić i nie jestem z nią w najlepszych stosunkach, więc gdy zobaczy mnie w twoim łóżku...

Alec mocniej zacisnął palce na jej ręce.

- Ja się nią zajmę. Chodź.

- No dobrze, ale nie powiedziałaś, że się ze mną ożenisz.

- I nie powiem, dopóki nie usłyszę o wszystkim, co jeszcze dla mnie przygotowałaś.

Uklękła na łóżku, potem jednak szybko wstała.

- A ty nawet nie obiecałeś, że będziesz moim ogrodnikiem.

- Naprawdę? O tym też możemy podyskutować. A także o systemie motywacyjnym, jaki zamierzasz

stosować wobec swoich pracowników, to znaczy cieśli, ogrodnika, no i nocnego stróża. I o premiach. I jeszcze o godzinach, jakie będę mógł ci poświęcić, gdy już znajdę gdzieś niedaleko zatrudnienie jako inżynier.

- Panie Stanton, jest pan twardym człowiekiem - powiedziała, a potem westchnęła, uznała się za pokonaną i wdrapała się na łóżko.

Alec objął ją zdrowym ramieniem i przytulił do swojej piersi.

- Rzeczywiście, masz rację - mruknął. - I co z tym zrobisz?

- Teraz niewiele, ale możemy porozmawiać również i o tym.

- Jestem tu właśnie z powodu gadania - przypomniał.

- Myślałam, że z powodu pracy w ogrodzie - szepnęła. Zamknęła oczy, wchłaniając w siebie jego siłę, pewność i moc.

- Na jedno wychodzi - odparł z roztargnieniem, bo zastanawiał się, jak się z nią kochać, gdy był cały obolały i podłączony do licznych urządzeń. - Niewiele mogę ci ofiarować.

- Tylko swoją miłość - dodała, rozwiązując jego kłopot dzięki temu, że przysunęła się bliżej.

Westchnął i leciutko musnął jej usta. Zanim zatracili się w pocałunku, szepnął jeszcze:

- Masz rację, moją miłość.